

Janusz Meissner

Niebieskie drogi

Rozdział I

Załoga wsiadła do maszyny: radiotelegrafista, ogromne chło-pisko o niedźwiedziowatych ruchach; mechanik pokładowy, mały, rudy, piegowaty, zręczny i zwinnie jak wiewiórka; drugi pilot Płonka, wysoki, nieco przygarbiony, z krogulczym nosem, podobny do drapieżnego ptaka. Cała menażeria! Tak ich zresztą przezywano. W dodatku ich samolot typu DC-3 oznaczony literami SP-KOG nieoficjalnie nazywał się „Kogucik”.

Kapitan tego zespołu, Godzicki, w oczekiwaniu na pasażerów rozmawiał jeszcze z Piotrem Mareszem.

Piotr zapytał o Mary.

- Dawno jej nie widziałem - dodał, jakby chcąc się usprawiedliwić.

Godzicki zaśmiał się krótko.

- I ja - odrzekł. - Mary jest, zdaje się, w Łodzi. A może w Piotrkowie? *Tournee* artystyczne, uważasz. Ale już kończy; pewnie wróci w przyszłym tygodniu i przez jakiś czas będzie spoczywała na laurach. Aha, zamierza grać w jakimś filmie. Ktoś jej powiedział, że jest niezwykle fotogeniczna i w dodatku podobna do Deanne Durbin czy też może do kogoś tam innego. Wpadnij do niej. Ona mi ciągle powtarza, że powinna była wyjść za męża za ciebie, nie za mnie. Zdaje się, że ma rację... No, idzie wreszcie balast - powiedział spoglądając na grupę pasażerów, którzy wyszli z poczekalni. - Mamy już przeszło dwie godziny opóźnienia.

Piotr obejrzał się także. Był trochę rozdrażniony; niepotrzebnie się wyrwał z tym pytaniem o Mary. Wiedział, że Godzić-cy mieli się rozejść. Ryszard do niedawna nie zaprzeczał tym pogłoskom. Dopiero od czasu gdy Mary odziedziczyła znaczny spadek po ciotce z Whitby, znów się

jakoś ułożyło między nimi.

Pasażerowie - „balast”, jak o nich pogardliwie mówił Godzicki - wchodzili już po schodkach do gondoli samolotu. Maresz zawsze spoglądał na swoich pasażerów z niejakim zaciekawieniem. W każdym razie nie traktował ich wyłącznie jako balast. Ci, którzy mieli polecieć z Ryszardem, również do pewnego stopnia budzili jego zainteresowanie. Poza tym, obserwując ich, mógł pominąć milczeniem to, co Godzicki powiedział o nim i o swojej żonie. Wreszcie, odwracali jego myśl od owego drażliwego tematu: spraw Mary i Ryszarda.

Próbował odgadnąć, kim są ci ludzie udający się do Poznania lub może dalej - do Szczecina.

Energiczna, przystojna blondynka z teczką - sekretarka biura jakiegoś ministra? A może sędzia? Albo adwokat? Ta druga, ciemna, w okularach, wygląda na chemika, lekarza czy też konserwatora lub eksperta sztuki. Chudy, nerwowy facet o długiej, bladej twarzy, z zaczerwienionymi oczyma, okutany szalikiem w kratę, w kusym paletku - to inspektor księgowości. Starszy jegomość z brodą jest chyba profesorem. Odprowadza go ładna dziewczyna - pewnie córka („Uważaj na siebie, tatko. Do widzenia!”). Marynarz, który cierpliwie oczekuje swojej kolei, podnosi dłoń do daszka czapki: - Do widzenia pani. - Potem, wchodząc już po stopniach, ogląda się za nią jakby z żalem. Pewnie wymienili zaledwie kilka słów. Spotkali się pierwszy raz w życiu w poczekalni dworca lotniczego, on wyświadczył jej jakąś drobną przysługę - podniósł upuszczoną paczkę, dowiedział się, że start nastąpi za kilka minut, albo coś w tym rodzaju - i oto traci ją z oczu, bo zdarzyło się to w ostatnim dniu urlopu, w ostatniej chwili przed odlotem.

Ona też się ogląda i także za późno, bo marynarz już jest w gondoli, a na schodki wstępuje mężczyzna w średnim

Wiek, ubrany w krótki kozuszek. Ten z wyglądu przypomina robotnika - może jest wybitnym przodownikiem pracy, dyrektorem fabryki, posłem lub kierownikiem jakiejś budowy? Może traserem albo spawaczem ze stoczni?

Za nim młody student; potem paniusia w bogatym futrze, z mnóstwem pakunków i z pieskiem. Wreszcie dwaj pasażerowie, których można by równie dobrze uważać za urzędników, jak za dziennikarzy, techników czy handlowców.

Mechanik z grupy startowej podszedł do „maszyny, by zatrzasnąć drzwi i odsunąć schodki. Godzicki odrzucił niedopałek papierosa.

- No, lecę. *Cheerio!*

- Będiesz miał kiepską pogodę - powiedział Maresz.

Tamten lekceważąco wzruszył ramionami.

- Fa-fu! Taka tam mgiełka... Można było startować o czasie, tylko tu się o wszystko trzęsą. Serwus!

- Serwus!

Piotr odwrócił się i ruszył w stronę dworca. Zanim wszedł do środka, rozrusznik przy prawym silniku sapnął, szarpnął śmigłem, obrócił je dwa razy. Rozległ się spieszny warkot, niebieski dym strzelił z rury wydechowej i spłynął wzdłuż kadłuba, który zaczął drgać nerwowo, jakby z niecierpliwości.

Piotr Maresz przeszedł przez poczekalnię i dostawszy się po schodach na piętro energicznie zapukał do drzwi z napisem: Emil Hornowski Szef pilotów.

- Wejść! - odezwał się głos z wewnątrz.

Piotr wszedł. Obszerny jasny pokój, z oknem wychodzącym na lotnisko, był prawie pusty. Wielkie dębowe biurko z zakurzonym blatem, dwa aparaty telefoniczne, mały stolik z karafką wody i szklanką, półka na książki i dwa czy

trzy krzesła - to było wszystko.

Hornowski stał przy oknie, tyłem do pokoju, z rękami w kieszeniach. Marynarka marszczyła mu się na plecach w liczne poprzeczne fałdy, wymięta, jakby w niej sypiał. Poprzez rzadkie włosy na tyle głowy prześwitywała łysina.

Gdy Maresz zamknął drzwi za sobą, szef pilotów zwrócił się ku niemu.

- Aha, to ty. Siadaj. Pogoda, co?

- No, marcowa - bąknął Piotr przysuwając sobie krzesło. - Na wybrzeżu jest słonecznie.

Hornowski przeszedł się po pokoju, zawrócił, stanął przed Mareszem.

- Przydzieliłem ci drugiego pilota - powiedział nagle. - Nazywa się Flisak. Jan Flisak, syn Jakuba. Urodzony w roku 1928. ZMP. Skończył pilotaż podstawowy w aeroklubie, przeszkolony u nas w LOCIE. Janczar go szkolił. Znasz go?

- Janczara? Pewnie że znam.

- Janczara! Nie Janczara, tylko tego szczeniaka.

- Szczeniaka nie znam osobiście, ale wiem, który to. Taki kościsty dryblas z jasną czupryną?

- Właśnie.

- Dosyć mi się podobał; wygląda na dobrego chłopca. Hornowski się skrzywił.

- Phi, tak sobie. Mnie on się zanadto nie podoba. Jakiś taki z gruba ciosany, mrukliwy, skryty - prawdziwy chłop. No, ale w tym aeroklubie podobno był wybitny, a u nas... Janczar mówi, że jest dobry. Ja sam właściwie nie miałem czasu wiele z nim latać. Raz czy dwa. A pilotów jest mało, bo naczelny się uparł, żeby tylko młodych, z aeroklubów...

Piotr skinął głową.

- To Lamot zostaje kapitanem? - spytał.

- Aha. Jak długo on z tobą latał? Rok?

- Więcej: prawie półtora. Należy mu się awans, to przecież stary pilot.

- Za to ten Flisak to szczęście. Dwadzieścia dwa lata i już jest drugim pilotem.

Hornowski wyprostował się, obciągnął marynarkę na brzuchu i natychmiast wepchnął ręce z powrotem do kieszeni spodni. Podszedł do biurka, przysiadł na skraju blatu, pochylił się nad Piotrem.

- Zet-Em-Pe, rozumiesz! Teraz jest taka moda. Musisz tego Flisaka trochę przyhamować, żeby mu się w głowie nie przewróciło. Modrakowski pozwolił Janczarowi zabrać go na przelot do Sztokholmu, uważasz. Musiałem się zgodzić...

Piotr spojrział na niego podnosząc głowę.

- A ją?

Hornowski udał, że nie rozumie.

- Co ty?

- No, byłby czas, żebyście i mnie pozwolili trochę tam polatać. Sztokholm ładne miasteczko. Bruksela, Kopenhaga też niczego. Paryż... Ech, Milek, żyło się w tym Paryżu!

- Ba - mruknął Hornowski. - To nie jest łatwa sprawa. Modrakowski zastrzegł sobie, że na trasy zagraniczne sam będzie wyznaczał załogi. Ale zrobi się. Tylko musisz jeszcze poczekać.

- Jak długo? Bo już dwa lata czekam.

- E tam, dwa lata! No, za jakiś miesiąc; w połowie kwietnia będzie zmiana rozkładu, to ci się postaram.

Na biurku zadzwonił telefon. Hornowski podniósł słuchawkę. Zgłosił się Zdybel, zastępca kierownika ruchu z Kontroli. Był wyraźnie poirytowany; mówił głośniej niż zazwyczaj:

- Przed chwilą wystartował Godzicki na SP-KOG, tym opóźnionym do Poznania i Szczecina. Bez zezwolenia, jak

wariat. Omal się nie zderzył z maszyną, która zgodnie z instrukcją kołowała w poprzek pasa startowego. Nie widział jej naturalnie, bo tamten pilot wylądował tuż przed zmianą kierunku wiatru. Kto lądował? Janczar. Ze Sztokholmu, przez Gdańsk. Tak, lądował prawidłowo, według polecenia Kontroli, i dostał wolną drogę, a Godzicki miał czekać na początku pasa. Ale nawet nie zapytał o pozwolenie, dał pełny gaz i - właśnie... Tak. Janczar zahamował w ostatniej chwili, a tamten wyrwał samolot w powietrze tuż przed nim. Jeszcze sobie żarty stroi!

- No, śpieszył się - powiedział Hornowski pobłażliwie.

- Miał dwie i pół godziny opóźnienia, a wy dajecie pierwszeństwo Janczarowi...

Zdybel na chwilę zaniemówił ze zdziwienia.

- Jak to? Więc wy uważacie, że Godzicki... Hornowski mu przerwał:

- Ależ nie, nie uważam, nie uważam! Powiem mu, żeby był ostrożniejszy.

Zdyblowi to nie wystarczyło.

- Panie kapitanie - powiedział opanowując wzburzenie

- on mi nie po raz pierwszy robi takie kawały. Zobaczycie, że to się kiedyś źle skończy. Jak to, startować bez zezwolenia? No, a gdyby Janczar nie zdążył zahamować?

- Ale zdążył - odrzekł Hornowski miękko, choć już z odcieniem zniecierpliwienia. - Zresztą, samiście powiedzieli, że Go-dzicki wyszedł w powietrze przed nim. No i ostatecznie nic takiego się nie stało. Godzicki to dobry pilot. Na pewno widział tamtą maszynę i dobrze obliczył wybieg. Ale mu powiem. Tak, tak, wyczytam mu wszystko, co mu się należy, bądźcie spokojni.

Piotr patrzył na niego z uśmiechem. Lubił Hornowskiego za to, że nie robił z byle czego dramatów i że

nie był ważny, choć jeszcze przed wojną latał jako pilot komunikacyjny.

Piotr Maresz i Ryszard Godzicki byli wówczas uczniami na kursie pilotażu dla podchorążych rezerwy lotnictwa w Dęblinie. W czasie wojny odbyli wspólnie „tułaczkę z komfortem” poprzez Rumunię i Francję do Wielkiej Brytanii, razem ukończyli przeszkolenie bojowe i latali w jednym dywizjonie.

Hornowski przeżył ten okres w Warszawie, pomagał żonie w prowadzeniu warsztatu tkackiego. Zaraz po wojnie wrócił do LOT-u i wkrótce został szefem pilotów. Był to okres, który lubił wspominać: okres improwizacji, zmagania z trudnościami, z brakiem personelu i sprzętu.

W owym okresie Linie Lotnicze LOT przeżywały swą romantyczną, górną i chmurną młodość. Maszyny transportowe otrzymane od Związku Radzieckiego służyły do lotów kurierskich i były jedynymi stałymi środkami łączności stolicy z kilku miastami wojewódzkimi, do których nie dochodziły jeszcze pociągi; szczupły personel - zarówno piloci, jak mechanicy, radiotelegrafiści, technicy i urzędnicy administracyjni - przy pomocy wojska zabrali się do usunięcia i uporządkowania gruzów zalegających lotniska, wyrównali drogi startowe, zasypali wyrwy i leje po bombach, wzniesli prowizoryczne budynki - podszyte wiatrem baraki - zmontowali jako tako łączność radiową i telefoniczną.

- Robiliśmy to własnymi rękami - mawiał Hornowski wyciągając dłonie z przepastnych kieszeni i podsuwając je pod nos słuchacza. - Tymi, o! W taki upał, że człowiek zdychał z gorąca, i w mróz, żeś, bracie, kostniał na kłodę. I nagle - wzywają cię do maszyny: leć. No i latało się! W samym czterdziestym piątym ^{na} tych dziesięciu maszynach przewieźliśmy bez mała dwadzieścia siedem tysięcy

pasażerów. Mówię wam, trzeba było mieć końskie zdrowie, żeby to przetrzymać, i taki łeb, żeby wykombinować maksymalną ilość połączeń. A teraz... teraz, widzicie, już wszystko idzie samo. Byle nie przeszkadzać.

To ostatnie zdanie do pewnego stopnia charakteryzowało obecną postawę szefa pilotów: starał się nie przeszkadzać biegowi spraw, które według jego mniemania odbywały się niejako automatycznie; zostały uporządkowane, osiągnęły dostateczną precyzję i nie wymagały już większego wysiłku. Uważał, że teraz może trochę odpocząć. Zajmowane stanowisko zadowalało jego ambicje, które nie sięgały dalej. Pochodził ze sfery drobnomieszczańskiej. Ojciec jego był przedsiębiorcą budowlanym; dorobił się na budowie podmiejskich osiedli. Emil ożenił się wcześnie, mając lat dwadzieścia parę, z panną Ludwiką Kulawik, córką drobnego przemysłowca z Bielska. Żona i teraz prowadziła założony w latach wojny mały, ale zyskowny warsztat tkacki w Warszawie. Hornow-scy mieli dwoje dzieci: dorastającą córkę, Wandę, która już zaczęła wyższe studia w akademii medycznej, i siedmioletniego syna, Zbyszka.

Emil pysznił się córką - jej urodą, zdolnościami, powodzeniem. Otaczał ją zbytkiem, spełniał wszystkie zachcianki dziewczyny i sam podsuwał nowe. Urządził jej oddzielny pokój - „studio”, jak go nazywał - przeładowany dywanami i antykami; sprowadzał dla niej lub kupował po sklepach komisowych zagraniczne obuwie i materiały; nie szczędził na fryzjerów, krawców, na wyjazdy i rozrywki. Sam ubierał się niedbale i niewiele wydawał na swoje potrzeby, ale Wanda musiała mieć wszystko, o czym tylko zechciała zamarzyć.

Zewnętrznie przypominała matkę sprzed lat dwudziestu kilku, lecz w przeciwieństwie do Ludwiki była

małomówna i jakby trochę senna. Kręciło się koło niej paru młodych ludzi, którym pozwalała się odprowadzać do domu i z którymi od czasu do czasu bywała na dansingach.

Hornowski wyróżniał wśród nich niejakiego Karola Surowca, również studenta medycyny. Był to przystojny młodzieniec o wykwintnych manierach i jak można było przypuszczać - ugruntowanych podstawach finansowych.

Gdy Emil rozmyślał o przyszłości córki - a takie rozmyślenia zastępowały mu wszelkie inne marzenia - osoba Karola Surowca odgrywała w nich niepoślednią rolę; to byłby odpowiedni mąż dla Wandy.

- Tylko czy ona go zechce? - zadawał sobie niepokojące pytanie.

Ta sprawa, leżąca zresztą na dalszym planie, i kłopoty związane z tkackim warsztatem żony zaprzętały go teraz bardziej niż kierowanie wydziałem załogowym LOT-u. Nie przeszkadzało mu to uważać, że na stanowisku szefa pilotów jest człowiekiem niezastąpionym.

Dyrekcja ufała mu. Był jednym z pierwszych, którzy się zgłosili do pracy zaraz po wojnie. Miał niewątpliwie duże doświadczenie. W początkowym okresie improwizacji wykazał rzeczywiście wiele energii i zmysłu organizacyjnego. Położył znaczne zasługi. Czuł się niejako wrośnięty w ten mechanizm, wmontowany solidnie i pewnie w samą jego podstawę, doskonale dopasowany, zasiedziały na swoim miejscu.

Wprawdzie nowy dyrektor naczelny, Teodor Modrakowski, niepokoił go od czasu do czasu innowacjami i zarządzeniami i - co gorsza - wtrącał się osobiście do spraw personelu latającego, jego doboru i wyszkolenia, ale Hornowski przetrzymał już niejednego dyrektora, był więc pewien, że i tego przetrzyma.

Miał lat czterdzieści trzy, a od dziewiętnastu był pilotem. Dwanaście lat temu latał już w przedwojennym LOT. Zaiste trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej odpowiedniego na jego miejsce.

Ostatnimi czasy zaczął tyć i stał się trochę ociężały. Mimo to jego płaska twarz ze śladami po niegdyś przebytej ospie i z dwiema widocznymi bruzdami, które zaczynały się niemal u nasady krótkiego nosa i przecinały policzki schodząc aż ku dolnej szczęce po obu stronach podbródka, nie zaokrągliła się i nie nabrała rumieńców. Małe, zwykle przekrwione, niebieskie oczy o żółtawych białkach nadawały mu czasem pozory chytrości czy też może przemyślności, przywodząc na myśl słonia, do czego przyczyniały się jeszcze jego wielkie, jakby obwisłe uszy.

Z tym wszystkim powierzchowność Hornowskiego wcale nie była odrażająca. Umiał być sympatyczny w jakiś sobie właściwy sposób. Rozmawiając z ludźmi, którzy mu podlegali, traktował ich koleżeńsku, z nieco rubaszną przychylnością. Zwykle obiecywał więcej, niż mógł dotrzymać, ale zawsze jakoś potrafił się usprawiedliwić z owych niezupełnie dotrzymanyh przyrzeczeń. Jeśli kogoś spotykało wyróżnienie, awans czy nagroda, lubił przypisywać sobie zasługę; sam zresztą wierzył, że stało się to za jego sprawą. Uchybienia i drobne niedopatrzenia traktował najczęściej pobłażliwie, chyba że groziła mu za nie osobista odpowiedzialność; wówczas manewrował tak, aby się od niej uchylić, składając całą winę na sprawcę, któremu dotąd pobrażał.

Na ogół był lubiany, zwłaszcza przez starszych pilotów, do których zaliczali się przede wszystkim Godzicki, Maresz i Lamot. Z Godzickim łączyły go ponadto pewne interesy związane z warsztatem tkackim żony.

O tych sprawach Piotr Maresz wiedział niewiele, a zresztą nic go to nie obchodziło, jakkolwiek dawniej łączyła go z Ryszardem Godzickim zażyłość, którą powszechnie uważano za przyjaźń.

Gdy Hornowski odłożył słuchawkę telefonu, Piotr wstał, aby się pożegnać. Szef pilotów zatrzymał jego rękę w uścisku.

- Jedziesz do miasta? - spytał.

- Tak - odrzekł Maresz. - Autobusem, z pasażerami ze Sztokholmu.

- Macie jutro okresowe badanie w „Cebuli” [CBLL - Centrum Badań Lotniczo-Lekarskich] - powiedział Hornowski. - Ty i cała twoja załoga, już z tym Flisakiem.

- Uhm - mruknął Maresz. - No to co?

- Powiedz o tym Flisakowi, bo on jeszcze nie wie.

Piotr skinął głową.

- Dobrze. A ty pamiętaj o mojej sprawie.

Rozstali się. Piotr wyszedł na betonową płytę peronu w chwili, gdy Janczar kolejno wyłączał silniki swojej DC-3. Spojrzał na zegarek: była za dziesięć trzecia. Janczar przybył punktualnie jak zawsze.

Piotr zobaczył go po chwili wysiadającego za pasażerami. Za nim szedł Flisak i reszta załogi wraz ze stewardessą Zosią. Byli podnieceni, spierali się o coś, tylko Janczar milczał i z gniewną, zaciętą twarzą szedł szybkim krokiem w stronę wejścia do budynku portowego.

Spostrzegłszy Piotra zatrzymał się nagle.

- Widzieliście! - wykrzyknął gwałtownie, wskazując ruchem głowy lotnisko poza sobą,

Maresz domyślił się, o co mu chodzi.

- Ten start? - mruknął. - Widziałem.

- Cóż to za wariat! - denerwował się Janczar. - Omal

się w nas nie wpakował!

- Hornowski już o tym wie - odrzekł Maresz. - Zdybel narobił takiego gwałtu, jakby rzeczywiście wydarzyła się katastrofa.

Janczar spojrział mu w oczy.

- Dużo nie brakowało - powiedział opanowując wzburzenie. - Któż to taki?

- Godzicki. Startował z dwu - i półgodzinnym opóźnieniem. Spieszył się, a Zdybel wam dał pierwszeństwo.

- I słusznie. Chyba nie powiecie, że nie? Piotr wzruszył ramionami:

- A co mnie to obchodzi! Idźcie z tym do Hornowskiego, a jeszcze lepiej do Godzickiego, jak wróci.

Janczar przez chwilę nie spuszczał z niego wzroku, jakby Piotr wzbudził w nim nagłe zaniepokojenie.

- No pewnie - powiedział wreszcie, już zupełnie spokojnym tonem. - Pójdę. Ale, widzicie, mnie się zdaje, że to powłnno każdego z nas obchodzić.

Piotr odrzekł, że od tego jest szef pilotów, nie on, i ruszył na spotkanie Flisaka. Janczar popatrzył za nim, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz w końcu machnął ręką i odszedł.

Flisak rozmawiał z kierownikiem grupy startowej, Kazimierzem Pacholczykiem. Gdy Piotr się zbliżył i podał Pacholczykowi rękę, Flisak zamilkł i cofnął się nieco.

Maresz powiedział:

- Ja do was, kolego Flisak.

Zamienili uścisk dłoni.

- Słucham.

Piotr ujął go pod rękę.

Hornowski przydzielił was do mojej załogi jako drugiego pilota. Będziemy latać razem.

- Tak? A to bardzo dobrze... To się cieszę - powiedział Flisak. Tam u was mam dobrego kolegę, Cygana. To pewnie Lamot kapitanem został?

Aha. Jutro mamy badania lekarskie. O ósmej. Żebyście tam byli punktualnie w CBL. A pojutrze lecimy już razem do Gdańska.

No >to się cieszę. To się bardzo cieszę - powtarzał Flisak.

Piotr zatrzymał się, spojrzał mu prosto w oczy.

- Myślę, że się prędko zgramy - powiedział. - Elmera znacie? On jest naszym radiotelegrafistą.

- Znam. Ja się będę starał, żeby... z całą załogą... no i z wami przede wszystkim...

Nie bardzo wiedział, jak wyrazić to, co czuł; jak okazać, że ma najlepsze chęci, aby się dostosować do tego zespołu, który go miał przyjąć. Jego chuda twarz o nieco zapadniętych policzkach i mocnych szczękach wyrażała lekkie zakłopotanie, lecz rozjaśniał ją uśmiech nie pozbawiony młodzieńczego wdzięku, a głębokie, ciemnoniebieskie oczy patrzyły śmiało i pewnie.

Zupełnie miły chłopak - pomyślał Piotr. - No więc do jutra - powiedział. - Do widzenia.

Flisak chwycił jego rękę i potrząsnął nią mocno, Piotr zaś odwzajemnił uścisk nie bez pewnej obawy o całość swoich palców: diabelnie silny był ten jego drugi pilot!

Rozdział II

Piotr Maresz usiadł obok kierowcy i przyjaźnie skinął mu głową na przywitanie. Pasażerowie zajmowali miejsca, wnoszono ich bagaże. Autobus ruszył krętą drogą w stronę miasta. Mgła znów zgęstniała między drzewami. Błoto chlapało spod kół na brudne, szerniałe kupy śniegu wzdłuż jezdni. Z gałęzi, z krzewów i drutów telefonicznych kapały

krople wilgoci.

Piotr myślał o Godzickim.

Ryszard był o rok lub dwa młodszy od niego. Pochodził ze zubożałej rodziny ziemiańskiej; jego rodzice gospodarowali na jakiejś niewielkiej dzierzawie pod Lublinem, z trudem wiążąc koniec z końcem, lecz on lubił odgrywać rolę zamożnego ziemianina. Był rośli, przystojny, zawadiacki, doskonale tańczył, dobrze strzelał i jeździł konno, trochę za wiele pił i lekkomyślnie grywał w karty, co niejednokrotnie przysparzało mu poważnych kłopotów. Zawsze się z nich jakoś potrafił wywikłać korzystając z pomocy kolegów i przyjaciół lub w ostateczności zwracając się do zamożniejszych krewnych.

Latał dobrze i nade wszystko szczęśliwie, co sprzyjało jego wrodzonemu zamiłowaniu do hazardu. Znalazłszy się podczas wojny w Wielkiej Brytanii, po krótkim przeszkoleniu został przydzielony wraz z Piotrem do nocnego dywizjonu lekkich bombowców.

Wyprawy bojowe traktował (lub może udawał, że traktuje) jak sportową rozrywkę. Ostentacyjnie lekceważył ich przygotowanie i opracowanie przed lotem. Ze znudzoną miną słuchał na odprawach wiadomości o zgrupowaniach nieprzyjacielskich środków obrony przeciwlotniczej na trasie i w pobliżu celu, nie przejmował się hitlerowskimi myśliwcami, puszczał mimo uszu komunikaty meteorologiczne. Gdy inni piloci wraz ze swoimi strzelcami studiowali mapy i fotografie celów, ustalali kursy i wysokości, trasy powrotne i punkty orientacyjne, on, pobłażliwie uśmiechnięty, przechadzał się między rzędami stołów nawigacyjnych paląc fajkę.

Maresza z początku ogarniał niepokój zarówno o los Ryszarda, iak o honor dywizjonu.

Zgrywasz się tu przed nami - mawiał do Godzickiego - a potem nawalisz i będzie wstyd. Nie znasz przecież ani trasy, ani celu.

Godzicki wzruszał ramionami.

Co tam trasa! Fa-fu, bracie! Doleci się!

Fa-fu! - ten lekceważący wykrzyknik przyłgnał w końcu do niego, stał się przydomkiem, a potem przezwiskiem.

„Fa-fu” latał, strzelał, bombardował i wracał szczęśliwie. Wprawdzie zdarzało się - zwłaszcza podczas dalszych i trudniejszych wypraw - że jego bomby spadały na inne obiekty, niż to przewidywało zadanie, lecz i z tego potrafił się zwykle jakoś wytłumaczyć. Zresztą nadrabiał owe omyłki przy jakiejś szczęśliwej sposobności, która towarzyszyła mu często, tajemnicza, zakwefio-na jak wschodnia oblubienica, z obliczem zasłoniętym dla innych, ukazując mu je niespodzianie i nagle ku zazdrości i podziwowi kolegów.

Te jego niecodzienne wyczyny zjednały mu rozgłos i dwa krzyże wojenne: polski i angielski. Lecz przezorna brytyjska Bomber Command [dowództwo lotnictwa bombowego] nie powierzyła mu nawet dowództwa eskadry; według jej zdania Godzicki był zanadto nieobliczalny, aby objąć jakieś bardziej odpowiedzialne stanowisko.

Natomiast Maresz awansował raz po raz i odbywszy drugą kolejkę lotów bojowych, na krótko przed końcem wojny został dowódcą skrzydła.

Godzicki zapewne w głębi duszy uważał to za krzywdzącą niesprawiedliwość, lecz starał się nie okazywać swych uczuć. Utrzymywał, że nie dba o awanse i wyróżnienia, bo nie zamierza robić kariery w wojsku. Niemniej jednak wzajemny ich stosunek, który nigdy zresztą

nie zasługiwał na miano prawdziwej przyjaźni, ochłódł już wtedy znacznie.

W pewnej mierze - być może w większej niż kolejne nomi-’ nacje Piotra Maresza - przyczyniła się do tego Mary Carol.

Poznali ją znacznie wcześniej, zanim jeszcze Piotr zaczął dowodzić dywizjonem.

Piotr rozporządzał wówczas straszliwie zdezelowanym sześćoosobowym „morrisem”, któremu brakowało jednego błotnika, przedniej szyby i wszystkich klamek u drzwi. Poza tym ten wehikuł - zbudowany na przełomie KIX i XX wieku, jak utrzymywał Godzicki - można było uruchomić jedynie za pomocą wytrwałego *push'a* [push (ang). - pchać], tj. pchając go uporczywie, najlepiej z góry po pochyłej drodze, na przestrzeni dobrych dwustu lub trzystu metrów, i to biegiem. „Morris” był pomalowany na kolor jadowicie zielony, nie miał oczywiście żadnych świateł, z siedzeń sterczały mu sprężyny, buda była dziurawa, opony zaś zdarte jak stare kalosze. Sygnał zaczynał mu się ustawicznie, ale za to silnik i skrzynka biegów czyniły tyle hałasu, że było go słyszeć o milę.

Tym pojazdem, tylko na pół mechanicznym, Piotr Maresz i Ryszard Godzicki wracali pewnego wieczoru, już po ciemku, z Lincoln do Newark, na lotnisko. Odległość wynosiła około piętnastu mil [1 mila = ok. 1600m] i można ją było przebyć w pół godziny, pod warunkiem unikania w drodze postojów z wyłączeniem silnika.

Na lotnisku miała się odbyć *party* urozmaicona występami aktorów estradowych objazdowego teatru żołnierskiego, urządzana przez kwaterujący na tej samej stacji dywizjon angielski. Ze względów kurtuazyjnych należało się tam zjawić punktualnie, aby nie urazić

brytyjskich kolegów i ich dowództwa. Lecz jak na złość tym razem Piotr musiał zatrzymać wóz po zjechaniu z głównej szosy na boczną, bardzo wąską drogę, całkowicie zatarasowaną przez półciężarowy samochód.

Ruda „driverka” [drive (ang.) - kierować samochodem] w angielskim mundurze lotniczym odpowiedziała z flegmą na pytanie Piotra, że stoi tu, ponieważ przednie dętki jej wozu pękły obie na raz, a ona ma tylko jedną „rezerwę”, Trzeba by zatelefonować na lotnisko, żeby jej przysłali pomoc i jakiś inny samochód. Zwłaszcza że wiezie cały zespół artystyczny, który za pół godziny ma wystąpić w czasie - *party* w kasynie oficerskim.

Piotr uznał słuszność tego rozwiązania i zapytał z kolei, dlaczego dziewczę nie wprowadziło dotąd w czyn swego olśniewającego pomysłu z telefonem, na co otrzymał odpowiedź, że w polu widzenia żadnego telefonu nie ma, najbliższy zaś znajduje się o dwie mile stąd. - Byłoby bardzo uprzejmie ze strony polskich lotnika dodała - gdyby zechcieli po drodze to załatwić. Telefon jest na North Hill, w urzędzie pocztowym.

Aż dotąd silnik „morrisa” pracował grzejąc się niemilosiernie, lecz gdy po tych pertraktacjach przyszło do wycofania obu wozów tyłem na główną szosę - inaczej nie można się było wyminąć - zgasł nagle bez żadnej widocznej przyczyny.

Wezwano wobec tego do pomocy zespół artystyczny, trzeba było wypchnąć wehikuł Piotra, a następnie puścić go w ruch.

Artystów było czworo: trzy młode kobiety i jeden starszy już, drobny i chuderlawy mężczyzna. Towarzyszyła im ogromna, koścista wiedźma, która wyglądała jak naczelny wódz Armii Zbawienia [zorganizowana na sposób wojskowy

angielska sekta protestancka, założona w roku 1829], lecz była delegatką N.A.A.F.I. [instytucja prowadząca kantyny i sklepy dla wojskowych, organizująca rozrywki itp.]

Wspólnymi siłami, wśród żartów i śmiechów, wytaszczyli samochód Piotra, po czym ruda driverka cofnęła swój wóz na sflaczałych oponach i zaczął się powszechny *push* opornego „morrisa” na przestrzeni kilkuset metrów asfaltu, uwieńczony wreszcie po wielu zgrzytach i prychaniach gwałtownym zgiełkiem zapuszczonego silnika, co przypominało odgłosy wydawane jednocześnie przez sieczkarnię i duże stado rozgniewanych gęsi”, z towarzyszeniem bezładnej strzelaniny z ręcznej broni.

Piotr umieścił cały zdyszany zespół w poruszającym tę piekielną maszynę samochodzie i zanim jeszcze włączył pierwszy bieg, w momencie gdy zapalał papierosa, aby uspokoić nerwy po dręczącej niepewności, czy silnik w ogóle zechce zaskoczyć - doznał nagłego olśnienia. Olśniło go nie tyle nikłe światło zapalki, ile dziewczyna, której twarz w tym świetle zobaczył. Siedziała obok niego i uśmiechała się patrząc mu w oczy.

- Ja bym też chciała papierosa - powiedziała półgłosem. Podał jej otwartą paczkę, a gdy zapalała, poczuł dotknięcie jej ręki i muśnięcie włosów na skroni. Zdażył dostrzec, że jest szczupłą szatynką o piwnych oczach, które mrużyła jak kotka. W ładnym wykroju świeżych, z umiarem podbarwionych ust błyskały równe, białe zęby. Delikatny owal jej twarzy, prosty, wąski nos o czystym rysunku i nade wszystko zalotny uśmiech zrobiły na nim silne wrażenie.

Zapytał, czy ona nie boi się jechać tą jego „Złotą Strzałą”, która - przypominałaby torpedę z odbezpieczonym zapalnikiem, gdyby rozwijała szybkość nieco większą niż trzydzieści mil na godzinę.

- Ale może to i lepiej, że nie rozwija, bo hamulce też są popsute - dodał.

Powiedziała, że boi się okropnie, choć z natury jest odważna. Dla podtrzymania tej odwagi przysunęła się bliżej i ujęła go pod rękę. Zanim dojechali, wiedział już, że nazywa się Mary Carol, że jest początkującą śpiewaczką i zarazem tancerką, że będąc jeszcze dzieckiem straciła matkę i że jej ojciec, duchowny anglikański, mieszka niedaleko stąd, w Nottingham.

Gdy jej powiedział, że w kasynie odbędzie się *party* z tańcami, na które przyjadą goście z okolicy, i że sam nie ma wśród nich znajomych, zapytała, czy zechce z nią tańczyć.

Oświadczył z całą gotowością, że tylko i wyłącznie, po czym dowiedział się, że jest „straszenie miłym chłopcem”.

Party udała się nadzwyczajnie, a Mary odniosła prawdziwy sukces swymi walijskimi piosenkami, które odśpiewała miłym choć nie wyszkolonym głosem. Lecz Piotr wraz z całym personelem swojej eskadry musiał opuścić rozbawione towarzystwo zaraz po północy. W Bomber Command zapadła niespodziana decyzja, że wyprawy odwołane dnia poprzedniego mają natychmiast wyruszyć korzystając z poprawy warunków atmosferycznych nad kontynentem.

Ryszard, któremu Mary również od razu wpadła w oko, niepodzielnie objął nad nią patronat, usilnie starając się wyzyskać i tę okazję, jak każdą, jaka mu się nadarzała. Przerwano tańce, ponieważ goście chcieli zobaczyć nocny start, i wszyscy poszli na skraj „lotniska, gdzie już łomotały i huczały zapuszczone silniki „moskitów”.

Godzicki zaprowadził Mary do samolotu Piotra. Doszli tam potykając się w ciemnościach, w chwili gdy załoga wchodziła do maszyny. Piotr usłyszał, że go wołają, i

odwrócił się stojąc na ostatnim szczeblu drabinki, a Mary wspięła się za nim, aby go pocałować na drogę.

Trochę go to zmieszało ze względu na obecność strzelca i kilku mechaników, a siadając za sterem czuł, że serce bije mu mocniej niż zwykle.

Gdy nad ranem powrócił z Hawru, wszyscy już spali. Był zmęczony lotem i jeśli w owej chwili o czymś marzył, to chyba tylko o tym, aby jak najprędzej znaleźć się w łóżku i porządnie się wyspać. Lecz Ryszard obudził go już o dziewiątej i kategorycznie kazał mu wstawać.

- Jedziemy na *lunch*¹ do pastora - oświadczył krótko.

- Do jakiego pastora? - mruknął Piotr.

- Do *reverend* [wielebny] Martina Carola.

Piotr jeszcze był zanadto senny, żeby mu to wyjaśnienie wystarczyło.

- A kto to taki? - spytał ziewając.

- O rany! Kto? Taki wdowiec, co ma ładną córeczkę Mary. A oprócz tego śpiewa psalmy, łowi pstrągi i hoduje kury. Czy pstrągi będą, nie wiem, ale że tam kilka kurcząt już padło pod nożem niejakiej cioci Plank, to pewne.

Piotr ożywił się.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytał szukając pantofli.

- Uchwaliliśmy tak z Mary. Ona ma wolny dzień, dopiero wieczorem robią u nas występ dla szeregowych. Papa mieszka w Nottingham, więc zatelefonowaliśmy do niego, że przyjedziemy. Zbieraj się raz dwa, a ja zobaczę, jak tam z benzyną w twojej „Złotej Strzale”, i zorganizuję *push*.

Pojechali więc do Nottingham, a później bywali tam częstymi gośćmi, ponieważ Mary musiała opuścić szeregi teatru żołnierskiego, aby zająć się gospodarstwem ojca.

Ciotka Plank, siostra pastora i wdowa po właścicielu

garbarni z Whitby, która dotąd przebywała w Nottingham u brata, zaczęła niedomagać i za radą lekarzy postanowiła wyjechać do Szkocji. Mary była przygnębiona takim obrotem spraw rodzinnych. Nie żywiła najmniejszego zamiłowania do gospodarstwa i do kur, których trzeba było doglądać, jakkolwiek miała do pomocy czternastoletniego chłopaka Jima i jego siostrę Grace, dwoje sierot przygarniętych przez wielebnego Martina Carola, skąpo żywionych i jeszcze skąpiej odziewanych w zamian za pracę na farmie.

Ciotka Plank miała żółtą cerę i niski, prawie męski głos. Jej duża, jakby napuchnięta twarz mogła za młodu uchodzić za ładną. Tak przynajmniej należało przypuszczać sądząc z napomknień pastora, który i nadal uważał swą siostrę za nieprzeciętną piękność. Jim i Grace bali się jej jak ognia. Kiedy ująwszy się pod boki strofowała ich za jakieś drobne uchybienia, dziewczynka oblewała się gorącym rumieńcem, a chłopak przymykał oczy i niemal przysiadł zginając wiotczejące kolana. Głos ciotki Plank drgał niskimi, namiętymi tonami, dudnił w obszernej zimnej sieni jak w kościelnej kruście, a czarny pies, który zwykle wylegiwał się na kokosowej wycieracze przed progiem, podnosił się raptownie i z podkulonym ogonem zmykał do budy.

Wielebny Martin Carol, ociężaly, zamyślony purytanin [sekta protestancka zał. w 1572 r. w Anglii; w przenośni: rygoryści, ludzie dbający o czystość obyczajów], którego stateczna tusza wypełniała ze szczególną godnością czarny surdut na jedwabnej podszewce z takimiż wyłogami, miał gęstą czuprynę barwy popiołu i krzaczaste czarne brwi zbiegające się nad orlim nosem. Jego wspaniały, potężny profil przypominał wizerunek Cezara na starych rzymskich monetach, wizerunek skażony fałdą podwójnego podbródka, który zwisał mu jak worek tuż pod stawami szerokiej dolnej

szczęki. Mówił głosem przyciszonym, spuszczać oczy, co nadawało mu wyraz pobożnego skupienia. W rozmowie z polskimi lotnikami objawiał swoje zainteresowanie ustawicznym pomrukiwaniem: „Otóż to! Otóż to właśnie!” lub: „Bardzo zajmujące, nieprawdaz?” - zwracany do siostry. Od czasu do czasu podciągał w górę brwi, nie podnosząc jednak wzroku na mówiącego, i wysuwał mięsiste wargi, jakby zamierzał gwizdnąć. Nie gwizdał oczywiście, bo to nie licowałoby z jego godnością prezbiteriańskiego duszpasterza; mamrotał swoje „Otóż to!” lub „No, no!”, po czym skłaniał głowę na pierś, a całe jego ciało zdawało się osiadać i ciężać bardziej jeszcze w szerokim, twardym krześle z rzeźbionymi poręczami.

Z dwóch „polskich przyjaciół” swej córki pastor raczej wyróżniał Piotra, który zapewne wydawał mu się poważniejszy i bardziej zrównoważony. Również ciotka Plank okazywała mu swe szczególne względy częstując go przed innymi herbatą i biszkoptami, które z lekka zalatywały naftaliną.

Natomiast Mary traktowała ich obu jednakowo, przynajmniej wtedy, gdy byli razem, we troje. Mimo to każdy z nich w skrytości ducha sobie przyznawał pierwszeństwo. Działo się tak dlatego, że każdy korzystał ze sposobności, aby z nią pomówić sam na sam i w wyniku tych rozmów uważał się za wyłączny obiekt jej tkliwych uczuć.

Toteż gdy Mary po dłuższym okresie wahań nagle zdecydowała się poślubić Ryszarda, było to dla Piotra ciosem zarówno bolesnym, jak niespodziewanym. W dodatku tak się złożyło, że był nieomal świadkiem czulej sceny między nimi. Przez długi czas później prześladowała go myśl, że gdyby uparty silnik zielonego „morrisa” zaskoczył o piętnaście minut wcześniej, Mary nie nazywałaby się Godzicka, lecz

Mareszowa.

Owa decydująca chwila nastąpiła wkrótce po objęciu przez niego dowództwa dywizjonu. Ten awans przysporzył mu tyle pracy, że widywał Mary zaledwie raz lub dwa razy na miesiąc.

Wiedział, że Ryszard wymyka się do Nottingham o wiele częściej, i to mu nie dawało spokoju. Domyślał się - lub raczej wyobrażał sobie, że się domyśla - o czym Godzicki rozmawia z tą dziewczyną, którą rozpłomieniała młodzieńcza tęsknota do niepowszedniego życia, do wielkiej kariery scenicznej, do tryumfów i oklasków, podróży, podbojów i sławy. Ryszard uchodził w jej oczach za „landlorda” [właściciel ziemski], za dziedzica wielkiej fortuny, dla którego jeden lub dwa folwarki mniej czy więcej nie stanowiły różnicy. Jeśli nie mówił tego wprost, to przynajmniej dawał to niedwuznacznie do zrozumienia. Przy tym wierzył - lub udawał, że wierzy - w jej talent, do którego skali Piotr odnosił się dość krytycznie.

„Fa-fu” był efektowny, urodziwy, rozrzutny. Jego brawura, przygody, z których wychodził cało i o których opowiadał z humorem, wszystko to pasowało go na bohatera, na jakiegoś Robin Hooda z Hollywood.

Tym wspinałym atutom Piotr mógł przeciwstawić zaledwie swoją poprawną angielszczyznę („Fa-fu” mówił po angielsku płynnie, ale źle), kolejny awans i spokojny sposób bycia, przyjmowany z aprobatą przez Anglików, których nieco raziły lekkomyślność i wybuchowy temperament Ryszarda. Poza tym Piotr był synem aktora, a Mary wiedziała od Godzickiego, że Jerzy Maresz należał do aktorów wysokiej klasy i tylko z powodu przedwczesnej śmierci nie osiągnął rozgłosu europejskiego, utrwalając się jednak w historii teatru polskiego.

W mniemaniu Mary aureola tej ojcowskiej sławy opromieniała także Piotra. Zgodnie z właściwościami trzeźwego brytyjskiego rozsądku, który nakazuje nie poddawać się zbyt porywom serca, nie za wiele myśleć i dbać głównie o to, co można w danych warunkach zużytkować praktycznie - ta okoliczność w jej oczach nabierała poważnego znaczenia.

Piotr nie uświadamiał sobie jasno tych powiązań powstałych w umyśle Mary. Uważał za rzecz zupełnie naturalną, że początkująca śpiewaczka interesuje się teatrem, dokoła którego często obracały się ich rozmowy. Zapisywał na dobro jej inteligencji, że wypytywała go o sprawy teatralne w Polsce. Lubił z nią o tym mówić, a wspomnienia o ukochanym ojcu, których Mary słuchała - jak mu się zdawało - ze zrozumieniem i sympatią, sprzyjały budzącej się w jego sercu tkliwości dla tej dziewczyny; tkliwości, która w końcu zmieniła się w zapamiętałą miłość.

Wtedy właśnie Piotr postanowił upewnić się co do wzajemności Mary, a następnie rozmówić się z Ryszardem. Korzystając z mglistej jesiennej pogody, która od paru dni trzymała jego dywizjon na lotnisku, wziął *day off* [ang. - dzień wolny], wyciągnął swój samochód i... tu zaczęły się jego niepowodzenia: koledzy, mechanicy, nawet przygodni przechodnie w ciągu pół godziny pchali go tam i z powrotem po szosie biegnącej wzdłuż lotniska, a silnik rzeził, kichał i kaszlał wśród zgrzytu przierzucanych trybów, nie mogąc zdobyć się na żaden twórczy wysiłek. Dopiero ruda driwerka - ta sama, która niegdyś utknęła w drodze wioząc zespół teatralny na *party* do kasyna - przyczyniła się do uruchomienia opornego wehikułu doczepiwszy go na łańcuchu do swego wozu.

Piotr zazwyczaj nie przejmował się takimi

trudnościami. Sam pokpiwał ze swojej „Złotej Strzały” i z siebie, rozbrajając tym uszczypliwych świadków zmagania ze złośliwością martwych przedmiotów. Lecz tym razem był zbyt przejęty czekającym go rozstrzygnięciem, niepewny, rozdrażniony postępowaniem Ryszarda, zniecierpliwiony wreszcie tą półgodziną hałaśliwą i ośmieszającą go we własnych oczach bieganiną po szosie.

Gdy silnik wreszcie zaskoczył, czuł się tak zniechęcony, że zawróciłby do garażu, gdyby nie otaczający go zziębniętymi wysiłkami ludzie, którym przynajmniej częściowo zawdzięczał ten wątpliwy sukces. Kilku spośród nich wybierało się do Nottingham, więc czuł się w obowiązku odwiedzić ich tam, wbrew chwilowej niechęci do czyjegokolwiek towarzystwa.

Zatrzymał wóz na rynku u wylotu pochyłej uliczki, która miała mu zapewnić niejako samoczynny napęd w drodze powrotnej, i ruszył pieszo ku małej podmiejskiej posiadłości pastora.

Zimna, lepka, żółtawa mgła, zmieszana z dymem kominów fabrycznych, i siąpiący drobny deszczyk przesłaniały do połowy ponury, szerniały kościół z szarego kamienia i wilgotny dom stojący opodal wśród gęstych krzaków bzu. Czarny pies wysunął łeb z budy, szczeknął tylko raz, jakby dla zaznaczenia swej roli stróża, i poznawszy Piotra cofnął się na swoje legowisko.

Drzwi wejściowe do ciemnej sieni były uchylone. Piotr wszedł, nie zapalając światła ściągnął płaszcz i powiesił go na kołku, który namacał ręką. W głębi na prawo przez oszklone drzwi, prowadzące do obszernego pokoju z kilku fotelami i nieodzowną kanapą w wypelzłych, kretonowych pokrowcach, padała na kamienną posadzkę sieni różowa, pełgająca smuga słabego blasku od rozżarzonych węgli

dopalających się zapewne w kominku. Podszedł tam i zajrzał do wnętrza.

Zanim jeszcze zdołał rozróżnić w czerwonym półmroku dwie postacie wtulone w kąt kanapy, usłyszał najpierw krótki śmiech, a potem głos Ryszarda:

- Doprawdy, mówię poważnie. Cóż chcesz, nawet mnie' się to czasem zdarza.

Piotr mimo woli zatrzymał się zaciskając dłoń na klamce. Zobaczył zaróżowiony profil Mary, gdy zwracała głowę ku Godzic-kiemu. Jej oczy spoglądały na Ryszarda słodko i pytająco.

- Więc dobrze - powiedziała. - Przecież wiesz: ja ciebie kocham.

Piotr zacisnął zęby. Buchnęło na niego gorąco, jakby za szybą, która dzieliła go od tamtego wnętrza, rozwarł się piec hutniczy. Jednocześnie poczuł lodowate zimno dokoła serca. Nagle puścił klamkę, która szczęknęła głośno, rzucił się w tył, po omacku trafił w ciemności na swój płaszcz, zerwał go z wieszaka i wypadł na dwór trzasnąwszy drzwiami.

Dotarł do rynku, odnalazł swój samochód i zepchnął go na sam skraj pochyłej ulicy. Dręczył go niepokój, czy silnik zapali na tej pochyłości. Chciał oddalić się stąd jak najprędzej, tak aby nikt go nie widział i aby nie musiał z nikim mówić.

Wsiadł, włączył zapłon, wrzucił drugi bieg i naciskając sprzęgło zwolnił hamulec. Wóz ruszył, zaczął się rozpędzać. Piotr cofnął nogę z pedału, usłyszał warkot silnika, dodał gazu, odetchnął z ulgą.

Mam szczęście - pomyślał z gorzką ironią.

Piotr był świadkiem na ślubie Ryszarda Godzickiego z Mary Carol; zapamiętałe pił i tańczył na ich weselu, które

odbyło się - miejscowym zwyczajem - w wielkiej sali restauracji Hotelu Kolejowego w Nottingham. Swego zielonego „morrisa” ofiarował nowożeńcom jako ślubny prezent. Potem wrócił do pracy w dywizjonie i wkrótce, odbywszy nową serię lotów bojowych, został mianowany dowódcą skrzydła.

Rządy nad kurzą farmą wielebnego Martina Carol objęła sąsiadująca z nim stara panna, której wydzierżawiono całą posiadłość wraz z inwentarzem, wliczając w to Jima i Grace, czarnego psa oraz białe kury, natomiast *reverend* Martin wymówił sobie dwa pokoje w domu, gdzie nadal mieszkał obsługiwany przez Jima i Grace. Mary wróciła do teatru żołnierskiego, lecz przyjeżdżała na soboty i niedziele do kolejnych miejsc postoju dywizjonu, w którym służył Ryszard. Piotr widywał ją od czasu do czasu i nawet jak dawniej rozmawiał z nią o sprawach teatralnych, zdobywając się na rolę poufnego, bezinteresownego przyjaciela.

Ale Mary wiedziała o wszystkim: zarówno o jego zawiedzionym uczuciu, jak o tym, że był u niej owego wieczoru, kiedy Ryszard zaproponował jej małżeństwo. Powiedziała mu to kiedyś.

- Zdaje mi się, że byłoby mądrzej, gdybym wyszła za ciebie - dodała. - Sama nie wiedziałam, jak postąpić, a on cię wyprzedził.

Piotr nic na to nie odrzekł. Pomyślał tylko, że Mary nigdy nie kochała ani Ryszarda, ani jego, a jeśli kochała kogokolwiek, to chyba tylko siebie.

Mimo to nie potrafił wyrwać z serca tej swojej zapamiętałej miłości. Po wojnie wracał do Polski przede wszystkim - jak sam siebie przekonywał - aby nie tęsknić za Mary, która wybierała się tam razem z mężem.

Wydawało mu się, że nie ma po co i do kogo wracać.

Ojciec jego zmarł, kiedy Piotr miał lat czternaście. Matkę stracił w powstaniu warszawskim. Nie miał przyjaciół ani bliskich krewnych, a sprawy polityczne i społeczne nie pasjonowały go tak dalece, aby stać się wystarczającym powodem do porzucenia kariery wojskowej w lotnictwie brytyjskim, kariery, która według zapowiedzi dowództwa Royal Air Force [Królewskie Siły Powietrzne - lotnictwo wojskowe] stała otworem przed nim i przed innymi młodymi cudzoziemcami, jeśli zdecydowałiby się na służbę kontraktową.

To, co w Polsce zastał, ani go szczególnie rozczarowało, ani też zapaliło. Nie wierzył z początku w skuteczność wprowadzanych reform społecznych i trwałość entuzjazmu wkładanego w odbudowę kraju. Nie wrócił tu na dobre, tylko - jak z lekką ironią odpowiadał na pytania znajomych - „na średnie”; nie na stałe, lecz tylko na jakiś czas, bliżej nie określony. Pracował „tymczasem”, prowizorycznie, jakby w oczekiwaniu jakiejś zasadniczej zmiany, której sobie nie uświadamiał i której nie próbował sobie nawet wyobrazić, tak dalece, że nie umiałby odpowiedzieć, czy owa „zmiana” miałaby dotyczyć tylko jego samego czy też losów całego narodu i państwa.

Miał trochę pieniędzy, za które kupił samochód w niezłym stanie (wprawdzie już trochę podniszczony, ale przecież znacznie lepszy niż słynny zielony „morris”), zarejestrował go jako taksówkę i w ten sposób wcale znośnie zarabiał na życie. Przyglądał się zdarzeniom i ludziom, z wyrozumiałą obojętnością patrzył na ich wysiłki, lecz nie brał w nich udziału.

Tymczasem Mary zawiedziona w swych rachubach na fortunę Ryszarda, która miała jej utorować drogę do sławy scenicznej, zaczęła występować na estradach podrzędnych

teatrzyków lub angażowała się do rewiowych zespołów objazdowych, co zresztą zdawało się jej wystarczać, ponieważ miała powodzenie u znacznej części ówczesnej publiczności.

Pierwsze kontakty z przedsiębiorcami i reżyserami tych widowisk ułatwił jej Piotr. Jemu też zawdzięczała właściwy dobór repertuaru.

Godzicki robił jakieś interesy, coś kupował i sprzedawał, wchodził w spółki, które bankrutowały raz po raz, aż wreszcie za pośrednictwem jednego z najstarszych pilotów linii lotniczych, przedwojennego „milionera” powietrznego, który w czasie wojny latał w Wielkiej Brytanii jako pilot transportowy, trafił do LOT-u.

Ów „milioner” nazywał się Henryk Dobrowolski i był dobrym znajomym Piotra Maresza. Ryszard poznał go przy jakiejś okazji w Londynie, w towarzystwie Piotra, a potem płynęli do Gdyni tym samym transportem repatriacyjnym.

Dobrowolski zaczął pracować w odradzającym się polskim lotnictwie komunikacyjnym natychmiast po powrocie do kraju. Miał już lat ponad pięćdziesiąt, ale był w pełni sił i zdrowia. Spotkawszy Ryszarda w okresie jakichś jego niepowodzeń, przypomniał go sobie natychmiast i zaczął wypytywać, co się dzieje z Piotrem. Polskie Linie Lotnicze LOT potrzebowały doświadczonych pilotów - Piotr mógłby tam dostać pracę.

Godzicki odrzekł, że powiadomi o tym Piotra, sam zaś natychmiast chwycił się tej nowej sposobności, która w ówczesnych okolicznościach była dla niego przysłowiową deską ratunku.

Wkrótce potem Piotr również został przyjęty do LOT-u i po kilkutygodniowym treningu obaj zaczęli latać jako kapitanowie młodych załóg. Stosunki między nimi nie uległy

zmianie: od czasu ślubu Godzickiego dzieliła ich nigdy nie wypowiedziana słowami głęboka uraza, którą starali się obaj ukryć przed sobą, lecz która może właśnie wskutek tego nie chciała się zbliżnić, jak nie oczyszczona rana.

Ryszard i Mary nie byli dobranym małżeństwem; oboje zawiedli się na sobie, choć w różny sposób, i oboje wkrótce stali się sobie obojętni. Piotr wiedział, że zamierzają się rozejść, i to na pewien czas obudziło w nim nadzieję, że Mary zostanie jego żoną. Lecz właśnie wtedy niespodzianie zmarła w Whitby ciotka Plank zapisując swej jedynej siostrzenicy znaczny majątek.

To zdarzenie odsunęło sprawę rozwodu między Godzickimi; natomiast Mary zwierzyła się Piotrowi, że Ryszard powziął jakiś tajemniczy plan, który - być może - pozwoli mu dostać się wraz z nią do Anglii dla objęcia owego spadku.

Na Piotra podziałało to przygnębiająco. Ale mijały tygodnie i miesiące, a Mary nie wspomniała już więcej o wyjeździe i właściwie nic się nie zmieniło poza tym, że z Whitby jakimiś pośrednimi drogami zaczęły płynąć coraz znaczniejsze sumy.

Mary wynajęła i urządziła mieszkanie w podwarszawskim osiedlu willowym, wydawała mnóstwo pieniędzy na stroje, kupowała biżuterię, bawiła się, brała lekcje śpiewu u jakiegoś Włocha, który zresztą okazał się szarlatanem, przepłacała pokątnych im-presariów, którzy mieli uczynić ją „gwiazdą”, i raz po raz wpadała z tego powodu w przeróżne tarapaty, z których Piotr usiłował ją ratować, ilekroć zwracała się z tym do niego.

Nie chciał z nią chodzić do nocnych lokali tanecznych, ponieważ drażniło go towarzystwo mężczyzn, którymi lubiła się otaczać, poza tym zaś nie mógł sobie pozwolić na tak

kosztowne rozrywki. Powiedział jej to kiedyś bez ogródek, gdy nalegała, żeby jej towarzyszył. Wtedy dała mu do zrozumienia, że ma dość pieniędzy, aby płacić za niego.

- Przecież ja cię zapraszam. Inni też bywają moimi gośćmi. Tak go to dotknęło, że postanowił nie widywać jej więcej. Ale Mary potrafiła go ułagodzić; był jej potrzebny, był użyte-’ czny, kochał ją od tylu lat, co pochlebiało jej próżności, wreszcie naprawdę lubiła go na swój sposób. Wyobrażała go sobie czasami w roli wiernego, zakochanego pafia, siebie zaś w roli pięknej królowej, co jej się bardzo podobało. Gdy była zmęczona, gdy miała jakieś kłopoty, gdy spotkał ją zawód, nie dopisała publiczność lub gdy ogarniał ją przesyt - przez wielbicieli nazywany „splee-nem” [znudzenie, zniechęcenie] - szukała u Piotra rady, pomocy, ukojenia, mianując go w myśli jedynym niezawodnym, wyrozumiałym i bezinteresownym przyjacielem, na którego zawsze mogła liczyć. Jego inteligencja i odczytanie, celny, nieco ironiczny dowcip, którym się posługiwał swobodnie i bez złośliwości, zawsze jej imponowały, szczególnie w zestawieniu z umysłowością innych jej adoratorów. Nieraz przychodziło jej do głowy, że gdyby Piotr tylko zechciał, gdyby mu na tym zależało, usunąłby w cień wszystkich tych mężczyzn, których tak unikał i wśród których milczał uporczywie, jakby specjalnie po to, aby wydać się zgorzkniałym odludkiem. Gniewało ją to:

- Traktujesz moich znajomych jak zgraję skończonych idiotów.

On zaś uśmiechał się pojednawczo.

- Skądże znowu! To wcale sprytni ludzie. Tylko ja do nich nie pasuję.

Wtedy, hamując nowy przypływ rozdrażnienia, zapytała:

- Dlaczego?

- Ponieważ pozostały mi jeszcze pewne złudzenia - odrzekł. - Oni ich nie mają. Wątpię, czy mieli je kiedykolwiek. Wydaje mi się, że w pogoni za dobrami materialnymi zdołali pozbyć się nawet wyobraźni, podobnie jak twój mąż. On przynajmniej niegdyś poznał „smak czczej chwały”, która trwała równie krótko jak „błysk iskier krzesanych stalą z zimnego kamienia”; oni i tego nie znają.

Mary niewiele z tego zrozumiała, ale uważała za wskazane zrobić nadąsaną minkę. Piotr zauważył to natychmiast. Nie zamierzał się z nią sprzeczać.

- Nie chciałem cię urazić - powiedział ujmując jej szczupłą rękę. - Brak złudzeń jest przecież w twojej ojczyźnie rzeczą godną szacunku, korzystną i bezpieczną. To tylko mnie życie bez złudzeń wydaje się nudne.

Istotnie łudził się nadal. Głównie zresztą co do tego, że Mary byłaby zdolna pokochać go naprawdę i że mógłby z nią być szczęśliwy.

Tego popołudnia, spotkawszy na Okęciu Godzickiego, zapytał o nią, ponieważ rzeczywiście nie widział jej od dłuższego czasu. Odpowiedź Ryszarda, zaprawiona cierpką drwiną, uspokoiła jego obawy: najwidoczniej wyjazd Godzickich, legalny czy nielegalny, został bądź zaniechany, bądź też odłożony wobec jakichś trudności. Dodało mu to otuchy; groźba rozstania z Mary rozwiewała się jak mgła, z której teraz wynurzały się domy na Marszałkowskiej i wieże kościoła Zbawiciela.

Niebieski autobus minął kilka przecznic i skręcił w Hożą, aby zatrzymać się przed gmachem Linii Lotniczych LOT. Piotr wysiadł i różnym krokiem ruszył w stronę swego mieszkania.

Rozdział III

Godzicki rzeczywiście bardzo się śpieszył. Musiał być w Szczecinie przed godziną osiemnastą, a po drodze miał się jeszcze zobaczyć na lotnisku w Poznaniu z żoną Hornowskiego, która tam czekała, aby mu wręczyć pewną przesyłkę.

Jak na złość start w Warszawie zamknięto z powodu przejściowego pogorszenia się widoczności i gdy Ryszard wreszcie ruszył sprzed budynku portowego, miał już prawie dwie i pół godziny opóźnienia.

Zniecierpliwiony tą stratą czasu, podkołował na dużych obrotach do pasa startowego, zahamował gwałtownie i poniechawszy powtórnej próby silników natarczywie domagał się przez radio zezwolenia na start.

Tomasz Zdybel, zastępca kierownika ruchu, stary praktyk ze stacji goniometrycznych, ze zwykłą flegmą podawał mu kierunek startu, ciśnienie atmosferyczne na powierzchni lotniska, szybkość i kierunek wiatru, który właśnie się zmienił, i dokładny czas.

Jego spokojny głos o jednostajnym natężeniu wyraźnie brzmiał w słuchawkach:

- SP-KOG, możecie zająć miejsce na pasie starto-wym i czekać. Przed wami wylądował samolot ze Sztokholmu...

Godzicki już tego nie słuchał: ciśnienie, siła wiatru, czas - to było fa-fu. Dał pełny gaz. Dwa ogony dymu, ciemnego od zbyt bogatej, niecałkowicie spalonej mieszanki, wypadły z rur wydechowych i rozpląszczyły się na ziemi. Wielkie koła podwozia zaczęły się toczyć po betonowej bieżni, z każdą sekundą przyśpieszając obroty. Gdy samolot uzyskał szybkość dostateczną, by reagować na ruchy sterów, pilot odepchnął wolant, wyrównał maszynę do poziomu. Teraz pęd rósł szybko; pneumatyki kół ledwie muskały wilgotny, szary pas betonu; strzałka szybkościomierza drgała,

podskakując coraz wyżej na podziałce okrągłej tarczy.

Wtem Godzicki poczuł szarpnięcie za rękaw kombinezonu. Jego drugi pilot, Płonka, krzyczał coś, czego Ryszard nie mógł zrozumieć mając na uszach słuchawki, lecz co natychmiast pojał spojrzawszy na prawo w skos: z boku, przecinając im drogę, toczyła się inna maszyna, rozpaczliwie hamowana, z zadartym w górę ogonem.

Szybko, bez chwili namysłu ściągnął ster ku sobie i wyrwał samolot w powietrze tuż przed tamtym, mijając go o metr czy może nawet mniej.

Spojrzał zezem na Płonkę, który jeszcze przez chwilę siedział blady, z twarzą wykrzywioną kurczowym grymasem.

Zaśmiał się z niejakim przymusem:

- Cykoria? Fa-fu, bracie! Im napędziliśmy strachu!

Płonka się opanował. Maszyna po gwałtownym wysiłku, dokonanym kosztem niepełnej szybkości, opadła nieco, grzęznąc w powietrzu, i zwolna odzyskiwała konieczny wypór. Gdy znów zaczęła się wznosić, Godzicki w odpowiedzi na pytające spojrzenie Płonki skinął głową, a mechanik pokładowy przestawił dźwignię mechanizmu podwozia z pozycji „dół” do położenia „góra”, po czym podniósł klapy skrzydeł. Równocześnie Płonka zmienił skok śmigieł i wyłączył dodatkowe ładowanie.

Byli już nad torem kolei elektrycznej do Pruszkowa, gdy przez radio odezwał się ktoś z Kontroli:

- SP-KOG, możecie przejść na „Pawła”.

Nie był to głos zastępcy kierownika Kontroli. Godzicki zdjął słuchawki i zaśmiał się krótko:

- Zdybel się wścieka, żeśmy mu drapnęli bez zezwolenia - powiedział. - Pewnie wisi przy telefonie i skarży się Hornowskie-mu. Połączcie się tam z „Pawłem” - dodał zwracając się przez wewnętrzny telefon do radiotelegrafisty. -

Mijamy Pruszków. Wysokość trzysta metrów.

Od tej chwili między samolotem SP-KOG a ziemią zaczęła działać łączność „kluczowa” za pomocą znaków Morsego. Ze strony ziemi podjęła ją stacja radiowa SLP, zwana powszechnie „Pawłem”. Radiotelegrafista nadał pierwszy meldunek:

SPL. SPL. SP-KOG. Wystartowaliśmy z Okęcia 14.50. Lecimy na wysokości trzystu metrów. Widoczność około trzech kilometrów. Mglisto.

Potem, w miarę jak oddalali się od Warszawy, kolejne meldunki zawierały podobne dane, z tą różnicą, że widoczność pogarszała się ustawicznie, a gdy w połowie drogi pożegnali prowadzącego ich „Pawła” i zgłosili się do stacji poznańskiej, zmalała do tysiąca metrów.

Poznań uprzedzał, że stan pogody nad tamtejszym lotniskiem nie jest lepszy z powodu niskiego pułapu chmur i że na trasie do Szczecina pułap sięga zaledwie kilkudziesięciu metrów, lecz o jakieś osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód, w okolicach Krzyża, chmur już nie ma. Stamtąd aż do wybrzeża warunki atmosferyczne są dobre.

- No to żyjemy - mruknął Godzicki, gdy radiotelegrafista powtórzył im tę wiadomość.

SP-KOG wylądował w Poznaniu o szesnastej dziesiątej. Normalny dwudziestominutowy postój skrócono mu do połowy, lecz odlot trochę się opóźnił z powodu uporu miejscowego kierownika portu, który nie chciał się zgodzić na załadowanie dodatkowego bagażu pierwszego pilota. Godzicki zabierał z Poznania jakiś duży pakunek, utrzymując, że są w nim jego osobiste rzeczy, które musi przewieźć do Szczecina, gdzie się osiedlił na stałe. Kierownik portu upierał się, że załoga może bezpłatnie przewozić tylko

to, co jest niezbędne w danym przelocie, jakąś podręczną walizeczkę, nie zaś cały bagaż, który wygląda na przeprowadzkę, zwłaszcza w połączeniu z dwiema ciężkimi walizami, które Godzicki wziął z sobą z Warszawy.

Po dłuższym sporze Ryszard musiał ustąpić o tyle, że zobowiązał się zapłacić według taryfy ulgowej za przewóz owego dodatkowego bagażu na odcinku Poznań - Szczecin, jeśli ta sprawa zostałaby rozstrzygnięta na jego niekorzyść przez dyrekcję. Był zniecierpliwiony tą nową zwłoką, zły na kierownika portu - tego biurokrate, który tak pedantycznie trzymał się obowiązujących przepisów - i po prostu wściekły na Hornowską, która ustawicznie wtrącała swoje trzy grosze. Kierownik portu, który jej nie znał, doszedł w końcu do przekonania, że ma do czynienia z żoną Ryszarda. Gdy się z tym mniemaniem zdradził mówiąc do niego: „wasza małżonka”, Ryszard aż zaniemówił na chwilę.

- Małżonka? - powtórzył wreszcie. - Czyście oszaleli? To?! To jest pani Hornowską - dokończył z wysiłkiem i natychmiast pojął, że popełnił błąd.

Kierownik spoglądał to na nią, to na niego z nikłym uśmiechem wyrażającym kolejno zdziwienie, zakłopotanie i kielkujące podejrzenie. Z pewnością ostatecznie wyciągnął wniosek, że cała ta sprawa musi wyglądać inaczej, niż mu ją usiłowano przedstawić. Ale było już późno; samolot powinien jak najprędzej odlecieć, jeśli miał przybyć do Szczecina przed zmrokiem, a kwestia opłat została w zasadzie uzgodniona. Raz jeszcze spojrzął krytycznie na czarnooką kobietę o cienkiej szyi, żółtawej cerze i pretensjonalnych manierach. Przyznał w duchu, że istotnie wygląda raczej na starą pannę niż na żonę tego przystojnego pilota. Musiała być znacznie starsza od niego, może nawet starsza od Hornowskiego. Była ubrana w granatowe

narciarskie spodnie z niedbale wywi-niętymi” skarpetkami koloru niebieskiej farbki do bielizny, długi barani kozuch, żółty szalik i włóczkową zieloną czapkę, spod której wymykały się nieporządnie zaczesane włosy. W jednej ręce trzymała nie domykającą się parasolkę, w drugiej nylonową siatkę pełną paczek.

Istna papuga - pomyślał. - No więc lećcie już - powiedział zwracając się do Godzickiego.

Ryszard mruknął: - Do widzenia pani - i odszedł do maszyny. Silniki były już uruchomione, Płonka wychylał głowę przez boczne okienko kabiny i powiewał komunikatem meteorologicznym na znak, że wszystko gotowe. Przedmiot minionego sporu - wielki tłumok owinięty papierem i powiązany sznurkiem - wtoczono do bagażnika.

Godzicki przeszedł wąskim korytarzem między fotelami pasażerów, przecisnął się na swoje miejsce, usiadł za sterem i nałożył słuchawki włączwszy ich przewody do kontaktu.

Poprosił o pozwolenie kołowania na start i o instrukcję; ruszył. Z Kontroli zawiadomiono go, że po starcie ma nabrać tysiąc metrów wysokości nad lotniskiem, po czym może odejść na kurs do Szczecina, wznosząc się nadal aż do przebicia warstwy chmur, która sięga tysiąca paruset metrów. - Dobrze - mruknął.

Dociągnął do pasa startowego i otrzymawszy tym razem natychmiast zezwolenie na start, dał pełny gaz.

Gdy znalazł się w powietrzu, zegar czasowy, umieszczony pośrodku tablicy przyrządów, wskazywał dokładnie godzinę szesnastą trzydzieści. Do Szczecina było dwieście kilometrów - pięćdziesiąt minut lotu, nie licząc okrążenia przed lądowaniem. Lecz jeśli miałby się stosować do otrzymanych instrukcji, musiał stracić kilka minut na

uzyskanie wskazanej wysokości nad lotniskiem poznańskim, a potem jeszcze kilka na zmniejszonej szybkości przy dalszym wznoszeniu się w drodze. W sumie co najmniej kwadrans. Kwadrans albo nawet dwadzieścia minut ślepego lotu według przyrządów, zanim samolot wydostanie się ponad chmury.

Pomyślał, że lecąc poniżej pułapu za dwadzieścia minut znajdzie się w okolicach Krzyża, gdzie nie ma już wcale chmur. Wprawdzie mgła gęstniała w dole, a widoczność jeszcze się zmniejszyła, ale można było dostrzec tor kolejowy i szosę do Szamotuł.

- Nie będziemy się pchali przez te chmury - powiedział do Płonki. - Pójdziemy dołem; tam dalej jest czysto.

Drugi pilot nie zaprotestował, lecz widocznie miał pewne wątpliwości.

- A jak nas przyciśnie? - spytał niepewnie.

- To zawsze jeszcze zdążymy - odrzekł „Fa-fu”.
Brudnoszara mgła leżała na ośnieżonych polach i wyrastała przed samolotem sięgając chmur. Wszelkie kształty, niewielkie wzgórza i wklęsłości terenu zacierają się w niej zupełnie. Ziemia nie różniła się od nieba; niesposób było odgadnąć, gdzie przebiega linia horyzontu; bez pomocy przyrządów trudno było stwierdzić, czy maszyna leci poziomo, wznosi się, zwisa na skrzydło, czy też schodzi w dół. Czasem tylko jakieś zarośla, drzewa, nieliczne samotnie stojące zabudowania wyłaniały się z tej jednostajnej, bezkształtnej szarzyzny, czerniały przez krótką chwilę w głębi przestrzeni i znowu się rozplływały. Lecz po prawej stronie to bliżej, to dalej wił się tor kolejowy, na lewo zaś ciemniała prosta smuga szosy. Nie trzeba było nawet spoglądać na busolę, aby wiedzieć, że maszyna leży na

właściwym kursie.

Przed Rokietnicą pułap obniżył się do trzydziestu metrów. Samolot przemknął nad jeziorem, wyminął niewielką grupę sosen rosnących na wysokim brzegu, wypadł nad wąską, krętą wstążkę strumyka, co sączył się pośrodku między torem a szosą, ku drugiemu jezioru.

Pasażerowie z zaciekawieniem spoglądali przez szyby na nieliczne fragmenty krajobrazu, śmigające tuż blisko pod skrzydłami, krzaki olszyny wzdłuż strumienia, nasyp toru kolejowego na prawo, dwa rzędy widmowych topól u skrajów szosy, klin lasu splezający ze wzgórza.

Teraz czuło się szybkość! Jakaś ukośna polna droga, którą wlokły się chłopskie wozy, przybiegła pędem z lewej strony, dała nura pod samolot, wyskoczyła na prawo w górę pod biało-czer-wone bariery przejazdu i znikła w ciągu sekundy. Nagle zaczerniała wśród ośnieżonych łąk wolna od lodów, parująca toń jeziora. Brzegi rozeszły się szeroko, jakby chciały uciec od siebie, zatoczyły się gładkim łukiem z powrotem, zwały się, a strumień z czarną gęstwą olszyny urwał się raptownie, jakby go ktoś zdmuchnął z białej równiny. Młody marynarz upajał się tym pędem. Przestał nawet myśleć o ładnej córce profesora, która pozostała w Warszawie. Jej ojciec pomrukiwał: Wspaniałe! Wspaniałe! Co za szybkość - i raz po raz przecierał okulary. Inspektor księgowości otulał się szczelniej w swój wytarty płaszcz, jakby w obawie przed potężnym cwałem wichru, który smagał burty ciepłej, wygodnej kabiny, a potem, uświadamiając sobie niedorzeczność tego odruchu, lekko zmieszany, lecz zadowolony, rozglądał się po towarzyszach podróży i wracał spojrzeniem do okna. Człowiek w krótkim kożuszk uśmiechał się do energicznej blondynki, która dzieliła się z nim wrażeniami. Student - widocznie zmęczony

i niewyspany - drzemał. Pani z pieskiem chrupała słodczyce rozplaszczając nos o szybę.

Jednostajny, zgłuszony szum silników lekko wibrował w uszach, miękki, spokojny, jak szept zapewniający o bezpieczeństwie i wygodzie lotu.

W przeciwieństwie do tego pogodnego nastroju, w kabinie załogi panowało nerwowe napięcie wyrażające się zupełnym milczeniem. Od chwili gdy SP-KOG minął stację Rokietnica, nikt nie przemówił słowa. Wszyscy rozumieli, że przewidywania Płonki sprawdzają się: pułap był coraz niższy, „przyciskało” ich coraz bardziej, lecz Godzicki zapewne nadal uważał, że nie opłaca się wchodzić w chmury.

Gnał prosto w tę mgłę, często poniżej wierzchołków topól ginących w skłębionych obłokach, które czepiały się wszelkich wyniosłości, ociążałe wlokąc za sobą rozdarte strzępy pary. Jego wzrok nie mógł sięgać dalej niż wyteżone spojrzenia pozostałych członków załogi - na dwieście metrów, na sto, chwilami nawet mniej. Nieraz pomiędzy ukazaniem się samotnej wiejskiej zagrody czy też grupki drzew a jej zniknięciem pod skrzydłami samolotu upływała zaledwie sekunda. Mogło się zdarzyć, że niespodziane zagęszczenie mgły ukryje przed pilotem jakąś wyższą przeszkodę, że maszyna, za późno szarpnięta w górę, nie zdoła jej przeskoczyć...

Oczekiwanie na taki moment, który zdawał się na nich czyhać utajony w zapadającym zmierzchu, niweczyło ich zwykły spokój, ciążyło jak brzemień dźwigane z nieustannym wysiłkiem, stawało się nieznośne. Płonka niejednokrotnie siłą woli powstrzymywał się, aby nie ująć wolantu i nie ściągnąć go ku sobie. W końcu zaczęła gniewać go zuchwała brawura Godzickiego, zupełnie pozbawiona sensu. Temu człowiekowi powierzono przecież życie i bezpieczeństwo kilkunastu

pasażerów i załogi, nie mówiąc już o samolocie i ładunku. Nie miał prawa narażać ich w ten sposób!

Powiem mu to wprost - postanowił. Lecz zaraz przeszło mu przez głowę:

Pomyśli, że się boję...

Nie, nie bał się. Przynajmniej nie bał się tak, aby drzeć o swoje życie. Ale uląkł się posądzenia o tchórzostwo: milczał.

W jakiejś chwili obejrzał się na pasażerów i ujrzał ich spokojne twarze i uśmiechy, postacie spoczywające swobodnie w fotelach z poczuciem zupełnego bezpieczeństwa i zaufania.

Doznał wrażenia, że bierze udział w jakimś brudnym oszustwie - gniew wzbierał w nim na nowo. Nie mógł na to pozwolić! Zwrócił się energicznie do Godzickiego i nagle został oślepiiony potężnym błyskiem światła, które buchnęło zewsząd, napełniając kabinę straszliwą jasnością. Jednocześnie poczuł, że jakaś gwałtowna siła rzuca go naprzód, -Wprost na przednią szybę gondoli.

Usłyszał krzyk.

Wszystko to trwało krócej niż mgnienie oka, ale w tym niewymiernym ułamku sekundy zrozumiał, co się stało: zaczepili o przewody wysokiego napięcia i oto walili się w dół ku ziemi, która z piekielnym łoskotem runęła wprost na jego twarz.

Rozdział. IV

Piotr punktualnie o ósmej zgłosił się w kancelarii Centrum Badań Lotniczo-Lekarskich i pierwszy tego dnia rozpoczął zwykłą, raz na trzy miesiące odbywaną pielgrzymkę po gabinetach specjalistów. Ortopeda obejrzał go tylko powierzchownie.

- Żadnych wypadków od ostatniego badania? Żadnych

dolegliwości? Na pewno? No, to idźcie dalej.

Podpis na karcie kontrolnej i - załatwione. Potem serce, płuca i rentgen: „Bez zmian”.

Z kolei badanie krwi. W jasnym pokoju o białych ścianach i podłodze wyłożonej linoleum, przy stole ustawionym pod oknem pracowała jak zwykle energiczna laborantka, panna Klara, o krótko przystrzyżonych gładkich włosach i ciemnych oczach za grubymi szklami okularów. Skinęła mu głową i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

- Siadajcie, zaraz was zoperujemy.

Piotr podał jej kartę kontrolną i usiadł. Przez otwarte drzwi sąsiedniego pokoju dolatywały odgłosy wody ciekącej z kranu i szorowania rąk szczotką.

- No i co, dostałaś się ostatecznie? - spytała panna Klara.

- Na „Alkada z Zalamei”? Ale gdzie tani! - odezwał się miły głos o jasnym brzmieniu. - Bilety wykupione na tydzień naprzód...

Jednocześnie ustało ciurkanie wody i w drzwiach ukazała się młodzianka jasnowłosa dziewczyna, średniego wzrostu, zgrabna, pełna wdzięku pomimo zbyt obszernego białego kitla, który sięgał jej poniżej kolan. Miała świeżą cerę, skore do uśmiechu, ładne różowe usta, szerokie białe czoło, oczy ciemnoniebieskie o długich rzęsach i lśniące włosy upięte z tyłu kształnej główki w niewielki węzeł. Wycierała ręce zaczerwienione trochę od mycia i nie dostrzegając Piotra, który się nie poruszył, mówiła dalej:

- W rezultacie poszliśmy do kina. Zdaje się, - że na Calderona trzeba będzie poczekać jeszcze ze dwa tygodnie. Marzę o tym, żeby zobaczyć tę sztukę, ale cóż...

Westchnęła, lekko unosząc brwi w górę i opuszczając powieki, co nadawało jej pogodnej twarzy wyraz trochę

dziecinne rozczarowania.

Piotr uśmiechnął się. Mógł z łatwością przyczynić się do spełnienia tych marzeń; znał dobrze sekretarza teatru i niemal wszystkich wybitniejszych aktorów. Miał zapewniony wstęp nawet na premiery.

Dziewczyna wróciła do umywalni, aby powiesić ręcznik i poprawić włosy przed lustrem, a laborantka w grubych okularach wymieniła z Piotrem porozumiewawcze spojrzenie. Wiedziała o jego stosunkach teatralnych; pamiętała Jerzego Maresza na scenie. Była starzejącą się panną o dobrym sercu i miała romantyczną skłonność do kojarzenia młodych par, które dobierała według swych sympatii. Pomyślała, że ci dwoje w sam raz pasowałiby do siebie.

- Hanka! - powiedziała głośno. - Ktoś tu na ciebie czeka, zdaje się, że nawet w sprawie „Alkada”.

- W sprawie „Alkada”? - zdumiała się jasnowłosa. - Co też ty... Urwała w połowie zdania, zobaczywszy wreszcie Piotra.

- Pan do badania? - spytała trochę zmieszana i zaróżowiona.

- Tak - odrzekł Piotr. - Ale jeżeli mnie pani nie uśmierci na miejscu, to postaram się także o bilety na Calderona.

- Ojej, naprawdę?

- Naprawdę.

Zdawała się wahać, co jego z kolei zdziwiło.

- Niech pan da rękę - powiedziała.

Wyciągnął do niej prawą dłoń, przypuszczając, że to ma być przypieczętowaniem sprawy owych biletów.

- Nie, lewą - powiedziała zwilżając spirytusem strzępek waty. - Trochę pana ukłuję, ale nie będzie bolało.

- Aha - mruknął. - A do teatru pani ze mną pójdzie?

- Zaraz zobaczymy: jeżeli pana nie uśmiercę...

Błyszcząca niklowa igła zwolniona ze sprężyny uderzyła go lekko w palec. Kropla krwi ukazała się w miejscu przebicia naskórka. Hanka wciągnęła ją do cienkiej szklanej rurki i przeniosła do probówki z jakimś płynem. Potem wręczyła mu watę.

- Przyłożyć tutaj i trzymać - poleciała tonem doświadczonego chirurga.

Spojrzała na niego spod oka i zwróciła się do Klary:

- Czy on jest naczelnym dyrektorem teatrów państwowych? - spytała wskazując Piotra.

- Jestem człowiekiem, który będzie miał dziś wolny wieczór i dwa bilety do teatru - oświadczył dobitnie, tonem niezwykle uroczystym, który stanowił tak silny kontrast z jego uśmiechem podkreślającym te słowa, że nie wiedziała, czy ma się także uśmiechnąć, czy też przyjąć to oświadczenie poważnie.

Ostatecznie wybrała to pierwsze.

- Dobrze, człowieku z wolnym wieczorem, pójdę z panem na „Alkada z Zalamei”. Będę w teatrze na pięć minut przed przedstawieniem. Czy pan jest punktualny?

- Nie bardzo - przyznał. - Ale tym razem będę.

Do pokoju weszło kilku pilotów i mechaników pokładowych. Piotr zabrał swoją kartę kontrolną, powiedział: - Do widzenia - i wyszedł. Nie zdążył nawet ucisnąć ręki tej miłej osóбки, która od razu zdobyła jego sympatię; tamci obstąpili ją ze wszystkich stron.

Zobaczę się z nią wieczorem. - pomyślał.

Postanowił, że po teatrze zaprosi ją na kolację do „Pieadora” - małej restauracji uczęszczanej przez aktorów. Trochę schlebiał jego próżności, że mógł się popisać w tym

lokalu zarezerwowanym na stałe stolikiem, do którego przysiadali się chętnie znani artyści.

Bywał tam najczęściej sam, rzadziej z Mary. Nie lubił się z nią pokazywać w tym środowisku, ponieważ wydawało mu się, że ją tam traktują trochę lekceważąco. Był przeczulony na tym punkcie, bo w gruncie rzeczy nikt z jego znajomych nie dawał wyraźnych powodów do takiego mniemania. Lecz Piotr czuł, że Mary nie cieszy się wśród tych ludzi szczególną sympatią, i kładł to głównie na karb jej miernego talentu scenicznego. Może gdyby nie występowała na estradach, a przy tym ubierała się skromniej i nosiła mniej klejnotów, przyjęcie jej jako towarzyszki czy też przyjaciółki Piotra byłoby cieplejsze.

Pod tym względem nie miał żadnych obaw co do Hanki. Zresztą Hanka...

Nawet nie wiem, jak ona się nazywa - pomyślał.

Wzruszył ramionami: nie wiedział przecież, czy ta znajomość potrwa dłużej niż do północy tego dnia. Zamienił z nią zaledwie kilka zdań. Podobała mu się, to prawda, ale nie zrobiła na nim tak głębokiego wrażenia, żeby miał sobie zaprzętać nią głowę.

Oczekując przed drzwiami okulisty, wypalił papierosa i miał właśnie wejść do gabinetu przyjąć, gdy na drugim końcu korytarza zobaczył Józka Cygana, mechanika pokładowego ze swojej załogi, i radiotelegrafistę Elmera, którzy dawali mu znaki, żeby się zatrzymał.

Korytarz był teraz pełen ludzi z LOT-u i wojskowego personelu latającego, więc przepychali się między nimi z widoczną niecierpliwością. Cygan, dwudziestodwuletni chłopak, krępy i żwawy, o wesołej łobuzerskiej twarzy z krótkim nosem i szerokimi ustami, śmiały, gadatliwy i sprytny, marszczył straszliwie brwi i ruszał odstającymi

uszami, co było u niego oznaką silnego podniecenia. Elmer, wysoki, chudy jak tyka, trochę przygarbiony, odgarniał raz po raz kosmyki włosów opadające mu na czoło. Jego długa, blada twarz z zapadniętymi policzkami, zakończona wysuniętym podbródkiem, który zdawał się mieć nieprzeparty pociąg do zetknięcia się z czubkiem wielkiego nosa o wąskich nozdrzach, wyrażała głęboką melancholię, co zresztą bynajmniej nie zależało od takiego czy innego nastroju radiotelegrafisty, lecz stanowiło stałą niezmienną cechę jego fizjonomii.

Gdy obaj dotarli wreszcie do Maresza, Cygan bez żadnych wstępów zaczął mówić, jak zwykle prędko i chaotycznie, strzelając oczyma na lewo i na prawo, aby nie stracić nic z wrażenia, jakie to uczyni na przypadkowych postronnych słuchaczach:

- Godzicki się grobnał, a my lecimy do Poznania z kimś tam z dyrekcji. Jak byłem w kancelarii, dzwonili z lotniska i zaraz nam kazali jechać na Okęcie, a z Poznania mamy lecieć dalej normalnie do Szczecina, więc czasu dużo nie ma, bo już prawie dziesiąta, a resztę badań odłoży się na kiedy indziej.

Z tego potoku słów Piotr pojął tylko początek.

- Godzicki? - powtórzył. - Co się stało z Godzickim?!

- No przecież mówię: grobnał się pod Poznaniem na wysokim napięciu, bo lecieli nisko - zaczął znów Cygan z rozpędem, który Piotr przeciął w połowie, zwracając się do Elmera:

- Zabił się?

Elmer skinął głową, a Cygan umilkł nagle, jakby w oczekiwaniu, aż kapitan załogi oswoi się z tą wiadomością. Kilku pilotów otoczyło ich kołem, chcąc się dowiedzieć o szczegółach wypadku.

- Jak to było? - spytał Piotr bardzo przejęty.

Cygan przełknął ślinę i wyrozumiale zwolniwszy tempo wyjaśnień powtórzył to, co wiedział: samolot prowadzony przez Go-dzickiego zaczepił o przewody wysokiego napięcia gdzieś pod Poznaniem. To było wczoraj. Zginęli obaj piloci; mechanika, telegrafistę i pasażerów zdołano wyciągnąć z rozbitej gondoli.

Piotr opuścił głowę w milczeniu. Nagle błysnęła mu myśl: Mary jest wolna!

Uniósł dłoń, jakby chciał się odgrodzić od tej świadomości. Tam przecież zginęli ludzie, których znał i lubił.

- Mamy lecieć do Szczecina - przypomniał mu Elmer, - Dzwonili z dyrekcji.

- Aha - mruknął Piotr. - Chodźcie. Tu gdzieś powinien być Flisak. Nie widzieliście go?

Cygan odrzekł, że widział go przed chwilą w drugim korytarzu.

- On ma z nami latać zamiast Lamota? - spytał.

- Tak - potwierdził Piotr spoglądając na zegarek. - Czy komisja, którą mamy zabrać do Poznania, leci zwykłą maszyną szczecińską? Według rozkładu?

- Chyba - odrzekł Elmer. - O dwunastej dwadzieścia pięć. Doszli do końca korytarza i skręcili w lewo, gdzie było luźniej.

Piotr stanął i rozejrzał się.

- Ja go zabiorę na motorze - ofiarował się Cygan. - A Włodek niech jedzie z wami.

Otworzył najbliższe drzwi. Zajrzał do środka. Zastał tam Flisaka. Piotr dostrzegł jego szerokie plecy pochylone nad stołem, na którym wspierał się łokciami, rozmawiając z tą jasnowłosą Hanką. Śmieli się oboje, a w zbliżeniu ich głów

było coś poufalego, co niemile dotknęło Piotra. Natychmiast zresztą zapomniał o tym przelotnym wrażeniu, które za ledwie dotarło do jego świadomości.

- Flisak! - zawołał niecierpliwie.

Chłopak odwrócił się, zobaczył ich wszystkich trzech w otwartych drzwiach i podszedł ku nim szybko, wyciągając rękę na powitanie. Chciał coś powiedzieć, ale Piotr go uprzedził.

- Jedziemy na lotnisko! Już, zaraz!

Ruszył przodem, pozostawiając wyjaśnienia Cyganowi. Jeżeli miał wystartować według rozkładu, nie było czasu do stracenia.

Hornowski był w nastroju graniczącym z rozpaczą. Komisja badań wypadków lotniczych Zarządu Lotnictwa Cywilnego, do której z ramienia LOT-u został delegowany Stanisław Janczar, odleciała do Poznania specjalnym samolotem o dziewiątej rano. Przeczynał, że podczas dochodzeń wyjdą na jaw różne nieprzyjemne sprawy. Z pewnością w Poznaniu znajdą się świadkowie, którzy widzieli, że Ludwika przywiozła na lotnisko duży pakunek, który Godzicki odebrał, żeby go zawieźć do Szczecina.

Ten drobny fakt mógł odegrać rolę przysłowiowej kropli przepełniającej czarę.

Horriowskiego przesłuchano jeszcze poprzedniego dnia wieczorem, w parę godzin po katastrofie. Został zasypany gradem krzyżowych pytań, z których na razie nie mógł wynioskować, o co właściwie chodzi.

Pytano go między innymi o trening załóg w lotach bez widoczności, o rozkład zajęć, o stopień dyscypliny wśród pilotów. Wykręcał się, jak mógł, pokazał im programy, raporty, dzienniki pokładowe. Na papierze wszystko było w porządku.

Ale do komisji należał Janczarrrr Janczar, który wiedział, jak jest naprawdę; Janczar, z którym Hornowski tegoż dnia miał burzliwą rozmowę z powodu wariackiego startu tego narwańca Godzickiego; ten sam Janczar, który wytknął mu karygodną pobłażliwość w stosunku do przekroczeń przepisów startowych.

Nazajutrz od wczesnego rana, zapewne za jego sprawą, komisja zaczęła przesłuchiwać pilotów, mechaników pokładowych, radiotelegrafistów - cały personel, jaki był na miejscu. Wszyscy „sypali” szefa pilotów, poczynając od Zdybią, a kończąc na najmłodszych.

To była jakaś zmowa na jego zgubę. Wykręcał się. Potem ogarnęło go przerażenie. Przyszło mu na myśl, że dyrekcja chce zwalić na jego głowę całą odpowiedzialność za ten tragiczny wypadek.

Nie był tchórzem - nieraz zaglądał w oczy niebezpieczeństwu; lecz teraz wyobraził sobie, że grozi mu więzienie. Na samą myśl o tym oblał go zimny pot; wydało mu się, że traci grunt pod nogami i zapada w jakąś czarną otchłań bez dna.

Gdy komisja odleciała do Poznania, zawładnęło nim przecucie czegoś okrutnego i nieodwołalnego, co było gorsze niż pewność śmierci. Zamknął się w swoim biurze i stał pośrodku pustego, przestronnego pokoju zdrewniałymi, straciwszy rachubę czasu i zdolność jakiegokolwiek działania.

Uporczywy sygnał telefoniczny wyrwał go wreszcie z tego zapamiętania.

Dzwoniła sekretarka Modrakowskiego: naczelny dyrektor o dwunastej dwadzieścia pięć poleci do Poznania. Chce wiedzieć, która załoga została wyznaczona zastępczo na trasę Warszawa - Poznań - Szczecin.

To pytanie zaskoczyło Hornowskiego. Nie wyznaczył jeszcze nikogo. Zapomniał o tym wśród szamotania się z własnymi myślami. Ale nie mógł się przyznać do tego nowego niedopatrzenia.

- Zaraz zobaczę. Niech pani poczeka - powiedział prędko. Odłożył słuchawkę. Nie miał najmniejszego pojęcia, kto jest wolny i czy zdoła go znaleźć na czas. Nie chciał przy tym wysyłać pierwszej lepszej załogi, skoro miał z nią lecieć Modrakowski. Musiał porozumieć się najpierw z wydziałem załogowym.

Połączył się przez drugi telefon i wezwał kierownika biura. Nie było go. Maszynistka wydziału oświadczyła, że przed chwilą wyszedł.

Hornowski zaklął; wszystko sprzysięgå się przeciw niemu.

- Poszukajcie go i niech zaraz do mnie zadzwoni - warknął. Wtem przypomniał sobie Piotra Maresza. Jego załoga odbywała tego dnia badania lotniczo-lekarskie. Można ich było zaraz ściągnąć.

Bez wahania oświadczył sekretarce naczelnego dyrektora, że do Poznania i Szczecina leci Maresz. Warunki atmosferyczne są pomyślne. Start nastąpi według rozkładu.

Zaraz potem zgłosił się kierownik biura wydziału załogowego. Szef pilotów polecił mu natychmiast sprowadzić całą załogę Piotra z CBLL.

- Mają tu być za pół godziny - dodał surowym, nie znoszącym oporu głosem.

Poczuł się nieco pokrzepiony na duchu. Mógł liczyć na Maresza; ten spokojny, rozważny pilot nie popełni żadnego błędu, a Modrakowski przekona się osobiście, że przepisy lotnicze są wypełniane z wzorową sumiennoscią. Katastrofa pod Poznaniem zdarzyła się tylko i wyłącznie z

winy Godzickiego. On, Hornowski, nie może być za to odpowiedzialny.

Układał sobie, co powie naczelnemu dyrektorowi, gdy go spotka, jak odeprze zawczasu zarzuty zawarte w raporcie komisji, w jaki sposób przygotuje sobie grunt do skutecznej obrony.

Przyszło mu na myśl, że Modrakowski może przyjechać wcześniej i sam zechce przekonać się o biegu codziennych spraw podlegających szefowi pilotów. Gorączkowo zaczął przerzucać stosy urzędowych pism, okólników, wykazów bezładnie nagromadzonych w szufladach biurka, ale zniechęcił się wkrótce. Na uporządkowanie tego wszystkiego nie było czasu. Poszedł więc do wydziału załogowego, aby uprzedzić kierownika biura o możliwości inspekcji. Po drodze wpadło mu do głowy, że należałoby zaimprovizować jakiś wykład dla personelu latającego. Powinien zająć się także „link-trainerem”, sprawdzić, czy ćwiczenia odbywają się regularnie.

Ba! Wiedział przecież, że nie... Ale niech tam przynajmniej ktoś będzie! Niech się coś robi!

Wydawał zarządzenia, łajał opieszających, dwoił się w przypływie gorliwości.

Gdy Piotr przyjechał ze swoją załogą, Hornowski ujął go pod rękę i zaprowadził do swego gabinetu.

We właściwy sobie sposób, przyjaznym, poufnym tonem wyjaśnił Mareszowi, że oto nadarza mu się sposobność osobistego kontaktu z naczelnym dyrektorem.

- Powinniście mu pokazać wzorowy przelot z zachowaniem wszystkich formalności i przepisów, „według wszelkich prawideł sztuki”: opracowana trasa, rozumiesz, plan lotu, przyjmowanie przesyłek i poczty, rozmówki z

Kontrola, stała łączność z ziemią i tak dalej. Im bardziej będziesz czarował, tym lepiej - on to lubi. No, a przy okazji mógłbyś mu szepnąć, żeby was przesunął na loty zagraniczne. Ja go już przygotowałem. Reszta zależy od ciebie.

Piotr uśmiechnął się ironicznie.

- Masz zdumiewające wyczucie stosownych okoliczności i najważniejszej chwili do załatwiania takich spraw - powiedział.

Hornowski rzucił mu niepewne spojrzenie. Wyczuł, że Maresz przejrzał go na wskroś.

- No tak - mruknął. - Może to nie będzie w porę, ale...

- Bądź spokojny - przerwał mu Piotr. - Zrobimy, co się da, żeby go oczarować. Chociaż to nie wskrzesi ani Godzickiego, ani Płonki... - dodał po chwili jakby do siebie.

Inżynier Teodor Modrakowski, naczelny dyrektor L. L. LOT, przyjechał na lotnisko na parę minut przed startem. Hornowski zobaczył przez okno jego dużą, ciężką postać i wybiegł, aby go powitać. Z jednej strony był rad, że dyrektor nie przybył wcześniej, bo przewidywana inspekcja, do której nie był przygotowany, ominęła go tym razem; z drugiej, żałował, że niewiele zdoła mu powiedzieć w swojej obronie. Oświadczył, że maszyna jest gotowa, lecz do startu pozostało jeszcze trochę czasu. Oczekiwał na jakieś pytanie lub choćby drobną uwagę, gotów nawiązać do niej to, co był sobie ułożył poprzednio, ale Modrakowski o nic nie zapytał.

Szef pilotów nie potrafił go przeniknąć. Naczelny dyrektor był poważny, często wydawał się jakby trochę senny - może skutkiem tego, że miał podkrążone oczy i lekko opuchnięte powieki. Mogło się zdawać, że nie słucha tego, co się do niego mówi, ale Hornowski wiedział z własnego doświadczenia, że słucha uważnie i ma dobrą pamięć.

Czasem ozywiał się nagle, podejmując jakąś decyzję. Wtedy mówił jasno i dobitnie, a jeśli zdarzało mu się przemawiać publicznie, czynił to ze zdumiewającą swadą, choć bez gadatliwości. Przeważnie jednak milczał, co w zestawieniu z jego umiejętnością władania słowem nadawało temu milczeniu wielorakie znaczenie. Nawet ludzie, którzy nie znali go bliżej i nie byli obdarzeni szczególną intuicją, wyczuwali wyraźnie odcienie w owej milczącej, sennej powadze, z jaką inżynier Modrakowski zdawał się puszczać mimo uszu ich wywody, prośby, skargi czy też raporty. W jakiś nieodgadniony sposób umiał bez jednego słowa, samym tylko spojrzeniem, pochyleniem głowy, nieznacznym gestem wyrazić powątpiewanie, sprzeciw, zgodę, podkreślenie szczegółu, o który mu chodziło. Jego „tak, dobrze” lub „nie” wypowiedziane stłumionym głosem na zakończenie dłuższego referatu, którego słuchał cierpliwie, ze wzrokiem utkwionym w gładką powierzchnię biurka, zwykle rozstrzygało sprawę ostatecznie. Jeśli nie decydował natychmiast, niesposób było dociec, jakiego jest zdania. Mówił: „Przyjdźcie do mnie tego a tego dnia”, wyznaczał godzinę i wówczas można było mieć pewność, że tak czy owak w podany terminie decyzja zapadnie.

Hornowski czuł się nieswojo, stojąc przed tym człowiekiem, którego spojrzenie zaledwie go musnęło, gdy podali sobie ręce. Upłynęło kilka sekund, zanim dyrektor naczelny odezwał się do kierowcy swego wozu:

- Możecie wracać do garażu. Dziś do wieczora nie będę was już potrzebował.

W tej chwili zasapał rozrusznik i prawy silnik samolotu warknął sucho, bluzgając błękitnym dymem.

Modrakowski spojrzał w tamtą stronę i ruszył ku maszynie. Szef pilotów szedł obok niego zawiedziony i

przygnębiony. Zatrzymali się obaj u schodków przed otwartymi drzwiami gondoli.

- Kiedy wracacie, dyrektorze? - zapytał Hornowski.

- Jeszcze nie wiem. Może jutro, z tą samą załogą. Do widzenia - dodał szybko i nie oglądając się już, wszedł po drewnianych stopniach.

Piotr rozmawiał z Kontrolą celebrując tę liturgię ku zbudowaniu Flisaka i na użytek naczelnego dyrektora, który jednak zdawał się tego nie dostrzegać.

Zdybel podał kierunek startu i drogę kołowania, potem, jak zwykle, dane dotyczące ciśnienia i wiatru, a wreszcie - dokładny czas.

Flisak ustawił tarczą wysokościomierza uwzględniając poprawkę, spuścił maszynę z hamulców, ruszył. Gdy dokołował do pasa startowego, Piotr przejął stery. Silniki ryknęły przy próbie, potem ścichły. Temperatura, ciśnienie smaru, rzut oka na inne zegary i przyrządy.

- W porządku - powiedział Flisak. Piotr znów meldował się w Kontroli.

- SP-ACH do Poznania. Proszę o zezwolenie wkołowania na pas startowy.

- SP-ACH, możecie zająć miejsce na pasie startowym - odpowiedział Zdybel z „wieży”.

Po chwili zaś:

- Możecie startować i odejść od lotniska ze skrzyśem w lewo na wysokości trzystu metrów.

Piotr dał pełny gaz, potem pchnął wolant w przód, zwolna unosząc ogon maszyny aż do poziomu.

Słońce świeciło na bladym przedwiosennym niebie, po którym tu i ówdzie żeglowały zalotnie fryzowane obłoczki. Cięż samolotu biegł równolegle do betonowej drogi, na której rozkraczało się podwozie, drgał na resztkach topniejącego

śniegu, mżył po mizernej, zbrukanej trawie, coraz prędzej, coraz prędzej, aż odpłynął w bok, gdy koła oddzieliły się od ziemi.

Podwozie, klapy, zmiana skoku śmigieł i:

- Kontrola, Kontrola. SP-ACH. Wystartowaliśmy, odchodzimy na kurs do Poznania na wysokości trzystu metrów.

Potem głos Zdybią w słuchawkach:

- Nabierajcie wysokości na trasie do tysiąca pięciuset. Możecie przejść na „Pawła”.

Piotr zdjął słuchawki i oddał stery Flisakowi. Obserwował go nieznacznie, lecz z zainteresowaniem, jak to czyni każdy pilot podczas lotu z kolegą, któremu po raz pierwszy powierza samolot w powietrzu. Wprawdzie w normalnych warunkach - podczas wznoszenia się lub gdy maszyna sunie równolegle do ziemi wśród jasnego dnia w spokojnym nurcie opływu - wystarczy swobodnie trzymać w rękach wolant opierając stopy na pedałach orczyka i”nie przeszkadzać”, ale wprawne oko doświadczonego lotnika dostrzeże każdy nerwowy ruch nowicjusza, odkryje każdy zły nawyk, natychmiast zauważy najłżejszy zwis na skrzydło, trawers, zboczenie z kursu. Jeśli zaś samolot idealnie trzyma się prostego niebieskiego szlaku, to jeszcze nie dowód, że pilot zasługuje na pełne zaufanie, że opanował sztukę latania równie dobrze jak chodzenie po ziemi. Albowiem może się to dźać kosztem jego znacznego wysiłku, kosztem męczącego skupienia uwagi, której wówczas nie starcza mu już na nic innego, której niesposób rozdzielić między utrzymanie maszyny w linii lotu a kontrolę zegarów i liczników, obserwację nieba i ziemi, przyjmowanie do wiadomości kolejnych meldunków radiotelegrafisty czy też choćby wymianę uwag i spostrzeżeń z resztą załogi. Takiego

pilota łatwo podpatrzeć, lecz trudno go nauczyć, trudno mu wytłumaczyć, w jaki sposób osiąga się ową swobodę sterowania bez nieustannego napięcia nerwów, które tępieją wskutek zmęczenia. Dobry pilot to taki, którego uwaga i spostrzegawczość działają niejako automatycznie, nawet wtedy, gdy jest zajęty rozmową; który właściwie ocenia każdy ruch, każdą czynność zmierzającą do przywrócenia zakłóconej równowagi; który nie przesadza, lecz zużywa tylko tyle energii, ile jej w danym wypadku koniecznie potrzeba - ani mniej, ani więcej. Jego nerwy i mięśnie pracują oszczędnie; pozostają niemal w spoczynku, lecz mimo to gotowe są każdej chwili do szybkiego, niezawodnego działania, podobnie jak leniwie spoczywająca w słońcu pantera zdolna jest do natychmiastowego, zdumiewającego skoku, niechybnie obliczonego.

Jan Flisak wydawał się być dobrym pilotem. W każdym razie Piotr nie miał żadnych zarzutów co do sposobu, w jaki prowadził maszynę w tym łatwym locie. Mimo to zamierzał sam lądować w Poznaniu, aby uczynić zadość życzeniom Hornowskiego; to lądowanie musiało wypaść bez najlżejszego wstrząsu.

Tymczasem minęli Sochaczew. Tor kolejowy do Kutna wraz z jednym odgałęzieniem szosy skręcił w lewo, na Łowicz; nieco dalej drugie odgałęzienie pobiegło w prawo ku Wiśle, na Wyszogród; na wprost ścieliło się trzecie, wiodące przez Gąbin i Gostynin do Włocławka.

Cygan wstał ze swego miejsca, oparł się lekko na barkach Flisaka i patrzył na prawo, gdzie wśród pól nad rzeczką snuły się wątle dymy z kominów kilkunastu chałup.

- To tu zeszłego roku byliśmy na żniwach? - spytał.

- Tu. To jest Brzezcie. A tamta wieś z kościołem - Rybno.

- A twój dwór to będzie ten pod lasem?
- Ten - uśmiechnął się Flisak. - Taki dwór jaki las -

dodał.

Piotr spojrział w kierunku małego zagajnika (innego „lasu” tam nie było), ale nie mógł dostrzec żadnego dworu czy choćby dworku. W ciasnych opłótkach, pośród czarnych gałęzi kilku starych jabłoni białą tylko ścianą małej, wrosłej w ziemię chaty, pokrytej świeżą strzechą. Lecz za opłótkami rozciągał się spory szmat młodego sadu i - jak Piotr się domyślał, nie mogąc z wysokości widzieć tego dokładnie - ogród warzywny, na którego końcu połyskiwały szyby szklarni.

- Patrzcie - powiedział Cygan - nowy dach se ojciec zafundował.

- Dach stary - odrzekł Flisak. - Tylko poszycie nowe. To słoma z tego zboża, cośmy razem sprzątali.

- I na cały dach wystarczyło?! - zakpił Cygan. - Z tego jednego hektara?

- Nie z jednego, bo prawie z półtora, nie licząc ogrodu.

- Aha, to co innego. Jak ci się sprzykrzy latać, będziesz miał na czym gospodarować. Tylko że trzeba się będzie podzielić z siostrami, jak będą szły za męż. Ale i tak po pół morgi na każde z was wypadnie.

- Żyliśmy z tego - mruknął Flisak. - W pięcioro... nawet w sześcioro.

- No, bardzoś się wtedy nie nażył - powiedział Cygan, już bez drwiny.

Flisak skinął głową.

- Tyle, żeśmy jakoś z głodu nie pozdychali. Ojciec gospodarował tak samo jak dziad i pradziad; ziemi było coraz mniej, a nas przybywało. Matka... Moja matka nie umiała czytać i pisać, rozumiesz?! Rodziła ojcu dzieci i harowała, aż

umarła, Fela była wtedy najstarsza, bo Staszek już nie żył. Miała czternaście lat, kiedy cały dom i nas dwoje zostało na jej głowie.

- Ileż wyście wtedy mieli? - spytał Piotr.

Flisak spojrział na niego z odcieniem podejrzliwości, ale widząc szczerze zainteresowanie w jego twarzy uśmiechnął się i odrzekł:

- Ja miałem pewnie ze siedem, osiem, a młodsza siostra sześć. Fela nas wychowała, nauczyła czytać i pisać, a potem tak długo wojowała z ojcem, aż zaczęliśmy chodzić do szkoły. Pewnie by się to skończyło na dwóch albo trzech klasach w Rybnie, ale ona się uparła. Przestaliśmy pijać mleko: tylko młodsza siostra dostawała trochę, raz dziennie. Prawie wszystko nosiłem do Sochaczewa, a raz w tygodniu - masło, ser i jaja. Za to uczyliśmy się dalej, też w Sochaczewie. Potem, za okupacji, skończyłem tam dwuletnią szkołę rzemieślniczą i zacząłem pracować w warsztacie mechanicznym. A potem - już miałem siedemnaście lat - dostałem się do oddziału partyzanckiego AL. W końcu przyszła wolność i świat się odmienił. Wtedy poszedłem do aeroklubu.

Umilkł, jakby zaskoczony tym, że tak ni z tego, ni z owego opowiedział w tych kilku zdaniach historię swego krótkiego życia. Wydawał się zdziwiony, że mogła zaciekawić Piotra, do którego głównie się zwracał. A może Piotr słuchał tylko przez grzeczność? To przypuszczenie zmieszało go.

- Dobra maszyna - powiedział, aby zmienić temat i przeciąć bieg własnych wspomnień. - Miękką w sterach.

- A coś ty myślał! - podjął Cygan. - Przecie ja na niej latam!

Piotr spojrział na niego z uśmiechem. Cygan istotnie

dbał o samolot i otaczał go niemal tkliwą opieką; za to jego zarozumiałość i drażliwość na tym punkcie była aż groteskowa.

Flisak też się uśmiechnął. Porozumieli się z Piotrem oczyma i to spojrzenie zbliżyło ich - w jakiś nieuchwytny sposób. Prąd wzajemnej sympatii przebiegł pomiędzy nimi za pośrednictwem osoby Józka Cygana, który nic o tym nie wiedział.

Elmer wytknął swój długi nos z ciasnej kabiny radio.

- Przechodzę na stację poznańską - powiedział do Mare-sza. - O której przewidujecie przylot?

Piotr spozrzał na zegarek, porównał czas z zapisem w planie lotu.

- Dokładnie według rozkładu - odrzekł. - Trzynasta pięćdziesiąt. Mijamy Kutno, wysokość tysiąc pięćset.

Radiotelegrafista cofnął się na swoje miejsce, wywołał Poznań i nadawał kluczem:

SP-ACH. Wystartowaliśmy z Warszawy o godzinie 12.25. Mijamy Kutno. Wysokość 1 500 metrów. Stan pogody zgodny z prognozą. Przylécimy do Poznania prawdopodobnie 13.50.

Piotr obejrzał się. Przez szybę w drzwiach oddzielających załogę od pasażerów dojrzał ciężką postać Modrakowskiego pochyloną nad papierami. Dyrektor był pogrążony w pracy; robił jakieś notatki i uwagi na marginesach raportów i listów.

Piotr widział go przedtem kilkakrotnie, ale nie zamienił z nim nawet dziesięciu słów. Nie znał go właściwie prawie wcale. Wiedział tylko, że Modrakowski był pułkownikiem w sztabie dywizji lotniczej i że przed objęciem stanowiska naczelnego dyrektora LOT-u odbył jakiś staż w radzieckim lotnictwie komunikacyjnym. Obecne swe

stanowisko zajmował od niedawna, tak że jego działalność organizatorska nie objęła jeszcze wszystkich wydziałów, ale wiadomo było, że wziął się bardzo energicznie do uporządkowania spraw, które dotąd szły trochę kulawo, nie zawsze zharmonizowane z tempem rozrastającego się przedsiębiorstwa. W każdym razie wprowadzenie na najważniejszych liniach komunikacyjnych nowoczesnych samolotów i stopniowe ujednoczenie taboru oraz rozbudowa urządzeń łączności na lotniskach było jego dziełem, a już to samo zjednało mu pewne uznanie Maresza.

Był to zresztą zaledwie chłodny, trzeźwy, dość obojętny szacunek dla tego obcego człowieka, pozbawiony wszelkiego zabarwienia uczuciowego. Piotr oceniał Modrakowskiego jako fachowca, który istotnie zna się na tym, co robi. Stwierdzał to obiektywnie, lecz bez entuzjazmu. Nie przejmował się tego rodzaju osiągnięciami; nie zaprzętały go w tym stopniu, aby miał się z nich cieszyć.

Taki jego stosunek do tych spraw wynikał, być może, bodaj po części z przekory: zdaniem Piotra prasa i radio czyniły dokoła nich aż nadto wiele hałasu; on kwitował je powściągliwą, chłodną aprobata.

Mimo to Modrakowski zaciekawiał go. Jego milczące odosobnienie nie robiło przykrego wrażenia; przeciwnie, w oczach Piotra naczelny dyrektor był postacią pociągającą właśnie przez swą zagadkowość.

Jak na przykład poradzi sobie z tą katastrofą? Jak na nią zareaguje? Jakie wyda zarządzenia? Co z nich wyniknie? Było to zaciekawienie podobne do zainteresowania widza postacią z jakiegoś dramatu na scenie.

Tak czy owak nie wskrzesi tych, co zginęli - powtórzył w myśli zdanie, które wypowiedział do Hornowskiego, zanim się rozstali przed odlotem.

Gdy łuk Warty obejmujący miasto od wschodu błysnął w słońcu, Piotr nałożył słuchawki. Kontrola podała mu zwykłe informacje i wysokość, na jakiej miał podejść do lotniska. Potem:

- Zgłóście się w pozycji z wiatrem.

Zastosował się do tych wskazówek i, zgłosiwszy się w nakazanym kierunku otrzymał nowe polecenie:

- Możecie wejść w okrażenie na wysokości trzystu metrów. Lądowanie na pasie startowym numer dwa.

Piotr skinął dłonią: podwozie! Cygan przestawił dźwignię i po chwili czerwone światło sygnałowe zgasło, zapaliło się zielone.

- Podwozie wyszło. Już zablokowane - powiedział.

Samolot leżał w obszernym skręcie. Ziemia, linie dróg i torów kolejowych po lewej stronie obracały się jak ramiona olbrzymiego kieratu. Potem zatrzymały się, spłynęły pod maszynę.

- Klapy - powiedział Piotr do Cygana.

Potem, przyciskając laryngofon do krtani:

- Kontrola. Kontrola. Tu SP-ACH na prostej. Wysokość trzysta.

- Możecie lądować - odezwał się głos w słuchawkach.

Warkot silników ścichł. Aksamitny szum pędu płynął wzdłuż burt gondoli. Lotnisko rosło, rozciągało się wszcz, przekreślone pasami betonu, które przecinały się pośrodku tworząc nieregularną gwiazdę. Jeden z tych pasów oznaczony cyfrą II, leżał wprost przed maszyną. Zbliżała się ku niemu tonąc zwolna w przestrzeni, której dno występowało teraz plastycznie wśród coraz wyraźniej szych barw, światła i cieni rzucanych przez hangary, budynki, drzewa.

Oszklony dach rozległej hali strzelił blaskiem, który

prześliznął się skośnie i znikł pod skrzydłem; tuż za nim, pod białą ścianą, która mignęła w ostrym skręcie, przez drobny ułamek sekundy można było dostrzec jakiś samochód ciężarowy i kilka postaci ludzkich. Potem pas betonu zaczął płynąć pod samolotem jak wartki strumień o gładkim nurcie. Jego szybkość stopniowo malała wraz z odległością, aż wreszcie zaledwie wyczuwalny dreszcz, udzielający się gondoli od drobnych nierówności, po których toczyły się koła, upewnił załogę, że podwozie dotknęło ziemi.

Piotr hamując dobieg meldował o wylądowaniu.

- Czas: trzynasta pięćdziesiąt - odpowiedziano mu z Kontroli. - Kołujcie dalej dwójką, potem na lewo.

Koniec drogi startowej był blisko. Na lewo, za dworcem portowym, stały dwie czy trzy maszyny. Kierownik ruchu oczekiwał na podejździe z „lizakiem” w rękę, aby przyjąć samolot.

Pilot skrzył na drogę okólną.

- Pas startowy numer dwa wolny!

Kontrola odpowiedziała: - Dziękuję, koniec - a SP-ACH wolno dotoczył się na miejsce krótkiego postoju.

Powieki Modrakowskiego leciutko drgnęły. Może to była zaledwie dostrzegalna zapowiedź uśmiechu, która zresztą nie została spełniona.

- Pomyślałem... - zaczął wolno. - Znacie może jego żonę? Ona tu zapewne przyleci samolotem z Łodzi, więc gdybyście znaleźli wolną chwilę po odprawie...

Piotr zmieszał się jak człowiek, który przez pomyłkę dzwoni do niewłaściwych drzwi.

- Ależ tak. Naturalnie - powiedział prędko.

- Przyrowadźcie ją później do mnie - dodał Modrakowski. - Będę w kierownictwie portu.

Inżynier Modrakowski wysiadłszy z maszyny uściskał

rękę Piotra i zapytał o Flisaka:

- Co o nim sądzicie?

- Pierwszy raz lecieliśmy razem - odrzekł Piotr. -

Trudno mi...

- Słusznie - przerwał mu dyrektor. - Nie wiedziałem, że to wasz pierwszy wspólny lot. Chciałbym mieć waszą opinię o tym chłopcu po jakimś czasie. Powiedzmy, za dwa tygodnie, dobrze?

- Tak jest - odrzekł Piotr.

Modrakowski wparł w niego swoje ciężkie spojrzenie.

- Godzicki był waszym kolegą w lotnictwie wojskowym? - spytał.

Piotrowi wydało się, że wyczuwa w tym pytaniu jakby jakiś zarzut, coś w rodzaju ukrytej prowokacji.

- Był - odpowiedział tonem z lekka wyzywającym. -
Bo co?

Rozdział. V

Telegraficzna wiadomość o śmierci Ryszarda zastała Mary Go-dzicką w Łodzi. Była to długa depesza nadana z Warszawy i podpisana przez naczelnego dyrektora Linii Lotniczych LOT.

Otrzymawszy ją Mary doznała wstrząsu, który jednak nie objawił się ani wybuchem bólu, ani nawet nie rozplynął się we łzach. Jej uczucia dla męża - czy była to miłość, namiętność czy choćby tylko przyjaźń i przywiązanie - dawno już wygasły. Nawet wspomnienia zbladły i rozsypały się w proch, jak uschłe płatki kwiatów zachowanych „na pamiątkę” między kartkami książki, do której się nie zagląda. Z Ryszardem łączyły ją pewne plany i interesy materialne. Mary była jego współniczką, i to nie z upodobania, lecz dlatego, że zabrakło jej energii, aby się temu oprzeć. Poszła drogą najłatwiejszą - tą, którą Ryszard jej ukazał

dowiedziawszy się o niespodzianym spadku po ciotce Plank.

Wprawdzie zamierzała poradzić się wówczas Piotra, jak ma postąpić, i nawet kiedyś zaczęła z nim o tym mówić, ale Piotr wzdragał się przed wypowiedzeniem swego zdania. Wyczuła, że on - może ze względu na dawną przyjaźń z Ryszardem, a może z powodu swej drażliwości na tym punkcie - nie chce występować wprost przeciw człowiekowi, który nadal oficjalnie był jej mężem. Ostatecznie więc zgodziła się na propozycje Ryszarda, tym łatwiej, że między innymi zawierały ów projekt powrotu do Anglii.

Depesza Modrakowskiego nie była dla niej ciosem w serce, lecz raczej przykrą niespodzianką. Nagły przestrach z powodu tragicznej katastrofy, uczucie żalu, jakie ogarnia każdą ludzką istotę na myśl o śmierci kogoś, kogo się choćby tylko bliżej znało, podziały na Mary w sposób dość gwałtowny, lecz krótkotrwały i powierzchowny. Pogodziła się prędko z tym faktem uznając jego nieodwołalność. Nie przeszkodziło jej to pomyśleć, że otrzymana wiadomość przekreśla bliski już realizacji plan wyjazdu do Anglii, a także zastanawiać się, w jaki sposób naczelny dyrektor LOT-u dowiedział się o jej pobycie w Łodzi.

Ta ostatnia sprawa była zresztą dość prosta: sekretarka dyrekcji zawdzięczała tę wiadomość Hornowskiemu, który z kolei wiedział o tym od Godzickiego. Ustalenie dokładniejszego adresu zespołu artystycznego, do którego Mary należała, nie nastęrczało już większych trudności: dało się osiągnąć za pośrednictwem „Artosu”.

Dyrektor naczelny sam zredagował depeszę: Bolesna strata, szczery żal wśród kolegów i przyjaciół, wyrazy współczucia... (Mary poczuła się wzruszona).

Modrakowski zaoferował jej bezpłatny przelot do Poznania, a stamtąd do Warszawy. Miejsce w samolocie

odlatującym z Łodzi o godzinie dwunastej pięćdziesiąt pięć będzie dla niej zarezerwowane. Transport zwłok Ryszarda Godzickiego do Warszawy lub do miejsca, które Mary poda, załatwi poznańska ekspozytura LOT-u. Wszelkie koszty pokryje dyrekcja biorąc na siebie również sprawę pogrzebu.

Był to piękny gest ze strony Modrakowskiego: Mary była mu wdzięczna za wybawienie od tych ponurych kłopotów, które jej groziły.

Pomyślała, że na szczęście ma czarną suknię, odpowiednie futro i kapelusz. Należałoby go tylko przybrać krepą. A może lepiej czarną woalką?

Przejrzała się w lustrze. Tak, woalka będzie odpowiedniejsza.

Teraz trzeba rozmówić się z Przybylskim. W południe mieli jechać do Piotrkowa.

Spojrzała na zegarek. Już po jedenastej! Miała na wszystko zaledwie godzinę: autobus L.L.LOT odchodził z placu Wolności o dwunastej dziesięć...

Upięła włosy i zaczęła się szybko ubierać.

Nie wiedziała, jak zagrać tę nową rolę - rolę młodej, pięknej wdowy. Ale zabrakło jej czasu do namysłu. Ledwie włożyła czarną suknię, Przybylski uchylił drzwi.

- Czy można?

- Tak - powiedziała po polsku. - Niech pan wejdzie. Kierownik zespołu był wysokim mężczyzną o pomarszczonej, zmiętej twarzy i siwych włosach, które okalały srebrzystym wieńcem jego lśniącą łysinę, nadając mu wygląd apostoła. Wszedł i zatrzymał się na środku pokoju.

- Pani już gotowa?

- Tak. Ale ja... - zabrakło jej polskiego wyrazu. - *I'm terribly upset. Lodk here: I just grot this* [(ang.): Jestem strasznie przygnębiona. Spójrz - właśnie to dostałam]* -

podała mu depeszę.

Przebiegł ją szybko wzrokiem, a potem teatralnym gestem wyciągnął obie ręce.

- Biedne dziecko! Co za straszna tragedia... Podała mu dłoń, którą ucałował.

- Muszę zaraz jechać - powiedziała.

Zabrała się do pakowania walizki, podczas gdy on stał w pozie pełnej bóleści, powtarzając: - To straszne, straszne... Irytował ją. Czas mijał; musiała się śpieszyć.

- *Would you get me a taxi?* - zapytała zapominając, że on nie rozumie. - Zawołać taksówkę - przetłumaczyła spieszenie.

- Ależ tak, naturalnie - rzucił się ku drzwiom. - I przyślę tu portiera po rzeczy.

Zjawił się w dziesięć minut później i odprowadził ją aż do wyjścia z hotelu.

- Odwiózłbym panią na dworzec, ale my też za kilka minut... Więc... do widzenia, Mary. Aha! A może pani potrzebuje pieniędzy? - zapytał tknięty tą myślą, która przyszła mu w ostatniej chwili.

Potrząsnęła przecząco głową i podała kierowcy adres.

Czuła się podniecona: to wszystko było takie niezwykle!

Zdążyła na autobus w samą porę. Urzędnik LOT-u, młody człowiek o nieśmiałym spojrzeniu, podszedł do niej, gdy wysiadała z taksówki.

- Pani Godzicka? - zapytał przykładając dłoń do daszka służbowej czapki.

- Tak, to ja.

- Mam dla pani bilet na przelot do Poznania. Pani pozwoli... - wziął jej walizkę i zaniósł do autobusu, a potem wręczył jej otwartą kopertę ze znakiem L. L. LOT i

nadrukiem firmowym.

Podziękowała mu bladym uśmiechem. Trzasnęły drzwi, autobus ruszył.

Na lotnisku miała jeszcze dość czasu, żeby wypić szklankę herbaty i wypalić papierosa. Potem wraz z innymi pasażerami wyszła na podjazd i wsiadła do kabiny.

Wtedy po raz pierwszy pomyślała o Piotrze. Mogło się przecież tak złożyć, że to on właśnie będzie prowadził ten samolot do Poznania. Była nastawiona na same niespodzianki i nadzwyczajne zbiegi okoliczności. Ale Piotra nie było wśród członków załogi. Na miejscu kapitana zasiadł jakiś niski, rumiany pilot o wesołej, okrągłej twarzy.

Myślała nadal o Piotrze. Był jej' teraz potrzebny bardziej niż kiedykolwiek. Pragnęła zobaczyć go jak najprędzej i nie wątpiła, że sam się o to postara. Przecież teraz nadarzała mu się sposobność! Powinien z niej skorzystać.

Uśmiechnęła się do tej myśli. Kto wie, czyby mu się nie powiodło tym razem.

Lubiła go. Był w tym uczuciu także pociąg fizyczny. Piotr jej się podobał, choć z pewnością nie był szczególnie efektowny, tak jak na przykład Ryszard.

Ryszard... Teraz zawiódł ją ostatecznie. Czemu nie miałyby spróbować życia z Piotrem?

Odprawa SP-ACH trwała zaledwie parę minut. Piotr zlecił Flisakowi przyjęcie pasażerów i ładunku do Szczecina, sam zaś stał u skraja podjazdu pałac papierosa, podczas gdy samolot z Łodzi schodził już do lądowania.

Koła musnęły bieżnię, zaczęły się obracać, podwozie drgnęło, osiadło na teleskopowych goleniach, kręgi śmigieł błysnęły odbiciem słońca, zapiszczały hamulce.

Pilot kołował spieszenie ku podjazdowi, zatrzymał

maszynę, podciągnął ją prawym silnikiem, wykręcił, stanął, wyłączył oba motory. Mechanicy z grupy startowej podsunęli schodki z poręczą; jeden z nich otworzył drzwi kabiny.

Mary w czarnym futerku, zgrabna, trochę bledsza niż zwykle, niemniej jednak świeża i wypoczęta, uśmiechnęła się do Piotra dając mu znaki zza pleców jakiegoś starszego pana pokaźnej tuszy.

Ten jej uśmiech podniósł go na duchu. Obawiał się, że Mary będzie przybita, roztrzęsiona, zapłakana. Tymczasem trzymała się dzielnie.

- Wiedziałam, że tu będziesz - powiedziała biorąc go pod rękę. - Dziękuję ci. Jesteś niezawodny, jak zawsze.

Wyznał, że nie ma w tym jego zasługi.

- Jestem tu przypadkiem, służbowo. Za dziesięć minut startuję do Szczecina.

- Ale czekałeś na mnie - odrzekła z niezachwianym przekonaniem. - Byłam pewna, że cię dziś zobaczę.

Szli nadal pod rękę w stronę poczekalni.

- Musisz mi pomóc - mówiła Mary. - Będę miała mnóstwo kłopotów. - Jestem teraz zupełnie sama... Ryszard... Naprawdę bardzo mi go żal, ale... przecież wiesz: mieliśmy się rozejść... To, co się stało, wytrąciło mnie z równowagi, zasmuciło mnie szczerze, ale... No, widzisz sam: przed tobą nie będę udawała rozpaczy.

- Mam nadzieję, że przed dyrektorem Modrakowskim także nie? - spytał bez ironii.

- On tu jest? - ożywiła się.

- Jest - odrzekł Piotr. - Prosił, żebym cię skierował wprost do niego. Przypuszczam, że dyrekcja zajmie się sprawą pogrzebu.

- To musi być niezwykle ujmujący człowiek - powiedziała na pół do siebie.

- Ma czasem dziwny sposób stawiania najprostszycy pytań - mruknął Piotr. - Nie można przewidzieć, do czego zmierzają.

Przeszli przez korytarz i znaleźli się przed drzwiami kierownictwa portu. Piotr ujął Mary za rękę.

- Muszę już lecieć, ale jutro przed południem wracam do Warszawy. Pewnie będę mógł zwolnić się na dwa, trzy dni. W każdym razie koło jedenastej zadzwonię do ciebie z lotniska. Bądź spokojna, wszystko się ułoży. Wiesz, jak bardzo mi na tym zależy, żebyś ty... żeby ci było dobrze.

Uśmiechnęła się patrząc mu w oczy.

- Wiem - skinęła głową. - Jak tylko zobaczyłam, że na mnie czekasz, jakoś mi się jaśniej zrobiło na duszy. Pomyślałam, że jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę i powinnam zaufać.

Piotr się uśmiechnął.

- Chciałbym, żebyś była tego zupełnie pewna! - powiedział. W drodze do Szczecina Piotr był milczący i zamyślony. Zająwszy swoje miejsce w kabinie załogi powiedział do Flisaka: - Teraz wy będziecie powozić - i w ciągu całej godziny nie odezwał się ani słowem, straciwszy najwidoczniej zainteresowanie wszystkim, co go otaczało i co działo się dokoła niego.

Nie próbował bynajmniej myśleć rozsądnie lub choćby w jakiś sposób uporządkować tę nawałnicę, która kłębiła mu się w głowie. Jego uczucia, będące źródłem owych myśli, nie miały nic wspólnego z rozsądkiem. Miłość, jak wiadomo, często bywa ślepa, nie ulega przewidywaniom dyktowanym przez rzeczywistość i nie poddaje się doświadczeniom. Ostatnie słowa wypowiedziane przez Mary przed pożegnaniem (które odbyło się już w biurze kierownika portu, w obecności Modrakowskiego, i miało wszelkie

pozory towarzyskiej poprawności) obudziły w jego sercu tyle nadziei, że zaledwie zdołał opanować gwałtowne uniesienie.

Podczas gdy Flisak startował i później, gdy samolot położył się na właściwy kurs, brzmienie głosu Mary, jej niedawna bliskość, przenikająca aż do bólu, pochłaniały go i jeszcze całkowicie. Nawet delikatny zapach jej perfum zdawał się unosić dokoła.

W dole szeroka, wysadzana drzewami szosa wiała się wśród łagodnych wzgórz po prawej stronie. Ziemia wolna od śniegu parowała w słońcu, zieleniła się prostokątami ozimin, czerniała świeżo zoraną rolę, lśniła wodą na łąkach i pastwiskach.

Patrzył na ten przedwiosenny krajobraz nie widząc go wcale. Dopiero gdy silniki przycichły, ocknął się ze swego zapamiętania.

Samolot szedł w dół, prosto na jezioro Medwie, jakby pilot zamierzał go zatopić pośrodku wielkiej, błękitnej tafli wody.

To wrażenie narzuciło się Piotrowi z taką siłą, że odruchowo podniósł rękę, aby ująć ster. Powstrzymał się w samą porę, uświadomiwszy sobie, że ma na to dość czasu; byli na wysokości dwustu metrów.

W tej samej chwili Flisak zwiększył obroty i wyrównał. Lecieli teraz nad wodą przecinając jezioro skośnie, dokładnie po ortodromie [linia prosta - najkrótsza droga].

Piotr zaczął myśleć logicznie: zbliżali się do lotniska; zapewne Kontrola podała Flisakowi taką wysokość podejścia. Nałożył słuchawki i usłyszał jeszcze zwykłe zakończenie instrukcji: - Zgłoście się w pozycji z wiatrem.

Dopiero teraz zdziwił się, że są już tak blisko. Na wprost widać było Dąbie, a dalej, po drugiej stronie

ośniewającego blasku, który bił od zatoki, piętrzyła się szara, kamienna masa Szczecina.

Odwrócił wzrok porażony ostrym, kłującym światłem i spojrzał w dół. Niski, zarośnięty brzeg jeziora podchodził już pod skrzydło samolotu. Wśród gęstwy sitowia i uschłych zeszłorocznych trzciny para białych łabędzi spokojnie ścieliła gniazdo.

Rozdział VI

Nowe porządki, jakie zaprowadził w wydziale załogowym Stanisław Janczar, świeżo mianowany szefem pilotów, nie wzbudziły entuzjazmu wśród starszych załóg. Na naradzie roboczej, która poprzedziła te innowacje, nikt ich wprawdzie nie krytykował, ale poparli je tylko młodzi z aktywu ZMP. Piotr Maresz, Lamot i kapitan Ostkiewicz wymieniali porozumiewawcze spojrzenia: nowa miotła. Znamy to. Trzeba tylko spokojnie przeczekać.

Lecz Janczar należał do gatunku mioteł bardzo upartych; umiał postawić na swoim. Tak na przykład nie tylko żądał, aby wszyscy członkowie personelu latającego bywali na wykładach, lecz także wymagał od wykładowców, aby ich odczyty i referaty były ciekawe, dobrze opracowane, aby zawierały najnowsze wiadomości z danego zakresu wiedzy lotniczej.

Nawet Piotr, niechętnie usposobiony do tych dodatkowych zajęć służbowych, musiał przyznać, że ta strona zagadnienia została rozwiązana pomyślnie. Pierwszy odczyt inżyniera Wojciecha Angraby, szefa technicznego łączności i urządzeń radiolokacyjnych, był tak zajmujący, wygłoszony z taką umiejętnością przykuwania uwagi słuchaczy, że Piotr nie mógł się oprzeć uczuciu podziwu dla prelegenta.

Angraba mówił o radiolatarniach i radiokompasach posługując się obrazowymi porównaniami, w sposób nie

tylko przystępny i rozumiały, lecz zarazem dowcipny i nieomal sensacyjny. Jego odręczne rysunki kredą na tablicy, wykonywane pewnie i szybko, zaskakiwały zarówno swoją techniką, jak treścią. Nie było tam zwykłych matematyczno-fizycznych symbolów, współrzędnych, krzywych, nie było skomplikowanych wzorów. Na tablicy ukazywały się linie, łuki i kreski o dziwnych, z początku zgoła niezrozumiałych kształtach, które kilka następnych pociągnięć kredą łączyło we fragmenty sylwetek zwierząt, ptaków, owadów, ludzi lub przedmiotów. Angraba zaczynał rysować na przykład konia od kopyta tylnej nogi, potem ukazywał się zamaszysty łuk przechodzący w faliste linie, za nim coś w rodzaju małej, niedbale nakreślonej litery *m*, nad nią zaś jakiś wiecheć przypominający rozłożony wachlarz. Gdy koń miał już głowę osadzoną na szyi wyciągniętej niemal poziomo, lecz niczym nie związanej z ową tylną nogą i z nie dającymi się połączyć w wyobraźni zakrętami, pod tą szyją ukazywały się przednie kopyta i stawało się jasne, że koń pędzi cwałem. Potem pod niedbałą literą *m* zaokrągliło się *o* i natychmiast, jak na skinienie czarodziejskiej różdżki, wyłaniała się z tablicy głowa zajaca, a za nią cały szarak wyprężony jak struna w panicznej ucieczce. Pod wachlarzowatym wiechciem wyrastały szpony, ostry dziób wyzierał z przodu, drugie skrzydło wznosiło się w górę i oto jastrząb gonił zajaca. Wreszcie falisty łuk przyrastał do końskiego zadu jako najautentyczniejszy ogon rozwiany na wietrze, a dwa pociągnięcia kredy ujawniały brzuch i wygięty grzbiet rumaka.

Na sali wśród słuchaczy (lub raczej widzów) rozlegał się szmer, w którym można było wyczuć jakby westchnienie ulgi po rozwiązaniu dręczącej zagadki. Cała scena, powstała w tak niezwykle sposób z niezrozumiałych,

na pozór nic wspólnego z sobą nie mających fragmentów, łączyła się w żywą, pełną dynamiki kompozycję. Każdy czuł się tym zaskoczony: choć technika tworzenia tej sceny polegała przecież na jej nieomylnym rozplanowaniu we właściwych proporcjach, miała swoistą logikę, której jednak nie zdołali podpatrzeć.

Lecz teraz zaprzętała ich nowa zagadka: cóż wspólnego mógł mieć koń, zając i ścigający go jastrząb z falami elektromagnetycznymi, z urządzeniem radiolatarni, radiokompasu lub goniometru?

Angraba odkładał kredę, starannie wycierał palce i z uśmiechem spoglądał po sali. Wiedział, że wszystkie spojrzenia zawisły na jego ustach. Poprawiał doskonale zawiązany krawat, przeciągał dłonią po swych ciemnych, lśniących, gładko zaczesanych włosach, raz jeszcze obrzucał wzrokiem rysunek na tablicy i osiągnąwszy najwyższe napięcie uwagi zebranych zaczął mówić:

- Widzicie, to jest tak...

Mówił zupełnie inaczej, niż rysował - o każdym ze swych niezwykłych symbolów z osobna - wyczerpująco o koniu, zającu, jastrzębiu, odkrywając kolejno ich ukryte znaczenia, a dopiero potem przechodząc do wyjaśnienia mechaniki i właściwego sensu ich działania. Wreszcie w kilku prostych, lecz nadzwyczaj obrazowych i trafnych zdaniach odsłaniał związek zachodzący pomiędzy owymi symbolami na tablicy, a zarazem - przebieg zjawiska fizycznego.

- Proste, nieprawdaż? - rzucił w końcu pytanie.

Istotnie, teraz wydawało się to każdemu proste, zrozumiałe, jasne, a w dodatku łatwe do zapamiętania.

Szef mechaników grupy startowej, Kazimierz Pacholczyk, któremu zlecono wykłady i zajęcia praktyczne w

zakresie obsługi silników, nie miał wprawdzie dyplomu inżyniera i nie posiadał ani takiego daru wymowy, ani takiej wyobraźni, ani zdolności rysunkowych, jakimi rozporządzał Angraba, lecz był dobrym majstrem o bardzo dużej praktyce. Jego rumiana twarz, łagodny, dobroduszny uśmiech i rozumne, uważne spojrzenie jasnych oczu spoza okularów, których używał przy pracy, harmonizowały doskonale z pogodnym usposobieniem tego miłego, spokojnego człowieka o wyglądzie zażywnego chłopca.

Wcale zresztą nie był chłopem. Pochodził z Zamościa, gdzie miał liczną zasiedziałą tam od dawna rodzinę, sędziwych rodziców i kilkanaścioro rodzeństwa. Byli wszyscy drobnymi rzemieślnikami: kuźnierzami, stolarzami, szewcami i krawcami. On jeden po odbyciu służby wojskowej w lotnictwie nie powrócił do rodzinnego miasta, lecz pozostał „przy wojsku”.

Był zdolny: szkołę obsługi samolotów ukończył z pierwszą lokatą i z wolna dorabiał się trudnego awansu. Po rocznej praktyce w warsztatach parku lotniczego zdał egzamin mistrzowski i został majstrem. Na krótko przed wrześniem roku 1939 odkomenderowano go do pracy w fabryce i skutkiem tego został w Polsce pod okupacją. Zrzuciwszy mundur uniknął obozu jeńców wojennych, ale hitlerowcy wywieźli go na roboty do Niemiec. Tam przez kilka lat pracował w fabrykach lotniczych, aż w końcu udało mu się zbiec i wrócić do Zamościa.

Lecz tu ziemia paliła się pod nogami niemal całej jego rodzinie; bracia kolejno uciekali do lasu i Kazimierz musiał schronić się tam wraz z innymi. Błąkał się po lesie z kilku towarzyszami przez dwie doby, aż spotkał radzieckich spadochroniarzy, którzy go uratowali od śmierci z głodu i wyczerpania.

Po raz drugi wracał do Polski znów z Niemiec, wiosną roku 1945; transportem wojskowym. Został zdemobilizowany i natychmiast znalazł pracę na Okęciu, jako jeden z pierwszych mechaników cywilnych.

Piloci i mechanicy pokładowi lubili go. Cieszył się ich zaufaniem i sympatią, podobnie jak dobry, poczciwy weterynarz cieszy się zaufaniem i sympatią właścicieli zwierząt, które leczy. Jego pacjentami były silniki. Poświęcał im cały swój czas, doświadczenie i wiele niemal serdecznych uczuć, wśród których duma z ich sprawności odgrywała dominującą rolę.

Piotr, którego oryginalne powiedzenia krążyły wśród załóg, wyraził się o nim kiedyś, że sumienność Pacholczyka jest tak nieodłączną częścią tego człowieka jak jego głowa. Póki ją nosi na karku, można być spokojnym, że ani jeden silnik nie nawali w powietrzu.

Pacholczyk nie rozpoczął swoich wykładów od objaśnienia czterotaktu, słusznie mniemając, że zasady działania silników spalinowych są jego słuchaczom dostatecznie znane. Mówił natomiast o symptomach wszelkich niedomagań, którym może podlegać skomplikowany organizm nowoczesnego motoru, i o sposobach zapobiegania tym niedomaganiom w ich początkowym stadium, zanim jeszcze zaczną zagrażać poważniejszym defektem. Jego zdaniem silnik nie powinien się psuć. Było to możliwe dawniej, w odległej przeszłości, gdy każdy mechanizm wypuszczany przez fabrykę stanowił niejako nowy eksperyment; gdy konstruktorzy tylko w niewielkim stopniu mogli korzystać z wcześniejszych doświadczeń; gdy po omacku szukali sposobów usunięcia wad i wprowadzali ulepszenia opierając się na nie sprawdzonych praktycznie przesłankach.

- Dziś - mówił Pacholczyk - nie ma już złych, zawodnych silników. Bywają tylko jeszcze kiepscy mechanicy albo niedbali piloci, którzy z dobrymi silnikami źle się obchodzą. Przez takich ludzi silnik żyje krócej, niż powinien, nie daje pełnej mocy, a czasem nawet nie wytrzymuje złego traktowania i nawala.

Potem prowadził ich na hamownię, wyjaśniał różnice pomiędzy stukaniem zużytych zaworów a kłapaniem obłuzowanych sworzni, znaczenie takiego czy innego koloru spalin w zależności od nasycenia mieszanki, zaznajamiał ich z całym szeregiem tylko na pozór drobnych usterek i zaniedbań w obsłudze, których skutki demonstrował na przykładach z bieżącej swej pracy.

Wykłady Tomasza Zdybią były trochę nużące. Kierownik Kontroli mówił głosem jednostajnym, o niezmiennym natężeniu, nie posługując się ani żywym gestem, ani porównaniami, które uważałyby zapewne za dziwactwa.

Miał około pięćdziesiątki, lecz wyglądał znacznie starszej. Można go było wziąć za wysłużonego, poważnego urzędnika lub kasjera bankowego, któremu życie upłynęło za okienkiem odgradzającym go od innych ludzi. Był krótkowidzem i nosił potężne, grube szkła, jak dwa teleskopy, które od czasu do czasu odsuwał na czoło, zwłaszcza gdy spoglądał na coś z bliska. Stale narzekał na brak sprzętu i wszelkich koniecznych urządzeń, bez których, jego zdaniem, nie można było w ogóle marzyć o jakim takim kierowaniu ruchem samolotów w strefie przylotniskowej w powietrzu i na samym lotnisku. Ale wypowiedziawszy te swoje żale i zgasiwszy najmniejszą nawet isierkę nadziei, że w danych warunkach da się cokolwiek zrobić, zaczynał klecić całą aparaturę ze starych, przeznaczonych na złom stacji

pokładowych, z wygrzebanych skądś wzmocniaczy, kolektorów, kondensatorów, drutów, kabli i przeróżnego „śmiecia” (jak się pogardliwie wyrażał) - aparaturę, która działała znakomicie, pod warunkiem, by nikt inny jej nie dotykał.

Przedstawiał to swoje dzieło inżynierowi Angrabie zapewniając, że nie jest nic warte, i za każdym razem wprawiał go w podziw swoją pomysłowością.

Z czasem, gdy Angraba zaczął zdobywać nowoczesne aparaty i środki do założenia trwałych instalacji, Zdybel z zasady odnosił się do nich nieufnie.

- To nie będzie chodzić nawet przez tydzień - mawiał wzruszając ramionami.

Potem rozbierał wszystko na drobne części, składał z powrotem i zaczynał pracować na nowym sprzęcie z taką pewnością, jakby go używał od urodzenia.

Przez dłuższy czas opierał się praktycznemu zaznajomieniu swych słuchaczy z pracą w Kontroli, obawiając się, że mu tam coś zepsują.

Kontrola mieściła się w tzw. „wieży”, malej, ze wszystkich stron oszklonej klitce, przypominającej kabinę nawigacyjną na statku. „Wieża” wznosiła się na dachu budynku portowego, a widok stamtąd obejmował całe lotnisko i najbliższą okolicę.

Było tam rzeczywiście dość ciasno; tablica rozdzielcza świateł z ich przełącznikami, makieta lotniska z planem świetlnym i aparatura radiowej stacji nadawczo-odbiorczej zajmowały tyle miejsca, że starczało go jeszcze tylko na trzyosobową obsługę tych urządzeń.

Ale nowy szef pilotów żądał stanowczo, aby każdy pilot i radiotelegrafista pokładowy odbył przynajmniej jeden pełny dyżur w Kontroli, na co Zdybel musiał wreszcie

przystać.

Największy nacisk kładł Janczar na ćwiczenia w lotach bez widoczności przy użyciu link-trainera i na loty kontrolne w powietrzu. Link-trainer jest to skomplikowane urządzenie, składające się z kabiny wyposażonej w stery i przyrządy pokładowe oraz z przenośnika, który wykreśla na mapie drogę, jaką odbyłby samolot sterowany tak, jak to dany pilot zamknięty w owej kabinie robi. Kabina link-trainera zawieszona jest kardanowo, tzn. może się obracać dokoła trzech osi: podłużnej, poprzecznej i pionowej, podobnie jak samolot w powietrzu. Przyrządy - bądź samoczynne, bądź też napędzane motorkami elektrycznymi - wskazują szybkość, głębokość skrętu, pochylenia i wszelkie zmiany położenia kabiny, ilość obrotów silnika, czas, kurs itd. zależnie od manewrów pilota, który się tymi wskazaniem posilkuje. Specjalne urządzenie naśladuje sygnały radiolatarni i radiokompasu. Jednym słowem, cały „lot” odbywa się w sali ćwiczeń, jakby odbywał się w powietrzu, a w dodatku ołówek przenośnika wykreśla na mapie odbytą drogę, tak że pilot sam może po ukończonym ćwiczeniu sprawdzić popełnione przez siebie błędy.

Prowadził te ćwiczenia Henryk Dobrowolski, najstarszy z pilotów pracujących w L.L.LOT, człowiek o wielkim doświadczeniu fachowym, który podczas wojny latał jako dowódca transportów lotniczych między Kanadą a Wielką Brytanią.

Był wysoki, prawie zupełnie łysy, twarz miał czerwoną jak po odmrożeniu, z siatką drobnych zmarszczek dokoła jasnoniebieskich oczu o wesołym, poczciwym wyrazie. Ten wyraz odpowiadał jego charakterowi i usposobieniu. Dobrowolski był miły, cichy i skromny. Odznaczał się niewyczerpaną cierpliwością i sumiennnością,

lecz niewiele mógł zdziałać, aby uczynić z ćwiczeń w ślepych pilotażu zajęcie atrakcyjne. Mówił głosem stłumionym, wyjaśniał nieustannie te same błędy, tłumaczył kilka dość prostych zresztą zasad aerodynamicznych, dotyczących zachowania się samolotu w skrócie, w ślizgu i przy utracie szybkości, uczył, poprawiał, zachęcał mniej wytrwałych, przekonywał tych, którzy lekceważyli i zaniedbywali ów trening, nużący, lecz konieczny dla każdego pilota.

Był wzorem delikatności; nigdy nie robił złośliwych uwag i aby nie zrazić żadnego ze swych uczniów, sam usprawiedliwiał ich omyłki, jednocześnie chwalać postępy.

Latał dobrze i rozważnie, orientował się znakomicie, nie tracił głowy w trudnych sytuacjach i odważnie, choć bez brawury i fanfaronady, potrafił stawić czoła niebezpieczeństwu. Oprócz ćwiczeń na link-trainerze, którymi kierował z własnej inicjatywy, od czasu gdy to urządzenie zostało zainstalowane, odbywał loty kontrolne i lądowania bez widoczności, na radiolatarnię i radiokompas, ze wszystkimi pilotami, którzy się do niego o to zwracali. Te ostatnie ćwiczenia wchodziły w zakres obowiązków szefa pilotów, który jednak chętnie się Dobrowolskim wyręczał pozostawiając mu także ogólny nadzór nad szkoleniem młodego narybku.

Wkrótce po zmianach, jakie nastąpiły w związku z katastrofą Godzickiego, Dobrowolski został przez CBLL zawieszony w lataniu. Główną tego przyczyną była od dawna przekroczona granica wieku: skończył pięćdziesiąt cztery lata, a choć był zdrow, areopag lekarzy nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za omijanie przepisów.

Ten wyrok bardzo go zmartwił. Od trzydziestu lat był pilotem i latał z zamiłowaniem, traktując ten zawód nie tylko jako pracę zarobkową, lecz - a raczej przede wszystkim - jako

powołanie, jako warunek swego istnienia. Czuł się w pełni sił; uważał, że może i powinien latać nadal, że nie czas mu jeszcze na emeryturę. Przedstawił dyrekcji swój służbowy dziennik lotów, który obejmował kilka grubych tomów. Prowadził go porządnie i sumiennie, od czasu gdy po raz pierwszy siadł za sterem jako uczeń w szkole lotniczej. Były tam podpisy kolejnych dowódców i pieczęcie stwierdzające zgodność zapisów z księgami ewidencji ruchu różnych jednostek i portów. Dwanaście tysięcy godzin w powietrzu - bez uszkodzenia samolotu z winy pilota! Prosił, żeby mu pozwolono latać nadal.

Lecz dyrektor Modrakowski również nie mógł postąpić wbrew istniejącym przepisom. Wysłuchał Dobrowolskiego milcząc na swój sposób, przychylnie, i oświadczył, że spróbuje znaleźć „jakieś wyjście”. Na tym na razie tamta sprawa utknęła, natomiast Dobrowolski otrzymał zaraz nazajutrz propozycję objęcia stanowiska instruktora na link-trainerze.

Bez wahania przyjął tę pracę. Wykonywał ją dotąd bezinteresownie i nie przyszłoby mu do głowy porzucić jej tylko dlatego, że nie mógł już latać.

Lot bez widoczności - w chmurach lub we mgle, gdy maszyna zdaje się zawieszona w gęstych, mydlinach, w mlecznej, opalizującej bieli czy też w szarej wacie, która ją zewsząd otacza przesłaniając zarówno ziemię, jak niebo - nie jest w gruncie rzeczy ani trudny, ani bardzo męczący, pod warunkiem, że nie zaniedbuje się stałego treningu. Prowadzenie samolotu wyłącznie według wskazań przyrządów wymaga niemałej wprawy. Zmysł równowagi, którym pilot posługuje się przy sprzyjającej pogodzie, zawodzi zwykle wówczas, gdy ziemia znika z pola widzenia. Już po upływie kilkunastu sekund trudno określić, gdzie się

podziała: czy istotnie leży poziomo pod maszyną, czy wyslizguje się przed nią lub gdzieś z boku pod skrzydłem. Niesposób wyczuć zwisu, skrętu, zbaczania z kursu, pochylenia w dół lub zadzierania łba w górę. Po minucie nie wiadomo już nic, tak jakby znikła siła ciężenia: dół i góra, niebo i ziemia, horyzont i pozioma linia lotu stają się pojęciami oderwanymi, bezużytecznymi w tych warunkach. Bez pomocy przyrządów pilot nie utrzyma ani równowagi, ani kierunku. Tylko pochyłościomierz podłużny i poprzeczny pozwoli mu wyrównać zwis i przechył, busola wskaże mu kierunek lotu, wa-riometr wznoszenie się lub opadanie, skrętomierz - poślizg w skręcie.

Ale podział uwagi pomiędzy te przyrządy, bezbłędne wnioskowanie na podstawie ich wskazań i zgrywanie położenia strzałek na ich podziałkach - to sztuka, której nie można się nauczyć raz na zawsze. Trzeba ją ćwiczyć stale, podobnie jak stale trzeba grać na fortepianie, aby móc bez wahań i pomyłek odczytywać i odtwarzać z nut utwory muzyczne.

Piotra drażniły te dodatkowe zajęcia narzucone przez szefa pilotów. Nie darzył Janczara szczególną sympatią. Właściwie nie znał go bliżej, ale nominacja tego człowieka na szefa pilotów była dla niego niespodzianką. To ostatnie wydarzenie osądzał jako wynik protekcji ze strony naczelnego dyrektora. Było powszechnie wiadomo, że Modrakowski i Janczar znali się od dawna. Obaj mieli za sobą staż w radzieckim lotnictwie komunikacyjnym, choć na różnych stanowiskach. W gruncie rzeczy łatwo było przewidzieć, że Modrakowski dobierze sobie do pomocy nie kogo innego, lecz właśnie Janczara.

Tak czy owak Piotr nie chciał dopuścić do tego, aby ten młodszy od niego pilot, który nagle stał się jego

bezpośrednim przełożonym, mógł mu zarzucić cokolwiek. Traktował Janczara ozięble i milcząco, trzymając się ściśle form służbowych, nie zwracał się do niego o żadne ulgi czy względy i skrupulatnie wypełniał to, czego szef pilotów miał prawo żądać. Był nienagannym pracownikiem - nic ponadto. Nie pozwalał sobie nawet na cień koleżeńskej poufałości czy choćby uprzejmości wobec Janczara, nie zabierał głosu na zebraniach roboczych, nie krytykował i nie doradzał. Odgrodził się od wszelkiej z nim styczności poza służbą i wydawał się nieprzejednany w tej swojej niechętej, nieco wyzywającej poprawności.

Janczar udawał, że tego nie dostrzega, lecz i on zawział się na swój sposób. Znał się na ludziach, a że Piotr wydawał mu się człowiekiem wartościowym, tym bardziej gniewała go stosowana przez tamtego taktyka, której przyczyn częściowo się domyślał.

Zostawszy szefem pilotów, o co bynajmniej nie zabiegał, nie myślał także starać się o tanią popularność wśród podwładnych, a w szczególności u niechętnych mu, jak Lamot lub Ostkiewicz. Natomiast Maresza chciał przekonać, pozyskać go dla tych celów, jakie sobie stawiał przystępując do ścisłej współpracy z dyrektorem Modrakowskim.

Piotr był, jego zdaniem, człowiekiem uczciwym, zdolnym do sprawiedliwej oceny ludzkich wysiłków i pracy. Był uczuciowy, jakkolwiek starał się to ukryć. Trochę pozował na sceptyka, lecz zapewne można się było do niego dobrać i obudzić w nim zapał.

Janczar nie wiedział jeszcze, jak to osiągnie, ale uważał, że powinien do tego dążyć, i był pewien, że w końcu mu się to uda. Tymczasem zaś postanowił czekać unikając w miarę możliwości zadrażnień i starć z Piotrem.

Należał do ludzi upartych i wytrwałych. Przeszedł surową szkołę życia, która zaczęła się dla niego od lat najmłodszych. Był synem robotnika z elektrowni warszawskiej, rewolucjonisty z roku 1905.

Towarzysze jego ojca, których Stanisław z początku widywał tylko w mieszkaniu rodziców, a potem poznał bliżej, gdy opiekowali się nim podczas długich okresów nieobecności Antoniego Janczara - byli to ludzie niecierpliwi, lecz wytrzymali, twardzi, lecz zdolni do poświęceń, ludzie ożywni wiarą w przyszłe zwycięstwo.

Praca, a wraz z nią i chleb były w owych czasach niepewne. Antoni Janczar i jego rodzina doświadczyli tego nieraz, a gdy Stanisław sam także zaczął pracować, widmo bezrobocia prześladowało go ustawicznie, podobnie jak jego ojca zaczęło prześladować widmo więzienia. Ojciec i syn rozstawali się wówczas na czas nieokreślony, rzucając sobie pożegnalne spojrzenie bez słowa, a potem - po paru miesiącach, czasem po roku - spotykali się znowu i patrzyli sobie w oczy, jakby chcąc się upewnić, że żaden z nich się nie zmienił.

Po raz ostatni pożegnali się w ten sposób w dniu mobilizacji i od tego czasu nie spotkali się więcej. Antoni Janczar padł w obronie Warszawy, Stanisław wraz ze swym oddziałem złożył bron przeszedłszy za Bug.

Wkrótce dostał się do fabryki samochodów, a potem, zanim jeszcze zaczęła się formować Pierwsza Dywizja, ukończył kurs strzelców lotniczych i wyruszył na linię frontu. W pół roku później wrócił stamtąd pod Riazan do szkoły pilotów, aby następnie ukończyć zwycięską kampanię jako dowódca polskiej eskadry szturmowej.

Wtedy to, prosto spod Berlina, został przeniesiony do lotnictwa komunikacyjnego, które obsługiwało linie

kurierskie. Tam spo-t-kał Modrakowskiego i razem z nim powrócił do Warszawy, aby pracować w L.L.LOT.

Modrakowski był jeszcze wówczas w sztabie, ale w najbliższych miesiącach miał objąć dyрекcję LOT-u.

Tymczasem zaszły różne nieprzewidziane okoliczności. Modrakowski był potrzebny gdzie indziej i dopiero na początku roku 1950 został naczelnym dyrektorem linii lotniczych, W dwa miesiące potem Godzicki zginął w katastrofie pod Poznaniem, a Janczar otrzymał nominację na szefa pilotów.

Podjął się tych obowiązków z całą świadomością, że spotka się z niechęcią, zawiścią, posądzeniami o podstępne kopanie dołków pod na ogół lubianym Hornowskim. Wiedział, że może liczyć na młodych pilotów i ich załogi, ale wiedział także, iż będzie miał do czynienia z ludźmi niechętnymi i nieufnymi, jak Maresz, Lamot i Ostkiewicz, lub z takimi, którzy zechcą wykorzystywać dotychczasową koleżeńską z nim zażyłość ku własnej wygodzie. Tych postanowił natychmiast rozczarować, uprzedzonych przekonać i wciągnąć do pracy, a oprzeć się na młodzieży i na wszystkich starszych, którym sprawa pomyślnego rozwoju LOT-u nie była obojętna. Zaliczał do nich przede wszystkim Dobrowolskiego, Zdybią i Pacholczyka. Nie wątpił, że mu się uda, był bowiem w równym stopniu optymistą, jak człowiekiem upartym, o silnej woli i zdecydowaniu.

Ta ostatnia cecha przebijiała z całego zachowania Stanisława Janczara, choć nie było w nim ani zarozumiałości, ani zadzierzy-stości. Ta jego pewność obranej przez siebie drogi objawiała się nie tylko w stosunku do innych, lecz również w stosunku do niego samego. Nie wmawiał jej sobie, lecz jej ufał; nie mogła go zawieść.

Głos miał głęboki, niski, o przyjemnym brzmieniu,

szeroką, szczerą twarz, włosy kędzierzawe. Był średniego wzrostu, mocno zbudowany, przysadzisty, ale przy tym żywy, ruchliwy, prędki i obdarzony niezwykłą siłą fizyczną. Patrzył każdemu prosto w oczy i mówił bez osłonek, choć nie brutalnie.

To jego otwarte spojrzenie i bezwzględna szczerłość w wypowiedaniu swego zdania budziły przeważnie szacunek, niekiedy obawę, ale na ogół skłaniały ludzi również do szczerości, jakby odbijając się w ich umysłach i sercach mimowolnym echem.

Zdarzało się jednak czasem, że Janczar trafiał na człowieka tępego lub niechętnego, z którym w ogóle nie mógł się dogadać. Wtedy gdy kilka prób trafiło w próżnię, przestawał argumentować, wysłuchiwał jednak do końca jałowej obrony lub zarzutów, którymi go zasypywano. Rozważał później troskliwie taką sprawę, starając się być bezstronnym, i po kilku godzinach lub dniach raz jeszcze wracał do spornego tematu. Jeśli doszedł do wniosku, że sam popełnił jakiś błąd, przyznawał to lojalnie; jeśli był pewien swego, mówił krótko: „Nie zdołam was przekonać słowami, ale nie macie racji” i uparcie szukał okazji, aby poprzeć faktami swoje zdanie.

Jednym z takich ludzi, z którymi trudno było o porozumienie, okazał się Emil Hornowski.

Rozdział VII

Hornowski zjawił się na Okęciu dopiero w dwa tygodnie po katastrofie Godzickiego. Nie był nawet na jego pogrzebie, co nasunęło przypuszczenie, że został aresztowany. W rozmowie ze znajomymi zaprzeczał tym domysłom, ale nie podawał innych powodów swej nieobecności.

Był rozgoryczony, gadatliwy, gotów do wylewania

swych żalów przed każdym, kto go chciał słuchać. Przyłapał Piotra i Ostkiewicza w pustym bufecie i zaraz się do nich przysiadł.

Oświadczył, że przybył tu tylko po to, aby wygarnąć Jancza-rowi, co o nim myśli. Myślał mianowicie, że Janczar walnie przyczynił się do usunięcia go ze stanowiska szefa pilotów, aby wskoczyć na jego miejsce.

- Oblaskawił sobie tego mruka, tego milczącego osła, Modrakowskiego, który wszystko tu wywraca do góry nogami, i będą rządili we dwóch. Dobrana para! Jak ja tu zaczynałem z garstką ludzi na gruzach i ruinach, to gdzie oni byli? I patrzcie: taka świnia, Janczar - sam go przyjmowałem do personelu latającego - taki był niewinny, grzeczny jak aniołek, a co z niego wylazło! Teraz on mnie ma uczyć, jak się pracuje na linii!!

- Co? - zdziwił się Ostkiewicz. - Jak to on ciebie ma uczyć?

- I ciebie także - odparł Hornowski. - I Piotra. Słyszałem, że już się tu uczycie różnych pożytecznych rzeczy.

- A, o to ci chodzi - mruknął Ostkiewicz. - Więc jednak zostajesz w LOT?

- Ani mi się śni! Żeby taki Janczar wygłupiał się przede mną ze swoimi uwagami? Żeby dyktował, co mi wolno, a czego nie wolno? Żeby mnie w końcu stąd wygryzł?! To już wolę sam podziękować za taką robotę. Na szczęście mam z czego żyć, a pracy jest dosyć, nie tylko tu.

Ostkiewicz potakiwał mu współczująco:

- Pewnie, pewnie. To jest przecież po prostu nieuzasadniona degradacja.

- E tam, degradacja! - zachnął się Hornowski. - Możecie mi wierzyć, gdyby szefem pilotów został Maresz

albo Dobrowolski, latałbym dalej. Starzy piloci, doświadczeni, z ogromną praktyką... Ale ten?! Modrakowski powiada do mnie: „Zatrzymujemy was nadal jako pilota. Jesteście tu potrzebni. Wasza wiedza fachowa”... i tak dalej. „Ale - powiada - muszę wyznaczyć kogoś innego na szefa pilotów. I mam nadzieję, że będziecie z nim pracować”. A ja się pytam: „Któż to taki, dyrektorze, bo jeżeli ma lepsze ode mnie kwalifikacje, to i owszem”. No i okazuje się, że to Janczar!

- Dobrowolskiego zawiesili w lataniu - wtrącił Piotr. Hornowski spojrział na niego zdumiony.

- Dobrowolskiego?! Za co?

- Z powodu przekroczonej granicy wieku. „Cebula” go zawiesiła.

- No, wiecie... - Hornowski zatonął na chwilę w niemym oburzeniu.

Potem wstał, wepchnął ręce do kieszeni i przeszedłszy się tam i z powrotem po pustej sali, stanął przed Piotrem.

- Już dawno chciałem się was obu zapytać - i ciebie, i Dobrowolskiego - po jakiego diabła wyście tu z tej Anglii wrócili - powiedział unosząc ramiona w górę. - Ja bym na waszym miejscu...

Umilkł nagle i obejrzał się. Ze schodów prowadzących na piętro zbiegał młodzieńczym krokiem Dobrowolski.

- O, jest! - zawołał Hornowski. - Właśnie o tobie mówimy, Heniek.

Dobrowolski podszedł ku nim i uściskawszy dłoń Emila spojrział po nich z pogodnym uśmiechem.

- Ci dwaj na mnie narzekają? - wskazał ruchem głowy Maresza i Ostkiewicza.

- Nawet nie bardzo - uśmiechnął się Piotr.

- Ale co ty na to wszystko? - spytał Hornowski

obciągając wymiętą marynarkę.

- To znaczy: na co? Że mnie zawiesili?

- Właśnie, między innymi.

- No, cóż robić? Człowiek się powoli starzeje...

Prosiłem Mo-drakowskiego, żeby wpłynął na zmianę tej decyzji. A tymczasem...

Hornowski rozstawił nogi i uniósł się na palcach przechylając głowę na bok, jakby w ten sposób lepiej mógł widzieć swego rozmówcę.

- A tymczasem zrobił cię szefem pilotów od link-trenera - dokończył. - Ciebie, najstarszego, najbardziej doświadczonego z nas wszystkich!

Dobrowolski nadal uśmiechał się pojednawczo.

- Ja ci powiem, że do link-trainera też trzeba trochę praktyki - odrzekł. - Młodzi piloci zadają czasem takie pytania, że... A zresztą, jak nie mogę latać, to przecież coś muszę robić.

Spowaźniał nagle, tylko z jego jasnoniebieskich oczu nie znikał uśmiech.

- Widzisz, mnie się zdaje, że taka praca jest u nas bardzo potrzebna. I że ja się tu jeszcze na coś przydam z tym, co umiem - dodał.

- Tu się obsadza stanowiska nie według kwalifikacji - mruknął Hornowski i odwrócił się.

Zapadło krótkie milczenie. Za długą ladą z przekąskami i słodyczami podzwaniały szklanki, które bufetowa, panna Kazia, napełniała gorącą kawą.

- Dla pana kapitana też kawusię? - spytała zwracając się do Dobrowolskiego.

- Tak, proszę. Ja pani pomogę - ofiarował się ze zwykłą uprzejmością.

Ale panna Kazia zaprotestowała. Nie mogła na to

pozwolić, żeby goście ją wyręczyli.

Dobrowolski przysunął sobie krzesło i usiadł obok Piotra.

- Mam do ciebie taką małą sprawę. Chodzi o twojego drugiego pilota, Flisaka.

- Aha, mówił mi, że ci jest potrzebny - wtrącił Piotr.

- W wolnych chwilach, oczywiście - dodał Dobrowolski. - Mógłby mi pomóc przy ćwiczeniach, jeżeli nic nie masz przeciw temu.

- Naturalnie. Ja go potrzebuję tylko w powietrzu. Poza tym może rozporządzać swoim czasem, jak chce.

Hornowski stał nad nimi i kiwał głową.

- Już on dobrze wie, jak tego czasu użyć - zaśmiał się drwiąco.

- Flisak? - zdziwił się Piotr. - Jak to rozumiesz? Hornowski ciężko oparł się na ich barkach i nachylił się tak, że jego twarz znalazła się między ich głowami.

- Czy wy dzieci jesteście? - spytał. - Nie rozumiecie?

Wyprostował się nagle, obszedł stół dokoła i usiadł naprzeciw nich przy Ostkiewiczu.

- Już was Janczar obu obstawił tym swoim szpiclem - powiedział zniżając głos.

Piotr wzruszył ramionami.

- Pleciesz. Jeżeli już o to chodzi, to ty sam przydzieliłeś Flisaka do mojej załogi.

- Bo jeszcze nie przeczuwałem, co się święci. Janczar mi to podsunął. Ale, pamiętasz? ostrzegałem cię już wtedy. A teraz... To przede proste i jasne jak słońce: nie ufają wam; z Anglii jesteście, nie ich ludzie. I wspomnicie moje słowa: obu was stąd wygryzą. Zobaczycie.

Dobrowolski patrzył na niego z niedowierzaniem, uniósłszy w górę brwi i marszcząc czoło. Piotr zasepił się.

Ostkiewicz bąknął: - Całkiem możliwe - i hałaśliwie mieszał kawę łyżeczką, Hornowski zaś odchylił się w tył, wypił duszkiem swoją i wstał.

- No, idę do tego waszego szefa - oświadczył. - Zepsuję mu humor przynajmniej na resztę dnia. Serwus!

Podał im kolejno rękę na pożegnanie, przeszedł przez poczekalnię i zaczął ciężko wstępować po schodach. Patrzyli za nim, póki nie znikł im z oczu, a potem spojrzeli po sobie, jakby sondując się wzajemnie.

- On musi być bardzo nieszczęśliwy - powiedział Dobrowolski cicho.

SP-ACH wystartował z Warszawy do Poznania według rozkładu, o dwunastej dwadzieścia pięć, pomimo niskich chmur pędzonych od północo-zachodu porywistym wiatrem. Przebijał się przez te chmury w ciągu piętnastu minut i wreszcie wyszedł ponad ich dolną warstwę sięgającą prawie tysiąca pięciuset metrów. Piotr, który prowadził maszynę „jak po drucie”, według wyrażenia Józka Cygana, musiał przyznać, że tę łatwość pilotowania bez widoczności ziemi zawdzięcza w znacznej mierze ćwiczeniom z Dobrowolskim.

Samolot tańczył wśród zmiennych prądów burzliwego nurtu, zapadał w odmet i wspinał się na wysokie powietrzne progi, przeskakiwał je, zataczał się wśród skrętów i wirów, lecz natychmiast wracał do linii lotu, trzymany krótko jak płochliwy koń w cuglach.

Drgająca kulka i strzałka skrzętomierza wracały na swoje miejsca, flegmatyczna busola nie mogła się zdobyć na obrót róży wiatrów choćby o parę stopni, nerwowy wariometr cofał się po każdym wypadzie i tylko czarna sylwetka samolotu na tarczy sztucznego horyzontu chwiała się czujnie, powtarzając każdy przechył maszyny.

Nad chmurami otworzyła się przestrzeń wolna od obłoków, lecz przykryta z góry drugą ich warstwą, cieńszą i jaśniejszą, podobną do konchy olbrzymiej muszli perłowej. Sączył się przez nią lekko przyćmiony blask jak przez mleczną szybę. Białe światło, odbite od zbatwanionej, kłębiastej powierzchni pod samolotem, zdawało się przenikać ze wszystkich stron i wypełniać sobą to wnętrze przestronne, lecz ograniczone łudzącym wzrok, niewyraźnym koliskiem horyzontu, który był wciąż jednak odległy, choć zdawał się zamykać w zasięgu spojrzenia. Przedmioty i postacie ludzkie wewnątrz kabiny nie rzucały cienia, jakby zanurzone w tę wszechobecną jasność. Tylko błądy cień samolotu pojawiał się czasem w dole po prawej stronie, otoczony mętną, tęczową aureolą, jakby zagłębiony w śnieżnym puchu czy też lekko przesłonięty mgłą. Sunął w podskokach i wygibach, ślizgał się po wzdętych, kopulastych wzgórzach, zapadał we wklęsłości, kurczył się i rozciągał, jakby stroił błazeńskie miny w krzywym, zapotniałym zwierciadle, a potem znikał - przepadał nie wiadomo gdzie, by znów się ukazać niespodzianie, to bliżej, to dalej, raz większy i wyraźniejszy, raz odległy, mały, zaledwie dostrzegalny wśród wyboistej, lśniącej jak atlas równiny chmur.

Po upływie pół godziny nurt wiatru stał się spokojniejszy, przestało rzucać i tylko mocny ciąg na sterach bezskutecznie usiłował wyłamać maszyną z kursu. Piotr uregulował fletnery, aby zrównoważyć ten napór, i zwracając się do Cygana powiedział:

- Niech tam Włodek zapyta o naszą pozycję.

Cygan wstał z pasa zawieszonoego w przejściu za fotelami pilotów i zajrzał do Elmera.

- Stary pyta o fix - wrzasnął mu nad uchem.

Elmer właśnie przed chwilą ów fix odebrał

przewidując z góry to żądanie. Skinął głową nie zdejmując słuchawek, nakreślił na kartce współrzędne i dopisał: Mijamy Kłodawę dokładnie na kursie.

Cygan wrócił, oddał kartkę Piotrowi, a potem - nachyliwszy się nad Flisakiem - właściwym sobie gestem uniósł łokieć i oświadczył:

- Tak lecimy, bracie!

Flisak uśmiechnął się.

- Jak po drucie?

- Jak po szynach - odparł Cygan.

Rzucił okiem na termometry wody i smaru, sprawdził stan ciśnienia i uspokojony zasiadł z powrotem na pasie.

- To jutro nocujemy w Warszawie - powiedział bez specjalnego celu, jak się mówi o przyjemnej, lecz wszystkim już wiadomej nowinie.

Piotr spojrział na niego zdziwiony.

- W Warszawie? - powtórzył.

- No, przecież idziemy do „Cebuli” - ożywił się Cygan. - A do Szczecina leci za nas kapitan Ostkiewicz. I pojutrze mamy wolne.

- Prawda - mruknął Piotr. - Zapomniałem.

Uprzytomnił sobie, że przed dwoma tygodniami nie zdążyli odbyć badań lotniczo-lekarskich, bo odwołano ich z „Cebuli” na przelot do Szczecina w związku z katastrofą Godzickiego. Nazajutrz wydział załogowy powiadomił ich o nowym terminie, w kwietniu; ten termin przypadał na dzień następny.

To się dobrze składa - myślał. - Wrócimy ze Szczecina o dziesiątej piętnaście; o jedenastej będziemy w CBLL. Zostało mi dwóch czy trzech specjalistów, to się do pierwszej skończy. Potem - obiad w „Picadorze” i można będzie załatwić wszystkie sprawunki.

Wieczorem pójdę do teatru - postanowił.

Miał na myśli nową sztukę znanego autora, którą widział już w próbach. Zamierzał o niej napisać. Pisywał od czasu do czasu krytyki teatralne pod pseudonimem „PIMAR”, którego użył po raz pierwszy mając zaledwie siedemnaście lat. Nikt wtedy nie wiedział, że to on. A teraz... - uśmiechnął się, lecz odsunął na bok te myśli.

Na czwartek umówił się z Mary, ale dopiero po południu. Rano mieli mu przywieźć biurko, które oddał do odnowienia.

To już chyba wszystko?

Me: miał nieprzyjemne uczucie, że o czymś jeszcze zapomniał, że coś komuś obiecał i nie dotrzymał tej obietnicy.

Mary? Nie. Z Mary widział się dwukrotnie i na pewno miał się z nią spotkać we czwartek. To zresztą było coś innego.

Raz jeszcze zaczął przebiegać myślą program na środę. Centrum Badań Lotniczo-Lekarskich, „Picador”... Zaraz: czy to nie w związku z „Picadorem”? Z kim się tam umawiał?

Wzruszył ramionami. Chyba z nikim.

Sprawunki: mydło, woda kolońska, żarówka... To miał zapisane. No i teatr. W środę? Tak, w środę miała być premiera.

Teatr! Nagle sobie przypomniał: „Alkad z Zalamei”! - ta ładna medyczka, Hanka... Zaprosił ją do teatru! Dwa tygodnie temu!!

- Niech to wszyscy diabli! - zaklął głośno. Flisak i Cygan spojrzeli na niego równocześnie.

- Co takiego?

- Ach, nic - mruknął zmieszany. - Zapomniałem coś

załatwić. Mniejsza z tym.

Ale bynajmniej nie myślał, żeby „z tym” się nie liczyć. Było mu głupio. Jeżeli ta dziewczyna wtedy czekała na niego w teatrze...

Na pewno czekała - powiedział sobie z irytacją. - Nie wykręcaj się teraz, stary bałwanie! Będziesz jutro ładnie wyglądał, jak ją spotkasz.

Przyszło mu do głowy, że mógłby tego uniknąć i nie pokazać się wcale w pokoju, gdzie pracowała; badanie krwi miał już za sobą. Ale natychmiast zawstydził się tej myśli.

Trudno! Trzeba przez to przebrnąć.

Postanowił, że zaraz po powrocie ze Szczecina zdobędzie bilety na ową premierę. No i powinna przecież zrozumieć, że w” tamtych okolicznościach...

Rozprawiwszy się tak z tą kwestią przestał o niej myśleć. Nałożył słuchawki, żeby się dowiedzieć od Elmera o stanie pogody w Poznaniu (gdy tam lądowali o wpół do dziewiątej rano w drodze ze Szczecina, złapał ich ulewny wiosenny deszcz).

Teraz Poznań zawiadamiał, że pułap chmur trochę się podniósł, lecz że przewidywane są krótkotrwałe burze z bardzo silnymi porywami wiatru. Natomiast na całym wybrzeżu warunki atmosferyczne pogarszały się. W Sundzie i na zachodnim Bałtyku szalał sztorm. Niż barometryczny przesunął się znad Morza Północnego w kierunku południowo-wschodnim, nad Danię i Niemcy, ogarniając już Polskę.

Wkrótce spotkali się z pierwszymi jego oznakami. Górna warstwa obłoków ciemniała i stopniowo opadała coraz niżej, przyćmiewając panującą dotąd jasność, która wreszcie przeszła w zmierzch. Ciężkie, długie, obwisłe ogony chmur wlokły się na drodze maszyny, a przestrzeń pomiędzy obiema

warstwami zacieśniała się coraz bardziej. Wypiętrzone od spodu kłęby, jeszcze ciągle białe, lecz już bez atlasowego połysku, przewalały się zwolna, wzdymały, puchły, wyginały potężne grzbiety wzwyż. Płytką luka pomiędzy nimi lada chwila mogła się zamknąć jak paszczyka gigantycznego smoka.

Wprost przed samolotem ciemniała jakaś wielka, bezkształtna plama rozprzestrzeniając się ciągle, rzekłybyś - nadbiegająca fala powodzi, która zerwała tamy i rozlewa się po równinie. Zadęło stamtąd gwałtownym wichrem, zaszamotało skrzydłami, rzuciło w górę, w dół i znów w górę.

Piotr spokojnie i pewnie sparował ten atak. Potem zmniejszył obroty.

Schodzimy pod chmury - powiedział - przyciskając laryn-gofon do krtani, aby Elmer usłyszał go w swoim przedziale radio.

- Nadaję: schodzimy poniżej chmur - odrzekł telegrafista.

Strzęp białego obłoku musnął ich w pędzie, przewiał przed szybami kabiny i przepadł. Wspaniały porcelanowy gmach uwieńczony setką baniastych, matowobiałych kopuł, leciał im na spotkanie, rozrastał się w oczach, zasłaniał sobą wszystko. Wpadli weń jak w górę puchu, który otoczył ich zewsząd i stopniowo ciemniał, aż stał się szary jak popiół.

Werble wichury zagrały na burtach i urwały się nagle. Garbaty nurt odsądził się i wyrznął łbem pod skrzydło, ale nie zdołał nawet wychylić samolotu: wolant w rękach pilota przekręcił się o ćwierć obrotu, lotki wparły się w tęgi opływ pędu i maszyna pokonała wydźwig. Wiatr mocował się z nią jeszcze; owinał się na sterach i darł się na ich krawędziach drgających z wysiłku, lecz w końcu osłabł i puścił je zniechęcony.

Natychmiast zresztą uderzył znowu - tym razem od spodu. Chwytał samolot na barki i niósł go wzwyż targając skrzydłami, aż zniecka wymknął się i spadł nań z góry, aby go zagrzebać w jakimś głębokim wirze.

Podziałka warioimetru potoczyła się z panicznym pośpiechem, strzałka wysokościomierza zaczęła szybciej zstępować po drabince skali, skrzydła zapadały, grzęzły w otchłani rozrzedzonego powietrza.

Pasażerowie nerwowo chwycili poręcze foteli; stracili nagle na wadze, jakby ich ciała były z papieru. Zaraz potem wgniotło ich w miękkie poduszki siedzeń, nalało w członki ołowiu. Nurt sprężył się pod skrzydłami, stwardniał, ubity, stratowany nową szarżą cwałującego wichru.

Wtem popiół za oknami gondoli zaczął szybko rzędnąć i rozsypał się nad ciemną masą ziemi, która objawiła się w głębi przestrzeni, rozległa, płaska, sunąc wolno, majestatycznie pod niebem zorany w szerokie skiby chmur.

W słuchawkach Piotra rozległ się nosowy głos Elmera:
- Minęliśmy Swarzędz, przechodzimy na Kontrolę.

Dalszy lot na przestrzeni dwustu kilometrów z Poznania do Szczecina upłynął załodze samolotu SP-ACH na nieustannym zmaganiu się z przeciwnym wiatrem, pod niebem zawalonym chmurami, których warstwa sięgała zbyt wysoko, aby ją przebić. Ma-, szynę prowadził Flisak, z twarzą poważną, spokojną, skupioną, lecz w pozie swobodnej, jak wprawny szermierz, który wprawdzie nie lekceważy słabszego przeciwnika, ale zna go dobrze i jest pewien, że odeprze każdy jego atak nie dając się zaskoczyć żadną fintą.

Piotr nie patrzył na niego. Widział tylko jego duże, kościste dłonie obejmujące uchwyt wolantu i skręcające go w lewo lub w prawo. Były to silne, nawykłe do pracy,

prawdziwie chłopskie dłonie, o których Emil Hornowski wyraził się kiedyś pogardliwie, że „nadają się bardziej do cepa i wideł niż do steru”.

Piotr nie podzielał tego zdania. Zdążył się już przekonać, że Janek Flisak jest naprawdę dobrym pilotem. Wydawał mu się również dobrym chłopcem, trochę skrytym, lecz bardzo prawym i prostolinijnym. Nie można było przywiązywać żadnej wagi do słów Hornowskiego wypowiedzianych tego dnia w bufecie poczekalni dworcowej na Okęciu. Emil był rozgoryczony. Jego zrozumiała niechęć do Janczara przeniosła się także na Flisaka, którego Janczar szkolił.

A jednak... Może istotnie dyrekcja im nie ufała? Przemawiało za tym stałe pomijanie Piotra przy wyznaczaniu pilotów na linie zagraniczne.

Nie zależało mu tyle na kilkunastogodzinnym pobycie w Berlinie, Paryżu czy Budapeszcie lub Sztokholmie (choć i to miało swój urok), ile na samym locie do tych portów lotniczych, na urozmaiconej trasie. Najdłuższa z krajowych linii LOT-u, Katowice - Gdańsk, liczyła zaledwie pięćset siedem kilometrów; najdłuższy przelot pomiędzy dwoma lotniskami - trzysta dwadzieścia kilometrów. Były to „tramwajowe podróże”, jak je pogardliwie nazywał. Niektóre z nich trwały tyle co przejazd kolejką elektryczną z Warszawy do podmiejskiego letniska.

Szlaki zagraniczne też co prawda nie były imponujące: pięć godzin do Sztokholmu (z półgodzinnym postojem w Gdańsku) czy nawet siedem godzin do Paryża (z czterdziestominutowym postojem w Berlinie), cóż to było w porównaniu z potężnymi przelotami na liniach Air-France z Paryża do Saigona, Rio de Janeiro i Santiago, czy też Imperiał Airways - z Londynu do Indii i Australii, nie

mówiąc już o radzieckim Aeroflocie, którego niebieskie drogi rozciągały się olbrzymią siecią na przestrzeni stu osiemdziesięciu tysięcy kilometrów, od Kijowa do Władywostoku i od Uchty po Stalingrad.

W każdym razie przelot z Warszawy do Paryża to już nie przejażdżka za rogatki - myślał Piotr.

Tymczasem SP-ACH minął dwa odgałęzienia torów kolejowych i przeciął Wartę między Sierakowem a Wronkami. Elmer nadał *przez* radio zwykły meldunek: pozycja, wysokość, stan pogody.

Gwałtowne szkwały deszczowe przelatywały raz po raz nad rozległymi lasami Puszczy Noteckiej, zmieniając małe rzeczki i strumienie w spienione, szeroko rozlane rzeki. Potem dwa łańcuchy jezior połączonych krętymi korytami Iny i Płony wynurzyły się spoza smug ulewy i wreszcie z daleka zabielały grzywacze na Medwiem.

Piotr na próżno szukał wzrokiem znajomej pary łabędzi wśród białej piany fal, które z impetem wpadały na wysoki brzeg rozpryskując się u stóp potężnych sosen, i pośród spłowiałych, suchych trzcin, które przegarniał wicher. Ptaki ukryły się zapewne w wąskiej zatoce po stronie nawietrznej, aby przeczekać sztorm. Ich gniazdo, zmiecione z niskiej wysepki na płyciźnie, stało się igraszką wzburzonego żywiołu.

Rozdział VIII

INazajutrz było nadal jeszcze pochmurno, ale sztorm się skończył i wiatr osłabł znacznie. Wylądowawszy w Warszawie Piotr polecił Flisakowi załatwienie zwykłych formalności, sam zaś pojechał do miasta autobusem z pasażerami. Przed dyrekcją na Hożej złapał taksówkę i o jedenastej wpadł do sekretarza teatru po bilety. Otrzymawszy je zawahał się przez chwilę, czy nie należałoby poprzeć

przeprasin wiązanką świeżych kwiatów, ale odrzucił tę myśl z lekką irytacją:

Wariat? Będę ganiał po „Cebuli” z wiechciem narcyzów!

Wskoczył do taksówki, która na niego czekała, podał adres.

Postanowił, że „nie będzie się zanadto wygłupiał”. Jak się dziewczę nie da od razu przebłagać i będzie grało obrażoną królową, to pal ją łąho.

Ale to postanowienie wcale go nie zadowalało. Mimo woli wy^ woły wał w pamięci jej uśmiech, ton głosu, śmiałe spojrzenie ciemnoniebieskich oczu...

Bardzo miła dziewczyna - pomyślał.

Ogarnął go pogodny, beztroski nastrój, jakiego od dawna nie doświadczał.

Taksówka stanęła. Piotr zapłacił za kurs i szybko biegł po schodach przesadzając po dwa stopnie. Ale gdy wszedł do oddziału badania krwi, zamiast jasnowłosej Hanksi zastał (oprócz znajomej laborantki w okularach) niezwykle chudą, wysoką osobę o długim nosie i spiczastym podbródku.

Pech - pomyślał zawiedziony.

Panna Klara powitała go przychylnym uśmiechem i skinieniem głowy. Była widocznie bardzo zajęta swoimi próbkami, których cała bateria czekała na opis, lecz poświęciła mu chwilę uwagi.

- Pan znów u nas?

- Tak - bąknął niepewnie. - Nie skończyliśmy wtedy wszystkich badań...

- Właśnie, wiem, wiem - przerwała mu. - Straszny wypadek... Ale u nas nie potrzebujecie się zgłaszać powtórnie. To już na ten raz załatwione.

- Ja też nie w tej sprawie - odrzekł Piotr. - Myślałem,

że... że tu jest ktoś z mojej załogi - skłamał naprędce.

Panna Klara uśmiechnęła się domyślnie. Zniżyła głos.

- Nie. Tej osoby, której szukacie, nie ma już od kilku dni. Trochę była na was rozzalona, ale dowiedziała się potem, że nie mogliście przyjść.

- Ach tak? - mruknął Piotr spoglądając na przeraźliwie chudą medyczkę, podobną do wysokiej drabiny odzianej w biały kitel.

- Ma przerwę w wykładach - powiedziała laborantka. - Jest na urlopie.

Piotr doznawał sprzecznych uczuć. W tej chwili żał mu było i premiery, i kolacji w „Picadorze” w towarzystwie ładnej dziewczyny. Nie miał ochoty pójść tam samotnie, choć tak sobie to ukła dał poprzedniego dnia. Ogarnęło go zniechęcenie. Pomyślał, że nie zdobędzie się na to, aby zaprosić do teatru pannę Klarę. Ale trzeba było coś zrobić z biletami.

- Wie pani co - powiedział po krótkim wahaniu. - Mam tu dwa bilety na dzisiejszą premierę. Może by pani chciała... ewentualnie z koleżanką albo z kimś innym... bo ja jestem bardzo zajęty i nie mógłbym pani towarzyszyć. Myślałem, że pójdziecie we dwie z panną Hanką... - plątał się coraz bardziej, chcąc jakoś z tego wybrnąć.

Laborantka patrzyła na niego z wyrozumiałym uśmiechem; zdawało mu się, że widzi go na wskroś, jakby był ze szkła, ale przebacza mu te niezręczne wykryty.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała. - Chętnie pójdziemy.

Zostawił bilety i wyszedł, raczej wymknął się, zły na siebie i na tę jasnowłosą dziewczynę, która była przyczyną jego zmieszania.

Co ona mnie, u diabła, obchodzi?! - pomyślał. - Ta

Klara z pewnością wyobraża sobie *teraz*, że ja...

Nie dokończył tej myśli, wzruszył tylko ramionami.

Poszedł do okulisty, poddał się badaniom laryngologa i wychodząc z jego gabinetu przyłapał się na tym, że wspomnienie o Hance i „całej tej historii” ciągle jeszcze tkwi w jego świadomości jak drzazga wbita w palec. Doszedł do wniosku, że powinien jednak jakoś to wyrównać i zakończyć, żeby być w porządku z samym sobą.

Pośle jej wiecheć narcyzów i parę słów usprawiedliwienia - pomyślał i znów z irytacji wzruszył ramionami; nie wiedział przecież ani jak ona się nazywa, ani gdzie mieszka, ani czy jest w Warszawie. - Trzeba było zapytać o to Klarę.

Wtem dostrzegł w korytarzu całą swoją załogę i natychmiast przypomniał sobie, że Flisak rozmawiał z Hanką tak, jakby się dobrze znali.

- Co wam jeszcze zostało? - zapytał upewniwszy się, że Flisak załatwił wszystko na lotnisku.

- Nerwy i krew - odrzekł Elmer. Zabrzmiało to zabawnie w jego ustach.

- Ja bym cię nie posądzał ani o jedno, ani o drugie - uśmiechnął się Piotr. - Ale wszystko jest możliwe.

- Nerw to on faktycznie nie ma - oświadczył Cygan. - Ale krew nawet ryby posiadają, więc przypuszczam, że owszem.

- Odczep się - jęknął Elmer. - Czy ja ci wypominam, że masz tyle rozumu w swoim zakutym łbie co w starym materacu?

Cygan wybałuszył na niego oczy, zmarszczył się, zastrzygł odstającymi uszami i powiedział:

- O rany, jaki się z niego kozak robi! A ja mówiłem, że nerw nie ma... No to idziem na ten oddział wariatów,

Włodek, bo coś z tobą kiepsko.

Elmer chciał coś jeszcze odpowiedzieć, ale widocznie uznał, że nie warto, bo tylko pokiwał głową z politowaniem, przy czym niesforny kosmyk włosów opadł mu na czoło nadając jego melancholijnej twarzy wyraz rezygnacji. Pozwolił Cyganowi ująć się pod rękę i poszli we dwóch do gabinetu neurologa.

- A wy? - spytał Piotr, zwracając się do Flisaka.

- Ja już tam byłem - odrzekł Flisak. - Tylko krwi mi jeszcze nie pobrali do badania.

- Aha - ożywił się Piotr. - Jak się nazywa ta wasza znajoma medyczka, co tam pracowała? Taka sympatyczna blondynka, Hanka jej na imię.

- Hanka? To moja siostra - powiedział Flisak. - Nazywa się Flisakówna.

-> Wasza siostra?! Zaskoczyło go to.

- Bardzo miła dziewczyna - mruknął. - Jest, zdaje się, na urlopie?

Flisak patrzył na niego z zagadkowym uśmiechem.

- Tak, mają teraz przerwę w wykładach na akademii - odrzekł. - A ona to samo o was powiedziała, jak tu byliście wtedy, dwa tygodnie temu - dodał, jakby przewyciężając wahanie.

- Co powiedziała? - spytał Piotr z roztargnieniem.

- Rozpytywała się o was, bo jej mówiłem, że jestem w waszej załodze. Ale jeszcze was wtedy za mało znałem, żeby... no, żeby...

- Żeby mi wystawić jaką taką opinię - uśmiechnął się Piotr.

- Nie opinię, ale... co ja tam mogłem o was wiedzieć poza tym, że jesteście starym pilotem i że was załoga lubi? Ucieszyłem się, że z wami będę latał, od razu mi się

podobało, jak do mnie wtedy przemówiliście, ale przecież takie pierwsze wrażenia czasem zawodzą. Co innego teraz. A ona właśnie prawie to samo powiedziała, co wy o niej. „Ten Maresz to bardzo miły człowiek”. No i tak myślę, że miała rację. Piotr się roześmiał; położył mu rękę na ramieniu.

- Naprawdę tak myślisz, Jasiu?

- No chyba - potwierdził Flisak.

- A ja się boję, że twoja siostra właśnie teraz myśli inaczej.

- Dlaczego miałyby inaczej myśleć?!

- Obiecałem jej coś załatwić i zapomniałem. A ona wyjechała na urlop i... sam rozumiesz...

- Po pierwsze, nigdzie nie wyjechała - odrzekł Flisak - a po drugie, taka znów obraźliwa to ona nie jest.

- A gdzie mieszka? - spytał Piotr.

- W bursie akademickiej na Grójeckiej.

- I tam spędza ten urlop?

- Lata.

- Co robi? - zdumiał się Piotr.

- Lata - powtórzył Flisak. - Trenuje w aeroklubie. Ona, uważacie, chce zostać lekarzem lotniczym. Dobrze lata - dodał. - W czasie eliminacyjnych zawodów była w pierwszej piątce.

- No, no! - mruknął Piotr. - Myślałem, że ją dziś tu spotkam.

- Jak chcecie, to napiszcie do niej parę słów - powiedział Flisak po namyśle. - Ucieszy się.

Piotr odrzekł, że napisze. Rozstali się przed drzwiami gabinetu neurologicznego. Flisak zawrócił i wolno szedł w stronę oddziału badania krwi. Pomyślał, że bardzo lubi tego swojego kapitana Maresza. Trapiło go, że nie potrafi tego okazać we właściwy sposób. Wiedział, że Piotr odwzajemnia

tę jego sympatię; czuł to wyraźnie, jasno. Ba, Maresz umiał dać mu to poznać w sposób prosty i naturalny, choćby kładąc mu rękę na ramieniu i mówiąc do niego: Jasiu... Ale to były sposoby dobre dla Maresza. A on - co? Czy Maresz z tych jego niezgrabnych słów mógł się domyślić, że ma w nim szczerzego przyjaciela?

No, może się kiedy przekona - powiedział sobie w duchu.

Piotr zrezygnował z obiadu w „Picadorze”, zjadł coś w pierwszym lepszym barze i załatwiwszy zakupy poszedł do domu. Mieszkał w pobliżu ulicy Filtrowej, na cichej, bocznej uliczce, gdzie wśród kilku ruin, nie odbudowanych jeszcze po zniszczeniach wojennych, stał jeden ocalały, prawie nie uszkodzony dom w głębi dużego ogrodu.

Był to niski stary dom, zbudowany na długo przedtem, zanim tu powstała dzielnica will i kilkupiętrowych budynków spółdzielni mieszkaniowych. Miał wygląd zaniedbany i dość ponury, ale odznaczał się bardzo wygodnym rozkładem pokoi. Wchodziło się tam po kilku szczerbatych stopniach na mały ganek otoczony balustradą z brzydkich betonowych balasków. U framugi ogromnych dwuskrzydłowych drzwi była tabliczka z nazwiskami lokatorów i przyciskami dzwonek, które zresztą zwykle nie działały. Działał natomiast dzwonek z rękojeścią do pociągania, jęczący rozpaczliwie i alarmująco w ciemnym korytarzu, wiodącym do obszernego kwadratowego hallu.

Ów hall, sięgający stropu poddasza, słabo oświetlony z góry dwoma okienkami, kończył się owalną wnęką, z której wiała się w górę ciasna klatka schodowa. Ściany na lewo i na prawo, między korytarzem wejściowym a wnęką, były podzielone w równych odstępach drzwiami do czterech pokoi, kuchni i łazienki. Przy klatce schodowej stał na

postumencie gipsowy odlew Wenus, okryty zakurzoną i w kilku miejscach połatany prześcieradłem, spiętym pod brodą bogini dużą, zardzewiałą agrafką. Między drzwiami tkwiły jakieś rozłazące się szafy i skrzynie z wielopiętrowymi stosami walizek, a środek hallu zajmował potężny stół bilardowy ogołocony z sukna i ozdobiony kilku doniczkami, w których wędły anemiczne pelargonie. Czasem, kiedy promień słońca zabłąkał się przez górne okna i padał na marmurowy blat stołu, pomiędzy pelargoniami zasiadał niemrawy kot i trwał tam nieruchomo, mrużąc oczy przed światłem, obojętny na wszystko i wszystkich.

Mimo jego obecności pachniało w hallu myszami, chyba że tę woń przewyciężał dochodzący z kuchni swąd przypalonego mleka lub smażonej cebuli.

Właścicielką i gospodynią tej rezydencji była panna Julia Na-bielec, osoba czterdziestoletnia, utrzymująca się z odnajmowania czterech pokoi oraz z dochodów ubocznych za ich sprzątanie i opalanie, a także za przyrządzanie posiłków lokatorom.

Lokatorów - oprócz Piotra - było czworo.

Pod jedyneką na lewo mieszkał pan „prezes” Stobiecki, poważny stary kawaler o ascetycznej twarzy, który wychodził zawsze punktualnie o dziewiątej z rana i wracał przed wieczorem, po czym przyjmował u siebie licznych interesantów bardzo różnego rodzaju - poczynając od księży i sióstr zakonnych (w godzinach wcześniejszych), kończąc zaś na przekupniach z „ciuchów” i wyzywająco umalowanych dziewczętach (przychodzących zazwyczaj znacznie później). Julia poinformowała Piotra, że Stobiecki niegdyś był prezesem dobroczyńnego stowarzyszenia imienia św. Magdaleny. Stowarzyszenie już nie istniało, a Stobieckiemu pozostały po nim tylko stosy jakichś broszurek, których był

autorem i zarazem wydawcą, oraz ów tytuł. Obecnie „prezes” zajmował się interesami handlowymi, których natury nikt nie znał. Nawet Julia nie mogła tego dociec. Następny pokój zajmowały dwie kobiety. Starsza, wysoka, o imponującej postawie, ze śladami dawnej piękności i niewygasłym ogniem w oczach, ubierała się w powłóczyste suknie, białe żaboty i pachniała mocnymi perfumami; młodsza, która mogła uchodzić za jej córkę, jakkolwiek nosiła inne nazwisko, była ułomna; miała jakąś wadę kręgosłupa, skutkiem czego poruszała się z trudem, sztywno jak manekin. Twarz miała bladą, z sinawymi, wąskimi wargami, których kąciki wyginały się w dół nadając jej rysom wyraz cierpienia. Tylko oczy - takie jak u starszej - płonęły w tej bladej twarzy urzekająco i dumnie.

Matka i córka (czy może siostrzenica?) otrzymywały regularnie co dwa tygodnie przesyłki pocztowe z Ameryki. Były to duże paczki opatrzone stemplami celnymi, zawsze owinięte w zielony papier i gęsto osznurowane. Raz w miesiącu, zwykle zaraz po pierwszym, odwiedzał te panie jakiś bardzo wytworny mężczyzna z patriarchalną brodą. Wtedy Julia parzyła w kuchni kawę i przepływała przez hali niosąc ją wraz z kosztowną porcelanową zastawą na dużej srebrnej tacy, a jeśli Piotr był w domu, wracając uchylała drzwi do jego pokoju i informowała go poufnym tonem, że „hrabia August przyjechał i jest z wizytą”.

Przez ścianę z Piotrem sąsiadował „pan sekretarz ambasady”, jak go tytułowała Julia. Był to mężczyzna nieokreślonego wieku” z siwymi, gładko zaczesanymi w tył włosami i młodzieńczą twarzą bez zmarszczek. Istotnie pracował w ambasadzie francuskiej, gdzie zajmował jakieś podrzędne stanowisko. Ubierał się zawsze czarno, nieco staromodnie, nosił lakierki, na ulicy zaś melonik i duży,

starannie zwinięty parasol. Cała ta garderoba była mocno podniszczona, a Piotr podejrzewał, że parasol jest fatalnie dziurawy, bo „sekretarz” nie otwierał go nawet podczas największej ulewy. Był obywatelem polskim, lecz pochodził z rodziny francuskiej, jak o tym świadczyło jego nazwisko - Malaine. Wyglądał trochę na niebieskiego ptaka lub na wykolejeńca z tzw. „lepszej sfery”.

Ten wymykał się ze swego pokoju chyłkiem i powracał o różnych porach w podobny sposób, cicho i niepostrzeżenie. Czasem się upijał samotnie i wtedy grał na skrzypcach, zresztą dobrze i nie-hałaśliwie, a potem przez cały następny dzień wylegiwał się w łóżku.

Julia z niezachwianą wiarą w jego „migrenę” zanosila mu syfony wody sodowej, aspirynę i herbatę z cytryną, a zabierając puste butelkipo wódce udawała, że nie zna ich przeznaczenia.

„Prezesa” bała się jak ognia, dla pań spod dwójki żywiła niezmierny szacunek, „sekretarza ambasady” otaczała samarytańską opieką, Piotra starała się nawrócić i uratować jego duszę przed czyścem.

Z początku wydawało się jej, że to będzie sprawa beznadziejna; posądzała go nawet o jakieś ciemne praktyki i pakt z diabłem, mając po temu pewne swoje powody. Później jednak zaczęła go uważać tylko za młodego, niedoświadczonego chłopca o niewinnym sercu, narażonego na doczesne pokusy, a przy tym za mało dbającego o zbawienie.

Codziennie rano otwierała bezszelestnie drzwi jego pokoju i płynąc drobnymi kroczkami w swej sztywnej, szarej sukni o prostych fałdach, które nawet się nie chwiały, jakby były wyciosane z drzewa, zaczynała mówić, zanim jeszcze postawiła na nocnym stoliku tacę ze śniadaniem.

Oświadczała, że była na prymarii, skutkiem czego czuje się bardzo podniesiona duchowo, po czym składała pobożnie ręce na sterzącym brzuchu, a z jej przywiedłych ust zaczynał płynąć potok słów, jakby namaszczonego mdłym olejem.

Nie wymagała od Piotra, żeby przed śniadaniem chodził na mszę, jak ona, albo żeby codziennie się komunikował. Ale mógłby przynajmniej czynić znak krzyża świętego, zanim zacznie pić kawę i jeść bułkę z masłem.

Był to, jej zdaniem, doskonały sposób na odpędzenie wszelkich pokus podsuwanych człowiekowi przez diabła - środek równie skuteczny jak na przykład wywar z szaławii na ból zębów (nie robiła wprawdzie takich porównań, lecz powszedni ton jej zbożnych rad i zaleceń nasuwał je Piotrowi nieodparcie).

Udzieliwszy mu tej wskazówki zaciskała na chwilę wargi, jakby w oczekiwaniu na jej praktyczne zastosowanie, po czym - ponieważ Piotr nie zwracał na to najmniejszej uwagi - przechodziła do spraw bardziej materialnych.

Pomimo wzniosłych chwil, przeżytych na mszy porannej, pobożną jej duszę przenikała bezsilna wściekłość na jakąś Malinow-ską czy też Wiśniewską, która zażądała tyle a tyle za pęczek marchwi lub za kilogram kartofli. Julia była bowiem chciwa i skąpa, a codzienna konieczność płacenia za produkty wydawała się jej ciężką niesprawiedliwością. Jej zdaniem dobrotliwy Stwórca działał trochę zbyt powolnie; za bardzo zwlekał z wymiarem kary nie wtrącając natychmiast do czeluści piekielnych zarówno sprzedawców jarzyn, jak rzeźników, piekarzy, mleczarzy, a przede wszystkim urzędników skarbowych, którzy przysyłali jej nakazy podatkowe i upomnienia.

Tematu do dalszych jej wynurzeń dostarczali zwykle

lokatorzy i ich goście. Odslaniając story w oknie unosiła się nad religijnymi zasługami „prezesa”, który z takim poświęceniem oddaje się działalności misjonarskiej nawet wśród aktorek.

- Bo te panienki, które tu przychodzą, to aktorki. Tak powiedziała pani spod dwójki. Nie mogę pojąć, jak można tak nisko upaść - wzdychała.

Piotr miał niejaki wątpliwości zarówno co do zawodu „panienek”, jak co do misjonarskich zabiegów „prezesa”, ale się z tym nie zdradzał.

Julia łypała ku niemu wyblakłymi, wodnistymi oczyma i nie zrażona milczeniem lokatora informowała go o bieżących sprawach domowych. „Pana sekretarza ambasady” znów ciężko doświadczyła Opatrzność zsyłając nań atak migreny. Pan hrabia odwiedził „te panie”, przywożąc kwiaty. Czy Piotr nie zauważył zdumiewającego podobieństwa między młodszą z nich a hrabią Augustem? Nie? Przecież to się rzuca w oczy! Z pewnością jest jej krewnym, może stryjem? Nie, raczej wujem, bo przecież nazwisko... Wspaniały mężczyzna! Wychodząc stąd, zawsze obdarza Julię skromnym datkiem. To bardzo ładnie z jego strony. Niestety nie wszyscy umieją w ten sposób okazać trochę serca biednej, samotnej pannie.

Piotr tymczasem kończył śniadanie i oświadczał, że idzie do łazienki, więc Julia, wydawszy kilka pobożnych westchnień, zabierała tacę i odpływała do hallu, po czym uzbrojona w szczotki i ścierki zaczynała krążyć po całym domu w świątobliwym zamyśleniu: oddawała się samarytańskim czynnościom dokoła chorego „sekretarza”, mrużąc egzorcyzmy wietrzyła pokój „prezesa” po wizycie nawracanej przez niego „aktorki” lub podsłuchiwała pod drzwiami „tych pań”.

Swoje mieszkanie u bogobojnej Julii Nabelcówny Piotr zawdzięczał Hornowskiemu lub raczej jego żonie, która się z Julią przyjaźniła. Poprzednio mieszkał tam cioteczny siostrzeniec Julii, Karol Surowiec, młody człowiek, którego Emil Hornowski upatrzył sobie na zięcia. Piotr znał go zresztą również (ta znajomość datowała się od jego lat chłopięcych), ale nie utrzymywał z nim od dawna żadnych stosunków. Gdy Surowiec przeniósł się do świeżo odbudowanego domu spółdzielni mieszkaniowej na sąsiedniej ulicy, Hornowscy polecili panie Nabelcównie Piotra.

Wprowadził się tam z własnymi meblami, których miał niewiele, ale z którymi nie chciał się rozstać, ponieważ stanowiły pamiątkę po ojcu. Było tego zaledwie kilka sztuk: antyczne biurko, tapczan, mała szafa na ubrania i bieliznę, dwa fotele i składane półki na książki. Główną ozdobę obszernego pokoju stanowił piękny dywan, kupiony zaraz po powrocie z Anglii, oraz bardzo dobry portret Jerzego Maresza, wiszący nad biurkiem.

Piotr lubił to swoje zaciszne, przyjemne mieszkanie. Rzadko kiedy przyjmował kogokolwiek, natomiast sam chętnie przebywał w pokoju, spędzając czas na czytaniu i kolekcjonowaniu znaczków pocztowych.

Oba te zajęcia budziły nieufność Julii. Książki świeckie, jeśli nawet nie wszystkie były dziełem szatana, to w każdym razie nie służyły zbawieniu duszy. Zwłaszcza te, które Piotr czytywał. Julia starała się ich nie dotykać, od czasu gdy raz przeczytała z niejakim trudem tytuł jednej z nich wydrukowany dziwnymi literami o niezwykłych kształtach: „Czary i czarty polskie oraz wypisy czarnoksiężskie” \ a potem z karygodną lekkomyślnością zajrzała do środka.

¹ Tu w im: „Czary i czarty polskie oraz wypisy czarnoksiężskie”¹. Wyd. „Biblioteki Polskiej”, Warszawa 1924.

Co czyni szatan z nowoprzyjętymi czarownikami? Każę zaprzeć się Boga i świętych; potem, ochrzciwszy, daje proso czarne z proszkiem wątroby niemowląt nie chrzczonych albo krew ssie z nogi lewej; używa zaś tego, aby nie wydawali sekretu nawet na torturach.

Skamieniała ze zgrozy. Włosy stanęły jej dęba. Upuściła tę okropną książkę i cofając się wolno ku drzwiom, znalazła się wreszcie w hallu, z sercem bijącym trwogą, błada jak ściana. Dopiero tu odzyskała głos i całkowitą władzę w nogach. Pisnęła cienko, zakasała sztywną spódnicę i popędziła do swego pokoiku na poddaszu gnana zabobonnym strachem.

Przez dłuższy czas bacznie obserwowała Piotra z mieszaniną obawy i ciekawości, jakby oczekiwała, że któregoś dnia wyleci kominem na jej własnej szczotce do zamiatania z braku miotły. Gdy się to nie spełniało, a w domu nie działo się nic nadprzyrodzonego i nie pachniało piekielną siarką, tylko nadal myszami i przypalonym mlekiem - uspokoiła się jakoś. Ale na wszelki wypadek omijała z daleka półki z książkami w pokoju Piotra, nie okurzając ich nawet, aby się z nimi nie stykać.

Gruby album ze znaczkami pocztowymi także nie cieszył się jej względami, głównie z powodu dziwnego brzmienia wyrazu „filatelistyka”. Ta nazwa kryła w sobie - jak się jej wydawało - coś niesamowitego; była tajemnicza, niezrozumiała, jak nazwa jakiejś groźnej, nieznannej choroby, na którą, cierpią opętani przez złego ducha. Julia nie mogła dociec, po co Piotr zbiera zużyte znaczki; mogło to mieć jakiś związek z czarami.

Z tą sprawą nie poszła wprawdzie do swego spowiednika, lecz zwierzyła się Ludwice Hornowskiej, która ją wyśmiała. Dzięki owej rozmowie Julia ostatecznie doszła do przekonania, że duszę Piotra dałoby się jeszcze uratować, i postanowiła-przyczynić się do tego w miarę swych możliwości.

Gdy Piotr otworzył drzwi własnym kluczem i wszedł do hallu, panował tam półmrok. Mała żarówka, osierocona w kolisku ciężkiego, secesyjnego żyrandola z matowymi tulipanami, ledwo rozpraszała ciemności przeświecając przez grubą warstwę kurzu, którym była pokryta. Wenus pod krętą klatką schodową, skromnie okryta prześcieradłem, pochylała swą piękną głowę zwracając ją lekko w prawo, jakby chciała spojrzeć ukradkiem, czy kto nie schodzi z góry. Uwieńczony pelargoniami stół bilardowy tkwił pośrodku jak zadumany nosorożec, szeroko rozparty na potężnych nogach. Dom wydawał się wyludniony; żaden szmer nie dochodził spoza sześciorga białych drzwi, jakby tam nikt nie omieszkał. Wtem wśród tej martwej ciszy rozległ się bliski głos:

- *Oui. Je viendrai dans quelques minutes. A bientôt!*
[(fr.) - Tak. Przyjdę za kilka minut. Do widzenia]

- Dopiero teraz Piotr dostrzegł wysoką sylwetkę swego sąsiada, który stał tuż przy drzwiach i w tej chwili odkładał słuchawkę telefonu.

- *Bonsoir, monsieur Maresz* [(fr.) - Dobry wieczór, panie Maresz] - powiedział z lekkim ukłonem.

- Dobry wieczór - odrzekł Piotr po polsku. - Jak się pan czuje?

- Ciągle jeszcze żyję - uśmiechnął się Malaine. - Pomimo tych ustawicznych *derangements d'estomac* [niedyspozycji żołądka]. Przypuszczam, że to nasza kochana Julia systematycznie usiłuje mnie otruć. Mieszkam tu już od

ośmiu lat, ale jeszcze jej się to w zupełności nie udało... *Excusez moi, monsieur Maresz* [Przepraszam pana, panie Maresz] - powiedział innym tonem - czy mógłby mnie pan poratować papierosem?

Piotr sięgnął do kieszeni, lecz przypomniał sobie, że wypalił ostatniego papierosa po drodze.

- Mam u siebie zapas - odrzekł prędko. - Chwileczkę.

Otworzył swoje drzwi i przekręcił kontakt.

- Proszę, niechże pan wejdzie.

„Sekretarz ambasady” ceremoniował się przez chwilę, ale wszedł i usiadł na fotelu, który Piotr mu wskazał. Potem wziął papierosa z mahoniowego pudełka i rozejrzał się dokoła.

- *Tres joli, ca* [To bardzo ładne] - wskazał na dywan.

Piotr podał mu zapalną i sam zapalił także.

- Więc pan tu już osiem lat mieszka? - zagadnął.

- Osiem lat - odrzekł tamten. - *J'ai roule ma bosse...* [szwendałem się] - zaczął po francusku i zaraz znów przeszedł na język polski, którym władał równie swobodnie. - Wycierałem kąty po różnych pensjonatach, ale tu jest jeszcze najlepiej. Tak, proszę pana, jestem najdawniejszym lokatorem naszej Juliette, tego świątobliwego Shylocka [postać komedii Szekspira; synonim chciwca, lichwiarza] w spódnicy. Mieszkałem tu jeszcze wtedy, gdy ten dom nie należał do niej formalnie; zanim... hm... nabyła do niego tak zwane prawa.

- Tak zwane? - powtórzył Piotr. - Jak pan to rozumie?

- Oh, nie zna pan tej historii? Dom był własnością pewnej rodziny żydowskiej, a Julia pełniła tu obowiązki gospodyni. I podczas okupacji... wie pan przecież, jaki los spotkał ogromną większość Żydów w Polsce. Syna i córkę schwytano na ulicy zaraz na początku tych prześladowań. Nie

wiem, co z nimi zrobiło gestapo; dość, że nie wrócili tu nigdy. Rodzice szaleli z rozpaczy, ale instynkt życia zwyciężył w nich nawet rozpacz. Gdy się zaczęło wysiedlanie do getta, postanowili ukryć się we własnym domu pod opieką wiernej, przywiązanej gospodyni. Ufali jej, *notez bien* [proszę zauważyć], ponieważ była taka pobożna. Zresztą... *que voulez vous? On fait ce qu'on petit* [Cóż pan chce? Robi się, co można]. A w ówczesnych okolicznościach...

Piotr słuchał z rosnącym zaciekawieniem, nie przerywając, a człowiek o młodzieńczej twarzy i siwych włosach opowiadał dalej, jakby od niechcenia, wtrącając francuskie zwroty i tłumacząc je czasem na polski lub wypowiadając je po polsku, aby nawiasowo dodać ich właściwe, francuskie brzmienie, które miał na myśli.

- Julia z początku nie chciała o niczym podobnym słyszeć, ale wreszcie zgodziła się, pod pewnymi warunkami. Tych dwoje ukryło się w maleńkiej komórcie na strychu. Przebywali tam - *imaginez vous!* [proszę sobie wyobrazić] - dwa lata, wychodząc tylko w nocy, aby przejść się trochę po ogrodzie. Przez ten czas Julia umierała ze strachu - *d'un trac épouvantable* [z okropnego strachu] - i oczywiście zbijała fortunę.

- Na czym? - spytał Piotr, wstając, aby poczęstować swego przypadkowego gościa kieliszkiem wina.

Malaine powiódł za nim wzrokiem. Na widok butelki uśmiechnął się przelotnie.

- *Malheur* - powiedział, jeszcze z tym uśmiechem na ustach. - Nieszczęście. Na ludzkim nieszczęściu, na nędzy bardzo często robiło się wtedy grube pieniądze. Musieli jej płacić za ten strach. I - *parbleu!* [Przebóg] - płacili słono! Ba, w takich okolicznościach - *vous Idchez tout* - wszystko się oddaje, żeby żyć.

Ujął kieliszek napelnięny przez Piotra, uniósł go w górę, spojrzął pod światło, powąchał, po czym skinął z uznaniem głową.

- *A la vdtre!* [za pańskie zdrowie]

Smakował wino ze zjawstwem.

- Umm, *bon* [dobre] - mlasnął lekko językiem. - *Eh, bien* [no, cóż], nasza Julia poza dochodami z odnajmowania pokojów prawdopodobnie osiągała jeszcze inne, znacznie większe, jak się domyślam. Mieszkałem tu, jak już panu mówiłem, nie wiedząc o całej tej historii, dopóki Julia nie zwierzyła mi się z tego, oczywiście tylko częściowo. Bała się. Nie ma pan pojęcia, jak się bała. A poza tym... Jeszcze mi wtedy nie przychodziło do głowy, co tam tkwi *au juste* [właściwie] na dnie tej sprawy. Byłem naiwny!

Spojrzał na Piotra z lekkim uśmiechem.

- Nie mówię tego po to, żeby pan myślał, że chcę w pańskich oczach uchodzić za niewiniątko - wyjaśnił. - Ale... No, przyznaję, że tego bym nie wymyślił.

Wychylił kieliszek do dna i już bez dalszych ceremonii pozwolił, aby Piotr napelnił mu go ponownie.

- Tam był testament - powiedział nieoczekiwanie, bez żadnego nacisku i nie podnosząc ani trochę głosu. - Bardzo dobre wino - dodał.

Piotr nie mógł powstrzymać lekkiego odruchu zniecierpliwienia. „Sekretarz” dostrzegł to i uśmiechnął się zadowolony.

- Ciekawe, *n'est-ce pas?* [nieprawdaż?] Dowiedziałem się o tym dopiero znacznie później, już po wyzwoleniu - *apres la liberation*. Julia radziła się mnie wówczas w tej sprawie... hm... spadkowej. Ale *revenons a nos moutons* [wróćmy do rzeczy]. Więc bała się okropnie. Myślę, że co najmniej tak jak tych dwoje nieszczęśników pozostających na

jej łasce, tam na strychu.

Spojrzał w górę, jakby jeszcze teraz odczuwał ich obecność.

- Co za głupcy! - wykrzyknął. - No i skończyło się to pewnej nocy - mówił dalej, opuściwszy oczy. - Pamiętam warkot samochodu, pisk hamulców. Potem dzwonek i łomotanie do drzwi. Gestapo!

Nie robili żadnej rewizji - dodał po chwili. - Przyszli po nich, po tych dwoje, wprost na górę.

- Pan sądzi, że ona ich wydała? - spytał Piotr patrząc mu w oczy.

- *Mon Dieu!* [mój Boże!] - „sekretnarz” uniósł w górę ramiona i rozłożył dłonie. - Ja tylko wiem, że po wojnie znalazł się testament - *olographe, vous savez*. [własnoręczny, wie pan] Testament, w którym właściciele domu zapisali go wiernej, oddanej im gospodyni, *mademoiselle* [pannie] *Julie Nabielec. Cest tout* [to wszystko].

Uderzył dłonią po kolanie i wstał. Piotr pokręcił głową..

- Myśli pan, że ona mogłaby z tym żyć? Przecież wyrzuty sumienia...

- Ba! - zaśmiał się tamten. - Wszystko ma swoją cenę. A sumienie? *Conscience?* Ona ma coś znacznie przykrzejszego do zapłacenia: *un neveu* - siostrzeńca. *Il s'appelle* [on się nazywa] *Surowiec. Charles Surowiec. Vous le connaissez?* [Pan go zna?]

- Znam go - odrzekł Piotr. - Ale...

- On coś wie o tym - powiedział Malaine. - Trochę ją szantażuje i...

Nagłym ruchem obejrzał się na drzwi, a Piotr poszedł za jego spojrzeniem i mimo woli wstrzymał oddech: otwierały się wolno, bezszelestnie, aż ukazała się w nich

sztywna, wyprostowana postać Julii.

Przez chwilę stała w progu, nieruchoma, z pałającym wzrokiem utkwionym w twarzy „sekretarza”, z zaciśniętymi wargami, jak Nemezis przebrana za zakonnice. Potem, odzyskując swój zwykły wyraz świątobliwej pokory, zwróciła się do Piotra z mdłym uśmiechem:

- Po południu była tu jedna pani. Chciała się z panem zobaczyć. Bardzo piękna, młoda pani lub może raczej panna? Przyjechała taksówką.

Piotr się zdziwił. Nikogo nie oczekiwał tego dnia.

- Czy pani jest pewna, że ta piękność przyjechała do mnie? - spytał z lekką ironią. - Może to ktoś z fraucymeru pana „prezesa”?

Julia nie wiedziała, co to jest fraucymer, lecz niemal że odgadła znaczenie tego wyrazu, i to nie dosłowne, lecz właśnie takie* w jakim Piotr go użył. Podejrzewała, że ten wyraz jest wysoce nieprzyzwoity, co ją tak poruszyło, że zżółkła ze złości.

Przez chwilę milczała z rękoma pobożnie złożonymi na żołądku, a w końcu, opanowawszy poryw gniewu tak nieprzystojny po dopiero co odbytej spowiedzi, oświadczyła tonem świętej cierpliwości, że ta śliczna pani z pewnością pytała o Piotra, nie o pana „prezesa”. Poza tym - zauważyła z ujmującą słodyczą - w jej domu nie bywają osoby, o których można by się było wyrażać tak źle, jak Piotr to przed chwilą uczynił. Wychowała się na plebanii u swego brata, proboszcza, którego świątobliwość znana jest w całej okolicy. Stamtąd wyniosła dość nauk moralnych, aby z ich pomocą rozróżnić osoby pogrążone beznadziejnie w grzechu od takich, które pan „prezes” stara się (na pewno skutecznie) wyprowadzić na drogę cnoty. Jeśli zaś chodzi o tę anielskiej piękności panią, to wcale nie wyglądała na aktorkę.

- Zostawiła dla pana bilecik w małej kopercie - oświadczyła w końcu.

- Dopiero teraz mi to pani mówi! - zachnął się Piotr. - Gdzie pani ma ten bilecik?

Wyjęła z kieszeni fartucha i podała mu wizytową kopertę.

- Przecież nie dopuścił mnie pan do słowa - jęknęła żałośnie. Piotr spojrział na adres i natychmiast poznał pismo Mary. Uśmiechnął się mimo woli.

- Nie ma pani szczęścia - rzekł do Julii. - Ta anielska istota przypadkowo jest aktorką.

- Mój Boże! - westchnęła Julia.

Spojrzała zezem na „sekretnika” i zupełnie innym tonem oświadczyła:

- Papierosy kupiłam. Są w pańskim pokoju...

Brzmiało to tak, jakby powiedziała: „Nie ma pan tu nic do roboty. Fora ze dwóra”. Potem obróciła się, jak na dobrze naoliwionej osi, i przepłynąwszy próg zamknęła drzwi za sobą równie cicho, jak je poprzednio otworzyła.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie powstrzymując śmiech.

- *Voilà* [proszę] - szepnął „sekretnik ambasady” rozkładając ręce. - Nie pozostaje mi nic innego, jak znów zacząć palić własne papierosy...

Piotr gościnnie zaprotestował:

- Niech się pan nie daje terroryzować. Jeszcze kieliszek wina.

Ale Malaine grzecznie odmówił. „Jakkolwiek to wino jest doskonałe”. Musiał jeszcze wyjść do miasta. I tak zasiedział się tu zbyt długo.

- *Monsieur... Enchante...* [panie...bardzo mi było miło]

- *Monsieur...*

Skłonili się sobie ceremonialnie, po czym „sekretarz” zanurzył się w półmrok hallu, a Piotr niecierpliwie rozdarł kopertę i czytał:

Wstąpiłam do Ciebie, bo nie mogą jutro zobaczyć się z Tobą.

Szkoda, że Cię nie zastałam. Zadzwoni do mnie w przyszłym tygodniu. Stęskniłam się za Tobą.

Mary

Przeczytał jeszcze raz i zaniepokoił się. Czuł, że coś się stało - coś, o czym Mary nie chciała pisać.

Zaprzagnął usłyszeć jej głos. Wybiegł do hallu, potknął się o kota, który uskoczył w bok z przejmującym wrzaskiem, podszedł do telefonu i nakręcił numer.

Czekał z bijącym sercem, nasłuchując. Daleki sygnał buczał w słuchawce, ale nikt się nie zgłaszał.

Nie ma jej - pomyślał zawiedziony.

Spojrzał na zegarek. Była punkt siódma. Nie miał pojęcia, dokąd Mary mogła pójść czy też pojechać. Pomyślał, że to jeden ze zwykłych jej kaprysów. Doświadczał ich nieraz.

Powiesił słuchawkę i zwrócił się ku drzwiom swego pokoju. W tej samej chwili uchyliły się drzwi kuchni i wypłynęła z nich Julia niosąc przed sobą butelkę i kieliszek. Minęła Piotra, jakby go wcale nie dostrzegła, i weszła do pokoju Malaine'a. W pół godziny później Piotr usłyszał przez ścianę tony skrzypiec. „Pan sekretarz ambasady” nie wyszedł już tego dnia z domu.

Rozdział IX

Całe przedpołudnie dnia następnego Piotr spędził na różnych zajęciach „domowych”. Z samego rana stolarz i jego pomocnik przywieźli na ręcznym wózku odświeżone biurko. Ustawili je w asyście Julii, po czym Piotr poukładał w nim

swoje papiery, pióra, ołówki, koperty ze znaczkami pocztowymi i rozmaite drobiazgi. Następnie zabrał się do półek z książkami, które rzeczywiście wymagały już gruntownego odkurzenia. Zrobił porządek w szafie, wykapał się, zjadł wcześniej obiad przyrządzony przez Julię, przejrzał gazety i czasopisma. O piątej postanowił wyjść i wstąpić do kawiarni, a potem pójść do teatru.

W chwili gdy otwierał drzwi do hallu, już w płaszczu i z kapeluszem w rękę, usłyszał rozpaczliwy jęk dzwonka i zatrzymał się z dłonią na klamce, ale nie zdążył już zamknąć drzwi. Julia zapewne kogoś oczekiwała, bo znalazła się przy wejściu prawie natychmiast. Szczęknął zamek, a potem uszu Piotra dobiegł szmer rozmowy.

Przybyły pytał o coś prawie szeptem. Julia odpowiedziała głośno:

- Wszystko możliwe, ale wystarczyłoby mi westchnąć do Boga, żeby się obronić przed diabłem. Co innego, gdyby tu przyszedł zły człowiek.

- Jaki zły człowiek? - zapytał męski głos podejrzliwym tonem.

- Na przykład jakiś bandyta. Mógłby mnie udusić na tym odludziu. Któż by mu przeszkodził? Udusić mnie i obrabować... Grzech prowadzi do zbrodni.

Mówiąc to przesunęła się w smudze światła padającej przez uchylone drzwi z pokoju Piotra. Za nią szedł młody człowiek w rozpiętym palcie i w kapeluszu na głowie.

- Chyba ciocia mnie nie uważa za bandytę! - roześmiał się i urwał nagle. - Ktoś tu jednak jest - powiedział cicho.

Piotr przez mgnienie oka ujrzał jego twarz oświetloną z profilu i poznał go natychmiast. Nie chciał się z nim spotkać, więc cofnął się i czekał, aż oboje przejdą. Dopiero usłyszawszy oddalające się stapania po krętych schodach na

górze, zgasił światło i wyszedł do hallu.

Zamykając za sobą drzwi na klucz, mimo woli spojrział w stronę klatki schodowej. Nad głową Wenus dostrzegł znów bladą twarz Surowca i spotkał jego niespokojny, badawczy wzrok. Surowiec odwrócił się gwałtownie i znikł za zakrętem. Piotr zas minawszy ciemną sień namacał drzwi wejściowe i wreszcie znalazł się na zewnątrz.

To niespodziane spotkanie zaprzętało jeszcze przez chwilę jego myśli. Od czasu jak tu mieszkał, po raz pierwszy zdarzyło mu się zobaczyć Lola w tym domu. To, oczywiście, nie miało żadnego znaczenia: Surowiec mógł odwiedzać swą ciotkę podczas jego częstych nieobecności, ale...

Przypominał sobie wczorajszą rozmowę 2 „sekretarzem”. Cała ta sprawa wydała mu się dziwna: siwowłosa pół-Francuz, pijak, zapewne wykolejeniec; bogobojna Julia, która wydawała się mieć nad nim jakąś tajemniczą władzę; wreszcie ów jej siostrzeniec, który rzekomo ją szantażował z powodu obrzydliwej historii z dwojgiem nieszczęsnych Żydów... Na dodatek ów klerykał o twarzy ascety i zamiłowaniach rozpustnego mnicha, dwie samotne kobiety i ich arystokratyczny opiekun, a nade wszystko ten niezwykły dom, odsunięty od ulicy, ocieniony starymi drzewami, odludny, jakby stworzony na scenę jakiegoś sensacyjnego dramatu...

Jak tu kiedy zastanę ze siedem trupów na podłodze i Julię dyndającą na żyrandolu, nie powinno mnie to bardzo zaskoczyć - pomyślał drwiąc z tych swoich fantastycznych refleksji.

Hanka z rozmachem wbiła szpadel ogrodniczy w ziemię u końca przekopanego zagonu. Wyprostowała się; odwykłe od wysiłku, zeszywniałe mięśnie i ścięgna rozluźniły się nieco. Zadyszana, wierzchem dłoni otarła

drobne kropelki potu nad górną wargą. Obejrzała się na brata. On też przed chwilą skończył kopać po drugiej stronie okien inspektowych i wyrównywał grzędę grabiami.

- Co tu będzie? - spytał.

- Kalafiory.

- A gdzie rozsada?

- Nie wiem. Chyba jeszcze w inspekcje. Fela mówiła, że dopiero jutro będzie sadzić. I tak dziś już byśmy nie zdążyli; ciemno się robi. O dziewiątej mamy pociąg do Warszawy.

Spojrzała po niebie. Czerwony zachód stał nad domem różowiac jego boczną ścianę i płonął w szybach okna. W ciemnym prostokącie wejścia od strony sadu ukazała się wysoka postać kobieca.

Felicja Flisakówna szła pomiędzy rozłożystymi jabłoniemi, pochylając się raz po raz, aby ominąć ich niskie gałęzie.

- Chodźcie na kolację, dzieci! - zawołała. - Napracowaliście się oboje. Aż tyle! - zdziwiła się spojrzawszy na świeżo skopaną ziemię.

- Nie zdążyliśmy posadzić kalafiorów - powiedziała Hanka. - Ale groch i fasola zasiane.

- No to naprawdę bardzoście mi pomogli. Pokaż no ręce. Pewnie masz pęcherze od tej roboty.

Ujęła obie dłonie Hanka i przyjrzała się im z bliska. Były znacznie delikatniejsze od jej własnych, uwalane teraz ziemią i zaczerwienione od pracy.

- Nie bołą?

- Skądże! Myślisz, że ja w Warszawie tymi rękoma nie pracuję?

Felicja uśmiechnęła się; w oczach jej błysnęło wzruszenie.

- A jak tu jesteście, to zamiast odpocząć...

- To jest „pomoc miasta dla wsi” - przerwała jej Hanka wesoło. - Obowiązek społeczny i zarazem moja osobista przyjemność.

Ujęły się w pól i podeszły do Janka, który oczyszczał narzędzia z ziemi.

- Ojciec wrócił? - zapytał odstawiając grabie.

- Wrócił - odrzekła Fela. - W pięć par koni dziś robili. I już zaczęli na naszym. Przekonał się do tej wspólnej roboty. Sołtys go namówił. No, chodźcie, bo mi się co przypali.

Weszli do izby. Stary Flisak siedział już przy stole i podkręcając wąsy spoglądał na nich kolejno, trochę zakłopotany. Janek zagadnął go o tę wspólną orkę z sąsiadami:

- Jak wam to idzie?

- Niezgorzej - skinął głową i ożywił się zaraz. - Bo co parę koni, to nie w jednego. Nasz kary zawsze pod tę górkę, co jest za lasem, ustawał, a teraz... Chyba zbierać też będziemy razem i odstawiać także - jak zdążymy, to przed innymi. Ośmiu nas jest teraz, bo się jeszcze dwóch przyłączyło: Zabadał i Siciarz. Wiesz który? Ten, co nad stawem...

Obejrzał się na Hanke, która myła ręce nad miednicą.

- Pamiętasz go?

- Ojej! Przecież ich gęsi pasalam razem z naszymi!

- On cię też wspomina. Jakem mu powiadał, że od wczoraj dniówkę u Feli odrabiasz, to z początku nie chciał wierzyć.

- Czemuż to?

- Czemu! - uśmiechnął się. - Jego Zośka tu była dwa lata temu w lecie. W biurze pracuje, pani! Wstawała koło południa, kawę na śniadanie piła, chodziła na spacer albo z

wizytami do Rybna i do Sochaczewa, ale i to jej się prędko sprzykrzyło. Była pewnie ze cztery dni i pojechała z powrotem. Obraziła się, jak jej matka powiedziała, żeby wydoiła krowę. Już się tu więcej nie pokazała.

- A ksiądz Nabielec tryumfował - dodała Fela. - „Kształcili ją w mieście, mają pannę z miasta”.

- No, ksiądz Nabielec! - mruknął Janek. - On i z tobą wojował przeciw naszej nauce.

- Jeszcze jak - westchnęła Fela. - Ale ze mną przegrał - dodała. - Sam to przyznaje w chwilach szczerości, choć jeszcze się gorszy, że Hanka medycynę studiuje.

Jedli przez chwilę w milczeniu. Flisak skończył, otarł wąsy, przysunął się do Janka.

- To już z pasażerami latasz?

- Jako drugi pilot - odrzekł Janek. - W dobrej załodze jestem.

Zaczął opowiadać o Mareszu, o pierwszych lotach z tą nową załogą. Stary słuchał nie przerywając. Ciekaw był tego. Dziwny zawód, o którym za jego młodości ani się komu śniło! A oto jego własny syn jest teraz pilotem. No i przecie Hanka także. Dziewczyna!! Nie mógł jej sobie wyobrazić za sterem samolotu. Ludzie z Brzezia kręcili głowami, jak napisano o niej w gazetach, a on pęczniał z dumy. Był teraz kimś tutaj - dawny biedak, Jakub Flisak, gospodarz na niecałych dwóch morgach.

Zwierał to synowi, tę swoją radość i dumę, spoglądając na starszą córkę poprzez stół.

Fela miała rację. Fela postawiła na swoim: wykierowała ich na ludzi, wymogła na nim całkowite przeobrażenie gospodarstwa, dźwignęła je z nędzy. Od razu zrozumiała, że idą zmiany, że po wojnie będzie inaczej. Pierwsza zaczęła w Brzeziu organizować to wszystko, co się

teraz tu już ugrunтоваło: i sklep spółdzielczy, i koło gospodyń, i przedszkole - nawet samopomoc sąsiedzka i radę gromadzką do pomocy sołtysowi.

- A za mąż się nie wybiera? - spytał Janek. Stary rzucił szybkie spojrzenie w jej stronę.

- Żeby tylko chciała - powiedział cicho. - Ciągle ją swatają, i to nie z byle kim... A ona - nie i nie!

- Przywykła do samotności; pewnie sobie sama kogoś wybierze.

Stary błysnął oczyma, pochylił się ku niemu.

- W Rybnie jest nowy nauczyciel - powiedział znacząco. - Przychodzi tu czasem, razem na zebrania chodzą... Ale czy on dla niej? Żeby choć tutejszy... Żeby miał z parę morgów gruntu. Nie?

- No, to nie najważniejsze - mruknął Janek..

- Może i nie - westchnął Flisak bez przekonania. - Ale zawsze... Przecie ani ty, ani Hanka już tu na gospodarstwo nie wrócicie - dodał zamyślony. - Tylko Fela...

- Ja tu będę zawsze wracała - odezwała się Hanka. - To jest tak dobrze wiedzieć, że ma się dokąd wrócić. Dokąd i do kogo! Lubię tu przyjeżdżać, kopać w ogrodzie, sadzić, grabić siano, patrzeć, jak się tu ciągle coś nowego robi, być z wami. Ale przede wszystkim mieć to przeświadczenie, tę pewność, że tu jesteście, że mnie zawsze chętnie przyjmiecie, że tu jestem swoja, nieobca. Stary Flisak ruszał wąsami, pomrukiwał:

- Jeszcze by też, jeszcze...

Zegar potknął się, stęknął i zaczął wybijać godzinę ósmą.

- Czas na nas - powiedział Janek. Odsunął się od stołu, wstał.

- A ojciec niech się nie martwi - dodał cicho. - Fela

wie, co robi.

- Ja się też nie martwię, nie. Dobre mam dzieci, jak rzadko dobre. Byle i wam zawsze dobrze było na świecie.

Fela spojrzała na niego podejrzliwie, zarumieniła się. Z pewnością mówili o niej między sobą. Pogroziła ojcu:

- Już i o tym ojciec musiał powiedzieć! Potem zwróciła się do Janka:

- To jednak na urlop nie przyjedziesz? Nie był jeszcze pewien:

- Może na dwa, trzy dni, bobym jednak chciał zostać z załogą i z Hanką...

- Iz Teresą - uśmiechnęła się Fela.

- A to plotkarka z tej Hanki! - zaczerwienił się. - No, jeszcze nie wiem, czy się Maresz zgodzi na tę wyprawę. Jakby nie, to bym przyjechał. Napiszę.

Zaczęli się żegnać.

- Pozdrów Teresą od nas - powiedziała Fela. - I Józka Cygana. Wszyscy go tu wspominają.

Wyszła z nimi na dwór aż do drogi.

- Wracajcie tu zawsze! - zawołała, kiedy znikali jej z oczu w ciemności.

Promień słońca wpadający przez okno obudził Piotra. Śniło mu się coś przyjemnego: jakieś piękne miasto o szerokich ulicach i placach pełnych zieleni. Nieznane miasto pod błękitnym niebem i tłum ludzi - młodych kobiet w powłóczystych, barwnych sukniach i jasno ubranych mężczyzn. Wszyscy byli weseli, roześmiani, a on cieszył się wraz z nimi, idąc w dół po kamiennych schodach ku brzegowi morza.

Pogodny nastrój tego snu trwał nadal: Piotr leżał z otwartymi oczyma” uśmiechając się do słonecznego obrazu, który pragnął jak najdłużej zatrzymać w pamięci.

Pomyślał, że dzień na jawie jest chyba równie pogodny. Zapomniał wieczorem opuścić roletę; może dlatego przyśniło mu się to wszystko.

Spojrzał na zegarek. Było dopiero wpół do szóstej, ale postanowił wstać. Włożył płaszcz kąpielowy i cicho, na palcach wszedł do hallu. Lecz Julia, która już krzątała się w kuchni, musiała usłyszeć słaby szcęk klamki u drzwi, bo ukazała się w progu z pogrzebaczem w dłoni i wyrazem niewinnej, isticie dziecięcej ciekawości w oczach.

- Ach, to pan Maresz - powiedziała jakby zawiedziona.
- Tak wcześnie?

- ■ Jak pani widzi - odrzekł Piotr. - A kogóż się pani spodziewała o tej porze?

Spuściła skromnie oczy, a po jej pergaminowej twarzy przemknął jak gdyby lekki odblask rumieńca.

- Nikogo. Tylko przed chwilą wrócił pan sekretarz ambasady. Nie nocował w domu. Nigdy mu się to nie zdarzało dotąd - westchnęła. - Ach, to taki wyjątkowy człowiek - dodała z pokornym zachwytem, wznosząc z kolei oczy i spoglądając w sufit.

- Trzeźwy? - spytał Piotr powstrzymując uśmiech.

Julia była zgorzozona. Udała, że nie rozumie.

- Myślałam właśnie o nim - ciągnęła dalej po chwili. - I o panu także. Zawsze, jak rozpalam w piecu, myślę o naszych bliźnich, którzy błądzą wśród grzechu, zapominając o wieczności. Ogień piekielny...

- Niech no pani postawi na tym ogniu garnek z mlekiem - przerwał Piotr.. - Chciałbym zjeść śniadanie.

Pozostawił ją w trosce o swój los w życiu pozagrobowym i o doczesne poczynania zbuntowanego „sekretarza”, któremu - jak się trochę domyślał - poświęcała również bardziej ziemskie pragnienia i tęsknoty, sam zaś udał

się do łazienki.

Golił się pogwizdując, ubawiony tą całą sprawą między Julią a „sekretarzem”, sprawą, która zaczynała mu się objawiać w mglistych zarysach na podstawie ich zwierzeń, spojrzeń, słów i napomknień.

Nie inaczej, tylko baba chce się za niego wydać - pomyślał. - Ciekawe, kto kogo osiodła: czy Julia zacznie się upijać, czy też on będzie chadzał na msze?

Nie mógł sobie jakoś wyobrazić tego stadła. Pół-Francuz, nałogowy pijak, ze swoją ambasadorską, nieco staroświecką dystynkcją, podszytą cynizmem, i chytra, skąpa dewotka bez skrupułów. Do tego jeszcze ów siostrzeniec szantażysta... - Zresztą, co mnie to obchodzi! - wzruszył ramionami.

Wskoczył do wanny i odkręcił kran. Zimny tusz lunął mu na plecy. Szorował się ostrą szczotką, zaciąwszy zęby, z zapalczywością godną biczującego się mnicha.

Wytarł się kosmatym ręcznikiem i wrócił do swego pokoju, aby się ubrać.

Julia przypląnęła za nim z dymiącą tacą. Postawiła ją na biurku.

- Będzie pan na obiedzie?

- Nie - odrzekł Piotr. - Lecę do Szczecina. Wrócę dopiero za kilka dni.

- Pan to prawie tu nie mieszka - zauważyła. - Nocuje pan dwa razy w tygodniu albo nawet rzadziej.

- Cóż robić - mruknął.

- A ta piękna pani pewnie za panem tęskni?

- Możliwe - uśmiechnął się.

Westchnęła pobożnie. To był - jej zdaniem - krzyż, który nam zsyła Opatrzność. Ona, Julia, też ma swoje zmartwienia... Piotr nie był ich ciekaw.

- Ale dobry Bóg policzy je tym, którzy swój krzyż niosą w pokorze i bez szemrania - oświadczyła. - Ich dusze będą w raju promienieć wieczną chwałą i radością.

Wygłosiwszy tę przepowiednię oddaliła się swoim bezszelestnym sposobem, Piotr zaś skończył jeść i zabrawszy podręczną walizkę ze świeżą bielizną, wyszedł. Obrął drogę okrężną, aby się przejść.

Dzień był ciepły i słoneczny. Ogrody i skwery zaczynały się już zielenić. Wesoły wiosenny wietrzyk biegał po ulicach razem z dziećmi i psami. W otwartych oknach, na balkonach wietrzyła się pościel. Kwiaciarki siedziały między kaszami bratków, fiołków, pierwiosnków i baż. Przechodnie uśmiechali się, mówili głośno. Co chwila rozlegał się śmiech. Na niskim murku przy żelaznych sztachetach politechniki przysiadł jakiś staruszek i grał na harmonijce, przytupując i zerkając zachęcająco to na mijających go studentów, to na swój zniszczony, wyrudziały kapelusz, do którego ten i ów wrzucał po parę groszy.

Piotr dał mu złotówkę i szedł dalej. Gdy skręcał w Hożą, dogonił go Cygan.

- Podobno jedziemy na wieś - powiedział. - Opylać jedną puszcę.

- Co robić?

- Opylać - powtórzył Cygan. - Ale nie w znaczeniu, żeby za forszę, tylko dedetem. Proszkiem, takim jak na pluskwy, no.

- Aha - zrozumiał wreszcie Piotr. - Skąd wiesz?

- Bo się Flisakowi należy urlop, więc nas wyznaczili. On tam nie będzie potrzebny, a my przez ten czas będziemy truli robaki na sosnach. Robiliście to kiedy?

- Nie.

- Tam jest podobno bardzo fajno.

- Gdzie?

- Na takim opylaniu. Mówił mi Flisak, bo on w tym praktykował, jak był w aeroklubie. I jego siostra też tam będzie, i jeszcze kilka maszyn z różnych aeroklubów, bo to ładny kawałek lasu. Tylko się głupio nazywa.

- Kto? - spytał Piotr.

- Ten las - wyjaśnił cierpliwie Cygan, nie zrażony jego tępotą. - Nazywa się Pisz. Ale dlaczego akurat, pisz, a nie czytaj albo na przykład siadaj - to cholera wie. Co prawda znałem jednego faceta, co się nazywał Sendobry. Ale żeby las się nazywał Pisz...

Piotr nie podzielał jego zgorszenia. Znał tamte strony z jakiejś wycieczki kajakowej. Owszem, dosyć mu się to podobało jako pewne urozmaicenie.

- Kiedy tam mamy lecieć? - spytał.

- Pewnie w przyszłym tygodniu. Już nam szykują maszynę. Li-2.

- A na jak długo?

- Na jakie dziesięć dni; może do dwóch tygodni. Będzie wesoło. Ja tam lubię takie majówki.

Doszli do gmachu dyrekcji. Służbowy samochód komunikacyjny, tak zwany „tramwaj”, już stał przed bramą. Zastali w nim Flisaka i Elmera oraz dwie inne załogi. Gdy się usadowili na ławkach i na jakichś skrzyniach, które zabierał Angraba, Flisak trącił w bok Cygana.

- Mówiłeś mu?

- Mówiłem.

- Zgadza się?

- Co by się nie miał zgodzić?

- No - mruknął Flisak - bo to przecież ochotniczo.

Piotr dosłyszał ostatnie słowa.

- O tym opylaniu mówicie? - spytał.

- Aha - odrzekł Flisak. - Polecimy?

- Przecież ty masz jechać na urlop?

Flisak się uśmiechnął.

- Ja sobie tak właśnie wykombinowałem, że urlop tam spędzę z wami. A wy co na to?

- Jak chcecie. Ja chętnie polecę.

Flisak się rozpromienił.

- To się cieszę. Bo tam i Hanka będzie - dodał czerwieniąc się lekko - i jeszcze jedna, Teresa.

- Rozumiem - uśmiechnął się Piotr. - Też pilotka?

- Nie. Agrobiologię studiuje.

- A też taka ładna jak twoja siostra?

Flisak zaczerwienił się na dobre.

- Bo ja wiem...

- Pewnie! - prychnął Cygan. - Dopiero pół roku się na nią gapi jak kot na szperkę, to skąd może wiedzieć?!

Roześmieli się wszyscy trzej. Wóz ruszył.

Gdy przybyli na Okęcie i Piotr jak zwykle przedstawił Jancza-rowi do zatwierdzenia plan lotu opracowany na podstawie komunikatu meteorologicznego, szef pilotów zapytał go z kolei, czy chciałby wziąć udział w akcji opylania lasów.

- Myślałem o waszej załodze - dodał - po pierwsze, dlatego że tam trzeba wytrawnego pilota, po drugie, bo Flisakowi należy się urlop, a nie chciałbym wam przydzielać na te dwa tygodnie kogo innego.

Piotr odpowiedział bez szczególnego entuzjazmu, że mu wszystko jedno. Załoga chętnie się zgadza, a on się zastosuje do jej życzeń.

Omówili zatem szczegóły dotyczące przygotowania samolotu, który został oddany do przeglądu Pacholczykowi, przy czym Jan-czar oświadczył, że postara się, aby załoga

miała dość czasu na oblatanie maszyny. Nie mógł ich na razie całkowicie zwolnić z lotów, ale za dwa, trzy dni jakoś to urządzi, żeby posiedzieli trochę w Warszawie. Wreszcie wręczył Piotrowi obszerny „okólnik organizacyjny”, z którego wynikało, że akcja projektowana przez Ministerstwo Leśnictwa obejmie ogółem opylenie proszkiem owadobójczym około dziesięciu tysięcy hektarów lasu w Puszczy Piskiej, do czego ma być użytych dziesięć do dwunastu samolotów klubowych i jeden samolot LOT-u. Ostateczny termin wyprawy nie został jeszcze ustalony, ale wezwanie mogło wkrótce nadejść. Zależało to od wyboru i przygotowania lądowiska przez organy Ligi Lotniczej, od stanu pogody, a przede wszystkim od rozwoju gąsienic. Ministerstwo kładło szczególny nacisk na rozpoczęcie akcji natychmiast po sygnale o pojawieniu się szkodników, ponieważ ten okres wegetacji, w którym ulegają działaniu trucizny, jest krótki; jeśli akcja się spóźni - gąsienice zamienią się w poczwarki i środki chemiczne już ich nie zniszczą. Natomiast po przezimowaniu... itd.

Wreszcie poniżej tekstu była odrębna uwaga Modrakowskiego: Wybrać doświadczonego, pewnego pilota. Prawdopodobnie trzeba będzie startować i lądować w trudnych warunkach na małym lotnisku polowym pod Kolnem...

Przeczytawszy pobieżnie to wszystko Piotr mruknął, że rozumie i że będzie gotów każdego dnia, na pierwsze wezwanie, po czym wyszedł.

Ulokował się na swoim miejscu w kabinie i oddał stery Flisakowi. Nie potrzebował zajmować się ani nawigacją, ani pilotowaniem: ten chłopak był niezawodny; można mu było zaufać.

Po starcie z Poznania Piotr zdrzemnął się nawet i

dopiero przed samym Szczecinem ocknął się, gdy przelatywali nisko nad jeziorem. Para białych łabędzi uniosła głowy spoglądając na samolot. Ona siedziała na gnieździe, on z pięknie nastroszonymi piórami skrzydeł krążył w pobliżu - dumny, wspaniały i czujny.

Rozdział X

W kilka dni później, w związku z przygotowaniem do akcji opylania lasów, załoga Piotra Maresza została wycofana z regularnego planu przelotów - do rezerwy. Oznaczało to stałe pogotowie na lotnisku od rana do godziny szesnastej i co parę dni jakiś lot zastępczy, a było o tyle dogodne, że nocowało się przeważnie w Warszawie. Cygan korzystając z wolnego czasu dokonał gruntownego przeglądu motocykla, który wprawdzie formalnie i prawnie stanowił własność Elmera, ale był używany wspólnie przez całą załogę i zapewne skutkiem tego nieco rozklekotany. Nie chcieli się z nim rozstawać na tak długo, a zresztą istotnie mógł się bardzo przydać podczas tej wyprawy jako szybki środek lokomocji.

Piotr nie widział się jeszcze z Mary od chwili otrzymania bileciku i nawet z nią nie rozmawiał przez telefon, jakkolwiek parokrotnie próbował do niej dzwonić.

Dopiero nazajutrz po owej zmianie rozkładu zajęć, wracając po południu autobusem pasażerskim z Okęcia, dostrzegł ją na ulicy przy postoju taksówek. Zanim jednak kierowca na jego prośbę zatrzymał wóz, było już za późno: zdążył tylko zobaczyć, że Mary wsiada do taksówki i odjeżdża.

Młody człowiek, który jej towarzyszył i zatrzasnął za nią drzwi, odwrócił się w chwili, gdy Piotr znalazł się tuż przy nim. Omal nie wpadli na siebie.

- Dzień dobry, Piotrze. Dokąd tak pędzisz?

Piotr dopiero teraz na niego spojrzał. To był Karol

Surowiec. Uśmiechał się domyślnie i - jak się Piotrowi wydawało - nieco ironicznie.

Piotr mruknął: - Dzień dobry - i chciał go wyminąć, ale Surowiec zawrócił i szedł obok niego.

- Ciągłe jeszcze pracujesz w L.L.LOT? - zagadnął tonem konwersacyjnym.

- Tak - odrzekł Piotr.

- To dla ciebie musi być bardzo jednostajne zajęcie?

- Nie, nie bardzo.

- No, ale po lotach bojowych nad Niemcami to chyba nudne?

Piotr wykonał jakiś nieokreślony gest.

- Tak sobie. Ja tu wstąpię - powiedział zatrzymując się przed małym barem kawowym. - Do widzenia.

Ale Surowca trudno się było pozbyć.

- Pójdę z tobą - oświadczył. - Nie mam nic do roboty.

Usiedli przy wolnym stoliku. Piotr milczał, rozdrażniony jego natręctwem.

Co go może łączyć z Mary? - zadawał sobie pytanie. Surowiec się nie zniechęcał; powrócił do poprzedniego tematu.

- Zapewne. Jak się lata do Paryża albo do Sztokholmu... Ba, przede wszystkim można stamtąd coś niecoś za każdym razem przywieźć. Celnicy was tam chyba nie rewidują szczegółowo? Zresztą z celnikami też można się porozumieć, he! he! Tak, dziś to tylko być pilotem komunikacyjnym albo marynarzem.

Westchnął.

- Napijesz się kawy? Tu jest jeszcze nienajgorsza. Chociaż...

Piotr zatrzymał przechodzącą obok nich kelnerkę i poprosił o kawę. Potem spytał od niechcienia:

- A cóż ty robisz?

Lolo oświadczył, że do niedawna studiował medycynę, ale mu się to sprzykrzyło. Lekarze nie mają teraz przed sobą żadnej przyszłości.

- Zapędzą cię na głuchą prowincję do jakiejś ubezpieczalni i możesz tam skisnąć z nudów. A przy tym, co się ma z tego? W ogóle dzisiaj wyższe studia...

Zaczął się rozwodzić nad upośledzeniem inteligencji, a w szczególności nad swoim losem. Zamierzał wstąpić do szkoły aktorskiej, ale też się rozmyślił.

- Nie masz pojęcia, jaka hołota kształci się tam na przyszłe gwiazdy.

Piotr przyglądał mu się w milczeniu. Ten mydłek, jak go określał w myśli, mógł uchodzić za bardzo przystojnego chłopca. Był wprawdzie nieco wymoczkiem, ale miał rysy regularne, delikatne, trochę kobiece. Niewątpliwie kochał się w tej swojej cukierkowa-tej urodzie i podkreślał ją ubraniem. Miał na sobie jedwabną koszulę bladomalinowego koloru z przesadnie długimi, ostro zakończonymi rogami kołnierzyka, krawat w jakieś motyle i koguty oraz jasną, śmietankową marynarkę. Włosy miał czarne, lśniące, uli-zane, wąskie brwi i migdałowe oczy w ciemnej oprawie długich rzęs. Krygował się jak panna, z widoczną przyjemnością śledził swoje odbicie we wszystkich szybach, a od czasu do czasu przeglądał się w kieszonkowym lusterku oprawnym w czerwonej skórze.

Ciekawe, kto ponosi koszty jego egzystencji - pomyślał Piotr. - Tatuś czy pobożna ciocia, którą szantażuje?

- Nie wiedziałem, że znasz panią Godzicką - ; powiedział.

Lolo zaciągnął się dymem z papierosa, zmrużył oczy i przyglądał włosy.

- O tak, znamy się z Mary... trochę - wycedził. - Od... niedawna zresztą.

Nuta poufałości w tonie tej odpowiedzi rozjątrzyła Piotra. Był zły na siebie, że mu się wymknęło to pytanie. Surowiec przyglądał mu się, jakby go oceniał.

- Poza tym łączą nas pewne interesy - powiedział wreszcie, spuszczać oczy. - Pieniężne - dodał. - Gdybyś zechciał, mógłbyś nam wiele dopomóc i nieźle zarobić, bez żadnego ryzyka.

- Ach, tak? - mruknął Piotr.

Lolo uznał to za zachętę. Pochylił się ku niemu i zaczął mówić szeptem

- Mary ma w Anglii pieniądze. Dużo pieniędzy. Nie może ich tu ściągnąć bezpośrednio, chyba rozumiesz? Ale ktoś, kto bywa za granicą, dajmy na to w Danii czy w Szwecji, mógłby...

- Nie bywam ani w Danii, ani w Szwecji - przeciął Piotr. - I nie zajmuję się walutowymi geszefkami.

- A szkoda - uśmiechnął się Lolo. - Tracisz okazję.

Piotr miał już tego dość. Zapłacił za swoją kawę i wyszedł.

Pomyślał, że mógłby pojechać do Mary; zapewne była już u siebie w domu.

Ale poniechał tego zamiaru. Zresztą nie chciał się jej narzucać, skoro nie miała dla niego czasu.

Szedł prędko, bez żadnego celu. W głowie miał chaos sprzecznych myśli, w sercu ciężar.

Nie, nie pojedzie do niej. A także nie będzie pierwszy telefonował. Absolutnie! Stanowczo!!

Patrząc uporczywie w płyty chodnika umacniał w sobie to postanowienie od Marszałkowskiej aż do mostu Poniatowskiego, przy czym tak się zapamiętał, że u końca tej

drogi wpadł na czwórkę rozbawionych młodych ludzi, którzy ujawszy się pod ręce stali na przystanku tramwajowym.

Aż się zatoczył, wyrwany nagle z posepnej zadumy tym nieoczekiwanym zderzeniem. Błyskawicznie przeleciało mu przez głowę, że wygląda na pijanego. Przeprosił ich zmieszany. W tej samej chwili poznał jedną z dziewcząt: to była Hanka Flisakówna.

Patrzył na nią przez chwilę, póki nie wybuchnęła śmiechem wraz z innymi. Wtedy spojrzął na pozostałych troje: jakiś sympatyczny dryblas, szeroki w barach jak Herkules, szczupła dziewczyna o smągłej cerze i Janek Flisak.

- Bardzo was przepraszam - powtórzył i roześmiał się także.

Odpowiedzieli mu, że nic nie szkodzi, i wsiedli do nadjeżdżającego tramwaju, który zaraz ruszył. Hanka obejrzała się jeszcze z platformy i z uśmiechem skinęła mu głową, on zaś w odpowiedzi uniósł dłoń do daszka czapki. Potem zawrócił i poszedł do domu.

Wbrew powziętemu postanowieniu Piotr zatelefonował do Mary nazajutrz zaraz po śniadaniu, ale znów jej nie zastał. Przychodnia posługaczka oświadczyła opryskliwie, że pani jeszcze nie ma; nie nocowała w domu.

Zaraz potem zadzwonił do niego Flisak, że Li-2 do rozpylania azotoku będzie gotów na jedenastą. Pacholczyk prosił, żeby go oblatali.

- Trzeba by to dziś zrobić - dodał - bo podobno o wpół do czwartej mamy za kogoś tam lecieć do Katowic, a stamtąd do Gdańska. Pewnie wrócimy dopiero w czwartek rano.

Piotr odrzekł, że przyjedzie na lotnisko „tramwajem”, który odchodzi z Hożej o dziesiątej. Potem zapowiedział Julii, że gdyby ktoś (a w szczególności pani Godzicka) pytał

o niego, to niech się zgłosi we czwartek. Wreszcie ubrał się i wyszedł.

Spłoszył kota, który skradał się do kawek na trawniku, spojrzął w górę i zobaczył już rozwinięte, jasnozielone liście starych kasztanów w ogrodzie. Wczesna wiosna okryła krzewy zieloną mgiełką. Słońce grzało. Po niebie żeglowały obłoki.

Ładnie jest - pomyślał z uśmiechem.

Skręcił w Filtrową i doszedłszy do następnej przecznicy przystanął, zatrzymany przez kilka wozów z cegłą i cementem, które wlokły się jeden za drugim. Spojrzął, co tam budują w głębi ulicy, i w tej chwili dostrzegł Mary idącą w jego stronę. Przemknęło mu przez głowę, że tu gdzieś w pobliżu mieszka Surowiec.

Ależ tak! Czy Mary nie wyszła z tego właśnie domu?

Uczuł, że kły zazdrości wpijają mu się w serce. Przeraził się fizycznej dotkliwości i siły tego wrażenia. Ujrzał twarz Lola, jego zblazowany uśmiezek, usłyszał jego słowa: „Znamy się z Mary trochę; od niedawna”.

Co ona tu robi? - pomyślał.

Był tak zaskoczony tym spotkaniem, że stał nie mówiąc słowa. Ona zaś jakby zawahała się przez mgnienie oka i poróżnowiała na jego widok, a potem roześmiała się głośno.

- Piotr! No, czy ja nie mam intuicji?! Wiedziałam, że cię dziś zobaczę.

- A mnie to nawet do głowy nie przyszło po tylu daremnych usiłowaniach, aby się z tobą rozmówić - odrzekł nachmurzony.

- Umm, gniewa się... - powiedziała wsuwając mu rękę pod ramię. - Gniewa się na wiosnę, na słońce, na mnie, na wszystko! Ale musi iść ze mną zaraz na dobrą, gorącą kawę.

Tam się go przeprosi i wszystko będzie dobrze. Zgoda?

Piotr pokiwał głową, już prawie rozbrojony.

- Telefonowałem do ciebie przed godziną...

- No, widzisz! - przerwała mu. - A teraz masz taką minę, jakbyś mnie wcale nie chciał znać. Ostatnio byłam bardzo zajęta.

Musiałam nawet nocować w mieście, tu niedaleko, u znajomych. A ty się obrażasz... Uśmiechnij się zaraz. No?

Zaciągnęła go do maleńkiej kawiarenki, pustej jeszcze o tej porze.

Była w doskonałym nastroju, wesoła, widocznie czymś podniecona i uradowana.

- Coś ci powiem, tylko żebyś nie rozpadł, bo to jeszcze tajemnica - oświadczyła, gdy im podano kawę.

Spojrzał na nią ciekawie.

- Dostałaś engagement do teatru? - zaryzykował.

- Nie, coś ważniejszego. Odzyskałam obywatelstwo brytyjskie. Pewnie będę mogła wrócić do Anglii.

Piotr poblądł lekko.

- Ach, tak...

Patrzyła na niego z wyrozumiałym uśmiechem, trochę nawet wzruszona.

- No i dlaczego taka grobowa mina?

- Dobrze wiesz dlaczego - powiedział z goryczą. - A ja wiem także, jaka to beznadziejna sprawa, ta między tobą a mną. Tak się to musiało skończyć, pomimo wszystkich złudzeń. Nie poświęciłabyś dla mnie nic. Ani tego majątku, który cię tam czeka, ani twoich kaprysów, którymi się kierujesz, nic, bo ty mnie przecież nie kochasz...

Zaprzeczyła stanowczo:

- Nigdy nikogo tak nie kochałam jak ciebie.

Potrząsnął głową z wymuszonym uśmiechem i chciał

coś odpowiedzieć, ale mu przerwała.

- Niechże nie będzie uparty! Niechże ją zrozumie. Dlaczego nie mieliby żyć spokojnie i dostatnio w Anglii, gdzie czeka na nich majątek? Cóż go tu wiąże? Czy nie potrafi się stąd wydostać? W Anglii pobiorą się i... Ach, prawda! Ta jego drażliwość na punkcie pieniędzy... Ale przecież w Royal Air Force przyjmą Piotra z otwartymi rękoma. Proponowano mu kontrakt, i to na stanowisku dowódcy skrzydła, które zajmował w czasie wojny. Czy to nie lepsze niż latanie do Szczecina i z powrotem? Czymże Piotr jest tutaj? Szoferem! Takim samym jak kierowca autobusu kursującego z Warszawy do Radomia. A tam...

Piotr milczał, ze zmarszczonymi brwiami. Nieraz sam tak myślał dawniej. A jednak dziś, gdy sprawa „wydostania się stąd” stanęła przed nim konkretnie i blisko, doznał takiego uczucia, jakby Mary podsuwała mu coś, przed czym wzdragał się jego honor. Poza tym nie było to wcale takie proste i łatwe; uświadamiał to sobie nawet nie rozpatrując szczegółów. Wreszcie - jakkolwiek wydawało mu się, że jest pewien swoich uczuć dla Mary - to jednak bynajmniej nie umiał odpowiedzieć na pytanie, czy z lekkim sercem porzuciłby teraz Polskę na zawsze.

Z drugiej strony to, o czym Mary mówiła, byłoby przecież spełnieniem jego marzeń sprzed kilku lat, zanim została żoną Go-dzickiego. Gdyby wówczas wyszła za niego, nie za Ryszarda, to... kto wie... może wcale by tu nie przyjechał.

W każdym razie to nie jest sprawa, o której można decydować tak nagle - pomyślał.

Ale Mary właśnie chciała, żeby się zdecydował natychmiast. Był przecież zupełnie wolny. Mógł sobą rozporządzać.

Uznał to za jej kaprys. Zresztą „wolny” nie był: praca, pobyt w kraju, lata tu spędzone nałożyły mu pewne więzy, których nie dostrzegał, póki nie przyszło mu do głowy, że musiałby je zerwać.

Nie, nie mógł w tej chwili nic odpowiedzieć. Powątpiewał zresztą, czy Mary traktuje to wszystko poważnie.

Skinęła kilkakrotnie głową:

- Jak najpoważniej, Piotrze. Kocham cię. Powinieneś o tym wiedzieć, bo przecież gdyby tak nie było... - zarumieniała się.

- Więc jeżeli tak jest - powiedział - zostań ze mną.

Na to nie mogła się zgodzić. Ma dość Polski. Nie spotkało jej tu nic pomyślnego. Tęskni do Anglii, do Londynu, nawet do Not-tingham. I dlaczegoż to ona miałaby poświęcić dla niego swoją ojczyznę, nie on dla niej? Mary jest bardziej związana z Anglią niż Piotr z Polską. Ma tam ojca, własny dom. No i pieniądze! - ten spadek... Cóż Piotr ma tutaj? Jeśli ją kocha, nie powinien się wahać.

Piotr nie potrafił od razu odeprzeć tych argumentów; przynajmniej nie w taki sposób, aby ją przekonać.

- Odlóżmy tę rozmowę na później - powiedział wreszcie spoglądając na zegarek. - Ojej! Muszę jechać: spóźniłem się - dodał spieszenie.

Mary patrzyła na niego jakby z zalem.

- Nie gniewaj się - szepnął. - Lecę dziś do Katowic, a przedtem jeszcze mam jeden obowiązkowy lot z całą załogą. Wrócę pojutrze rano, koło dziesiątej. Będziesz w mieście?

- Będę - odrzekła po chwili wahania. - Możemy się tu spotkać.

- O jedenastej, dobrze?

- Dobrze. Ale gdybym nie przyszła...

- Mary!

- No, pewnie przyjdę - uśmiechnęła się. - A ty pewnie się do tego czasu zdecydujesz, Piotrze?

- Tak, z pewnością. Może cię jeszcze przekonam.

- Nie licz na to za bardzo. Pocałuj mnie prędko.

Dotknął jej ust.

- Do widzenia. W czwartek-o jedenastej.

Nie mógł znaleźć taksówki („tramwaj” służbowy dawno odszedł). Wreszcie udało mu się zatrzymać jakąś wolną na Marszałkowskiej.

- Prędko na lotnisko!

Przybył tam o dwunastej i od razu natknął się na Janczara.

- Tam na was czekają już od godziny - powiedział szef pilotów. - Mieliście oblatywać Li-2.

- Aha - mruknął Piotr. - Jeszcze zdążę.

- Mam nadzieję. Ale powinniście tu być od rana w pogotowiu, nie dopiero od południa. O piętnastej trzydzieści macie lecieć do Katowic.

Piotr był zły na siebie, głównie dlatego, że Janczar miał rację.

- Wiem - odrzekł. - Przyjechałem później, bo musiałem coś załatwić - przed tym lotem.

- A gdyby nagle zaszła konieczność wysłania was wcześniej - co wtedy?

- No cóż? Musiałbym ponieść konsekwencje tego opóźnienia.

Trudno: miałem ważną sprawę, wiedziałem, że mam oblatywać Li-2 i lecieć do Katowic, więc... Janczar mu przerwał:

- Słuchajcie, Maresz. Dowodziliście w Anglii skrzydłem, to tyle co pułk, prawda? Więc nie będziemy nad

tym dyskutować, czy prywatne sprawy, choćby najważniejsze, zwalniają was od punktualności. Sami o tym wiecie. Wtedy była wojna, to prawda. Ale my tu też walczyliśmy - o sto procent regularności transportu i o sto procent bezpieczeństwa. Wygranie tej walki jest uwarunkowane wspólnym naszym wysiłkiem, przestrzeganiem dyscypliny, tak czy nie? Dyrekcja i ja liczymy na was. Na takich ludzi jak wy, którzy mają wpływ nie tylko na swoje załogi, ale i na młodszych kapitanów. Tyle wam chciałem po koleżeńsku powiedzieć.

Odwrócił się i odszedł.

Piotr stał jeszcze przez chwilę, hamując gniew, który huczał mu w uszach jak przeciągająca burza. Dyszał ciężko jak po poważnym fizycznym wysiłku. Był wściekły. Na siebie, nie na Janczara. Postanowił przecież, że nie dopuści do żadnych służbowych uchybień ze swej strony, które mogłyby dać Janczarowi okazję do wygłaszania tego rodzaju kazań. Nie pragnął bynajmniej jego pochwał i nie starał się o wyróżnienie. Ale ta sytuacja była stokroć gorsza.

Niepotrzebnie się tłumaczyłem - pomyślał przeżuważając upokorzenie. - „Po koleżeńsku” mi to wypalił - przypomniał sobie. - Jaki wielkoduszny, psiakrew! Teraz będzie czekał, aż się poprawię, żeby mógł mnie poklepać po ramieniu... Niech to wszyscy diabli!

Poszedł w stronę hangaru, przed którym stał Li-2. Załoga czekała na niego. Od razu dostrzegli, że jest zły, i zapewne domyślili się dlaczego, bo nikt nie wspomniał ani słowem o jego spóźnieniu. Pacholczyk nadszedł z głębi hangaru od jakiejś roboty, spojrzął nad okularami, podał mu rękę.

- Załadowaliśmy wam trochę mielonego wapna, żebyście mogli wypróbować także opylacz.

- Dobrze - mruknął Piotr. - Gdzie to świństwo mamy wykurzyć? - spytał zwracając się do Flisaka.

- Gdziekolwiek, nad jakimiś łąkami; będzie lepsza trawa - odrzekł tamten pacholczyk zapuścił silniki i kiwnął głową, że zaraz mogą wsiadać i lecieć.

- Są podgrzane - powiedział do Piotra ustąpiwszy mu miejsca za sterem. - Ja z wami polecę na tę próbę.

Piotr nałożył słuchawki, zgłosił się do Kontroli.

- Możecie kołować na start - odezwał się Zdybel ze swojej „wieży”.

Ruszyli po okrężnej drodze na przeciwległy skraj lotniska, a osiągnąwszy go i uzyskawszy zezwolenie wystartowali po krótkim wybiegu.

Na wysokości pięciuset metrów Piotr zmniejszył obroty, wyregulował fletnery, położył maszynę w prawy skręt, w lewy.

- Dobrze - skinął głową w odpowiedzi na spojrzenie Pachol-czyka.

Puścił ster, zdjął nogi z pedałów. Li-2 płynął w powietrzu równo jak lekkie czółno po gładkiej powierzchni stawu.

Podciągnął go w górę. Maszyna uniosła łeb, strzałki licznika obrotów i szybkościomierza wolno zaczęły się cofać, póki wypór starczał na utrzymanie ciężaru. Potem samolot zarył piersią w rzadziejący nurt powietrza pod skrzydłami, pochylił się w przód, nabrał pędu, zwolna wyrównał do poziomu.

Piotr zwrócił głowę ku Pacholczykowi i spotkał jego uważny wzrok. Uśmiechnęli się obaj.

- Pierwsza klasa - powiedział pilot.

Próbował jeszcze steru wysokości i lotek. Li-2 chodził za każdym ruchem drążka i wolantu posłusznie i czujnie jak

dobrze ujeżdżony wierzchowiec.

- Wcale nie taka krowa, na jaką wygląda - powiedział Piotr.

Skierował maszynę na północny zachód, w stronę Kampinosu, i schodził coraz niżej, nad samą ziemię. Pod skrzydłami płynęły teraz rozległe, bagniste łąki, żółte od kaczeńców, przetykane lusterkami¹ wody, w których przeglądał się błękit nieba. Stado gęsi porwało się z pastwiska przy drodze i zatrzepotało w popłochu, podlatując ciężko w górę. Daleko na prawo teren wznosił się nieco, tworząc nieregularny łańcuch wzgórz; jeszcze dalej zaczynała się Puszcza Kampinoska.

Pacholczyk przestawił dźwignię regulacyjną rozpylacza, wstał ze swego miejsca i razem z Cyganem przeszedł w tył.

Biały ogon pyłu wapiennego jak strumień pary z zaworu bezpieczeństwa strzelił spod kadłuba i natychmiast splaszczyl się w szeroką strugę za samolotem.

Piotr widział jej odbicie w lusterku peryskopu, lecz mógł jej poświęcić tylko drobną część uwagi. Prowadził maszynę kilka metrów nad ziemią, która gnała jak szalona, wznosząc się lekko i zapadając, ruchliwa, falująca, rzekłbyś, upłynniona w zawrotnym pędzie.

Nie odrywał od niej wzroku ani na chwilę; patrzył wprost przed siebie, czujny, gotów poderwać samolot przed przeszkodą, skoczyć w górę, przepuścić pod skrzydłem samotnie nadbiegające drzewo, dom czy też stóg zeszłorocznego siana.

Wtem poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia.

- No? - rzucił pytająco wprost przed siebie nie odwracając głowy.

Był to Józek Cygan.

- Możemy zawrócić - powiedział. - A po zwrocie znów na dół, równoległe do tego, cośmy obsiali. Spróbujemy, jak działa regulator.

- Dobrze - odrzekł Piotr.

Dźwignął samolot w górę, położył go w ostry wiraż, z nieomylną precyzją po stoosiemdziesięciostopniowym skręcie wyprowadził do linii lotu, pchnął znów nisko nad ziemię.

Na lewo wisiała w powietrzu wolno opadająca smuga wapiennego pyłu. Leciutki powiew wiatru zwiewał ją skośnie w bok, coraz dalej, ale na zielonym tle łąki białł się prosty, szeroki pas.

Cygan otworzył regulator i odszedł. Po chwili wrócił i zmienił ustawienie dźwigni. Pacholczyk raz po raz wykrzykiwał jakieś polecenia spoza skośnej ściany zbiornika, on zaś spełniał je kolejno-. Wreszcie powiedział do Piotra:

- Dobra jest. Chodzi jak zegarek. Możemy iść w górę i obejrzeć.

Piotr zwiększył obroty, nabrał wysokości, potem zawrócił.

Obie smugi tworzyły teraz na ziemi jeden pas szerokości około stu metrów.

Nadszedł Pacholczyk.

- W porządku - powiedział zadowolony. - Jak maszyna?

-. Bez zarzutu - odrzekł Piotr. - Wracamy?

- Jeśli idzie o rozpylacz, to już wszystko. Możemy wracać.

Piotr zameldował się w Kontroli, szerokim łukiem okrążył Warszawę i od strony Raszyna zaszedł do lądowania. Pacholczyk wypuścił podwozie, otworzył klapy. Słońce prześliznęło się po bieżni, cień samolotu spłynął z trawy na

gładki szary beton, przylgnał do kół. Lekko zadrgały amortyzatory, pisnęły hamulce. Li-2, mieląc śmigłami, zaczął pełznąć w stronę hangaru.

Piotr wystartował do Katowic znacznie już spokojniejszy, opanowany, choć nadal milczący i chmurny. Wbrew przekonaniu, że będąc na miejscu Janczara sam postąpiłby podobnie, jak to Janczar uczynił w stosunku do niego, nie mógł się pozbyć urazy do tego człowieka. Ale to uczucie, tkwiące w nim głęboko, stanowiło tylko jak gdyby podkład dla innych myśli, nurtujących go uparcie od ostatniej rozmowy z Mary. Możliwość porzucenia pracy w Polsce, zerwania na zawsze z tym wszystkim, co go tu otaczało - z ludźmi, z ich dążeniami i wysiłkami, z pulsującym tętnem życia, które żłobiło sobie nowe łożyska - możliwość ta nie wydawała mu się teraz tak trudna do przyjęcia jak w pierwszej chwili, gdy ją odrzucił.

Gdybym mógł legalnie wyjechać, nie wahałbym się wcale - pomyślał.

Ale wiedział przecież, że legalnie wyjechać nie może, a sama myśl o podstępnej ucieczce budziła w nim pogardę i niesmak. Mimo to zaczynał się skłaniać do rozpatrzenia sposobów jej realizacji.

Wkrótce, nie po raz pierwszy zresztą, doszedł do wniosku, że nie byłoby to łatwe, zwłaszcza dopóki latał na liniach krajowych.

A jeżeli mnie przeniosą na zagraniczne - pomyślał - także nie zdobędę się na to, żeby drapnąć. To byłaby już nie tylko dezercja, ale także zdrada zaufania...

Spojrzał na Janka Flisaka, który trzymał ster, potem na Cygana. Co by o nim powiedzieli, gdyby mogli przeniknąć jego myśli?

Wstrząsnął się, jakby mu kto plunął w twarz.

Machinalnie podniósł dłoń do oczu.

Nie, to było na nic; czuł, że nie udźwignąłby takiej hańby.

- Widać Śląsk - powiedział Cygan.

Plątanina dróg i torów kolejowych tworzyła jak gdyby matnię olbrzymiej sieci zagarniającej całe stada domów i domków, które wzięły w jej okach jak małe rybki. Dalej widać było stłoczoną ciżbę kominów fabrycznych, sterczących hardo i dumnie pod pióropuszcami dymu zawadiacko przekrzywionymi na bakier, a wśród nich czarny labirynt hal, składów, gmachów, osypisk żużlu, ulic i placów, po których roily się żółte tramwaje i czerwone autobusy. Skroś szeroko rozlany, mętny, opalizujący tuman, który niby gorący, ciężki opar powstały z ludzkiego znoju unosił się nad tym wszystkim, przebijał tu i ówdzie blask ognia lub oślepiająco migotały niebieskie błyskawice spięć elektrycznych.

Mogło się zdawać, że z ziemi bucha pod niebo wrzawa zmieszanych głosów: łoskot potężnych uderzeń, szczęk żelaza, jazgot i zgrzyt pił, dudnienie walców, ciężkie sapanie spracowanych maszyn, gwizd parowozów, jęk przetaczanych wagonów, gruchot zsypywanego węgla, niecierpliwy syk pary i że ten zgiełk zacieklej, spiesznej pracy panuje nad całą przestrzenią, zagłuszany tylko równym, spokojnym i bliskim warkotem silników samolotu.

Piotr myślał o olbrzymim wysiłku tysięcy mózgów i setek tysięcy rąk, które rozpętały tę pracę, wprawiły w ruch potężny jej mechanizm i wprzęgnięte w jego rozpedzone tryby nieustannie przyśpieszały tempo. Prędzej! Więcej!! Lepiej!!!

Odczuł niewysłowiony patos tej wielkiej batalii toczonej dzień po dniu i rok po roku, od chwili gdy ucichły

działa na polach bitew. Ludziom, którzy to sprawili, musiał przyświecać jakiś wspianiały w swej wielkości, wspólny cel - nie mniej wielki jak zwycięstwo w walce orężnej o samo istnienie narodu.

- Pokój - odezwał się znów Cygan.

Piotr spojrział na niego zdumiony, a Józek pochwycił to spojrzenie.

- Huta „Pokój” - wskazał palcem. - I Katowice.

Rozdział XI

Stanisław Wyroba, kierownik wyszkolenia Aeroklubu Krakowskiego, aktualnie *zaś* szef lotniczo-operacyjny akcji opylania Puszczy Piskiej, odbywszy krótką naradę ze swym „sztabem” wezwał cały personel latający, techniczny i administracyjny na odprawę generalną. Przygotował się do niej sumiennie jak zawsze i - jak zawsze - miał lekką treść przed spotkaniem z ludźmi, których nie znał bliżej. Starał się to nadrobić powagą, w czym przesadzał i co budziło od czasu do czasu ledwie dostrzegalne iskierki wesołości w pewnych ciemnoniebieskich oczach, na których właśnie szczególnie mu zależało.

Te oczy należały do Hanka Flisakówny, pilotki Aeroklubu Warszawskiego. Wyroba spotkał po raz pierwszy ich spojrzenie zaledwie przed kilku dniami, wówczas gdy w Zarządzie Głównym Ligi Lotniczej w Warszawie toczyły się narady nad organizacją wyprawy, i odtąd w jego niezwykle zrównoważonym, choć dopiero dwudziestoczteroletnim, spokojnie bijącym sercu powstał dziwny niepokój. To zakłócenie równowagi bynajmniej nie przyczyniło się do opanowania tremy. Przeciwnie, ponieważ Wyroba uważał tego rodzaju przypadłości za niepoważne i niegodne dojrzałego mężczyzny, zwłaszcza wzorowego zetempowca, oddanego bez reszty swej pracy, a przy tym wychowawcy

młodych kadr tej organizacji, przeto jego dotychczasowa wzorowość wydawała mu się zachwiana; a nie być wzorowym - to pierwszy krok do upadku. I to z jakiego powodu!...

Pomny owego niebezpieczeństwa, kierownik lotniczo-operacyjny ekipy Ligi Lotniczej przybrał kamienną maskę na swą szczu-Płą, pociągłą twarz o spiczasto zakończonym nosie i mocniej zasnął wąskie wargi, co wbrew istotnemu stanowi rzeczy nadawało mu pozory człowieka może nie tyle surowego i poważnego, ile trawionego hamowaną złością.

W przestronnym wnętrzu dużego polowego namiotu rozbitego u skraju lądowiska zebrali się tymczasem piloci i mechanicy, obsługa radiostacji i kierowcy dwóch samochodów ciężarowych. „Sztab” siedział przy stole: kierownik techniczny Turcza, szef mechaników z Aeroklubu Krakowskiego; kierownik administracyjno-gospodarczy Adamczyk, z Ligi Lotniczej, słuchaczka wydziału agrobiologii Teresa Lorkówna, łącznik z ramienia Ligi do Dyrekcji Lasów Państwowych.

Wyroba sterczał poza nimi, chudy i prosty, jakby wyrzucony na powierzchnię ziemi przez jakąś sprężynę z zapadni ukrytej za stołem. Nie patrzył na nikogo i z oczyma utkwionymi w wierzchołek jasnego trójkąta, tworzącego wejście do namiotu, milczał oczekując, aż ucichnie gwar. Potem zaczął mówić.

Na wstępie - o „niezmiernej” doniosłości zadania, jakie przypadło im spełnić. Fakt, że w akcji opylania lasów piskich weźmie udział dziesięć najlepszych załóg różnych aeroklubów, miał - jego zdaniem - znaczenie „historyczne”, niemal „epokowe”. Do, spełnienia tego zaszczytnego zadania należało się przygotować z poczuciem całej odpowiedzialności. Niech się nikomu nie zdaje, że przybył tu

dla miłego spędzenia czasu, dla przyjemności latania. Wprawdzie „wytypowano” ich „idąc po linii” najlepszych wyników w szkoleniu i treningu lotniczym oraz „bazując” na ich zasługach dla aeroklubów, ale nie jest to tylko i wyłącznie nagroda za te osiągnięcia. Mają tu dopomóc do opanowania kłęski gospodarczej w skali państwowej: do zlikwidowania szkodników leśnych na obszarze dziesięciu tysięcy hektarów puszczy, która...

Mówił zresztą rzeczy, co do słuszności których nikt nie miał za strzeżeń, ale mówił je w sposób nieco przesadny i patetyczny, po tym zaś powtarzał to, co już im o wiele prościej powiedziano raz w poszczególnych aeroklubach, a drugi raz w Warszawie na zebraniu w zarządzie Ligi. Dlatego słuchano go z roztargnieniem, dopóki nie przeszedł wreszcie do spraw konkretnych.

Te ostatnie potraktował za to wstrzemięźliwie, choć dokładnie! podział funkcji, zakwaterowanie, wyżywienie, transport, łączność, porządek dnia.

- A teraz sprawa najpilniejsza: musimy przygotować lotnisko do lądowań i startów samolotu Li-2, który tu przyleci z załogą Linii Lotniczych LOT jutro w południe. Musimy je przygotować sami, bez niczyjej pomocy, bo służba leśna jest zajęta przy wytyczaniu rejonów opylania.

Dopiero teraz spojrzał po twarzach i natychmiast wyłowił spośród nich te, na których odbiło się rozczarowanie lub niezadowolenie.

Potrząsnął głową nieco zgorszony: z nimi tak zawsze... Chcieliby tylko latać, a zapracować na latanie to im się nie chce.

- Łopaty, siekiery i taczki wyda wam kolega Adamczyk, a pracą ja sam pokieruję. Zbiórka z narzędziami za dziesięć minut przy magazynie. I chciałbym, żeby nikogo

z kolegów nie brakowało - powiedział dobitnie. - Dziękuję kolegom. Na razie to wszystko.

Gdy wyszli wśród gwaru i żartów, budzących tu i ówdzie wesoły śmiech, odetchnął z ulgą. Przez cały czas wystrzegał się, aby nie spojrzeć na Hanke. Udało mu się w zupełności i teraz odczuł pewną dumę z tego powodu: umiał trzymać się w ryzach.

Upewniony co do swej odporności, pośpieszył dać dobry przykład i sam również zaopatrzył się w łopate. Chodził z nią po ładowisku rozprawdzając ludzi do równania wzniesień i kretowisk, wycinania krzaków i zasypywania rowów, a potem przystał do pierwszej lepszej grupy i zabrał się zaciekle do kopania.

Świecił tam przykładem przez dobre dwie godziny, ale musiał dojrzeć roboty również gdzie indziej, więc otarł pot z czoła i opuścił wreszcie swe stanowisko. Przechodząc kolejno wszystkie odcinki dotarł do najważniejszego, przy zasypywaniu rowu w poprzek pola.

Tu między innymi pracowała Hanka Flisakówna komenderując dziesiątkiem młodych ludzi i Teresą Lorkówną, tym agrobiologiem.

Hanka pokazywała im, jak się to robi: jak się trzyma szpadel, jak się go wcina równo w twardą glebę; jak się zdejmuje warstwę murawy - nie za głęboko, nie za płytko, raz, dwa! - z najmniejszym wysiłkiem, z najlepszym skutkiem!

Pękali przy tym ze śmiechu, droczyli się z nią, dogadywali sobie wzajemnie, ale robota szła sprawnie - wbrew przewidywaniom Wyroby - lepiej niż gdziekolwiek.

Przez chwilę przyglądał się temu z daleka, zdumiony i zaskoczony: skąd ona to umie? Wiedział, że studiuje medycynę, no ale przecież ich tam nie uczą kopać! Zbliżył się

i wyraził im swoje uznanie.

- A wy, koleżanko, moglibyście być instruktorką robót ziemnych - zwrócił się do Hanki.

- A wy, kolego kierowniku - komendantem obozu kwaków [członek sekty protestanckiej założonej w XVII wieku w Anglii i w Ameryce. W przenośni - fanatyczny zwolennik surowych obyczajów] w dziewiczej puszczy - odrzekła skłaniając głowę.

Roześmieli się wszyscy nie wyłączając Wyroby, który nie był pewien, czy kwakier to to samo co drwal, czy też może pionier, ale - tak czy owak - skarcił się w duchu za ten nieopanowany odruch i natychmiast znowu spoważniał śmiertelnie.

Przez jakiś czas pracowali w milczeniu. Wyroba zwlekał z odejściem. Powinien był jeszcze tego popołudnia polecieć na rozpoznanie terenu, aby ustalić kierunki i trasy dolotów do poszczególnych rejonów puszczy. Miał wielką ochotę zabrać na ten lot Hanke, ale nie mógł się jakoś zdobyć na wyrażenie takiej propozycji.

Uczynił to przecież w końcu, jak najbardziej obojętnie i niemal, gburowato.

Potrzebny mu jest pilot, który jako tako umie utrzymać kierunek i wysokość. Jeżeli koleżanka to potrafi, to mogłaby na jaką godzinę zostawić łopate, a wziąć do ręki ster.

Hanka powiedziała, że chyba potrafi, i poszła z nim w stronę samolotów zakotwiczonych rzędem pod wiatr na skraju sosnowego zagajnika. Turcza i jeden z mechaników, którego zabrali po drodze, zapuścili im silnik.

Wyroba wyjął mapę i zakreślił ołówkiem okrężną trasę.

- Proszę wystartować na wprost i lecieć według tej linii na wysokości czterystu metrów. Ja porobię notatki i

szkice.

Hanka wzięła od niego mapnik, włożyła na głowę kominiarkę ze słuchawkami i okulary. Turcza ustąpił jej miejsca w gondoli.

- Wypróbujcie silnik. Jest już ciepły - powiedział podając jej pasy.

Zaczekała, aż Wyroba usadowi się za nią, po czym dała pełny gaz. Samolot podał się w przód, licznik wykazał tysiąc siedemset obrotów. Pierwsza, druga seria...

- W porządku - skinęła głową, zmniejszwszy dopływ mieszanki.

Podstawki wypadły spod kół na prawo i na lewo. Turcza machnął ręką:

- Start!

Maszyna ruszyła wprost przed siebie w kierunku wsi Czerwone, po równej części lotniska, gdzie nie było ludzi zajętych pracą, a potem oddzieliła się od ziemi i szła w górę. Na prawo w dole wyrosło Kolno otoczone wzgórzami; na lewo i na wprost ciemniał sosnowy bór, rozległy, sfalowany jak morze. Trzy równoległe linie oddzielały go od zielonych pól i łąk: tor kolejowy, szosa i rzeka.

- To jest rzeka Pisa - informował Wyroba. - Wy pływa z jeziora Śniardwy i wpada do Narwi.

Hanka wiedziała o tym bezspornym fakcie. Wiedziała również - z mapy, którą miała przed sobą - że mijają kolejno: Dłu-towo, Jeże, Dziadowo i Kałęczyn, lecz Wyroba wymieniał nazwy tych miejscowości, jakby sankcjonując ich istnienie.

- Teraz będzie Pisz - oświadczył. - Tam skęcimy w lewo, na Ruciane.

Zabrzmiało to jak proroctwo i spełniło się co do joty. Po kilku minutach przepowiedział Szeroki Bór, potem

Ruciane i Karwicę. Lecz gdy Karwica została daleko z tyłu, a wśród lasów nad jakimś jeziorkiem otwarła się rozległa polana z dużą wsią pośrodku i z węzłową stacją kolejową - nie wymienił jej nazwy.

Powiedział tylko:

- Weźcie teraz kurs sto dwadzieścia stopni, wprost na Kolno.

Hanka mimo woli spojrzała na mapę i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nazwa, przed której wymówieniem w obecności swego pilota wzdragał się szef kierownictwa lotniczo-operacyjnego akcji opylania Puszczy Piskiej, brzmiała może niezbyt wytwornie, ale dość niewinnie: Pupy...

Nazajutrz w południe lądowisko pod Kolnem było gotowe na przyjęcie samolotu Li-2, zapasy azotou zwiezione i zmagazynowane, plan opylania uzgodniony, łączność z personelem leśnym ustalona, wyznaczona służba startowa i nawet kolejność startów poszczególnych załóg.

Dokonawszy tego wszystkiego, Stanisław Wyroba odesłał swoją „armię” na obiad, który gotowano w kuchni polowej na podwórzu miejscowej szkoły w Czerwonem, sam zaś postanowił raz jeszcze sprawdzić cały plan akcji.

Był zmęczony i niewyspany, ponieważ do późna w nocy obliczał i kalkulował, jak najekonomiczniej zorganizować starty, do-loty, lądowania i załadunek środków chemicznych oraz jakie rejony przydzielić poszczególnym załogom, uwzględniając także pracę, zasięgi i szybkość Li-2, który - dzięki swemu udźwigowi - mógł opylić około czterdziestu procent zagrożonego obszaru. Gdy wreszcie z tym skończył, nie mógł usnąć, dręczony myślami o najróżniejszych nie sprzyjających okolicznościach, które usiłował przewidzieć i którym należało z góry przeciwstawić

środki zapobiegawcze. Zdrzemnął się dopiero na krótko przed świtem, a wstał przed innymi, o wschodzie słońca, żeby ułożyć podział pracy na ten ranek i przedpołudnie. Jeździł do Kolna, telefonował do Warszawy, konferował z nadleśniczymi, sprawdzał roboty na lądowisku, interesował się zwózką i magazynowaniem azotynu.

Ledwie się z tym uporał, wyłoniły się dalsze sprawy: zaopatrzenie samolotów w materiały pędne, usprawnienie transportu, ostateczny przydział kwater i tak dalej.

Chciał mieć wszystko „zapięte na ostatni guzik”, zanim zacznie się właściwa akcja. Musiał jeszcze to i owo uporządkować, poprawić.

Wszedł do namiotu i zaczął przeglądać notatki, z których miał powstać szczegółowy regulamin. Po upływie pół godziny miał już zupełnie jasny pogląd, jak to powinno wyglądać. Wyciągnął ze skrzyni maszynę do pisania, ustawił ją na stole, zdjął pokrywę, założył cztery arkusze papieru z kalkami i... podniósłszy wzrok zobaczył Hanę Flisakównę.

Stała u wejścia trzymając w jednej ręce menażkę z parującą zupą, a w drugiej kopiasto naładowany talerz.

Przyniosłam wam obiad - oświadczyła zbliżając się do stołu. - Przestańcie na chwilę pracować, bo jak tak dalej pójdzie, skończy się to znajomym pogrzebem.

Wyroba był tak zaskoczony, że nie mógł wykrztusić słów podziękowania.

- Nie, doprawdy... Skądże znowu... - bąkał zmieszany i wzruszony.

Chyba że wolelibyście, aby wasze zagłodzone szczątki zostały spalone na stosie, a popioły rozrzucone na cztery wiatry - dodała stawiając przed nim menażkę. - Proszę jeść!

Patrzyła na niego z góry, ze zmarszczonymi brwiami, podczas gdy łagodne linie jej ust układały się jakby do

powstrzymywanego uśmiechu. Czuł, że musi przerwać tę chwilę milczenia, bo Hanka w końcu rzeczywiście parsknie śmiechem, ale nic stosownego nie przychodziło mu do głowy, więc spytał tylko, czy ona już jest po obiedzie.

- Ja myślę! - odrzekła siadając naprzeciw niego. - Nie przypuszczacie chyba, żebym była zdolna ratować was od śmierci głodowej mając pusty żołądek?

Nie, tego nie przypuszczał, a w ogóle nie oczekiwał, że ona wpadnie na taki pomysł.

- Trzy czwarte zasługi należy do kucharza - powiedziała robiąc skromną minkę. - Ja go tylko wyręczyłam w transporcie, że tak powiem.

Spojrzała na przygotowaną maszynę i rozłożone notatki. - ■ Macie coś do napisania? Może byście mi podyktowali? Przyjął tę propozycję z wdzięcznością. Chciał zaraz zacząć, ale ona zaprotestowała:

- Najpierw zjedzcie. Ja piszę prędko; zdążymy.

Uznał słuszność tego planu. Nie potrafiłby zapewne jednocześnie jeść, spoglądać w jej oczy, opanowywać przyśpieszone bicie serca i dyktować, myśląc zresztą wyłącznie o niej i odczuwając niepokojącą radość z jej obecności.

Łykał gorący krupnik, nie mogąc ciągle jeszcze wyobrazić sobie, z jakiego powodu ta śliczna dziewczyna z błyszczącymi oczyma mogłaby żywić dla niego jakąś sympatię czy choćby jakiegokolwiek uczucie różne od obojętności. Iskierki wesołości w tych jej ciemnoniebieskich oczach, wesołości zaprawionej - jak mu się wydawało - lekką drwiną, udaremniały dotąd wszelkie próby wyjaśnienia tej sprawy. Co prawda, owe próby właściwie nie dochodziły do skutku. Podejmował je niezręcznie i natychmiast z nich się wycofywał, uprzytamniając sobie nagle swoją

niedoskonałość i wszystkie braki swojej urody (od czasu owego zebrania w zarządzie Ligi Lotniczej, na którym po raz pierwszy zobaczył Hanke, o wiele uważniej i dłużej spoglądał w lustro przy goleniu).

Skończywszy z krupnikiem, lecz nie z dręczącym go zagadnieniem, zabrał się do gulaszu z kartoflami i pod koniec doszedł do przekonania, że niepotrzebnie łamie sobie głowę nad sprawą, która właściwie wcale nie istnieje. Oto po prostu Hanka była koleżeńska, jak powinna być każda z dziewcząt należących do ZMP. Wcale go nie wyróżniała specjalnie, a teraz przyszła mu pomóc nie ze szczególnej sympatii, lecz dlatego, że „doceniała” jego wczorajsze przemówienie na odprawie.

Po sformułowaniu tego wniosku odstawił opróżniony talerz i poczuł się znacznie spokojniejszy, choć jakby nieco zawiedziony. W każdym razie ten stan ducha, pośrednio wzmocnionego posiłkiem, sprawił, że mógł myśleć logicznie i o rzeczach bardziej konkretnych niż spojrzenia, uśmiechy lub tkliwe uczucia powodujące chwilową arytmieję serca.

Zaczął jej dyktować i wkrótce tak się przejął układaniem regulaminu, że wszystko inne wywietrzało mu z głowy.

Kończyli już to pisanie, gdy do namiotu zajrzał Turcza.

- Leci Li-2 - powiedział głośno.

Hanka odsunęła się nieco od stołu, jakby chciała wstać i wybiec na lotnisko, ale Wyroba tego nie zauważył.

- Zaraz tam przyjdę - rzucił za siebie do Turczy.

Podyktował ostatnie zdanie i podpis, po czym, pochyliwszy się nad maszyną, przebiegł wzrokiem cały paragraf.

- Dobrze - powiedział na pół do siebie. - Aha, może

koleżanka jeszcze to przejrzy, poprawi i zepnie. Ja tu zaraz przyślę Adamczyka; proszę mu dać trzy egzemplarze, a czwarty zostawić dla mnie, dobrze? I bardzo wam dziękuję za pomoc. Aha, i za obiad.

Wyszedł przed namiot i spojrzał ku północ-wschodowi, skąd słychać było zbliżający się warkot silników. Li-2 obszernym łukiem zachodził pod wiatr, wypuściwszy podwozie. Pośrodku lądowiska białe płachty ułożone w kształt litery T, a na lewo od nich wśród zamierających powiewów trzepotała lekko chorągiewka na krótkiej tyce wbitej w ziemię. Obok, z tarczą sygnałową w rękę, stał mechanik pełniący służbę.

Wyroba, przekonawszy się, że zarządzone przezeń pogotowie startowe działa, znów spojrzał w kierunku samolotu, który tymczasem zniżał się już po prostej, na minimalnej szybkości przeleciał nad zagajnikiem, nad rzędem maszyn klubowych parkujących na skraju pola i w następnej chwili osiadł gładko po prawej stronie wyłożonych płacht, kończąc dobieg o kilkadziesiąt metrów za nimi.

Pilot przyhamował lewe koło, zawrócił na prawym silniku, podciągnął się wolno pod zagajnik według sygnałów startowego i Turczy, który wskazał mu, gdzie ma się zatrzymać.

Gdy śmigła przestały się obracać i załoga wysiadła, Wyroba kolejno uściśnął wszystkim dłonie, po czym dowiedziawszy się, że są po obiedzie, i udzieliwszy im wstępnych informacji powierzył Elmera, Cygana i Janka Flisaka (którego nazwiska nie dosłyszał) opiece Turczy, a sam ofiarował się pokazać Mareszowi, jak tu wszystko urządził.

Piotr poddał się temu bez wielkiego entuzjazmu, lecz i bez szczególnej niechęci.

Był trochę rozdrażniony i zawiedziony, ponieważ Mary, wbrew obietnicy, nie stawiała się tego dnia na umówione spotkanie w kawiarni. Najpierw czekał prawie godzinę, potem telefonował do niej, lecz nie zastał jej w domu i musiał czym prędzej wracać na lotnisko nie zobaczywszy się z nią wcale, a przecież ta cała wyprawa do Kolna miała potrwać co najmniej z dziesięć dni...

Wyroba wydał mu się nieco napuszony i dość naiwny w swej dumie z tego, co dotąd zdziałał, jakkolwiek istotnie wyglądało to porządnie i składnie.

Obeszli lądowisko, zajrzeli do szopy ze zwiezionymi tam workami azotynu, przeszli obok beczek z benzyną i smarami, osłoniętych daszkiem z tarcic, zatrzymali się na chwilę przy radiostacji polowej. Piotr od niechcenia pytał o to i owo, ale widać było, że wyjaśnienia Wyroby interesują go akurat tyle, ile sprawozdanie z rewii mód mogłoby interesować skazańca w przeddzień egzekucji. Mimo to Wyroba się nie zrażał i opowiadał o swych poczynaniach nie szczędząc szczegółów.

Wreszcie weszli do namiotu i komendant wyprawy uroczyście zwrócił się do Hanki:

- Koleżanko Flisakówna, to jest kapitan Maresz.

Koleżanka potrząsnęła głową z łobuzerskim uśmiechem i wyciągnęła rękę do Piotra, który patrzył na nią z wyraźnym upodobaniem.

Jest naprawdę bardzo ładna - pomyślał.

- Dzień dobry pani - powiedział. - Janek mi mówił, że panią tu zastanę.

- To wy się znacie? - zdziwił się Wyroba.

Hanka czuła, że się czerwieni, ale opanowała zmieszanie.

- Uhm - odrzekła nie odwracając wzroku. - I to z jak

najgorszej strony: ja go do krwi pokłułam przy pewnej okazji, a on nie dotrzymał obietnicy i zaraz będzie się z tego tłumaczył, ale mu to nic a” nic nie pomoże.

Piotr się uśmiechnął. Cierpki osad zniechęcenia i apatii, który zatruwał mu pogodę tego dnia, zdawał się teraz znikać, jakby rozpuszczony przez jasne spojrzenie tej miłej dziewczyny.

- Ojej! Naprawdę? - powiedział patrząc jej prosto w oczy.

- No, jeszcze zobaczymy. Może mu się zada jakąś pokutę i jak obieca poprawę, to kto wie... A gdzie jest Janek?

- Trzyma się go w ukryciu jako zakładnika - oświadczył Piotr wyniośle. - Przewidywało się z góry te pogróżki i jeżeli pokuta miałaby być zbyt uciążliwa, no to sama pani rozumie...

- Szantażysta!

- To nie szantaż, tylko obrona konieczna.

- Tym pan nic nie wskóra. Już lepsza byłaby bezwarunkowa kapitulacja.

- Nigdy! - odrzekł Piotr z patosem. - Z tarczą albo na tarczy!

Roześmieli się oboje ku zdumieniu Wyroby, który nic z tego nie rozumiał i patrzył na nich poruszając nozdrzami, jakby węszył w powietrzu jakiś spisek lub zdradę.

- Janek jest przy maszynie - powiedział Piotr. - Muszę tam do nich zajrzeć. Pójdzie pani ze mną?

Skinęła głową.

- Chodźmy.

Wyroba odprowadził ich wzrokiem do wyjścia. Jakaś niezupełnie sformułowana refleksja o zmienności czy nawet o przewrotności natury kobiecej zaświtała mu w głowie.

A ten Maresz... - uśmiechnął się kwaśno. - Wyglądał,

jakby go cały świat przestał obchodzić, a potem nagle, jak tylko ją zobaczył, zaczął się do niej zalecać! „Pokłulam go”... co to miało znaczyć? - wrzucił ramionami.

Mniemał, że jest rozsądna i znacznie poważniejsza. A ten przyszedł, powiedział parę głupstw i zabrał ją bez żadnych ceremonii. Co jej się mogło w tym człowieku podobać?! Dlaczego z nim poszła nie obejrzawszy się nawet, choć przecież przed chwilą...

Znów doznał uczucia, jakie już raz go nawiedziło; czegoś pośredniego między rozczarowaniem, zawodem i żalem, co jednak nie przeszkadzało mu myśleć jednocześnie o innych, stokroć ważniejszych i bardziej realnych sprawach, które nie mogły podlegać tego rodzaju nastrojom czy też sentymentom. Na godzinę piętnastą były wyznaczone: zbiórka przy samolotach, ostateczny przegląd maszyn przed rozpoczęciem lotów i odprawa. Należało jeszcze odebrać ostatni komunikat meteorologiczny, zatelefonować do posterunków leśnych w Pogóbiu i w Janinie, żeby tam byli w pogotowiu, bo o szesnastej - start.

Wyroba zajął się tym gorliwie i dopiero upewniwszy się, że niczego nie przeoczono i nie zaniedbano, wyszedł przed namiot i skierował się do miejsca postoju samolotów.

Były już tam wszystkie załogi klubowe, a mechanik z LOT-u kończył przy ich pomocy ustawiać Li-2 w rzędzie, przodem do lotniska. Wyroba dostrzegł Hankę, która rozmawiała z Mareszem i jego drugim pilotem.

Szedł ku nim zwalniając kroku, jakby musiał przezwyciężać jakiś powstrzymujący go opór. Nie słyszał, co mówiła z wielkim ożywieniem, nie podnosząc jednak głosu, ale zauważył, że jest tym bardzo przejęta. Gra jej twarzy łagodnej i zarazem śmiałej była pełna wdzięku i wyrazu. Doszły go ostatnie jej słowa:

- ...Czasem bywa troszeczkę śmieszny, ale to bardzo dzielny człowiek. Zresztą sami się przekonacie.

Nie przyszło mu do głowy, że to zdanie dotyczy właśnie jego. Nie zwrócił na nie uwagi. Zbliżywszy się zapytał Piotra, czy jego załoga weźmie udział w dzisiejszych lotach: jeszcze by zdążyli załadować azot, a rejon można powiadomić telefonicznie.

Ale Piotr oświadczył, że wolałby zacząć od jutra. Chce przestudiować swoje rejony na mapie i zapoznać się dokładnie z planem lotów. Jego maszyna będzie już o czwartej rano gotowa do startu.

- Rano zaczynamy o wschodzie słońca - odrzekł Wyroba. - Czwarta trzydzieści.

- Doskonale - powiedział Piotr. - Jeżeli nie macie nic przeciw temu, zostaną tu, żeby zobaczyć, jak wam teraz to wszystko pójdzie.

- Proszę bardzo, naturalnie - mruknął Wyroba i odszedł, żeby wydać ostatnie zarządzenia.

Po chwili zaczęła się odprawa. Wyroba odczytał kolejność startów i raz jeszcze upomniał pilotów, żeby przestrzegali wszystkich znanych im już przepisów podczas lotu. Nie mógł się powstrzymać od swych ulubionych zwrotów o „historycznym znaczeniu twórczego wysiłku”, który oto mają podjąć za chwilę walcząc przeciw „nikczemnym zakusom” barczatki sosnowki i osnui gwiazdzistej. [barczatka sosnowka, osnuja gwiazdzista - owady, których gąsienice żerują na igłach sosen], a raz nabrawszy rozpędu zabrnął tak daleko, że niemal wstrząsnął „zrębami” planu sześcioletniego, „podwalinami” Polski Ludowej i pokojem świata, „unaoczniając” słuchaczom, co by się stało, gdyby nie wykonali planu opylania w stu procentach.

Piotr słuchał tego przemówienia z pobłażliwym uśmiechem, a napotkawszy wzrok Hanki mrugnął do niej porozumiewawczo, za co pogroziła mu palcem.

Skończyło się to wreszcie. Zawarczały zapuszczane silniki i samoloty kolejno zaczęły wysuwać się z rzędu, pełznąc na start i wznosząc tumany kurzu. Potem ciemna sylwetka pierwszego z nich ukazała się na tle nieba nad lasem, położyła się w skręt, błysnęła odbiciem słońca na skrzydłach, a za nią wzniosła się druga, trzecia, dziesiąta.

Wychodziły w powietrze niemal jednakowo, oddzielając się od ziemi w tym samym miejscu, jakby się tam zaczynała jakaś niewidzialna równia pochyła, i zatoczywszy krąg dokoła lotniska odchodziły promieniście na północny zachód. Po chwili warkot silników zgasł w oddali i na opustoszałe lotnisko zsunęła się miękka, aksamitna cisza.

Rozdział XII

Piotr w prawym rogu u góry arkusza postawił datę i z rozmachem napisał: Mary! - po czym pióro zawisło nad papierem, który miał się zapełnić burzą słów i zdań, jakich nie napisał jeszcze żaden rozżalony kochanek, jakich nie czytała jeszcze żadna z płochych, kapryśnych kobiet, odkąd zaczęły wodzić na pokuszenie ród męski na ziemi.

Piotr powziął postanowienie napisania tego listu jeszcze w południe, zanim odleciał z Warszawy do Kolna. Wtedy wydawało mu się, że wystarczy, aby usiadł gdzieś samotnie z piórem w ręku, wśród ciszy, nad arkuszem papieru, a owa nawałnica uczuć sama przemieni się w słowa, które nieomal cisnęły mu się na wargi. Była to chwila natchnienia spowodowana zarówno przez jego autorską próżność, jak przez doznany zawód.

Lecz teraz, mimo spełnienia podstawowych warunków do tego aktu twórczości, jakimi były: papier listowy i pióro,

opustoszały namiot na lotnisku i przedwieczorna cisza, teraz, po napisaniu imienia z potężnym wykrzyknikiem, ciąg dalszy nie chciał się przyoblec w owe jedyne na świecie słowa i zwroty... Piotr uświadomił sobie z pewnym zawstydzaniem, że jest trochę senny; czuł, jak ogarnia go przyjemna omdłałość, a wszystkie krew w jego żyłach zamiast wrzeć namiętnością zamienia się w ciepłe mleko.

Usłyszał zbliżający się warkot silnika w powietrzu i przez otwarte wejście do namiotu dojrzał lądujący samolot CSS-13; potem - drugi. Pierwsze załogi wracały po nowy zapas azotoku. Na lotnisku wszczął się ruch i trwał przez dłuższą chwilę, aż stopniowo znów wszystko ucichło.

Odłożył pióro, sięgnął po papierosy i przekonał się, że nie ma zapalek. Rozejrzał się po stole: gdzieś je tu położył. Aha, są; leżały na rozłożonej mapie z zaznaczonymi rejonami opylania. Sięgnął po nią i zaczął ją studiować. Domyślił się natychmiast, że wydłużone prostokąty lasu na płaszczyznach bez większych wzniesień stanowią teren przydzielony jego załodze. Przeliczył w myśli odległości i czas. To było dobrze zaprojektowane. Niegłupi chłopak ten Wyroba. Za to nudny - coś niemożliwego! No, trzeba jednak napisać ten list - westchnął. - Ba, gdybym był poetą...

Hanka Flisakówna po raz trzeci ruszyła do startu. Maszyna z pełnym obciążeniem twardo odbijała na drobnych nierównościach gruntu, wolno podnosząc ogon. Rozpędziła się dopiero w połowie lotniska i wreszcie weszła na elastyczny, jak wygięta sprężyna, mocny nurt, który dźwignął ją w górę ponad drogę pod lasem. Minęła rzekę, do której szybko zajrzało jasne niebo rozświetlając ją na krótką chwilę, i pracowicie zaczęła się wznosić coraz wyżej nad ciemnym, wełnistym kożuchem sosnowego boru.

Na lewo błyszcząły odbiciem słońca wielkie lustra

bagien i zalewów Turośli. Las był tam skarłały, rzadki, za to po brzegach podszyty brzezina i olszyną. Przypadał nisko do mokrej, parującej ziemi, czołgał się nieśmiało po zboczach ostrowów, zgarbiony, chyłkiem wbiegał na wzgórza, prostował się na nich, jakby chciał stamtąd objąć spojrzeniem dalszą przestrzeń, i znów zbiegał w dół lub kładł się na płask i spełzał ku wodzie.

Na prawo wysoki i prosty starodrzew cofał się przed bagnem szerokim zakolem. Sosny o rdzawych pniach dumnie wznosiły w górę ciemne głowy spoglądając prosto w tarczę słoneczną, która czerwieniała coraz bardziej, jakby nabiegała krwią po całodziennym wysiłku. Smuga żółtego piasku ścieliła się pod stopy ogromnych drzew, czysta i jasna, jak niebacznie upuszczona szarfa na skraju głębokiego cienia.

Powietrze spokojne, gładkie jak roztopione masło, nasycone łagodnym światłem, stało nad ziemią nieruchomo i tylko delikatny, przejrzysty opar mgły lekko falował na samym dole unosząc się z nagrzanej wody.

Spomiędzy wzgórz, które wyrosły po prawej stronie rzeki, wybiegła wąska droga, skręciła na zachód, na północ i wydostała się na otwartą polanę. Kilkanaście domów o białych ścianach i czerwonych dachach zbiło się w gromadkę pośrodku. Wątle kosmyki niebieskiego dymu snuły się z kominów. Stado krów wracało do wsi, jakieś ludzkie postaci przystawały przed płotami zadzierając w górę głowy, dzieci biegly wnosząc tumany kurzu i wymachując rękami za samolotem.

Hanka odpowiedziała im z góry podobnym gestem i zmniejszywszy obroty zaczęła się zniżać wprost na las za wsią, gdzie nad wierzchołkami najwyższych drzew bielą kilka chorągiewek osadzonych na długich żerdziach. Spojrzała na szkic umieszczony w rogu mapnika. Obszar

wyznaczony chorągiewkami został już w dwóch trzecich opylony podczas poprzednich lotów. Pozostała tylko skrajna jego część, najbardziej pofalowana przez wzgórza, z głębokim jarem pośrodku.

Zamknęła gaz. Samolot schodził w dół, coraz niżej, tuż nad ciemne, skłębione korony sosen.

- Uwaga! - powiedziała do awiofonu. - Zaraz zaczynamy.

Uregulowała obroty silnika, który pociągnął maszynę ze wzrastającą szybkością. Wyrównała, spojrzała na licznik, na szybkościomierz i znów przed siebie. Pierwsza tyka z chorągiewką zbliżała się szybko.

- Teraz!

Pchnęła w przód rękojęść dźwigni rozpylacza. Wiatraczek umieszczony z tyłu, za jej głową, zaczął się obracać i warczeć, a zaraz potem usłyszała głos mechanika, który powiadomił ją, że aparatura działa bez zarzutu.

Prowadziła maszynę pewnie, choć z dużym napięciem uwagi: różnice wzniesień terenu były znaczne, a wysokość nad powierzchnią lasu nie powinna przekraczać dziesięciu metrów.

Przed nią ciemniał, zapadał się poprzeczny jar. Pochyliła dźwęk sterowy w przód, aby wejść w to zagłębienie. Natychmiast przeciwległe, strome zbocze wąwozu wzniosło się ponad horyzont. Sosny pięły się w górę, jakby wstępując po szerokich schodach. Były blisko: ich rozłożyste konary o złotobrazowej korze przeglądały między gęstwiną igliwia, pędziły wprost na skrzydła samolotu. Mogło się zdawać, że usiłują ich dosięgnąć, chwycić za krawędzie, ściągnąć w dół pomiędzy tłum gładkich, stłoczonych pni.

Lecz maszyna wymknęła się im zrecznie, w samą porę

podciągnięta sterem. Horyzont wrócił na swoje miejsce, tuż nad maskę silnika, a biały, wygięty pióropusz pyłu wolno opadał w dół jak długi, zanikający obłok.

Z lewej strony mignęła trzecia żerdź orientacyjna, a czwarta i ostatnia ukazywała się raz po raz na szczycie leśnej fali niby ostrzegawcza boja zakotwiczona u granicy żeglownego szlaku.

Zrównawszy się z nią Hanka zamknęła otwór wysypu i dodała gazu, aby wznieść się wyżej przed zwrotem. Maszyna śmignęła w górę, położyła się w głęboki skręt pod słońce, zacieśniła łuk. Ciemny, tylko tu i ówdzie płonący miedzianym połyskiem gąszcz nie objętych wzrokiem lasów obrócił się pod skrzydłami samolotu jak na potężnej osi i zaczął sphywać w przeciwną stronę.

Znów tuż blisko mignęła wiecha z chorągiewką, zawarczał wiatraczek na kadłubie maszyny, szeroka, biała smuga rozpylonego proszku zakłębiła się w powietrzu jak pienista bruzda za szybką łodzią motorową. I znów głęboki, czarny jar pochłonał na mgnienie oka przygasając jasność dnia, a potem pośród zielonej polany osiadłej między ścianami boru wywinęły się niebieskie dymy nad czerwonymi dachami domów.

Hanka skręciła wprost na południe, jak nakazywał plan dolo-tów. Na prawo zawisło nad puszcza słońce, ściemniało jak węgiel wyjęty z ogniska. Nie świeciło już; zdawało się wchłaniać z powrotem resztki światła rozproszonego po opalowym niebie, a w dole świat - jeszcze jasny, lecz bez blasków i cieni - pogrążał się w spokojną zadumę nadciągającego wieczoru.

Gdy wśród rzedniejącego lasu ukazał się kręty tor kolejowy na wysokim nasypie przecinającym torfiaste łąki i bagna, Hanka skręciła w lewo, na Kolno. Przed nią, na

wschodzie, wisiał błady zmierzch, a nierówne, poszczerbione ściany lasu ciągnęły się teraz po obu stronach toru jak ciemne mury obronne jakiejś fantastycznej twierdzy, w której noc miała stanąć załoga, obejmując panowanie nad ziemią i niebem.

Czarna, wysoka kłamra mostu wyłoniła się na wprost, niby pierwszy posterunek tej załogi, a pod nią przemknęła gładka wstęga Pisy jak fosa odgradzająca ponurą leśną warownię od młodych zagajników, od pastwisk i łąk, od pól uprawnych i ludzkich osiedli.

W tej samej chwili na północy, nisko nad horyzontem, ukazał się ciemny punkt i szybko zaczął się zbliżać, rosnąć, aż przybrał kształt samolotu.

Wyroba wraca znad Jeziora Pogóbskiego - pomyślała Hanka.

Wiedziała, że wybrał sobie tamten rejon, jeden z najtrudniejszych: nieregularny, powikłany obszar lasu pokrywający urwiste brzegi i fałdy terenu. Nie chciał powierzyć go żadnemu z młodych pilotów; opylenie tych wykrotów z wysokości kilku metrów było tyleż niewdzięcznym, co ryzykownym zadaniem.

Wyroba nie dbał o to, aby jego własna praca wypadła efektownie; chodziło mu o całość, o rzeczywisty, dobry wynik akcji zespołowej, nie o popis osobisty. Hanka pomyślała, że ten człowiek zasługuje na więcej uznania i wdzięczności ze strony młodszych kolegów, niż doznaje. Piotr także tego nie dostrzega; widzi tylko to, co jest śmieszne. Piotr...

Cóż ja ciągle z tym Piotrem! - rozgniewała się.

Ale uśmiech Piotra i jego głos nie dawały się przepędzić z pamięci; wracały. Tak zresztą było nie od dzisiaj; od dawna. Od tego pierwszego, przelotnego spotkania

w „Cebuli”. Na próżno się strofowała, że niepotrzebnie zawraca sobie nim głowę; na próżno starała się utwierdzić w mniemaniu, że jest zarozumiała i że zapomniał o jej istnieniu, zanim jeszcze wyrzucił strzępek waty, który mu dała do zatamowania krwi z ukłutego palca; na próżno przekonywała się, że jest jej równie obojętny jak tysiące ludzi, których się spotyka przypadkiem raz lub dwa razy w życiu i których się nie pamięta wcale, ponieważ są podobni do wielu tysięcy innych, mijanych codziennie, zupełnie obcych.

Myślała o Piotrze. Chciała mu się podobać, lecz wąpiła, czy kiedykolwiek obudzi w nim żywsze zainteresowanie. Nie ufała ani swojej urodzie, ani inteligencji, ani umiejętności prowadzenia rozmowy, którą uważała dotąd za niepotrzebną i trudną sztukę mówienia o niczym.

Ciągle jeszcze wydawało jej się, że nie potrafi tak swobodnie rozmawiać jak inni - może dlatego, że w swych latach dziecięcych mówiła bardzo niewiele z ludźmi; z pewnością mniej niż z dwiema kozami i stadkiem gęsi, które wówczas pasła. Przywykła do milczenia, a głosy, które je przerywały, nie miały nic wspólnego z towarzyską rozmową.

Później, w szkole, trzeba było przewycięzać tę niechęć do głośnego wyrażania myśli i nauczyć się ujmować je w zdania. Lecz to jeszcze nie była rozmowa; raczej tylko odpowiedzi na zadawane pytania. Naturalnie, w końcu doszło także do rozmów, a wrodzona spostrzegawczość i wesołość przebijały raz po raz powściągliwe milczenie, jak podziemny strumień przebija się poprzez szczeliny skał i głazów na powierzchnię. Hanka nie była gadatliwa, ale miała niejedno do powiedzenia. Mówiła śmiało, jasno, często z dowcipem, który sam się nasuwał w sposób naturalny, zgodny z jej wesołym usposobieniem.

Nie uświadamiała sobie w pełni, ile ma wdzięku, świeżości, uroku. Gdy jej ktoś o tym mówił, rumieniła się mocno, aż po same włosy. Gniewało ją to. Ale gdyby to powiedział Piotr...

Piotr! Piotr zamienił z nią zaledwie kilka lub kilkanaście zdań! Widział ją dziś po raz trzeci w życiu, wliczając już w to przelotne spotkanie na przystanku tramwajowym, kiedy szedł taki zamyślony, że zaledwie ją poznał.

A jednak... jeżeli spojrzenia mogą coś wyrażać, to jego spojrzenie, gdy ją dziś zobaczył w namiocie, wyrażało... No, było takie, jakby jej właśnie powiedział, że mu się podoba.

- Ojej, jaka ja głupia jestem! - westchnęła. - Dobrze jeszcze, że on nic o tym nie wie, ten zarozumiały człowiek.

Postanowiła, że Piotr nieprędko się o tym dowie; może nawet wcale. Prawdopodobnie wcale.

Spojrzała w lewo, gdzie przed chwilą dostrzegła samolot Wyroby. Był już całkiem blisko; wyprzedzał ją znacznie, zmierzając wprost ku lotnisku.

Ziemia w dole ciemniała coraz bardziej. Zagajniki, pola, drogi, wzgórza, wszystko to zacierało się pod jednolitą, szarą przesłoną jak przysypane warstwą popiołu. Tylko ściany domów w Czer-wonem poróżwiały, a szyby ich okien płonęły krwawo jak ślepia przyczajonych bestii. Na tle jasnego nieba samolot Wyroby położył się w skręt i zaczął tonąć opuszczając się coraz niżej, aż znikł pod horyzontem.

Mijając lotnisko w chwilę potem, Hanka ujrziała rząd nikłych światełek od latarni stajennych wskazujących kierunek lądowania. Zamknęła gaz i zniżywszy się do dwustu metrów zaczęła skręcać w lewo. Na niebie nad popielatą ziemią ukazała się czerwona smuga jak olbrzymia antaba z rozpalonego żelaza u wrót ciemności. Sunęła nad maską

silnika, coraz szersza, aż rozlała się w nieregularną, gorejącą plamę szkarłatu. Wtedy Hanka wyprowadziła maszynę ze skrzyżowania i spojrzała w dół. Przed nią majaczył czarny zagajnik, a dalej jakieś cienie, rozplywające się kontury namiotu z jasnym trójkątem wejścia, ledwie widoczna droga i ów rząd światełek w ostrym skręcie.

Ziemia zbliżała się odsłaniając przed jej wzrokiem swoje kształty, jakby zmierzch cofał się na tę krótką chwilę przed nastaniem ciemności. Hanka dostrzegła pod sobą samolot Wyroby zbliżający się do pozostałych, już ustawionych w szereg na skraju lotniska, a potem - białe płachty wyłożone tuż przy pierwszej latarni.

Z gładkiego kręgu horyzontu wyrosły czarne, poszczerbione kontury lasów, a lotnisko zapadło głębiej, osiadło na dnie przestrzeni i coraz szybciej zaczęło sunąć pod skrzydłami niby szeroka rzeka ciemnej lawy. Rząd latarni po lewej stronie zwolnił biegu, zawisł na chwilę, jakby się zawahał, i podpłynął wyżej. Ziemia gęstniała coraz bardziej; jej półpłynna masa zdawała się twardnieć, zastygać w równą powierzchnię.

Koła podwozia musnęły ją lekko, odbiły się płaskim, długim szczupakiem. Zanim znów dotknęły lotniska, samolot ściągnięty sterem wytracił szybkość i opadł łagodnie, przechodząc w krótki dobieg.

Hanka dokołowała na swoje miejsce i wyłączyła zapłon. Potem uwolniwszy się od pasów przełożyła nogę przez burtę i poczuła, że ktoś stojący przy samolocie wstawia jej stopę w otwór zejściowy, do którego nie mogła od razu trafić. Opuściła się w dół, podtrzymana przez czyjeś ramię, i dopiero znalazłszy się na ziemi rozpoznała postać Wyroby.

- O, dziękuję - powiedziała ściągając kominiarkę. -
Lądowaliście tuż przede mną, prawda?

- Tak - odrzekł. - Jak wam poszło?

Zaczęła opowiadać z ożywieniem. Ujęła go pod rękę i szła obok niego w stronę namiotu.

Nie, nie miała żadnych trudności. Wszystko odbyło się sprawnie i szybko. Wszystko funkcjonowało doskonale. „Taka organizacja!”

Wyroba spoglądał na nią z ukosa i uśmiechał się trochę zmieszany, zarówno jej pochwałami, jak tym, że tak szli pod ramię, jak się idzie z kimś bardzo bliskim.

Dobrze, że jest już prawie ciemno - pomyślał.

Istotnie, ciemność zdawała się nadbiegać falami, jakby ją przynosiły z sobą nikłe powiewy od strony puszczy. Noc zapadała ukradkiem, po cichu sadowiąc się na wszystkim dokoła, zacierając kształty przedmiotów, zasypując je nieuchwytnym, coraz ciemniejszym pyłem. Tylko z namiotu padał na wydeptaną trawę trójkątny snop światła.

Wyroba zatrzymał się na jego skraju.

- Musimy zaraz odnotować, co zostało dziś zrobione - powiedział. - Pomożecie mi?

- Naturalnie.

- To ja tu zaraz przyjdę z koleżanką Lorkówną i zbierzemy od wszystkich sprawozdania. To potrwa z piętnaście minut, a potem już pojedziemy na kwatery.

Hanka skinęła głową.

- Dobrze. Poczekam na was w namiocie.

Weszła tam i zatrzymała się pośrodku olśniona światłem. Dopiero po chwili zobaczyła Piotra, który siedząc za stołem adresował kopertę. Zbliżyła się do niego na palcach, stanęła za jego plecami.

- Bum! - powiedziała głośno, żeby go przestraszyć

Ale Piotr nawet nie drgnął. Powoli odwrócił głowę.

- Nie udało się - oświadczył. - Ja mam wspaniały

słuch.

- I nerwy ze stali - dodała z udanym patosem. - Nie umie się pan bawić; trzeba było spaść ze stołka, choć pan przewidział ten zamach z mojej strony.

- Kiedy nie mogłem ryzykować.

- Czego?

- Kleksa na kopercie.

Mimo woli spojrzała na zakończenie listu i na tę kopertę.

...Całuję Cię mocno... Twój Piotr Na kopercie był adres:

Mary Godzicka

Komorów, poczta Pruszków ul, Świerkowa 5

Zrobiło jej się nieswojo. Jakby ją ktoś przyłapał na plądrowaniu cudzych rzeczy.

Piotra bawiło to jej zawstydzenie. Gorący rumieniec wypłynął na jej policzki i czoło, nawet na szyję. Nie wiedziała, gdzie podziać oczy, a cała jej zawadiacka, trochę udawana pewność siebie przysła nagle jak bańka z mydlin.

Ulitował się wreszcie nad nią. Jej młodość, pełna wdzięku uroda, przypominająca swym prostym czarem i wesołą żywotnością jakiś polny kwiat o miłym zapachu, były zbyt ujmujące, aby im nie ulec. Postanowił wybawić ją z kłopotu.

- Dziwi się pani, że ledwie tu przyleciałem, już piszę list?

- Nie. Niczemu się nie dziwię. Zła jestem.

- Na mnie?

Wzruszyła ramionami.

- Na siebie.

- Za co?

- E, co pana to może obchodzić! Zła jestem i już.

- Trudno - westchnął Piotr. - Poczekam, aż się pani wyzłości. A może ten kaznodzieja panią ułagodzi, jak tu przyjdzie?

- Jaki znów kaznodzieja?

- No, kolega Wyroba.

Teraz się naprawdę rozgniewała. Piotr wysłuchał *expose* o zaletach umysłu i ducha kolegi Wyroby, po czym dowiedział się, że ten ostatni jest znacznie więcej wart niż ci, co sobie z niego po-kpdwają.

Nic już nie zdołał powiedzieć na swoją obronę, bo do namiotu wtargnęła hałaśliwie czereda młodych ludzi, którzy zdawali się mówić wszyscy na raz. Kilku z nich obstało Hanke. Pytali, „ile opyliła”, i nie czekając na odpowiedź udzielali jej wiadomości o własnych i cudzych przygodach, o działaniu silników i rozpylaczy, o meldunkach z nadleśnictw, o tym, jak ktoś tam zmylił drogę, ktoś wysypał cały zapas azotoku na zdrowy las, a jeszcze inny wrócił z końcem skrzydła postrzępionym o wiechę orientacyjną. Piotra nużył ten chaotyczny gwar. Wyszedł z namiotu i natknął się na Józka Cygana, który go właśnie szukał, żeby mu powiedzieć, że załadował dwa tysiące dwieście kilogramów azotoku do zbiorników Li-2 i że maszyna jest gotowa.

- Dobrze - odrzekł Piotr. - A co się dzieje z Elmerem i z Jankiem?

Cygan oświadczył, że obaj przez cały czas byli bardzo zajęci:

- Bo tym z Ligi jedna ich stacja nawaliła, więc ją rozkręcili na drobne szczegóły, ale nie bardzo mogli znaleźć, o co chodzi. A Włodek, jaki jest, taki jest, ale już co do radia, to się na tym zna jak sam król Salomon; więc dopieroż im wyklarował i już teraz gra. A znów Janek tę agroboginię bajeruje, ale coś mu słabo idzie, bo tylko tam i nazad chodzą i

ona go o tych leśnych robakach poucza, a on udaje, że go to cholernie ciekawi.

Piotr się roześmiał.

- Miła dziewczyna ta Lorkówna - zauważył.

- Phi - Cygan skrzywił się lekceważąco. - Taka sobie.

- Ty w ogóle jakoś nie masz wielkiego pociągu do kobiet?

- Mam czas - oświadczył Józek. - Nawet mi się jedna spodobała - dodał po chwili. - Ta Zosia Radoszówna, co lata za stewardessę z Janczarem.

- Aha. No i cóż z tą Zosią?

- A nic. Mnie tam akurat baba potrzebna! Jak tygrysowi nocna koszula. Owszem, mogę ją na motorze przewieźć, do kina z nią pójść i nawet na zabawę, byle nie do magistrackiego biskupa. A Janek to by tam zaraz z tą swoją biologią poleciał. Taki już jest matrymonialny chłopak. Tylko na całe szczęście nie bardzo śmiały. Zobaczysz: on z nią jeszcze z pół roku o tych robakach będzie rozmawiał, zanim jej powie coś o apropos.

Umilkł nagle i lekko trącił Piotra sygnalizując mu zbliżanie się tej pary. Za nimi weszli do namiotu Wyroba, Turcza i kierownik administracyjny Adamczyk, a potem jeszcze Elmer z dwoma radiomechanikami.

- i My tam nie idziemy? - spytał Cygan.

Piotr nie miał ochoty, ale Józek zaczął go przekonywać.

- Posłuchamy, co oni dziś zrobili i jak. Bo się szykuje współzawodnictwo i musimy im pokazać. Jużemy z Jankiem kombinowali, żeby nas nie nabili, ale to nie będzie łatwo obliczyć, jak ustalić normę dla nich, a jak dla nas.

- I cóż wam na tym zależy? - mruknął Piotr.

- A tobie nie zależy? - szczerze zdziwił się Cygan.

Piotr nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- No dobrze; chodźmy - odrzekł wreszcie bez przekonania, po to tylko, żeby jakoś zakończyć tę rozmowę, - Zwariowali z tym współzawodnictwem - pomyślał. - Jeszcze ze mnie zrobią przodownika pracy...

Tego wieczoru nie poruszono jednak sprawy żadnych norm i współzawodnictwa. Wyroba spiesznie zebrał od załóg raporty, przekazał je Hance i Teresie Lorkównie, po czym wyznaczył nowe rejony i ustaliwszy kolejność startów zarządził koniec zajęć.

Większa część członków wyprawy kwaterowała na miejscu, w Czerwonem. Tylko Hanka i Teresa, cała załoga Piotra oraz Wyroba mieli nocować w pobliskiej leśniczówce Łacha, gdzie czekała ich kolacja.

Zabrali swoje manatki i pojechali tam ciężarowym samochodem przez las, wąską, wyboistą drogą. Księżyc zaszedł i głęboka ciemność spadła na świat. Siedząc na twardych, chybotliwych, podskakujących ławkach nie mogli się widzieć nawzajem i Piotr dopiero po chwili ustalił, że to Hanka kurczowo trzyma się jego ramienia, żeby zachować równowagę.

- Wyzłóściła się już? - zapytał cicho, pochylając się ku niej.

- Prawie. Ale niech pan ze mną nie zaczyna, bo znów będę zła, a muszę się pana trzymać, bo inaczej spadnę.

- To już lepiej ja panią będę trzymał - powiedział ujmując ją pod rękę. - Tak dobrze?

Nie odpowiedziała. Piotr poczuł tylko, że lekko przycisnęła jego ramię.

Samochód wjechał na drewniany most, którego belki zadudniły pod kołami, skręcił w prawo, zwolnił, stanął. Ktoś podszedł ze światłem, odczepił ruchomą tylną klapę, obrócił

ją na zawiasach, na miejscu - powiedział Wyroba i wyskoczył pierwszy.

Piotr poszedł za jego przykładem i obaj wydał¹e, żeby zejść Hance. Spojrzała na nich z góry, zawahała się przez i oparłszy się na ramionach ich obu opuściła się na ziennę.

Rozdział XIII

Gdy Piotr wylądował po raz trzeci tego ranka, była za piętnaście ósma. Na lotnisku panował ruch. Załogi klubowe ładowały zapas azotynu i duolitu do zbiorników swoich maszyn, kolejka ludzi z taczkami do przewożenia worków czekała przed szopą, mechanicy pompowali z beczek benzynę, wlewali smar, z powrotem zakładali zdjęte maski; raz po raz jakiś silnik warczał przy próbie, a tumany kurzu wznoszone pędem śmigieł wiły się po ziemi i ulatywały w górę, oddalając się z wiatrem.

Piotr podkołował ostrożnie wprost pod magazyn i wyłączył zapłon. Flisak, Elmer i Cygan wysiedli i natychmiast zabrali się do ładowania.

Zbiorniki Li-2 mogły pomieścić ponad dwie tony proszku, czterdzieści parę worków po pięćdziesiąt kilogramów, które trzeba było przydźwigać na plecach, wnieść po schodkach i wsypać do otworu w kadłubie. Wykonując tę ciężką pracę po pierwszym i drugim locie, nie chcieli się zgodzić, żeby Piotr brał w niej udział; po dłuższym sporze pozwolili mu tylko wyleźć na wierzch gondoli, gdzie odbierał worki i pomagał je opróżniać. Chciał im pomóc i tym razem, ale zanim zdążył wyjść z kabiny, znalazło się tylu pomocników, że nie mógł się pomiędzy nich wcisnąć.

Czuł się tym trochę zakłopotany: nie mógł tak stać bezczynnie i przyglądać się, jak go wyręczają. Powiedział im, że nie chce tu udawać dyrektora, na co mu odpowiedzieli, że

u nich jest taka zwyczaj i już.

W kwadrans byli gotowi, a w pół godziny później poszli się myć do rzeki i tam „padło wyzwanie”, jak to następnie określił Wyroba.

„Wyzwanie” dotyczyło oczywiście współzawodnictwa, o którym już poprzedniego dnia wspomniał Cygan. Ułożyli to między sobą leżąc w słońcu na piasku. Ustalili normy: dla załogi klubowej opylenie pięćdziesięciu sześciu hektarów dziennie; dla Li-2 - trzystu siedemdziesięciu pięciu. Dokładnego opracowania regulaminu tego współzawodnictwa podjął się Wyroba, a Piotr, który początkowo traktował całą tę sprawę z pobłażliwym uśmiechem, postanowił wziąć udział w tej „zabawie” wyłącznie przez solidarność ze swą załogą i sam zaczął się zastanawiać, w jaki sposób można by najlepiej zorganizować załadunek, starty i lądowania, aby zyskać na czasie.

- Przede wszystkim musimy uprościć ładowanie proszku - powiedział do Cygana, który straszliwie marszczył brwi i strzygł uszami, jak zwykle, gdy był czymś bardzo przejęty.

- Musowo - zgodził się Cygan. - Bo z tym jest nawalanka: na jedną ich załogę wypada za każdym razem po cztery worki, a na nas czterech po jedenaście. I oni nie muszą tych worków targać na drugie piętro, tak jak my.

- Trzeba zrobić dźwig - mruknął Elmer z takim wyrazem twarzy, jakby pomyślał: Trzeba się rozstać z wszelką nadzieją.

Cygan spojrział na niego z uznaniem.

- Dźwig! Faktycznie. Nawet tam widziałem taki blok krążkowy. Trzy żerdzie się postawi i ten krążek z łańcuchem i nawet po dwa worki będzie można wciągać na górę!

Chciał zaraz zabrać Flisaka i Elmera, żeby mu pomogli zmajstrować ów dźwig, więc Piotr poszedł wraz z nimi, aby po drodze omówić jeszcze z Jankiem, jak można by skrócić czas lądowania i kołowania.

Po rozważeniu wszystkich możliwości doszli do wniosku, że przy sprzyjającej pogodzie zdołają wykonać sześć lotów dziennie. Dawało to w sumie ponad trzynaście ton azotynu lub duolitu - ilość wystarczającą na opylenie czterystu pięćdziesięciu hektarów lasu.

Cygan przez cały czas strzygł uszami jak koń opadnięty przez muchy.

- To jest 120% normy! - wykrzyknął. - No, to tamci leżą krzyżem.

- Nie bój się, tamci też kombinują - mruknął Elmer. - Jak sobie załadują nie po dwieście, tylko po trzysta kilo, to mają 150% normy i my leżymy krzyżem, nie oni.

- A my nie możemy brać więcej niż dwa tysiące dwieście kilo na raz? - spytał Józek spoglądając na Piotra.

Piotr pokręcił głową.

- Nie. I tak ledwie starcza lotniska do startu. A podwozie też więcej nie wytrzyma.

- Oni trzystu kilogramów na CSS nie wezmą - wtrącił Flisak. - Najwyżej dwieście dwadzieścia. Ale mogą także coś zyskać na załadunku i na dobrej organizacji. Jak im się uda, to każda załoga opyli przeciętnie do sześćdziesięciu hektarów.

- To by było jakieś 110% - bąknął Elmer z wyrazem szczerego smutku na twarzy.

Piotr przerwał te rozważania: w najbliższych dniach się to okaże, teraz nie ma co obliczać i łamać sobie nad tym głowę.

- Róbcie ten blok. Ja opracuję trasy dolotów.

Tego dnia wieczorem i przez dwa dni następne ani załogi klubowe, ani załoga Piotra nie osiągnęły lepszych wyników niż poprzednio. Pogoda psuła się: niebo było chmurne i zmrok zapadał wcześniej, a zmienne, porywiste wiatry budziły się wkrótce po wschodzie słońca i już około godziny siódmej rano skuteczne opylanie stało się niemożliwe. Białe smugi azotynu, zamiast opadać na las w dole, kłębiły się nad nim, skręcały w bok, ulatywały w górę i rozpraszały się bezładnie, zwiewane to w tę, to w tamtą stronę.

Czwartego dnia wiatr wył przez całą noc, o świcie zaś zaczął lać deszcz i padał aż do wieczora. O lotach nie mogło być mowy. Wszyscy spali do ósmej, po czym Wyroba zorganizował jakieś wykłady i zajęcia, na które Piotr nie poszedł. Ale po obiedzie, przeczytawszy już wszystkie gazety, sam zaproponował grę w „sekretnarza”, do której przyłączyła się większość młodzieży, a potem i przypominali sobie coraz inne gry zapisując całe sterty kartek nazwami geograficznymi, odgadując synonimy i rozgrywając fanty. Jedli kolację w Czerwonym, wszyscy razem, gdy Piotra odwołano do telefonu na pocztę.

Natychmiast przyszła mu na myśl Mary. Któż inny mógłby do niego telefonować?

Poczta była o kilkadziesiąt kroków od szkoły, ale wśród gęstych ciemności dobrnął tam z niejakim trudem, stoczywszy po drodze zacieklą walkę z szalejącą wichurą. Miejscowy poczmistrz uprzejmie podał mu krzesło i oświadczył, że trzeba będzie chwilę poczekać:

- Ta pani połączy się powtórnie za parę minut.

- Pani Godzicka? - spytał Piotr.

- Zdaje się, że tak. Trochę źle słychać, to przez ten wiatr. Sygnał telefonu zadźwięczał niepewnie, umilkł i

odezwał się znowu. Poczmistrz zgłosił się i oddał Piotrowi słuchawkę.

- Proszę mówić.

Wśród trzasków i zawodzenia, poprzez szum i jazgot w mikrofonie przypląnął daleki, ledwie uchwytny głos Mary:

- Piotrze! Halo! Piotrze.

- Słucham - powiedział Piotr. - Halo! Mary. Słucham! Przez kilka sekund nic nie można było zrozumieć; potem rozległ się głośny chrobot i -

- ...więc wyjeżdżam i chciałam... Słyszysz mnie, Piotrze?

Piotr doznał wrażenia, że ktoś mu ścisnął gardło.

- Kiedy wyjeżdżasz? Dokąd?

Odpowiedział mu wzmożony szum, który urwał się nagle jak odcięty nożem.

- Mary! - zawołał Piotr. - Mary!!

Cisza trwała nadal - płaska, twarda, nieprzenikniona. Wzrok Piotra napotkał pytające spojrzenie urzędnika.

- Przerwano - powiedział Piotr. - Może pan spróbuje... Poczmistrz wziął słuchawkę, potrząsnął nią, pokręcił korbką raz, drugi, trzeci.

- Ba! - mruknął. - Znow zerwało przewody. Już drugi raz od wczoraj i nawet nie wiadomo, jak długo potrwa naprawa; jak odbiorą pocztę, to może jutro przyślą z Kolna brygadę pogotowia. Mógłby pan z tamtejszego urzędu... Tylko to jest cztery kilometry stąd i nie wiadomo, czy przerwa nie zdarzyła się między Kolnem a Łomżą.

Piotr sam o tym pomyślał, ale natychmiast tę myśl odrzucił. Chciał rozmówić się z Mary bezpośrednio, chciał ją zobaczyć przed tym rozstaniem. Nie wątpił, że ona wyjeżdża do Anglii. Dziś? Może dopiero jutro? Może potrafiłby ją zatrzymać?

Uchwycił się tej złudnej nadziei. Był niemal pewien, że umiałby ją przekonać, gdyby tylko znalazł się z nią razem, choćby na kilka minut, na chwilę!

Ale jak? Jakim sposobem?

Była noc; od Warszawy dzieliło go sto osiemdziesiąt kilometrów...

Motocykl! - przypomniał sobie nagle.

W sześć godzin mógłby obrócić tam i z powrotem; godzina w Warszawie - no, niechby dwie godziny - to razem osiem.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta.

Zdązę - pomyślał.

Wyszedł, raczej wybiegł z urzędu pocztowego nie słuchając usprawiedliwień poczmistrza. Niemał po omacku trafił z powrotem do szkoły i odwołał Elmera do sąsiedniej izby.

- Musisz mi pożyczyć motocykl. Jadę do Warszawy.

Elmer przyjął tę wiadomość ze zwykłym spokojem.

- Zaraz? - spytał rzeczowo.

- Zaraz. Masz benzynę w zbiorniku?

- Do Warszawy powinno wystarczyć. A co się stało?

- Mam bardzo ważną sprawę do załatwienia. Wróć rano, przed rozpoczęciem lotów, jeżeli jutro w ogóle będą jakieś loty.

- Będą - oświadczył Elmer. - Komunikat meteorologiczny...

- No więc niech będą. Wróć przed czwartą i... wołałbym, żeby nikt o tym nie wiedział, rozumiesz? Nikt, poza naszą załogą.

- Dobrze - mruknął Elmer. - Motor stoi tu, w podwórzu. Poświecę ci.

Wyszli przez tylne drzwi. Elmer zepchnął motocykl ze

stojaka, zapalił latarkę elektryczną.

- Przez Łomżę pojedziesz?

- Przez Łomżę.

- Tam jest kawałek złej drogi. Uważaj.

Piotr oparł nogę na rozruszniku, przerzucił kompresję. Silnik zawarczał i zaczął pracować równym, niespiesznym rytmem.

- A jakbyś nie zdążył... - zaczął Elmer z wahaniem.

- Wróć najczasz, bądź spokojny - przerwał mu Piotr. - Do czwartej mam osiem godzin. Dziękuję ci. Do zobaczenia!

Zapalił reflektor, wrzucił bieg, ruszył, wyjechał za bramę, skręcił na szosę do Kolna.

Elmer stał i patrzył za nim. Rozmyślał co mogło skłonić Piotra do takiej decyzji. Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Bądź co bądź musiało to być coś diabelnie ważnego i pilnego; coś ważniejszego, niż mógł sobie wyobrazić.

Piotr jechał prędko. Miał Kolno i wydostawszy się na równą szosę dodał gazu. Wiatr uderzał z boku gwałtownymi podmuchami, ale deszcz przestał padać i na niebie między obłokami ukazały się gwiazdy. Droga była dobra, choć śliska od wilgoci.

W niespełna pół godziny ukazały się nagle światelka wsi Ki-sielnica, za którą szosa skręcała w prawo. Tam Piotr musiał zwolnić.

Przejechał przez most na Narwi, przez opustoszałe ulice Łomży i znów wydostał się na szosę. Tu zaczynał się ów „kawałek” złej drogi - czterdzieści sześć kilometrów do Ostrowi Mazowieckiej.

Łloto przyskało spod kół, motor trząsał na wybojach, zimny wiatr dał z zachodu. Piotr nie mógł rozwinąć większej szybkości niż czterdzieści kilometrów na godzinę; chwilami

zwalniał do dwudziestu. Pocieszał się, że nadrobi czas na drodze do Wyszkowa i Radzymina, ale i tam szosa była nieszczęśliwa, a wśród lasów kałuże stały we wszystkich zagłębieniach nie wsiąkając w grunt przesycony wodą jak gąbka. Wiatr tu prawie nie docierał; szumiał tylko górą wśród czarnych gałęzi sosen. Snop światła z reflektora sięgał daleko w ciemną przestrzeń wyłamując z niej smukłe pnie, słupy telegraficzne po bokach, białe kamienie przydrożne, jakieś ludzkie postacie idące naprzeciw. Ich długie cienie kurczyły się szybko, uciekały w bok, znikwały nagle, pochłonięte przez ciemność pędzącą tuż za blaskiem.

Za Wyszkowem zaczął się ruch: Piotr mijał co chwila samochody ciężarowe, ciągniki z przyczepami, chłopskie furmanki.

Potem był objazd - pod Trojanami naprawiano szosę.

Bocznymi drogami dobrnął do Radzymina nakładając z piętnaście kilometrów. Na Pragę wjeżdżał o wpół do dwunastej, a krótko po północy znalazł się przed nie oświetlonymi oknami willi na ulicy Świerkowej w Komorowie.

Dopiero teraz zastanowił się nad celowością swego postępu: czy to miało sens? Na widok ciemnych okien w mieszkaniu Mary ogarnęło go zniechęcenie. Zawahał się - dobijać się do niej o tej porze? Trzeba było przynajmniej zatelefonować najpierw z Warszawy - pomyślał.

Postawił motocykl u skraju chodnika, otworzył furtkę i wszedł do ogrodu. Jego kroki rozlegały się głośno na betonowych płytach alejki prowadzącej do drzwi wejściowych. Zapalił latarkę i odnalazł właściwy przycisk dzwonka obok kartki z nazwiskiem. Zadzwoił.

Cisza trwała nadal. Okna były ciemne, martwe. Począł chwilę i zadzwonił powtórnie, z takim samym

skutkiem.

Obszedł grządkę kwiatową i po kilku schodkach dostał się na taras. Zapukał lekko w szybę; pamiętał, że to jest okno od sypialni Mary.

Lecz nikt mu nie odpowiedział. Ciemność, cisza i głęboki spokój zdawały się świadczyć o pustce tego wnętrza.

Nie ma jej - pomyślał, ale zapukał mocniej.

Szyba zadrżała jękliwie, smutnie. Gdzieś opodal zaszczekał pies, wiatr przeszedł po krzewach u siatki ogrodzenia i ucichł.

Wtem na betonową powierzchnię tarasu padł lśniący prostokąt, światła. Piotr drgnął i podniósł głowę. Okno na piętrze uchyliło się; ktoś wyrżał z góry.

- Kto tam?

- Ja do pani Godzickiej - powiedział Piotr. - Nie mogę się dodzwonić, a to pilna sprawa.

- Pani Godzickiej nie ma - odrzekł kobiecy głos. - Wyjechała.

- Kiedy? - spytał Piotr. - Dokąd?

- Dokąd, to już nie wiem. Wyjechała wieczorem. Niech się pan jutro zgłosi u administratora, bo u niego zostawiła klucze, to będzie wiedział. Czy to może depesza?

- Nie - odrzekł Piotr. - Dziękuję pani i przepraszam. A ten administrator...

- Wiśniewski się nazywa. Ma tu biuro pod jedenastym na tej samej ulicy, ale mieszka w Warszawie. Jutro niech się pan zgłosi, od dziewiątej rano. Pani Godzicka zawsze u niego klucze zostawia, jak wyjeżdża.

- Dziękuję - powtórzył Piotr.

Okno się zamknęło i światło po chwili zgasło. Piotr wolno zszedł z tarasu i minawszy furtkę zatrzymał się przy motocyklu.

- Po to gnałem sto osiemdziesiąt kilometrów! - powiedział na głos, wzruszając ramionami. - Idiota!!

Roześmiał się. Mary z pewnością pojechała na jakieś występy. Wróci za kilka dni, to było jasne. A on uległ panice - jechał, jakby miał ją zobaczyć po raz ostatni w życiu.

Tuman! - wymyślał sobie w duchu. - Co za tuman! Z melodramatu, psiakrew!

Mimo wszystko chciało mu się śmiać. Pomyślał, że teraz musi „grzać” te sto osiemdziesiąt kilometrów z powrotem - być może tylko po to, żeby się przekonać, że Wyroba znów odwołał loty z powodu złej pogody...

Przypomniawszy sobie, że kończy mu się benzyna. Trzeba będzie poszukać stacji benzynowej. Trzeba się śpieszyć, jest wół do pierwszej!

Jechał teraz inną drogą - przez Jabłonne i Serock (żeby uniknąć tego objazdu pomiędzy Radzyminem a Trojanami), a dalej na Pułtusk i Ostrołękę - do Łomży. Szosa nie była najgorsza, więc z początku „grzał” po osiemdziesiąt na godzinę. Wiatr ucichł, wypogodziło się zupełnie i podeszło. Ale od Narwi nadciągały coraz częściej przelotne fale oparów, a już w Ostrołęce zaczęła się mgła.

Musiał zwolnić. Chłopskie wozy ciągnęły ku Łomży; woźnice spali, konie ustawały, ci, co się budzili, wymijali stojące furmanki tarasując drogę. Z przeciwnej strony raz po raz wyłaniały się z mgły samochody ciężarowe oślepiając światłem reflektorów.

Niebo w górze pojaśniało. Zaczynał się świt, a mgła gęstniała coraz bardziej.

Przed samą Łomżą Piotr omal nie wpadł na barierę przejazdu kolejowego, którą dróżnik opuścił tuż przed nim. Długi pociąg towarowy włókł się po szynach, przystawał, cofał się, gwizdał i znów ruszał stękając zderzakami.

Wreszcie błysnęła czerwona latarka na ostatnim z wagonów, przepłynęła w prawo i wsiąkła w białą watę za budką dróżnika. Rozległ się wysoki, płaczliwy jęk dzwonka, bariera drgnęła, uniosła się w górę, a z tyłu, za plecami Piotra niecierpliwie zaryczał sygnał jakiegoś samochodu.

Piotr wrzucił pierwszy bieg i zwolnił sprzęgło dodając gazu. W tej samej chwili z prawej strony zabiegł mu drogę mały, czarny piesek, a za nim - wprost pod koła - skoczył kilkuletni chłopiec w opadających porciętach.

Hamulec zapiszczał, motocykl zarzucił tyłem, pośliznął się i nagle został odrzucony w przeciwną stronę przez błotnik samochodu, który usiłował go wyminąć.

Piotr wyleciał krótkim łukiem w powietrze, upadł, przewinał się po śliskich od błota deskach przejazdu i wyrznął o coś czołem.

Zerwał się natychmiast na równe nogi, lecz zobaczył już tylko zmykającego co siłą chłopca, psa oraz tył samochodu, którego kierowca dodawał gazu. Motocykl leżał opodal warcząc wściekle, a tylne koło kręciło się jak opętane, wymiatając drobny piasek i szuter na wszystkie strony.

Piotr zaklął i pośpieszył na ratunek oszalałego wehikułu, ale motor zgasł tymczasem wskutek braku dopływu benzyny. Natomiast z rozciętego czoła Piotra zaczęła się sączyć krew zalewając mu oczy.

Otarł ją rękawem i syknął z bólu. Musiał mieć porządnie rozplataną skórę. Nie chciał dotykać rany palcami, bo obie jego dłonie pokrywała warstwa lepkiego błota. Sięgnął do kieszeni po chustkę, lecz poczuwszy nagły zawrót głowy przysiadł na ziemi, żeby nie upaść.

Wtem zobaczył tuż przed sobą ubłocone buty i zdał sobie sprawę, że ktoś do niego mówi podniesionym głosem. Spojrzał w górę. Przez czerwoną mgłę dostrzegł pochyloną

postać dróżnika, który na próżno starał się go unieść pod ramię.

- Zaraz - powiedział. - Ja sam... Nic mi nie jest.

Wyciągnął wreszcie chustkę i otarł krew z oczu. Poczul się lepiej.

Dróżnik pomógł mu wstać. Powtarzał w kółko, że wszystko widział. Tego chłopaka zna; należą mu się tęgie baty. A kierowca samochodu uciekł; niestety nie było widać numeru wozu. Powinien za to posiedzieć.

- To nie jego wina - odrzekł Piotr.

- Nie jego wina? Właśnie jego! Mijał pana na przejeździe, i to pełnym gazem, jak wariat. No i uciekł, zamiast się zatrzymać, łobuz jeden! Dobrze jeszcze, że się tak skończyło.

We dwóch podnieśli motocykl i odciągnęli ku budce. Piotr obmył ręce i twarz. Przejrzał się w lusterku. Spory płat skóry zwisał mu ze środka czoła; rana obficie krwawiła.

Dróżnik mu ją zajodynował i obandażował.

- No, do wesela się zgoi - powiedział zadowolony ze swego dzieła. - Ale chyba pan zaraz dalej nie pojedzie? Może by do doktora...

Piotr podziękował. Czuł się zupełnie dobrze. Zresztą musiał się śpieszyć. Spojrzał na zegarek i zaniepokoił się: było już dwadzieścia po czwartej...

Elmer, zgodnie z życzeniem Piotra, nie wspomniał wcale o jego nagłym wyjeździe, zataiwszy tę sprawę nawet przed własną załogą. Gdy odjeżdżali na nocleg do Łachy i Cygan zapytał, co się dzieje z Piotrem, skłamał niezbyt gładko, że Maresz pojechał do Kolna) i wróci później, a może nawet będzie nocował w Czerwonem.

Lecz o świcie nieobecność Piotra przy odjeździe z leśniczówki zwróciła także uwagę Hanki i Wyroby. Tym

razem Włodek wykrztusił, że Piotr już jest przy maszynie; pojechał tam wcześniej.

Flisak i Cygan wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a Elmer spuścił nos na kwintę i z bolesną twarzą skamieniał w pozie, która mogła nasuwać podejrzenia, że cierpi na gwałtowny rozstrój żołądka.

Na lotnisku wzięli go od razu na spytki: dlaczego „struga wariata” i co to wszystko ma znaczyć?

Nie zamierzał nadal ukrywać przed nimi swego niepokoju; zwierzył im się ze wszystkiego, co sam wiedział, i teraz wszyscy trzej zaczęli się zastanawiać, co mogło skłonić ich kapitana do opuszczenia załogi w takich okolicznościach i dlaczego dotąd nie wrócił.

- Baba - rozstrzygnął Cygan. - Nic innego, tylko baba. Już ja wiem coś o tym. Namotała, a teraz chłop wpadnie, a Włodek razem z nim.

- Ja? - zdumiał się Elmer.

- No, przecie nie my! - odparł Cygan. - Kto przed chwilą zaznaczał, że Piotr tu jest? A bez niego nie polecimy i dopiero będzie wstyd. Cho-ro-ba!

- Może nadjedzie - mruknął Włodek bez przekonania.

- Nadjedzie! Mogła mu kicha nawalić albo co innego i wystarczy. A tu pogoda... Tamci już zapuszczają - dodał, gdy rozległ się warkot pierwszego silnika.

Flisak milczał zaciąwszy zęby. Ładnie się popiszą wobec załóg Ligi! Wyroba chyba oszaleje: cały plan mu się zawali. Nie chodzi zresztą o Wyrobę, ale o samą akcję, o las, o wynik wyprawy! No i o Piotra...

- Nie możemy do tego dopuścić - powiedział głośno.

- Do czego? - spytał Cygan.

- Do tego, żeby nasza załoga zawiodła i żeby Piotr...

Polecimy!

Elmer uniósł głowę.

- Polecisz, Jasiu?

- Polecę - odrzekł Flisak.

Cyganowi drgały uszy.

- Dasz radę? Bo tu krótko...

- Wiem. Zaczniemy od samego skraju. Tylko ty mi będziesz regulował skok i obroty przy starcie.

- Dobra - ożywił się Cygan. - Leciem!

- Może on tymczasem wróci - powtórzył Elmer. - Przecież miał motor w porządku.

- Motor? No pewnie! - przyświadczył Józek zabierając się do zapuszczania silników. - Tylko ty, Jasiu, uważaj!

Flisak siadł za sterem na miejscu Piotra. Czuł lekki niepokój, był podniecony i serce biło mu nieco spieszniej niż zwykle. Wiedział, że start z dwutonowym obciążeniem nie jest wcale łatwy, zwłaszcza tu, z krótkiego rozbiegu po niezbyt równej powierzchni porosłej trawą. Pomyślał nawet, czy nie lepiej byłoby wyładować część duolitu albo czy nie lecieć samemu, bez Cygana i Elmera. Lecz wyładunek zająłby za wiele czasu, a ci dwaj byli mu potrzebni zarówno przy starcie, jak podczas lotu i przy lądowaniu.

Usiłował dokładnie uprzytomnić sobie, w którym miejscu i przy jakiej szybkości Piotr wybierał maszynę w powietrze; gdzie i kiedy przymykał gaz do lądowania, jak schodził ku ziemi.

Jakoś to będzie - pomyślał. - Trzeba tylko uważać, nie ryzykować.

Elmer wziął od niego mapę i plan rejonu. Ciągle jeszcze miał nadzieję, że Piotr zdąży w ostatniej chwili. Ale droga do Kolna była pusta.

Lewy silnik stęknął, ruszył. Za nim prawy. Cygan wdrapał się na pokład, zatrzasnął drzwi, przedostał się na

miejsce drugiego pilota.

- Tylko mi nie ruszaj steru - ostrzegł go Flisak. - Pod żadnym pozorem!

Zagrzał silniki, wypróbował na hamulcach, ruszył na skraj lotniska, daleko poza chorągiewkę i wyłożone płachty startowe. Zawrócił pod wiatr.

Dano mu sygnał, że może lecieć.

Spojrzał na Cygana i skinął głową:

- Jazda!

Zgodny duet silników urastał szybko, potężniał, grzmiał pełną mocą. Flisak zwolnił hamulce, płynnym ruchem odepchnął wolant w przód i wparłszy wzrok przed siebie, czekał.

Ogon przestał drgać, uniósł się lekko, wyrównał do poziomu. Maszyna toczyła się z cichym bulgotem amortyzatorów, nabierała pędu. Z lewej strony mignęła chorągiewka i postać startowego. Zielona murawa ścieliła się gładko, coraz gładziej, coraz płynniej sunąc pod samolotem. Na wprost zbliżała się ciemna ściana lasu.

Napór wolantu słabł, strzałka szybkościomierza pięła się w górę, obroty rosły.

Jeszcze nie - myślał Flisak opanowując chęć wybrania steru. - Jeszcze trochę. Jeszcze.

Zwolnił mięśnie w ramionach i poczuł, że ster już się nie cofa. Opływ powietrza niósł stateczniki ogona nie pozwalając im opaść. Ale pilot nie był pewien, czy pęd jest dość silny, aby utrzymać je w poziomie, gdy przyjdzie dźwignąć samolot z ziemi.

Tymczasem ściana lasu rosła w oczach; widać było pnie drzew: zwartą kolumnadę podtrzymującą ciemnozielony strop. Pędziła na spotkanie maszyny potężna, nieustępliwa, groźna i obojętna zarazem.

Jeszcze, jeszcze - myślał Flisak.

Silniki zaczęły jęczeć: dwa tysiące dwieście obrotów!

Cygan poruszył się, przełknął ślinę strzygąc uszami. Jego dłoń zacisnęła się na gałkach dźwigni regulacyjnych, żyły nabrzmiały. Elmer instynktownie zaparł się rękami we framudze przejścia. Obaj nie mogli oderwać oczu od szybko malejącej powierzchni lotniska, jaka pozostawała jeszcze przed nimi. Obaj wstrzymali oddech.

I oto nagle ten zwięzający się spłacheć murawy osunął się w dół, a w sekundę później zapadł się za nim ciemny strop lasu: maszyna wyszła w powietrze!

Piotr dostrzegł swojego Li-2 w chwili, gdy mijał stację kolejową w Kolnie. Maszyna leciała od strony puszczy, z zachodu, i skręcała szerokim łukiem w jego stronę, zapewne, aby zejść pod wiatr do lądowania. Ten widok przeciął tok jego myśli, z którymi się porał od chwili wypadku pod Łomżą. Myśli czy też rozważań nad sobą samym - nad własnym stosunkiem do zdarzeń, do ludzi, do wszystkich tych spraw, których rozstrzygnięcie dotąd odkładał, nie mogąc się zdobyć na ich trzeźwą ocenę. I nagle spadła na niego bliska rzeczywistość - to, co się działo teraz, w jego oczach: Li-2 w powietrzu!

Doznał sprzecznych, gwałtownych uczuć. Fala gniewu przemknęła mu przez mózg - polecieli bez niego! Nie mogli poczekać, psiakrew...

Jednocześnie czuł, niejako podświadomie, że ten fakt ratuje go - przynajmniej na razie - z przykrew sytuacji: jego nieobecność nie wstrzymała lotów, a zatem akcja opylania nie doznała przerwy z jego winy; nie została nawet opóźniona.

Natychmiast uświadomił sobie, że zawdzięcza to swojej załodze, zapewne głównie Flisakowi.

Oślonili mnie - pomyślał. - Dzielne chłopaki!

Wzruszył go ten dowód przyjaźni i solidarności z ich strony. Przez krótką chwilę był dumny, a zarazem zawstydzony, że to dla niego zrobili. Lecz zaraz przyszło mu na myśl, że ta ich decyzja nastąpiła wskutek zgoda innych przyczyn: nie chcieli dopuścić do zwycięstwa załóg Ligi we współzawodnictwie. To z pewnością Flisak...

A teraz jeszcze rozwali maszynę przy lądowaniu - pomyślał i znów ogarnęła go irytacja.

Dodał gazu. Chciał zobaczyć to lądowanie, być przy tym.

W trzy minuty przebył odległość dzielącą go od wsi. Skręcił z szosy na drogę pod zagajnikiem, stanął, oparł motor na stojaku, pobiegł ku wyłożonym płachtom i spojrzał w tył, skąd wolno mieląc śmigłami zniżał się Li-2.

Natychmiast zauważył, że Flisak podchodzi za wysoko i z nadmierną szybkością, tak jak się przyzwyczyił na wielkich lotniskach komunikacyjnych. Że mu nie starczy miejsca na dobieg.

Obejrzał się na startowego.

- Dajcie mu sygnał, żeby dodał gazu! Nie, dajcie no tę chorągiewkę!

Wyrwał mu ją z ręki i kilkakrotnie machnął nią w kierunku lasu.

Flisak widocznie zrozumiał: silniki zawyły, samolot wyrównał i pokonawszy z trudem opór, stawiany przez wypuszczone podwozie, zaczął się wznosić.

Piotr nieco ochłonął. Jakaś maszyna klubowa podeszła znad zagajnika, wylądowała na środku lotniska, odkołowała w bok, pod magazyn. Druga kładła się w skręt, zachodząc pod wiatr. Trzecia zbliżała się znad lasu, a jeszcze jedna ciągnęła wyżej, od strony Pizsu. Tymczasem Flisak wyszedł

na dwieście metrów i już zwolna, łagodnie zawracał.

Piotr jednym rzutem oka ocenił odległości.

- Te dwie niech lądują - powiedział do startowego. - Trzecią trzeba utrzymać w powietrzu. Niech zaczeka, aż Li-2 siądzie.

- Rozumiem - odrzekł startowy biorąc chorągiewkę sygnałową. - Co wam się stało? - spytał. - Ten bandaż przesiąka...

- Uważajcie na maszyny, nie na mój bandaż - warknął Piotr. Otarł kroplę krwi, która spadła mu na rzęsy i z napięciem śledził kolejne manewry czterech samolotów.

Jednocześnie przez głowę przewijał mu się niepowstrzymany, huczący potok myśli, spośród których jedna raz po raz wybijała się ponad wszystkie inne:

Jeżeli Flisak nie da sobie rady, jeżeli się coś stanie, to będzie moja wina. Tylko moja!

W wyobraźni widział już rozbity samolot i zakrwawione, bezwładne ciała swojej załogi.

Dla niego to zrobili! A w każdym razie przez niego; przez jego lekkomyślność czy też zaślepienie. Powinien był zostać tu z nimi, to było teraz takie jasne i oczywiste. Ich droga była drogą prostą, drogą honoru, a jego...

Pierwszy CSS-13 wylądował gładko po prawej stronie płacht startowych i zgodnie z otrzymanym sygnałem szybko zwolnił miejsce odkołując na lewo.

Następny leżał w głębokim wirażu, trochę za blisko według oceny Piotra.

Jeżeli nie zrobi teraz ślizgu na skrzydło, i to ostrego ślizgu, wyląduje pod samym lasem.

Tak się istotnie stało: maszyna minęła startowego na wysokości kilku metrów, wytraciła szybkość dopiero w połowie lądowiska i opadła twardo na ziemię kończąc dobieg

na przeciwnym skraju pola.

Startowy sygnalizował gwałtownie: Na bok! Na bok!
Prędej!!

Tymczasem Flisak zamknął gaz; zniżał się zaszedłszy daleko na wschód, chyba aż za Kolno.

Teraz powinien usiąść - pomyślał Piotr. - Dobrze, dobrze. Tylko spokojnie...

Wtem usłyszał wzmożony warkot silników: pilot nie dowierzał nośności powietrza; wydało mu się, że nie doścignie.

Piotr machał obu rękami, unosząc ramiona nad głową i rozkładając je w bok: Wyłączyć silniki! Wyłączyć!

Lecz Flisak za późno dostrzegł te sygnały: maszyna niosła się z dużą szybkością i widać było, że i tym razem nie wyląduje.

- Niech leci! - krzyknął Piotr. - Niech doda gazu i podejdzie jeszcze raz! Dajcie mu sygnał!

Startowy machnął chorągiewką, ale pilot zdawał się na to nie zważać: Li-2 minął go z gasnącym szumem pędu, coraz bardziej ściągany sterem, zadzierając przód w górę, tracąc szybkość i wznosząc się zarazem.

Piotr patrzył na to z zaciętą, pobladłą twarzą. Jeszcze chwila i rąbną podwoziem o ziemię z wysokości pięciu czy sześciu metrów.

Wtem ryknęły silniki i Piotr poczuł, że serce skacze mu do gardła.

Za późno! Teraz dopiero zwał się na skrzydło...

Maszyna szła w dół, przepadała, tonęła. Motory jęczały, wyły spazmując rozpaczliwie, jakby w śmiertelnym przerażeniu. Lecz ten ich wysiłek przemógł w końcu bezwład samolotu; skrzydła weszły w tęgi opływ, poniosły, dźwignęły kadłub w górę, tuż nad konary sosen.

- Do licha! - westchnął Piotr. - Niewiele brakowało...

Pragnął w tej chwili tylko jednego: znaleźć się w kabinie razem ze swoją załogą i ująć ster w ręce. Lecz to pragnienie było nie-ziszczalne. Opuścił ich, a jego miejsce musiał zająć Flisak, który w tak trudnych okolicznościach jeszcze niedostatecznie panował nad maszyną. Musiał. Tak mu nakazywało przekonanie, poczucie ważności ich pracy, odpowiedzialność, honor i solidarność załogi.

W krótkim przeblysku zrozumienia Piotr ujrzał całą tę sprawę. Jakby odsłoniła się kurtyna, za którą stali oni: jego załoga i Janczar, i Dobrowolski, i Hanka, i cała młodzież lotnicza, i w oddali wielki tłum ludzi wśród zgiełku wyteżonej pracy, jak go sobie wyobrażał przelatując niedawno nad dymiącymi kominami hut i kopalń. Wzywali go, wyciągali przyjaźnie dłonie, byli gotowi przyjąć go między siebie.

Lecz po drugiej stronie była Mary, a on sam stał pośrodku i wahał się, podczas gdy obie nierówne grupy oddalały się na lewo i na prawo, pozostawiając go, niezdecydowanego, w rosnącej pustce.

Otrząsnął się: cóż za przywidzenia, i to w takiej chwili!

Poczuł lekki zawrót głowy. Przypisał to zmęczeniu drogą i nieprzespaną nocą. Rozejrzał się za swoim samolotem i z pewnym zdziwieniem stwierdził, że maszyna ciągle jeszcze wznosi się ha wprost, nisko nad lasem, walcząc o każdy metr wysokości. Oto Flisak kładzie ją w skręt, odchodzi w lewo, nie wciągając podwozia.

Tymczasem spod magazynu ktoś kołuje na start.

- Niech zaczeka - mówi Piotr do startowego. - Tam znów jeden chce lądować.

Jakiś CSS-13 zniża się, siada przy chorągiewce,

odpełza w bok.

- Teraz można wypuścić tego.

Dwupłatowiec podryguje na nierównościach, ustawia się dokładnie pod wiatr.

- Start!

Mały silnik klekoce, zdobywa się na warkot, na ryk. Żdźbła trawy ulatują w górę spod uniesionego ogona, ster boczny wykręca to w lewo, to w prawo, trzymając maszynę na prostej. Pilot wy-ciąga ją trochę za wcześniej, ale wyrównywa, nabiera szybkości, pnie się ponad las, odchodzi na kurs.

Li-2 płynie w stronę Kolna. Piotr prowadzi go wzrokiem, przemawiając do Flisaka, jakby tamten mógł go usłyszeć:

- Spokojnie, Jasiu, spokojnie. Możesz zmniejszyć obroty.

I Flisak w tej samej chwili redukuje gaz. Ma ze dwieście metrów. Powinien tak dociągnąć do bagnistej łąki na południe od miasta i tam zawrócić.

Zawraca!

Podnosi się z wirażu, wchodzi na prostą, mija tor kolejowy.

Jeszcze trochę, jeszcze, jeszcze... Teraz zamknąć gaz!

Silniki cichną.

Trzymać go na małej szybkości, niech trochę przepada. Nie dodawać gazu! Dobrze, dobrze.

Ogromny cień samolotu biegnie poprzez zagajnik, drga, jakby zaczepiał o młode sosenki. Maszyna, już wyrównana, przemyka tuż za nim nad ich wierzchołkami.

Trzymać, trzymać - myśli Piotr. - I... teraz! Ster na siebie! Cień na ziemi zwalnia, samolot dogania go wreszcie, chwyta kołami i już nie wypuszcza.

- Nic mi nie jest - oświadczył Piotr. - Takie tam zadrapanie! Mogę latać choćby do południa.

Obejrzał się na Elmera.

- Motoru ci nie rozwaliłem, nie martw się - dodał.

Elmer wykrzywił twarz, jakby się miał rozplakać.

- Co mnie motor! Myśmy się o ciebie martwili.

- A ja o was. Skóra na mnie cierpła od tych waszych lądowań jak od kiepskich dowcipów. No, ale ostatnie byto pierwsza klasa. Sam bym lepiej nie podprowadził.

Flisak się zarumienił.

- Pół godziny na to straciłem - powiedział z żalem.

- Zaraz odrobimy - odrzekł Piotr.

Wykołował na start.

- Leć - powiedział do Flisaka. - Startuj z hamulców i od razu ster od siebie. Tylko z czuciem!

Patrzył, jak Flisak to robi.

- Bardzo dobrze - mruknął, gdy maszyna wyszła nad las.

- Ba, teraz, jak ty jesteś! - westchnął Flisak.

- To nie ma nic do rzeczy, ale ja już teraz będę z wami zawsze. Nie dlatego, żebym wam nie ufał - dodał po chwili - tylko żebyście nie musieli z mojego powodu ryzykować. Jak sobie pomyślę...

Urwał nagle i zapytał:

- A co by było, gdybyś rozbił grata przy lądowaniu?

Flisak wzruszył ramionami.

- Chyba by mnie wyleli z LOT-u...

- No widzisz!

- Kiedy ja nie mogłem inaczej.

- Właśnie. To jest oś, dokoła której cała ta historia się obraca. Tyś nie mógł inaczej, to prawda. Ale ja mogłem! I to mnie, psiakrew, gnębi. No, co tam! Przeszło, minęło. Drugi

raz wam takiego kawału nie zrobię. A za ten raz bardzo wam dziękuję. Jesteście fajne chłopaki, taka załoga!

Bo już sam zaczęę myśleć. Trochę.

- O rany! - westchnął Cygan, że choroba wie co!

- Bardzoś to jasno wyłożył - roześmiał się Piotr, w lewo, Jasiu: dwieście trzydzieści stopni.

Po raz ostatni wylądowali przed godziną dziewiątą, gdy już wszystkie samoloty klubowe były na ziemi. Piotr nadrabiał miną, lecz był blady i widocznie wyczerpany. Bandaż na głowie nasiąkł mu krwią, a rana piekła i dokuczwała coraz bardziej.

Hanka zobaczywszy go potrząsnęła głową.

- Gdzież to się pan tak urządził, Piotrze? Proszę zaraz iść ze mną. Zmienię panu ten krwawy turban na porządny opatrunek.

Zabrała go do namiotu i kazała mu usiąść.

- No, no - powiedziała patrząc krytycznie na odsłoniętą ranę.

- Co: no, no?

- Nic. Tylko jak ktoś po nocy jeździ na motocyklu zamiast spać...

- Śmiało, śmiało - odezwał się Piotr tonem zachęty. - Dawno mi nikt nie powiedział kazania.

- Ja nie mówię kazań, grzeszniku. Użalam się nad panem.

- Cóż za - wspaniałomyślność!

- Litość!

- Ojej, to gorzej... Uaa! Boli!!

- - Musi trochę poboleć. Nie trzeba było szaleć.

- Ja wcale nie szalałem. Pies szalał, jakiś berbecz szalał, kierowca ciężarówki szalał, a ja nie: tyle, że ruszyłem z miejsca.

- Biedny chłopczyzna! I od razu nabił sobie guza.
- Ładna mi litość! - obruszył się Piotr. - Samarytanka!!

Gdzie pani ma serce?

- Czy to jest pytanie z anatomii?
- To jest żaloszny okrzyk ofiary w rękach kobiety.
- Pan ma na myśli mnie?
- A kogóż by?
- Hm.

Piotr parsknął śmiechem.

- No wiecie! A to dopiero ziółko!
- Proszę siedzieć spokojnie - upomniała go, trochę zmieszana. - Jeszcze nie skończyłam.

- Dokuczać?
- ■ Ja panu dokuczam?
- Niewiniątko!

- Oj, Piotrze - westchnęła. - Zasłużył pan na coś gorszego niż moje „dokuczanie”. Gdybym pana nie lubiła...
No już, gotowe.

Piotr zerwał się, chwycił ją wpół i zanim się spostrzegła, pocałował w oba policzki.

- Haneczko, jesteś aniołem - oświadczył. - Dziękuję!
- Nie jestem pewna, czy tak się dziękuje aniołom - powiedziała. - I w ogóle, co pan sobie myśli! - udała zagniewaną.

- Myślę sobie, że gdybym pani tak nie lubił...
- A, to co innego! - odrzekła.

Roześmiali się oboje.

Rozdział XIV

Pogoda nadal dopisywała. Loty odbywały się regularnie, coraz sprawniej, niemal bez żadnych zakłóceń. Postanowili doprowadzić tę akcję do końca przed terminem i walcząc między sobą o pierwszeństwo pomagali sobie

przecież wzajemnie, ilekroć zachodziła tego potrzeba. Jeżeli trzeba było wymienić gaźnik, zdjąć cylinder z silnika czy też dokonać jakiejś drobnej naprawy płatowca - zawsze znajdowało się kilku pomocników z innych załóg.

Piotr przyglądał się temu z uznaniem i sam nie pozostawał w tyle za innymi, co zjednało mu ogólną sympatię. Polubił ich za ten szczery, młodzieńczy zapał. Nawet ich „przygody”, o których nieustannie mówili, przestały go nużyć; owszem, słuchał tych opowiadań i dyskusji, a nawet brał w nich udział, gdy zwracali się do niego z pytaniami, jak w takim czy innym wypadku należało postąpić.

Po rannych lotach i przygotowaniu maszyn wyprawiali się na ryby albo do lasu, grali zapamiętałe w siatkówkę, jeździli całą bandą po prowiant do Kolna, pływali rybackimi łodziami po jeziorach, wysypiali się na słońcu.

Piotr czuł się doskonale. Niemal zapomniał o swoich troskach; pozostawił je na czas nieokreślony w jakimś zawieszaniu; pozbył się ich jak uciążliwego bagażu oddanego do przechowalni. Od-młodniał: wydawało mu się, że ma znów dwadzieścia lat, jak większość spośród tych, którzy go otaczali.

Pewnego dnia koło południa, gdy Piotr po lodowatej kąpieli w rzece wracał na lotnisko, po drodze przyłapał go Józek Cygan bardzo czymś poruszony.

- Jest źle - oświadczył z chmurą na czole. - Cholerny niż idzie na nas i wszystko może nawalić, bo Lorkówna mówi, że się te robaki uwiną, zanim co, i tyle im zrobimy. Wyroba się martwi, jakby jego samego gryzły, a nie sosnę, i robi naradę roboczą, bo sam nie chce nic decydować. No to może byśmy tam coś zaznaczyli?

- Mianowicie co? - spytał Piotr. - Ja „robaków” nie

zaczaruję, żeby poczekały, aż ten niź minie.

- To faktycznie. Ale jeszcze mamy ze dwa albo może trzy dni. To jakbyśmy się uparli... Janek by mógł na zmianę z tobą.

Piotr potrząsnął głową.

- Ja odpowiadam za maszynę. Zresztą, nie o to chodzi. Spróbujemy.

Weszli do namiotu, gdzie „kazał” Wyroba - na szczęście już pod koniec jego przemówienia.

Piotr poprosił o głos. Mówił krótko i rzeczowo. Po pierwsze - zaczynać loty na pół godziny przed wschodem słońca, jak się tylko rozwidni. Po drugie - wykorzystać bezwietrzną pogodę bez względu na porę dnia. Po trzecie - latać nawet przy wietrze, jeżeli nie jest zbyt porywisty. Można przecież obliczyć, gdzie opadnie struga pyłu znoszona równym wiatrem, i wymanewrować tak, aby pokryła właściwy odcinek.

- Wszyscy już mamy wprawę - dodał. - Możemy śmiało latać niżej, na dwa-trzy metry nad lasem, pod warunkiem, że będziemy uważać. No i...

Przerwały mu oklaski i okrzyki. Rozejrzał się, trochę zdziwiony, przeczekał spokojnie tę owację, a potem mówił dalej:

- Jeżeli się nie mylę, mamy przed sobą dwa, może nawet trzy dni dobrej pogody. Ale wydaje mi się, że na wszelki wypadek należałoby opylić przede wszystkim skrajne sektory zagrożonego obszaru puszczy, żeby je odciąć od zdrowego lasu. W ten sposób, jeżeli nawet nie zdążymy opylić wszystkiego, to przynajmniej zapobiegniemy rozprzestrzenianiu się gąsienic. Nie wiem, czy mam rację, może koleżanka Teresa wypowiedziałaby się w tej sprawie?

Koleżanka Teresa oświadczyła, że Piotr ma słuszość i

że - jej zdaniem - nie ma co dalej dyskutować, tylko trzeba zmienić dotychczasowy plan opylania według jego rady.

Wyroba był trochę zaskoczony tak krótkim przebiegiem zebrania. W zasadzie uznał projekt Piotra za bardzo dobry, ale mniemał, że inni też zechcą zabrać głos, aby sprawę „upolitycznić, zmobilizować wysiłki, rozpracować bardziej szczegółowo i w ten sposób przyczynić się do rozwiązania trudności”. Uważał też, że kwestia zmiany planu wymaga uzgodnienia z całym aparatem służby leśnej. To się nie da zrobić na poczekaniu: trzeba przecież wytyczyć w terenie granice całego obszaru, a to wymaga czasu...

Piotr odrzekł, że on i jego załoga podejmują się opylić granice zagrożonego terenu bez wytyczania, tylko według szczegółowej mapy.

Ponieważ nikt więcej nie prosił o głos, Hanka *złożyła*, wniosek, żeby zamknąć dyskusję i przystąpić do... obiadu, a zaraz potem - do lotów.

Wniosek przeszedł przez aklamację, obiad został pochłonięty „w czasie lepszym od rekordu Polski” - jak to określił Cygan - i zaczął się wyścig z nadciągającym niżem.

Tego dnia padł także inny rekord: tysiąc osiemset hektarów opylonego lasu!

Sprzyjająca pogoda utrzymała się jeszcze przez następne dwa I dni, jakkolwiek niebo zasnuły chmury pędzone górnym zachód-**nim** wiatrem. Warkot silników nie ustawał od świtu do wieczora, ■ a do „sztabu” urzędującego w namiocie napływały meldunki jak z pola bitwy: „Rejon Lisiczyna gotów!” „Pieczysko opylone!” „Północną część nadleśnictwa Szeroki Bór opyla załoga Maresza - jeszcze dwa nawroty i będą gotowi!” „Nad wzgórze 131 trzeba wysłać dwa CSS-13, bo Maresz zostawia tam wąski trójkąt nie opylonego terenu”. „Nie ma tyk z chorągiewkami w

rejonie Mysiego Bagna...”

Brzęczał telefon, pytania i odpowiedzi radiostacji polowych przenikały przez leśne ostępy, docierały do punktu łączności w głębi puszczy i wracały na lotnisko. Samochody ciężarowe na łeb na szyję pędziły do Kolna, przerzucały brygady leśników na nowe posterunki, zwoziły ze stacji kolejowej worki z owadobójczym proszkiem, beczki z benzyną, prowiant...

Mapa z wyrysowanymi rejonami opylania została pokryta przez Teresę mnóstwem czerwonych krzyżyków, które utworzyły zwartą grupę, niby wyspę na zielonym morzu puszczy. Tylko niewielka zatoka wrzynała się jeszcze w ów „łąd”, jakieś osiemset lub dziewięćset hektarów nie opylonego boru.

- Jutro rano z tym skończymy - powiedział Piotr do Flisaka. - Zostaną tylko skrawki na wzgórzach i zboczach. To już sprawa Wyroby i jego załóg. A tobie zostanie jeszcze parę dni urlopu?

- Cztery - odrzekł Janek. - Pojechałbym do domu, tylko że... pewnie przez ten czas musiałby mnie zastąpić ktoś ze starszych aspirantów, bo pilotów nie ma. A może bym poczekał...

- Nie gadaj głupstw - obruszył się Piotr. - Należy ci się urlop i nie ma o czym mówić. Już ja sobie przez te cztery dni dam radę z aspirantem, niech cię o to głowa nie boli.

- No to chyba pojedę, bo i Hanka by tam pojechała.

- I Teresa? - uśmiechnął się Piotr.

- Możliwe. Ona jest z Rybna. To zaraz obok naszej wsi.

- Więc jedź i nie kłopotz się. Ja sobie jakoś poradzę. Żeby tylko w nocy nie zaczęło lać.

Spojrzał po ciemnym niebie, które zdawało się

nachylać nad czarną ścianą lasów.

- E, chyba zdążymy - powiedział i uśmiechnął się z lekką ironią na myśl o tym, że tak się przejmuje tą sprawą.

Silniki, dostrojone jak dwie struny, jednakowo dźwięczące głębokim basem, grzmiały na kursie powrotnym do Warszawy. Li-2 po raz trzeci przeciął krętą wstęgę Narwi, przeleciał nad Bugiem w pobliżu jego ujścia pod Serockiem i zbliżał się już do Radzymina.

Janek Flisak, który prowadził maszynę siedząc na miejscu Piotra, usłyszał, że Elmer rozmawia z Okęciem i ta rozmowa oderwała go wreszcie od wspomnień, którym oddawał się przez całą drogę.

Wspomnienia dotyczyły przeszłości bardzo niedawnej, bo datującej się zaledwie sprzed kilku godzin. Przedmiotem ich była Teresa Lorkówna - Teresa, której spokojne, jasne czoło, śmiejące się oczy, linie ust i brody, o godnej podziwu stanowczości i powadze, zdawały się ukrywać pewną tajemnicę blisko obchodzącą drugiego pilota.

Nie umiał jej przeniknąć, a wszelkie pytania w tej palącej sprawie więzły mu w gardle, bo jakże miał od rozmowy o kolejnych stadiach rozwoju mniszki brudnicy i barczatki sosnowki przejść do owego tak bardzo odmiennego tematu, jakim są (już z natury rzeczy trudne do wypowiedzenia) uczucia i niepokoje obudzone w skrytości męskiego serca? Jakże po długiej chwili milczenia, następującej po wyczerpaniu kwestii najlepszego procentowo doboru gatunków drzew przy sadzeniu lasów, zajrzeć w oczy przyszłemu agrobiologowi, skoro te oczy kryją się uparcie pod spuszczonej rzęsami? Człowiek łamie sobie głowę, jak zacząć, jaki pomost przerzucić od roślin jedno - i dwupiennych do tego, co go na wskroś przenika, co mu tkwi w piersi i tętni we krwi, a gdy wreszcie wydaje mu się, że

wpadł na właściwy pomysł, niepojęta istota wymyka się jakąś błahą uwagą o rzeczach obojętnych, jakby nie mogąc znieść dłuższej przerwy w rozmowie, i wszystko za-czyzna się od nowa: mówi się nie to, co się chce, słucha się nie tego, co by się chciało usłyszeć, i żałuje się straconej sposobności.

Dopiero tego dnia, po lotach porannych, po opyleniu pozostałych kilkuset hektarów puszczy, gdy chwila rozstania zbliżała się nieuchronnie, Janek zdobył się na odwagę i przemówił.

Dokonało się to na moście, nad spokojnym nurtem Pisy, podczas gdy tam przystanęli obok siebie, oparłszy łokcie na barierze i patrząc w ciemną toń wody odbijającą ich pochylone postacie.

Teresa zwróciła ku niemu głowę i nie spuściła oczu, gdy spotkały się z jego wzrokiem. Przez chwilę patrzyła na niego z poważnym zamyśleniem, potem uśmiechnęła się lekko i ujęła go pod rękę.

Ten nieznaczny gest sprawił, że jej uroda stała się znacznie mniej tajemnicza, ale za to bardziej dostępna męskiemu zrozumieniu. Flisak poczuł się tak, jakby pod wpływem dotknięcia jej ręki opadły krępujące go dotąd więzy. Zdumiewająca swoboda przeniknęła go całego.

Wynikiem tego niezwykłego odprężenia było bardzo niewiele słów i tylko jeden krótki pocałunek, ponieważ w braku innych, subtelniejszych przeszkód, wyrastających dotąd na drodze tych dwojga, los zesłał im Elmera i Cygana podążających samochodem po bagaż do leśniczówki.

Wysłańcy losu wpadli z zakrętu na most trąbiąc ostrzegawczo, a ujrawszy Flisaka i Teresę zahamowali ze straszliwym zgrzytem tuż przy nich. Uparli się, że ich zabiorą z sobą po ów bagaż i - z brakiem przenikliwości właściwym swemu wiekowi - ustąpili im miejsca w szoferce, a sami

przesiedli się na platformę.

Dzięki tej ich uprzejmości Janek i Teresa aż do chwili odlotu załogi Piotra mogli w najlepszym razie ukradkiem trzymać się za ręce, spoglądać sobie w oczy i nic ponadto.

Wprawdzie tego rodzaju zbliżenie w pewnych okolicznościach może wydawać się nader niezwykle i przyjemne, ale bądź co bądź nie spełnia wszystkich marzeń dwojga ludzi, którzy przez parę miesięcy myśleli nawzajem o sobie, a przez ostatnie dziesięć dni rozmawiali prawie wyłącznie o zagadnieniach przyrodniczych i dopiero przed pół godziną zdołali wyznać sobie ukrywane dotąd uczucia.

Niemniej jednak drugi pilot załogi Li-2 czuł się szczęśliwy, a wspomnienie uścisku małej dłoni, którą trzymał z należytą ostrożnością w swojej ogromnej prawicy, narzucało mu się z taką siłą, że od czasu do czasu spoglądał w bok, aby się przekonać, że to nie Teresa, lecz Piotr Maresz siedzi obok niego i patrzy w przestrzeń zatopiony w jakichś swoich rozmyślaniach.

Zwykły meldunek radiotelegrafisty przy nawiązywaniu łączności z Kontrolą przeniósł ostatecznie Flisaka z krainy wspomnień i wzruszeń do bieżącej rzeczywistości.

Zdybel swym jednostajnym głosem podawał warunki na lotnisku. Potem zapytał, jak im się powodziło w tej „dzikiej puszczy”.

- Dobrze - powiedział Elmer. - Ale ja osobiście chętnie wracam do cywilizacji.

- Możecie podejść na wysokości czterystu metrów - dodał jeszcze Zdybel.

Elmer powtórzył to ostatnie polecenie pilotowi, który tymczasem już zmniejszył obroty i zwolna schodził w dół. Piotr ocknął się z zadumy, przeciągnął się, zmienił pozycję,

spojrzał na zegarek.

Było kilka minut po drugiej. Pomyślał o czekającej go rozmowie z Janczarem (trzeba będzie napisać jakieś sprawozdanie z tej akcji), o znajomych, z którymi się zapewne spotka, o swoim mieszkaniu, o codziennym, powszednim trybie swego samotnego życia.

- Łądujemy na trójce - powiedział Flisak.

Piotr spojrział na niego i skinął głową. Zauważył, że Janek z profilu jest jednak trochę podobny do siostry. Może także z uśmiechu. Bo poza tym - wcale. To przelotne wrażenie wywołało i u niego zwrot myśli ku załogom Ligi pozostającym na polowym lotnisku pod Kolnem.

Żegnając się z Hanką i z całą tą sympatyczną paczką lotniczą Piotr był nawet trochę wzruszony. Ścisnął ich dłonie i odwzajemniał spojrzenia. Naprawdę ich polubił. A co do Hanki...

Zapytała, czy zobaczy go w Warszawie..

- Bo właściwie należy mi się coś od pana, Piotrze: nie byłam na „Alkadzie z Zalamei”, ale jeżeli tej sztuki już nie grają, to ostatecznie zgodziłabym się na inną.

Powiedziała to żartem, lekko, po koleżeńsku, ale Piotr pomyślał, że ten swobodny ton musiał kosztować ją wiele wysiłku. Nie po raz pierwszy wydało mu się, że ta rezolutna dziewczyna ni z tego, ni z owego traci czasem pewność siebie, i to tylko wtedy, kiedy rozmawia z nim. Nie umiał sobie wytłumaczyć, czym ją onieśmielał czy też może zrażał? - ale podziwiał dzielność, z jaką potrafiła to ukrywać zdobywając się na ów żartobliwy^ trochę wyzywający ton.

Patrzył na nią ciekawie. Stała na wprost niego z podniesioną głową, ale zakrywszy oczy rękami, pobladła, jakby wszystka krew z twarzy spłynęła jej do ślicznie zarysowanych czerwonych warg.

Oświadczył, że gotów jest chodzić z nią na wszystkie premiery do wszystkich teatrów pod warunkiem, żeby mówiła do niego po imieniu. Wywołało to z kolei gorący rumieniec i widoczną ulgę: jej oczy z płynnego szafiru spojrzały wesoło, nawet trochę kpiarsko.

- Dobrze, Piotrze - powiedziała jak grzeczna mała dziewczynka, skłaniając głowę i dygając, a on pogroził jej palcem, powziąwszy nagłe podejrzenie, iż owe chwile rzekomego zmieszania są tylko jednym z niewinnych jej forteli, którymi się posługuje, aby wyprowadzić go w pole i potem śmiać się z nim razem.

Jest z tym wszystkim bardzo dziecinna i bardzo miła - pomyślał.

Wsiadł do maszyny pod przyjemnym wrażeniem, ale wkrótce po starcie opanowały go znów skłócone myśli i uczucia.

Mary nie odpowiedziała na jego list. Nie wiedział, co postanowiła i co on sam uczyni, jeżeli ona rzeczywiście wróci do Anglii. Przeczował, że tak się stanie, że tak się to skończy.

Te jego przeczucia sprawdziły się całkowicie. Wróciwszy z lotniska do domu, zastał list od niej. Mary pisała, że wyjeżdża i zapewne nieprędko go zobaczy. Nie mogła pożegnać się z nim nawet telefonicznie.

...Jadę do Anglii. Zupełnie niespodzianie dostałam pozwolenie na wyjazd celem odwiedzenia mojej rodziny i nawet wizę powrotną do Polski. Ale Ty wiesz, Piotrze, że już tu nie wrócę. Smutno mi jechać bez Ciebie. Zawsze sobie wyobrażałam, że pojedziemy razem, ale Tyś nie chciał się na to zdecydować i nie wiem, czy kiedykolwiek się zdecydujesz. W Twoim liście nie ma o tym ani słowa... Ale ja będę na Ciebie czekała. Napisz do mnie do Nottingham. Pamiętaj, że

czekam i bardzo będę tęskniła. Wyjeżdżam dziś.

Twoja Mary

Piotr bezwiednie darł szaroniebieski arkusz papieru na drobne, coraz drobniejsze kawałeczki. W głowie huczał mu jakiś niewyraźny, lecz przejmujący i nieznośny zgiełk, który zagłuszył wszystkie jego myśli, paraliżował mózg wbijając się weń stłoczoną masą bezsensownych dźwięków, które zdawały się powstawać z potarganych, zmiętych strzępków listu.

Rozdział XV

Wkrótce po powrocie z Kolna załoga Piotra Maresza, zgodnie z nowym planem pracy ustalonym przez szefa pilotów, zaczęła latać na kombinowanych trasach krajowych, co miało przede wszystkim tę dobrą stronę, że w ciągu każdego tygodnia co najmniej trzy noclegi wypadały w Warszawie. Poza tym ów plan pozwalał na bardziej ekonomiczną gospodarkę i lepsze wykorzystanie zarówno personelu, jak sprzętu. Dla załóg oznaczało to większą ilość przebytych kilometrów, a co za tym idzie - wyższe premie; dla dyrekcji - usprawnienie ruchu bez konieczności powiększenia liczby pilotów i mechaników oraz taboru lotniczego.

Wykłady, zajęcia na lotnisku, trening w lotach bez widoczności i ćwiczenia na link-trainerze odbywały się nadal z poprzednią regularnością, wbrew przewidywaniom Piotra i Ostkiewicza co do ich trwałości. Ponadto zostały zorganizowane nieobowiązkowe kursy języków obcych.

Piotr wzdurzył kursami, lecz bywał na wszystkich wykładach fachowych, a w sali ćwiczeń ślepego pilotażu spędzał całe godziny na rozmowie z Dobrowolskim, którego pogodnie usposobienie wpływało na niego kojąco.

Pomny swej obietnicy, od czasu do czasu zapraszał do

teatru nie tylko Hanke, ale również swego drugiego pilota i Teresę Lorkównę. Występował wobec tych trojga w roli starszego opiekuna i przewodnika traktując ich jak młodsze rodzeństwo, z czego Hanka pokpiwała coraz śmielej i swobodniej.

Podczas pierwszego przelotu do Szczecina zainteresował się także losem znajomej pary łabędzi na jeziorze Medwie. Dostrzegł tam tylko jednego ptaka i zaniepokoił się zupełnie poważnie, co się stało z drugim. Nie mogąc go znaleźć, dwukrotnie okrążył jezioro, ale na próżno. Zaczął już snuć domysły o jakiejś tragedii, która musiała się tu rozegrać podczas jego kilkutygodniowej nieobecności. Te łabędzie i ich dzieje nabierały symbolicznego znaczenia w jego żywej wyobraźni. Po raz pierwszy zobaczył je tego dnia, w którym dowiedział się, że Mary jest znów wolna. Potem widywał je zawsze razem. Lecz burza zniszczyła gniazdo łabędzi, a teraz oto jeden z ptaków pozostał samotny, jak on...

- Och! cóż za melodramat - wzruszył ramionami, wyprowadzając samolot ze skrzytu.

- O co chodzi? - spytał Flisak zdziwiony tymi manewrami.

- O łabędzie - uśmiechnął się Piotr z przymusem. - Jeden gdzieś mi się zapodział.

- Przecie były tylko dwa - wtrącił Cygan.

- Właśnie: były dwa...

- No i są dwa - powiedział Cygan. - Drugi siedzi tam, w trzcinie. Pewnie na jajach.

- Gdzie? - spytał Piotr z takim ożywieniem, jakby od tego faktu zależała jego przyszłość.

Flisak, który dostrzegł już gniazdo, pokazał mu je:

- Tam, na środku, przy wysepce.

Piotr skinął głową:

- Widzę.

Poczytał to za dobrą wróżbę. Przyszło mu do głowy, że Mary może jeszcze zmieni swoje plany i wróci. Tylekroć je zmieniała...

Pewnego dnia w czerwcu, wychodząc z domu na lotnisko, Piotr natknął się w hallu na „sekretarza ambasady” podążającego do łazienki, w szlafroku, z ręcznikiem przewieszonym na szyi.

- *Bonjour* [fr. - dzień dobry], *monsieur Maresz* - zawołał Malaine niezwykle podniecony. - Słyszał pan ostatnią nowinę?

Piotr skinął mu głową.

- Dzień dobry. Nowinę? Hm. Julia mówiła o jakimś „cudzie”. W Lublinie, zdaje się. Ma to być według niej tryumfem Kościoła i dobrej sprawy nad...

- *Mais non, mais non!* [fr. - ależ nie] - Malaine niecierpliwie zatrzepotał ramionami jak rozgniewany kogut. - *Pas un miracle!* [fr. - nie cud!] Korea! Tam nie ma cudów. Tam jest wojna!

- W Korei? - powtórzył Piotr z lekkim uśmiechem. - To znacznie dalej niż w Lublinie...

- Ale to znacznie ważniejsze niż cuda, które interesują Julię.

- Któż się tam bije? - spytał Piotr.

- *Officiellement* - Koreańczycy północni z południowymi. Ale chyba pan rozumie: to jest początek wielkiego konfliktu...

Piotr spoważniał.

- Możliwe - powiedział po chwili. - Hitler miał swój poligon w Hiszpanii, zanim zaczął podboje. Teraz naśladują go inni.

- Inni? Kogo pan ma na myśli?

- Tych, co chcą wojny.
- A pan? Po której pan jest stronie?

Patrzył na Piotra ciekawie, jakby go chciał wy badać.

- Ja myślę - powiedział Piotr - że my wszyscy mamy dość wojen. Nie uprzątnęliśmy jeszcze ruin i gruzów po ostatniej. Po następnej może nie miałby kto uprzątnąć nowych.

- *Certainement, certainement* [fr. - niewątpliwie] - bąknął tamten. - *Mais tout de meme* [fr. - niemniej jednak]... to nie zależy od nas.

- Od nas dwóch - w bardzo niewielkim stopniu - zgodził się Piotr. - Ale ponieważ tak myśli bardzo wiele ludzi...

- Oh, pan jest idealistą, *monsieur Maresz!* Marzycielem - *un reveur!*

- Nic na to nie poradzę. Jestem! - Piotr uśmiechnął się lekko. - *Au revoir* [fr. - do zobaczenia].

Malaine także pożegnał go uśmiechem i podążył do łazienki, Piotr zaś wyszedł i kupiwszy poranne gazety przeglądał je po drodze.

Nie było w nich jeszcze wiadomości o jakichkolwiek działaniach zbrojnych w Korei, lecz sądząc z depesz, sytuacja zaostrzyła się tam znacznie.

Malaine mógł wiedzieć o dalszym rozwoju wypadków z komunikatów radiowych albo nawet ze swojej ambasady - pomyślał Piotr.

Jechał na Okęcie pod wrażeniem tej nowiny. Czego można się było spodziewać po wybuchu tego konfliktu? Czy istotnie działały tam ukryte sprężyny „wielkiej polityki”? Ba! Z pewnością! Ale to jeszcze nie dowodzi, że wojna znów obejmie całą Europę. Po pierwsze - Korea jest daleko; po wtóre - kto zechce się znów bić? Anglicy? Francuzi? Włosi?

Belgowie? Holendrzy? Żołnierze amerykańscy, którzy tęsknią do swych domów?

Wzruszył ramionami. Chyba tylko niedobitki faszystów z zachodnich Niemiec. Ale tych nie starczy.

Nie wierzył w możliwość nowej wojny. Tylko szaleniec mógł się *wazyć* na rozpętanie takiej zawieruchy, która całemu światu wraz - z nim samym groziłaby zagładą.

Po dwudziestominutowym „ślepych locie” w ciemnej kabinie link-trainera Piotr, trochę olśniony dziennym światłem, sprawdzał na mapie odbytą trasę i z zadowoleniem stwierdził, że nie popełnił żadnego błędu.

Poczęstował Dobrowolskiego papierosem i wracając do rozmowy, którą prowadzili przed rozpoczęciem ćwiczenia, zapytał:

- Jak myślisz, o co tam właściwie chodzi w tej Korei?

Dobrowolski się uśmiechnął.

- To zależy komu. Jednym o bazy strategiczne i może także o surowce, innym o władzę, pieniądze, utrzymanie dawnego ustroju i związanych z nim przywilejów klasowych. A jeszcze innym o... hm... No, po prostu o to, żeby być wolnym narodem, żeby żyć jakoś po ludzku.

- Ale kto tam doprowadził do tego starcia?

- Mnie się zdaje, że to od dawna wisiało w powietrzu - powiedział Dobrowolski. - Anvill pisał do mnie... Znałeś Toma Anvilla

Piotr skinął głową:

- Owszem, zaszczycał mnie czasem swoją przelotną uwagą. Ty z nim korespondujesz? Zdumiewające! Cóż on takiego pisał?

- Że jego dywizjon „latających fortec” zostanie lada dzień przeniesiony w tamte strony. Wyraził obawę, że to będzie „ponura zabawa”. Nie wiedziałem, co ma na myśli.

Pisał o tym ze trzy miesiące temu; może już teraz „zabawia się” tam w bombardowanie. Kto wie, czy i inni nasi znajomi nie będą musieli wziąć udziału w tym szlachetnym sporcie... - dodał po chwili.

- Na przykład kto? - spytał Piotr.

- Na przykład ci, którzy zostali oficerami kontraktowymi R.A.F.

- No, Wielka Brytania nie jest zaangażowana w tej awanturze.

- Jeszcze nie - powiedział Dobrowolski z naciskiem.

Piotr zgniótł papierosa na popielniczce. Pomyślał, że gdyby tam został, sam mógłby się znaleźć w takiej sytuacji. I co wtedy?...

W myśl zasady „obowiązującej” na Zachodzie, że „w wojsku nie ma polityki”, musiałyby tłumić powstania, bombardować miasta i wioski ludzi, którzy walczą o wyzwolenie spod ucisku kolonialnego; musiałyby zabijać mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy mu nic nie zawinili; podbijać i ujarzmiać wolne narody w imię interesów wielkiego kapitału czy też w imię obcych, imperialistycznych dążeń.

Dla Toma Anvilla było to tylko „ponurą zabawą”, ale - jak wynikało z tego określenia - nawet on odnosił się do niej niechętnie.

Ten amerykański pilot drażnił Piotra od pierwszej chwili, w której się poznali na jakiejś stacji lotniczej w Anglii. Anvill miał wówczas zaledwie dwadzieścia dwa lata i dowodził eskadrą będącą w jego mniemaniu najlepszą jednostką taktyczną sił lotniczych USA. Siebie zaś uważał za jej najlepszego dowódcę - po prostu nie do zastąpienia. Reszta ludzkości, która nie dowodziła dziewięciu bombowcami typu B-29 wchodzącymi w skład 714

dywizjonu „latających fortec”, wydawała mu się godna pożałowania.

Tom Anvill, syn fabrykanta musztardy z małego miasteczka w stanie Ohio, należał do typu młodych ludzi zza oceanu, których życie upływa na wznoszeniu się w górę bez przykrych wypadków i niepomyślnych zbiegów okoliczności zarówno w interesach, jak na platformie towarzyskiej czy też w służbie wojskowej.

Prawdopodobnie dlatego kapitan Anvill uważał, że wojna toczy się głównie po to, aby dostarczyć pola do popisu jego wyjątkowym zdolnościom.

W roku 1944, już jako dowódca dywizjonu, brał udział w wysadzeniu desantu powietrznego pod Arnhem i otrzymał za to D.S.O. [Distinguished Service Order - wysokie odznaczenie wojskowe] oraz złotą papierośnicę z odpowiednim napisem od generała Crerara, dowódcy Pierwszej Armii Kanadyjskiej. Miał też mnóstwo innych odznaczeń brytyjskich, amerykańskich i francuskich, które oceniał bardzo dokładnie, podobnie jak swe zasługi i czyny wojenne. W ten sam sposób zapewne traktował nagrody sportowe zdobywane przed wojną i fotografie pomniejszych gwiazd filmowych z dedykacjami świadczącymi o bliskich czy nawet intymnych jego znajomościach w tych sferach.

Stosunki jego z Piotrem początkowo ograniczały się do wymiany chłodnych powitań w kasynie, ale Anvill nawet mówiąc „dzień dobry” czynił to w sposób wytykający każdemu jego znikomość w porównaniu z nim samym, Tomem Anvillem. Nie mogło ulegać najmniejszej wątpliwości, że nie tylko Piotr, ale nawet sam Zeus zstąpiwszy z Olimpu musiałby odczuć tę wyższość, z jaką dowódca pierwszej eskadry 714 dywizjonu raczył go pozdrawiać.

Dopiero gdy spotkali się po raz drugi, znów na tej samej stacji, ale już pod koniec działań wojennych, i gdy Piotr został dowódcą polskiego skrzydła, Anvill zaczął do pewnego stopnia liczyć się z tym Polakiem, który stale wyprzedzał go w awansie.

Nie była to oczywiście zazdrość: Anvill nie wątpił, że sam również wkrótce zostanie dowódcą skrzydła, i to skrzydła amerykańskiego, a przecież Piotr nie był nawet Amerykaninem; nie posiadał ani D.S.O. świadczącego o jego bohaterskiej odwadze, ani złotej papierošnicy od dowódcy armii; nie miał dokładnego wyobrażenia o swych zasługach i należnych mu za nie nagrodach; nie mógł pochwalić się żadnymi podbojami wśród gwiazd filmowych, które by go uwielbiały tak, jak uwielbiały Toma Anvilla, najwspanialszego mężczyznę na świecie.

Mimo to Anvill przestał pogardzać Piotrem - lub może ta pogarda została nieco złagodzona - i nawet grywał z nim czasami w bilard, co mogło uchodzić za wyróżnienie lub rodzaj pobłaźliwości.

Piotr zaś doszedłszy do wniosku, że brzemię tego stosunku nie jest szczególnie trudne do zniesienia, zwłaszcza jeśli dotąd dzieliło się los paru miliardów ludzi, którzy u Toma Anvilla w ogóle nie wchodzili w rachubę, poddał się owemu uczuciu z właściwą sobie lekką ironią.

Wiedział, że Dobrowolskiego z Anvillem łączy pewna zażyłość. Nie próbował dotąd zgłębić powodów tego zbliżenia, lecz fakt, że ci dwaj tak różni ludzie korespondowali z sobą, sprawił go teraz w zdumienie.

Zapytał wprost, jak do tego doszło.

Dobrowolski uśmiechnął się.

- Zналиśmy się i przedtem - powiedział. - Ale właściwie głównie z widzenia. W każdym razie Anvill raczył

pamiętać, że prowadziłem transporty lotnicze przez Atlantyk i że jestem Polakiem. Po kapitulacji Niemiec widywałem go we Francji, a raz go spotkałem - nigdy byś nie zgadł - w Luwrze!

- W Luwrze? - powtórzył Piotr zaciekawiony. - Cóżście tam robili? To jest, co on tam robił? Kupował portret Mony Lizy?

- W każdym razie pytał mnie o jego przypuszczalną cenę - odrzekł Dobrowolski. - Co do mnie, to interesuję się trochę malarstwem i dlatego często tam zachodziłem bywając w Paryżu jeszcze przed wojną. A on tam był pierwszy raz w życiu i mam wrażenie, że również pierwszy raz w życiu doznał uczucia niebezpiecznego osamotnienia, jakie czasami wystawia na próbę odwagę samotnego wędrowca w nie zbadanym kraju. Nie chcę przez to powiedzieć, że się bał, lub choćby - że był onieśmielony. Nie! Ale był nieco przystępniejszy; był w towarzyskim nastroju. Temu jego... hm... powiedzmy... tej jego chwilowej słabości przypisuję, że zaczął ze mną rozmawiać i nawet pytać o to i owo: kiedy i kto namalował taki czy inny obraz. Muszę przyznać, że miał niezły gust: o ile pamiętam, podobały mu się arcydzieła Delaroche'a, Bonnata, Laurensa, Rembrandta, Leonarda da Vinci, Van Dycka... Pytał także o ceny - naturalnie! I naturalnie trudno mu było wytłumaczyć, że niektóre płótna są bezcenne; że żaden z jego rodaków-milionerów nie mógłby ich kupić. Nie wiem, czy to moja skromna erudycja, nieosiągalność tych malowideł czy też wielka, nieśmiertelna sztuka, zrobiła na nim takie wrażenie, dość, że w pewnej chwili oświadczył, iż „czuje się przez cały czas jak głupi”. Przyznasz, że jak na Anvilla, który mówił o Anvillu, posunął się bardzo daleko. Potem zaproponował mi jeszcze jedno spotkanie w Luwrze. A potem spotykaliśmy się tam jeszcze

nieraz.

- I rozmawialiście o sztuce - poddał Piotr z akcentem niedowierzania.

- O sztuce, a także o innych sprawach - uśmiechnął się znów Dobrowolski. - I wiesz, nawet go polubiłem, choć większość kolegów po prostu go nie znosiła. Było w nim coś pociągającego czy też może tylko coś takiego, czego można by mu było zazdrościć. Jakaś taka odporność na wszystko, co człowieka może zranić, upokorzyć, onieśmielić...

- Po prostu gruba skóra - wtrącił Piotr. - Tego mu chyba nie zazdrościsz?

Dobrowolski uniósł brwi w górę.

- Nie, ja mu nie zazdrozczę niczego. Zdaje mi się, że może mu być z tym bardzo wygodnie - do czasu...

- O zapewne - zgodził się Piotr. - Zwłaszcza teraz, w Korei. Wyobrażam sobie, jakbym się tam czuł będąc na jego miejscu...

Dobrowolski patrzył na niego z lekkim roztargnieniem, jakby jeszcze zajęty przerwany przez Piotra wątkiem dotyczącym „komfortu duchowego” Anvilla. Lecz nie podjął już rozpoczętego zdania, zachowując dla siebie jego zakończenie. Piotr zaś spojrzawszy na zegarek, wstał bez pośpiechu i pożegnawszy się wyszedł na lotnisko.

Czekał go jeszcze tego dnia wykład Pacholczyka, przewidziany rozkładem zajęć; lecz idąc w stronę hangaru rozmyślał nadal nie o tym wykładzie, tylko o położeniu uczciwych ludzi, których ubrano w mundury i wysłano na podbój Korei. Ta sprawa budziła w nim instynktowną odrazę.

Był po stronie obozu pokoju między narodami - to pewne.

Tu, w Polsce, brał udział w pracy pokojowej, wciągał się do niej coraz bardziej: początkowo bez szczególnego

entuzjazmu, lecz przecież uczciwie; później z coraz większym przekonaniem, nawet z sercem. Teraz, gdy koreański konflikt zbrojny objawił mu się w swym cynizmie poprzez pogląd Toma Anvilla i jemu podobnych, tym jaśniej zdawał sobie sprawę ze słuszności drogi, na którą wstąpił, a raczej - na której się znalazł dzięki splotowi okoliczności.

Kazimierz Pacholczyk mówił o różnych rodzajach paliwa stosowanych do silników lotniczych i o sposobach najoszczędniejszego ich zużycia. Jego zdaniem ta ostatnia sprawa ciągle jeszcze była niedostatecznie opracowana, zwłaszcza że każdy typ silnika ma swoje specjalne cechy i związaną z nimi optymalną sprawność. Dane fabryczne nie zawsze się z tym pokrywają. Dopiero doświadczenia praktyczne obsługi i próby podczas lotu mogą posłużyć do wyboru najwłaściwszych elementów, jak ustawienie zapłonu, stopień otwarcia przepustnicy, stosunek procentowy mieszanki i tak dalej, które w sumie dadzą pożądaną szybkość przy ekonomii paliwa o danym składzie chemicznym.

Piotr niezbyt się tym interesował. To były problemy dla chemików, dla inżynierów, dla konstruktorów - nie dla pilotów i mechaników. Pilot i mechanik pokładowy powinni otrzymać już gotowe wskazówki, będące wynikiem pracy tamtych: dany silnik wymaga takiego to i takiego paliwa, pracuje najlepiej przy tylu to a tylu obrotach, i już. Po to są laboratoria, po to jest cała wiedza techniczna w tej dziedzinie. A oszczędności? Jak obsługa stosuje się do przepisów, to zużycie paliwa powinno być oszczędne. Poza tym wiele zaoszczędzić się nie da; już tam specjaliści dobrze sobie nad tym nałamali głów, żeby znaleźć tę „optymalną”.

Nie wygłosił tego swego poglądu podczas wykładu, ponieważ nie chciało mu się wszczynać dyskusji, ale zaraz

potem został poniekąd zmuszony do tego. Mianowicie Flisak, który - jak się okazało - od dłuższego czasu spiskował z Pacholczykiem i z Cyganem w sprawie owych oszczędności, powziął zamiar przeprowadzenia prób na samolocie Piotra.

Wyjawił to w niewielu słowach: opracowali we trzech „taki jeden sposób” i chodzi o to, żeby go zastosować na SP-ACH. Czy piotr się zgadza?

Piotr powiedział, co o tym myśli, ale ostatecznie się zgodził. Zapytał tylko, jakie misteria będą towarzyszyły tym próbom; czy to będzie bardzo skomplikowane i co on ma robić, żeby nie przeszkadzać.

Tu wkroczył Pacholczyk i wyjaśnił, że sprawa jest zupełnie prosta: Piotr ma startować i lądować normalnie, jak dotąd; natomiast w czasie lotu Flisak i Cygan zajmą się dostrajaniem silników, ustawieniem skoku śmigła i regulacją obrotów według pewnego planu, a po każdym locie będą sami sprawdzali zużycie benzyny i uzupełniali jej zapas.

Piotr kiwnął głową:

- Rozumiem. Niech będzie. A ile wy rocznie myślicie zaoszczędzić w ten sposób? Dziesięć litrów? Sto?

Pacholczyk spojrział na niego ponad szklami okularów. Jego dobrodusznna, rumiana twarz wyrażała lekkie zakłopotanie.

- To trudno powiedzieć. Może nic, może jeden procent, ale może i kilkanaście.

Najbardziej przejmował się tą sprawą Flisak.

- Żeby się to udało!...

- Ty byś za to oddał połowę urlopu - powiedział Piotr z lekką ironią.

- Cały! - odrzekł Janek.

- No to już chyba w przyszłym roku, bo pół tegorocznego przepracowałeś pod Kolnem na opylaniu.

- A nie było warto?

- No, może i było; choćby ze względu na twoje niedawno rozbudzone zainteresowania agrobiologiczne.

Flisak zaczerwienił się.

- To zupełnie inna sprawa - mruknął. - Ja bym tam z wami polecał tak czy owak.

- Wiem - powiedział Piotr, tym razem całkiem poważnie. - Tylko nie bardzo rozumiem, co cię tak diabelnie ciągnie do tych wszystkich rzeczy. I link-trainer, i opylanie, i teraz znów z tymi oszczędnościami. Właściwie na swoje prywatne sprawy prawie nie masz czasu. - Ale mnie to cieszy - odparł Flisak.

- Właśnie, dlaczego?

- A już tak... Idziesz na obiad?

Piotr skinął głową. Flisak ujął go pod ramię i idąc z nim razem w stronę stołówki, powiedział:

- Ty tego nie rozumiesz, boś się nie urodził w takiej nędzy jak my; jak ja i Hanka, i Fela... I Teresa także - dodał. - Ona jest z naszych stron, z Rybna - mówił dalej po chwili. - Córka księzego parobka, Michała Lorka. Jej ojciec służył u księdza Nabelca. Nawet czytać i pisać nie umiał, tak samo jak nasza mama, wiesz?

- Czekaj - przerwał Piotr. - Jak się ten ksiądz nazywał?

- Nabielec, Melchior Nabielec. Bo co?

- Nic, nic. Takie znajome nazwisko. Moja gospodyni tak się nazywa. Julia Nabelcówna.

- To będzie jego siostra - powiedział Flisak. - Dawniej tam i mieszkała na plebanii, i wszystkim rządziła. A miała ciężką rękę... Ale ja nie o niej. Więc choćby Teresa albo i Hanka - co były one wiedziały o świecie, gdyby się nic nie zmieniło? No, powiedz. Może Teresa w najlepszym razie byłaby u tej Julii za pomywaczkę, może by tam harowała

przy bydle i w polu. Może by ją nawet nauczyli czytać na książce do nabożeństwa. Więcej - nie. A teraz ta Lorkówna, córka niepiśmiennego parobka, agrobiologię studiuje! Pracę naukową pisze, o działaniu chlorofilu na organizmy zwierząt kręgowych! A Hanka? A ja? Myślisz, że mi się kiedy w tamtych czasach śniło o lotnictwie? Jak miałem jakie marzenia, to chyba, żeby ziemniaki były omaszczone albo żeby mieć całe buty. A jak zaczęliśmy z Hanką chodzić do szkoły w Sochaczewie, to ksiądz Nabielec powiedział, że się Feli we łbie przewróciło: że dla nas dwie klasy w Rybnie to aż za dużo. I nagle, po wyzwoleniu, wszystko się zmieniło: cały świat się przed nami otworzył. Hanka zdała maturę i poszła na medycynę. Dostała stypendium, dostała pracę w „Cebuli”, darmo się uczy, będzie lekarzem, lata w aeroklubie, chodzi do teatru! A ja - no, powiedz - mógłbym ja za tamtych dawnych czasów zostać pilotem? Ty - co innego. Twój ojciec był artystą; żaden ksiądz Nabielec nie dziwił mu się, że cię kształci. Tyś robił, co chciałeś; mogłeś sobie wybierać, co ci się tylko spodobało, tak samo dawniej jak dziś. Ale ja... Przecież ja bym nawet nie potrafił ci tego powiedzieć, co mówię, gdyby nie ten przewrót. Jakbyśmy się spotkali z tobą albo jakbyś spotkał Hanke, taką zupełnie prostą dziewczynę wiejską, to... czy ja wiem?... Może byś nawet na nas nie spojrzął, bo co byśmy mieli z sobą wspólnego? Ty - inteligent z wielkiego miasta, i ona - dziedziczka na pół mordze piachu, albo ja - wyrobnik czy tam kiepski czeladnik od ślusarza? No więc widzisz, o to chodzi, że ja to rozumiem. Po swojemu, naturalnie, po chłop!sku, bo jestem z chłopów. Nawet bez żadnych tam politycznych podstaw; nawet gdybym nic nie wiedział ani o partii, ani o kapitalizmie, ani o socjalizmie i komunizmie. Jak mnie, uważasz, takiemu zwykłemu wiejskiemu chłopakowi, ta nowa Polska dała to wszystko, co

mam, jak taka Hanka i Teresa zamiast doić krowy i widłami gnój rozrzucić będą mogły leczyć albo wykładać na uniwersytecie, jak każdy może żyć lepiej, jak w chałupach świecą elektrycznością, jak orzą traktorami, i to wszystko dlatego, że nowe wzięło górę nad dawnym - to przecież człowiek chce jak najlepiej pracować, zrobić, co tylko może, żeby się ten nowy porządek osiadł, żeby się umocnił, żeby trwał na zawsze; żeby... bo ja wiem... no, żeby puścił korzenie w tę naszą ziemię i żeby go już nic nie mogło z niej wyrwać. I ja sobie myślę, że to, co my robimy, to właśnie jest taka robota.

Umilkł, jakby wyczerpany i strudzony tym przemówieniem, najdłuższym chyba, jakie w życiu wygłosił.

Piotr mruknął: - Rozumiem - i milczał również zamysłony.

Ten „zwykły wiejski chłopak” ukazał mu, odkrył przed nim to, co przeżywały setki tysięcy młodych ludzi w Polsce, a czego Piotr dotąd nie dostrzegał wyraźnie, na co nie umiał spojrzeć z ich punktu widzenia. Jakież zasoby zdolności, wytrwałości, zapału do pracy, pędu do nauki zostały wyzwolone z chwilą, gdy tacy chłopcy i takie dziewczęta, jak Flisak i Wyroba, jak Hanka i Teresa otrzymali równe prawa startu z Godzickim, z Hornowskim, z Lolem Surowcem lub z nim samym!

Najbardziej jednak zdumiewała Piotra inteligencja Hanki. Ta dziewczyna zdradzała takie odczytanie, tyle wszechstronnych wiadomości, taki dowcip! A przecież do czternastego roku życia pasła kozy i gęsi w tym Brzeziu czy jak się tam ta ich wioska nazywała! Ma teraz dwadzieścia jeden, może dwadzieścia dwa lata; więc to wszystko, ta ogromna zmiana dokonała się w ciągu lat ośmiu, w warunkach o ileż gorszych, trudniejszych niż te, w jakich

rozwija się młodzież inteligencka.

Wydało mu się to nadzwyczajne. Pomyślał, że i tego dotychczas nie zauważył, że patrzył na tę dziewczynę nie zdając sobie sprawy z jej wartości, z jej niezwykłości, z tego fenomenu, jakim mu się teraz wydała.

Zapragnął ją zobaczyć, przyjrzeć się jej, porozmawiać z nią, skontrolować swoje dotychczasowe wrażenia. Zapytał, co u niej słychać.

Flisak rzucił mu krótkie, przyjazne spojrzenie.

- Właśnie się z nią dzisiaj umówiłem - powiedział wchodząc za Piotrem do stołówki. - Uparła się, że mi kupi koszulę i skarpetki, bo powiada, że chodzę jak dziad. No, ma trochę racji, bo się wydarłem. Więc mamy się spotkać o czwartej w domu towarowym na Brackiej, w kawiarni. A ty co robisz? Może byś poszedł z nami? Potem mamy iść do kina.

Piotr powiedział, że chętnie pójdzie. Rozglądali się w poszukiwaniu wolnych miejsc po zapełnionej już sali jadalnej, gdy Dobrowolski przyzwał ich gestem do stolika, przy którym siedział z Ostkiewiczem.

- SP-ACH, tu możecie lądować! - zawołał.

Dotarli tam krętą trasą między innymi stołami, po czym Dobrowolski od razu zwrócił się do Flisaka:

- Jakbyście mnie mogli dziś zastąpić na popołudniowych zajęciach, to bym wam był bardzo wdzięczny.

- Naturalnie - powiedział Flisak. - To ta grupa, co się zaczęła szkolić w zeszłym tygodniu?

- i Ta właśnie. Od trzeciej do piątej, dwie godziny. Bo mnie akurat wezwali do dyrekcji. Możecie?

- Mogę - odrzekł Flisak bez wahania. - Z przyjemnością.

Piotr spojrział na niego z uśmiechem.

- A co będzie z koszulami i ze skarpetkami? - spytał.

- Kupi się kiedy indziej. To przecież ważniejsze niż moje koszule.

- Co on ma za kłopoty z koszulami? - zaniepokoił się Dobrowolski.

- Ba, żeby tylko z koszulami! - roześmiał się Piotr. - Tu wchodzi w grę jedna kobieta - a może nawet dwie - kawiarnia, kino, skarpetki i ja. Wynika z tego, że wszystko skrępi się na mnie. Który numer koszul nosisz, ofiaro obowiązku? - zwrócił się do Janka.

- Czterdziesty pierwszy.

- A skarpetek?

- Nie wiem. Ale Hanka będzie wiedziała. Naprawdę mi to chcesz załatwić?

- Muszę - westchnął Piotr. - Przecież nie mogę pozwolić, żeby mój drugi pilot był obdarty jak dziad, zwłaszcza teraz, kiedy ta druga kobieta zaczęła wchodzić w rachubę.

- Ładna? - spytał Ostkiewicz.

- Ładna i w dodatku mądra.

- A on woli tego link-trainera! - Ostkiewicz potrząsnął głową.

- Co to, to nie - zaprotestował Piotr. - Zresztą to nie wasza sprawa. Nie wtrącajcie się. Już ja się tym zajmę.

- *In loco parentis* [w tym przypadku - po ojcowsku], mam nadzieję - powiedział Dobrowolski.

- Och, tu chodzi nie o tę, tylko o inną.

- To ileż ich jest? - spytał Ostkiewicz.

- Odczepcie się obaj. Jest ich akurat tyle, żeby starczyło dla Janka i dla mnie. Jak już nie będziemy mogli we dwóch dać sobie rady, to was wezwiemy na konsultację.

Dobrowolski pokiwał głową i zaczął jeść zupę. Ostkiewicz, który popijał herbatę po skończonym obiedzie, zapalił papierosa.

- Odbyliście już te loty treningowe bez widoczności, które Janczar zarządził? - zapytał Piotr.

- W powietrzu? Nie - odrzekł Piotr. - To ma być teraz co miesiąc?

- Co miesiąc, w dowolnym dniu. Po pół godziny dla każdego pilota.

- Mówiłem ci - wtrącił Flisak. - Pacholczyk ma przygotowany samolot z zaciemnioną kabiną.

Piotr wykonał gest zniecierpliwienia:

- Tam jest cała kolejka do tej maszyny. Świat się nie zawali, jak to zrobimy nawet po pierwszym. Jutro lecimy do Katowic i Gdańska; wracamy w sobotę, niedzielę mamy wolną. No, może w poniedziałek rano albo...

Urwał. Ktoś położył mu rękę na ramieniu. Piotr obejrzał się. To był Lamot, jego poprzedni drugi pilot.

- Wioek! Dawno cię nie widziałem.

- A tak. Przeważnie imijamy się na trasie - odrzekł Lamot. - Wracam ze Szczecina i mam dla ciebie pozdrowienia od Hornowskiego.

- Od Hornowskiego? - zdziwił się Piotr. - Siadaj - usunął się trochę z krzesłem. - Cóż on tam robi?

Lamot się skrzywił. Z Hornowskim było niedobrze. Spotykały go same niepowodzenia. Dom, w którym mieścił się warsztat tkacki, został przeznaczony na rozbiórkę. Nie mógł znaleźć w Warszawie innego pomieszczenia, więc starał się o większe mieszkanie gdzie indziej. Chodziło mu o to, żeby się przenieść z całą rodziną i żeby jego 'córka mogła nadal studiować, mieszkając z nimi, a także, aby mieć przynajmniej jeden duży pokój na ów warsztat. Przez

znajomości z odbiorcami swoich wyrobów i z dostawcami wełny trafił na taką okazję w Poznaniu. Ale trafił fatalnie, bo zawarłszy transakcję dotyczącą zamiany mieszkań - jak się zdaje, niezupełnie legalnie - i poniosłszy przy tym znaczne koszty, po przyjeździe do Poznania dowiedział się, że nabyty przez niego lokal dużo wcześniej został zajęty przez władze miejskie. Jakiś czas mieszkał kątem u znajomych, wszystkie meble i warsztat musiał oddać na przechowanie i procesował się z frantem, który go wyprowadził w pole, zajmąwszy jego mieszkanie warszawskie. Ale przegrał i ostatecznie przeniósł się do Szczecina. I - Prosił, żebyś do niego zaszedł, jak ci tam wypadnie nocleg. Żał mi go: Postarzał się o dziesięć lat. Piotr szczerze się tym przejął.

- Trzeba by mu jakoś pomóc.

- No, on tam jeszcze ma z czego żyć - powiedział Lamot. - Odłożył sobie coś niecoś, możesz być o to spokojny. Gdyby nie to, zostałyby w LOCIE.

- Ba! Janczar go stąd wygryzł - zauważył Ostkiewicz.

Dobrowolski, który dotąd milczał, spojrzał na niego unosząc brwi w górę.

- Janczar? - powtórzył. - Dajcie spokój. Janczar zachował się wtedy bardzo przyzwoicie. Jeżeli Hornowskiemu zaproponowali, żeby został, to głównie pod wpływem Janczara.

- Ale on zostać nie mógł! - zaperzył się Ostkiewicz. - Jest starszym pilotem niż Janczar i...

- Nas tu jest kilku starszych - przerwał mu Dobrowolski z pogodnym uśmiechem. - Ale nie o to chodzi. Jak Hornowskiemu trzeba będzie pomóc, to mu pomożemy. Ja myślę, że i dyrekcja LOT-u by mu pomogła; bądź co bądź on tu z początku pracował bardzo dobrze.

- To prawda - mruknął Lamot. - Ale na razie...

Przynajmniej mnie się zdaje, że on z tego sam wybrnie.

- No, na mnie czas - powiedział Ostkiewicz wstając. -
Lecę do Wrocławia. ^

- I na mnie też - Dobrowolski spojrział na zegarek. -
Więc o piętnastej? - zwrócił się do Flisaka.

- Tak, tak. Bądźcie Spokojni - odrzekł Janek.

Piotr wstał także.

- A my jutro o piętnastej trzydzieści do Katowic -
powiedział. Flisak skinął głową.

- Pójdiesz tam? - spytał nieśmiało.

- Spotkać się z Hanką? Ja myślę! I możesz mi wierzyć
- z przyjemnością - uśmiechnął się Piotr. - Kupimy ci takie
koszule, że Teresa oniemieje!

Rozdział XVI

Było duszno, jakby się zbierało na burzę, choć bezchmurne niebo przesłaniała tylko warstwa złotawego pyłu, który zawisł w nieruchomym powietrzu. Czerwone słońce zdawało się nabiegać krwią i ciążyć ku zachodowi, zmęczone codziennym dobrodusznym nadzorem nad pracą miasta, które wyrastało coraz wyżej, coraz gęściej ceglanymi blokami nowych dzielnic. Chodniki i jezdnie w rozproszonym świetle nabrały matowej, miedzianej patyny. Miedziane lśnienia i błyski kładły się na dachach i szynach tramwajowych, zapalały się w szybach wystaw sklepowych i pojazdów, płonęły w oknach mieszkań.

Nurt przechodniów płynął w obie strony, a barwne suknie kobiet wykwiwały raz po raz wśród jego zmiennych prądów, jak kwiaty niesione przez ciemną wodę. Na rogach przecznic tworzyły się oo pewien czas zatory, jakby w poprzek strumienia ludzi stanęła jakaś przeszkoda; tłum narastał, gęstniał i wreszcie zwolniony zielonym światłem sygnału przelewał się wezbraną falą przez jezdnię na drugą

stronę.

Piotr wraz z jedną z takich fal dostał się na Bracką, po czym wszedł do wnętrza wielkiego dornu towarowego i wymanewrował na boczne schody prowadzące do kawiarni. Znalazłszy się na górze stanął i objął wzrokiem niską, długą salę, w której między sufitem a rozstawionymi stolikami unosiła się błękitnawa ławica dymu z papierosów.

Hanka siedziała pod oknem, naprzeciw jakiegoś mężczyzny odwróconego tyłem do Piotra. Uśmiechnęła się, uniosła rękę i gdy Piotr odpowiedział na jej gest, poróżnowiała w tym uśmiechu, jakby trochę zmieszana jego pytającym spojrzeniem, a potem uniosła oczy w górę i westchnęła głęboko.

Piotr zrozumiał tę mimikę: właściciel jasnej marynarki, o przesadnie szerokich, mocno watowanych barach, i czarnych, lśniących włosów ulizanych w klasyczną „mandolinę” nie był pożądanym przez Hankę towarzyszem; nie należał do jej paczki. Zapewne spotkała go tu przypadkiem i teraz oczekiwała odsieczy.

W tej chwili młody człowiek odwrócił głowę i Piotr ujrzał jego twarz o miękkich, kobiecych rysach z lekko cofniętym podbródkiem.

Surowiec! Znowu...

Nie wiedział, że Karol zna Hankę, i poczuł się tym jakby dotknięty. Kiwnął pogardliwie głową w odpowiedzi na jego idiotyczne: *Hallo, old boy!* - przysiadł się do Hanki i z rozmyślnym ożywieniem zaczął mówić, co go tu sprowadza, zwracając się wyłącznie do niej.

Z zadowoleniem zauważył, że Hanka natychmiast pojęła tę jego taktykę. Wzmrożona, jakby obudzona z chwilowego uspienia żywotność tryskała z jej oczu, warg, uśmiechu, z całej postaci. Lekki rumieniec przyciemniał

opalone policzki i czerwienił usta dziewczyny, jakby krew tętniła mocniej w jej żyłach. Wszystko to najwidoczniej przeznaczone było dla Piotra, Lolo bowiem nie został zaszczycony ani jednym spojrzeniem Hanki, jakby nagle, wraz z przybyciem Piotra, przestał istnieć lub został oddzielony od nich ścianą, spoza której nie było go ani widać, ani słyszać.

W pewnej chwili ręce Piotra i Hanki spotkały się pod blatem stołu w porozumiewawczym uścisku. Spojrzeli sobie w oczy i roześmieli się oboje.

- Idziemy? - spytał Piotr.

- Uhm - skinęła głową. - Tylko zapłacę.

Lolo obejrzał się na kelnerkę, sięgnął po portfel. Ale Hanka go uprzedziła kładąc odliczone pieniądze na tacę, tak że zapłacił tylko za swoją kawę. Nie wydawał się ani trochę zmieszany tym wszystkim i wychodząc wraz z nimi oświadczył swobodnie, że jak zwykle nie ma nic do roboty, więc będzie im towarzyszył.

Piotr spojrzął mu w oczy i dostrzegł w nich złośliwy błysk.

Bezczelny mydłek - pomyślał. - Strasznie by nam było przyjemnie skorzystać z twego towarzystwa i naturalnie... gustu przy wyborze tych koszul - dodał przyglądając się z uwagą nieprawdopodobnym rogom jego kołnierzyka - ale...

- Och, ja nie kupuję gotowych koszul - zastrzegł się Lolo. - Szyją mi je na specjalne zamówienie.

- Ale - ciągnął dalej Piotr - musimy jeszcze po drodze odwiedzić moją ciotkę, więc...

- W takim razie odprowadzę was do tej ciotki - powiedział Lolo.

Piotr opanował zniecierpliwienie.

- Jak chcesz - odrzekł.

Nie miał żadnej ciotki i nie zamierzał nikogo odwiedzać, ale decyzja Surowca bynajmniej go nie zakłopotwała. Gdy we troje doszli do jakiegoś dużego domu w połowie drogi ku Marszałkowskiej, zatrzymał się i ujmując Hanke pod rękę, oświadczył:

- To już tutaj. Mam nadzieję, że na czwarte piętro nie będziesz się fatygował? Do zobaczenia.

Lolo tym razem zignorował go całkowicie.

- Do widzenia, Haneczko - powiedział. - Wpadnij do nas którego dnia. Mieszkamy z ojcem na kolonii Staszica. Tylko najlepiej zadzwoń przedtem; telefon i adres jest w książce telefonicznej. Pa!

Odstąpił krok w tył i rzuciwszy Piotrowi drwiące spojrzenie zdawał się czekać, aż oboje wejdą na schody. Piotr zaś idąc obok Hanki, która posłusznie szła przez chłodną bramę i pierwsza skręciła ku otwartym drzwiom wejściowym, doznawał kolejno uczuć gniewu, rozczarowania i współczucia.

Był zaskoczony tym pożegnaniem. Wprawdzie Hanka nie odpowiedziała ani słowem na owo poufale zaproszenie, a nawet - jak się Piotrowi zdawało - wzruszyła ramionami i wydeła lekko wargi z wyrazem niesmaku i pogardy, ale po'zos!tało mu wrażenie, że straciła zwykłą swobodę i pewność siebie. Cóż to miało znaczyć?

- Dureń! - powiedziała zatrzymując się pośrodku schodów. '- Dureń! - tupnęła nogą.

Spojrzała na Piotra i nagle roześmiała się.

- Cóż tak na mnie patrzysz, Piotrze? - Dokąd idziemy? Co to za ciotka?

Ten jej szczerzy śmiech i jasne spojrzenie przyniosły Piotrowi ulgę.

- Me ma żadnej ciotki - wyznał. - Chciałem się go

pozbyć.

Hanka obej rzała się na drzwi.

- Tak też myślałam. Wejdźmy wyżej; ten błazen gotów nas śledzić.

- Skąd ty go znasz? - spytał Piotr.

- Powiem ci - odrzekła stłumionym głosem. -
Chodźmy.

Weszli na drugie piętro i usiedli we wnęce okna.

- Nie wiedziałam, że ty go znasz także - powiedziała Hanka. - Przyczepił się do mnie w tej kawiarni. Czekałam na przyjście Janka jak na wybawienie, a ten mi się zwierzał ze swoich dawnych i obecnych sentymentów.

- I w końcu zaprosił cię do siebie - mruknął Piotr.

- Nie cierpię go! - powiedziała marszcząc brwi.

Piotr uśmiechnął się nieco sceptycznie. Gdyby tak było istotnie - pomyślał - on powinien się o tym dowiedzieć, nie ja.

Ale spojrzawszy na Hanke porzucił tę czysto męską logikę.

Z początku nawet nie zwrócił uwagi na to, o czym zaczęła mówić. Żywa modulacja jej głosu, o podkładzie lekkiej wesołości, kolejne zmiany kształtu ust, blask szafirowych oczu - pochłonęły go całkowicie. Patrzył na nią z przyjemnością i dopiero po chwili zdał sobie sprawę z treści słów, które wpadały mu w ucho.

- ...Przyjeżdżał z rodzicami do Rybna. Ksiądz Nabelec był jakimś kuzynem jego matki, bratem ciotecznym czy coś w, tym rodzaju. Karol był starszy od nas - ode mnie i od Janka - o parę lat. Ale nie imponował nam ani trochę, choć miał aksamitną szafirową kurtkę ze złożonymi guzikami. Nie wolno mu było bawić się z wiejskimi dziećmi, i z nami naturalnie, żeby się nie nauczył brzydkich wyrazów. Ale -

możesz mi wierzyć - umiał ich więcej niż my. No, w każdym razie niż ja i Janek. Później miałam okazję przekonać się o tym osobiście.

- Cóż to była za okazja? - spytał Piotr.

- A, taka tam... - umilkła na chwilę, jakby pod wpływem niemiłego wspomnienia.

Piotr nie próbował tego dociekać, ale Hanka sama zaczęła znów mówić:

Pasała wtedy gasi, krowę i dwie kozy. Nie miała wiele kłopotu z tym różnorodnym towarzystwem; o, z pewnością mniej niż Piotr przypuszcza: mogła nawet czytać książki.

Trzy pierwsze pożyczała jej nauczycielka z Rybna; były to: „Bajka o sierotce Marysi i krasnoludkach”, „Chata wuja Toma” i „Placówka”.

Później, gdy już zaczęli z Jankiem chodzić do szkoły w Sochaczewie, zawarła znajomość z właścicielką księgarni i wypożyczalni książek. Wtedy odkryła Orzeszkową, Kraszewskiego, Gomulickiego, Reymonta, Sienkiewicza, Żeromskiego i wpadłszy na trop pisarzy współczesnych przeczytała niemal wszystko, co w sochaczewskiej księgarni reprezentowało literaturę piękną, wraz z przekładami z języków obcych.

- Lolo też się przyczynił do wzbogacenia mojego umysłu - oświadczyła po chwili. - I to zanim dobrałam się do tej księgarni. Jeszcze za moich czasów pasterskich. Nudził się na wakacjach jak mops. Bał się kóz i gęsi, a naszą chudą krowę omijał na sto kroków. Powinien był właściwie siedzieć na plebanii, bawić się tam w ogrodzie i odrabiać zadania, które mu zostawiał ojciec przyjeżdżając na soboty i niedziele z Warszawy. Ale pani Surowcowa była ustawicznie chora, ksiądz Nabielec jeździł po swojej parafii, chrzczył, dawał śluby, odprawiał msze i pogrzeby, a jedyną opiekę nad Lolem

sprawowała głucha jak pień gospodyni. W tych warunkach wymykał się spod kontroli i zawierał zakazane znajomości.

- Między innymi z tobą? - wtrącił Piotr.

- Między innymi ze mną - powtórzyła Hanka. - Choć z początku, przez pierwsze parę tygodni, woale mnie nie dostrzegał przechodząc obok pastwiska pod lasem.

Znajomość została zawarta w ten sposób, że Lolo usiadł na pniaku za plecami Hanki i zapytał, co ona czyta. Rzuciwszy za siebie szybkie spojrzenie i stwierdziwszy, że to ten miejski chłopiec z plebanii, Hanka wymieniła tytuł książki, on zaś pogardliwie wykrzywił twarz i krótko zawyrokował: „Strasznie nudne”.

Potem przesiadł się na inny pniak, obok niej, i po dłuższym milczeniu oświadczył, że ma bardzo dużo książek o wiele ciekawszych, ale nie lubi czytać. Hance wydawało się to tak nieprawdopodobne, że znów na niego spojrzała. Lolo ziewnął, zawadził o nią wzrokiem i zapytał, skąd się tu wzięła, jak się nazywa i gdzie mieszka. Poinformowany przez nią w tych trzech sprawach, zaczął się uskarżać na swój los. Nudził się. Nic mu się nie podobało na wsi. Nie mógł chodzić do kina i do cukierni. Nie miał swojego pokoju. Nikt go nie odwiedzał i nie zapraszał do siebie.

Miał żaloszny wyraz oczu, żalosznie opuszczone kąćki ust, żalosznie pochyloną głowę. Narzekał, wycierał nos, jęczał, a potem groził, że się zbuntuje i „skończy z tym wszystkim”. Wypowiadał swoje żale w powietrze, nie zwracając się bezpośrednio do małej pastuszki, jakby je powierzał niebu i ziemi i jakby ona była tylko przypadkową ich słuchaczką.

- Bardzo go gniewało, jeżeli zauważył, że się uśmiecham - opowiadała. - Wpadał we wściekłość i nawet raz uderzył mnie po plecach wiklinowym prętem. Nie mogłam mu oddać, bo był większy i silniejszy ode mnie.

Urozmaicał mi życie. Albo mi się oświadczał, albo się przede mną użalał, albo mi wymyślał i rzucał we mnie kamieniami. A nade wszystko pękał ze złości, bo się z niego śmiałam. Ksiądz Nabielec... Ba, gdybyś ty znał księdza Nabelca!

- Znam jego siostrę - wtrącił Piotr.

- Pannę Julię?!

- Tak. Mieszkam u niej. Ona jest właścicielką domu i odnajmuje pojedyncze pokoje. A także od czasu do czasu informuje mnie o świątobliwości swego brata. Ciekawym, czy jest do niej podobny?

Nie, ksiądz Nabielec nie był podobny do Julii. Przynajmniej zewnątrz. Hanka zaczęła opisywać go Piotrowi, podczas gdy schodzili ze schodów i rozejrzawszy się ostrożnie, czy Surowiec nie czeka na nich przed bramą, szli wolno po owe koszule i skarpetki, które wreszcie trzeba było kupić.

Na podstawie jej sugestywnego opisu Piotr wyobraził sobie proboszcza parafii Rybno jako człowieka prawie nadnaturalnych wymiarów. W istocie ksiądz był wysoki i pokaźnej tuszy. Miał zwyczaj odchyłać w tył głowę i wypinać brzuch, podczas gdy z kimś rozmawiał lub wygłaszał kazania. Czyniło to takie wrażenie, jakby powiększał swoją objętość, a poprzeczne fałdy tworzące się wówczas w pasie na jego sutannie budziły obawę, że gęsto przyszyte guziki lada chwila prysną na wszystkie strony. W jego bladej, nalanej twarzy, kształtu jaja osadzonego szerszym końcem na - grubej szyi, tkwiło dwoje czarnych, płonących oczu o fanatycznym wyrazie. Te oczy stanowiły szczególnie kontrast z resztą jego postaci: byłyby o wiele bardziej odpowiednie dla jakiegoś ascety niż dla tego opasłego kapłana o zaczerwienionym nosie, przypominającym z kształtu kartofel. Za to jego grzmiący

głos podobny był do dźwięku organów - organów nastrojonych, jeśli się tak można wyrazić, na tony oburzenia i pogardy.

Tym strasliwym głosem ksiądz Nabielec napominał Fełę, a następnie gromił Hanke za gorszące zachowanie się wobec Lola, swego ciotecznego siostrzeńca, syna pobożnych rodziców, którego - o zgrozo! - mała, dwunastoletnia diabloia wadziła na pokuszenie.

„Zatwardziała grzesznico! Azali się nie opamiętasz? Nie czujesz piekielnego płomienia? Ja go za ciebie czuję! Za was obie!”

Zapewne musiał poczuć go naprawdę, bo umilkł i przez chwilę wyglądał, jakby połknął coś gorącego. Potem zaklęcia i groźby wybuchały z niego na przemian, a czarne oczy ciskały miazdzące spojrzenia ‘na jasną głowę dziewczynki skulonej pośrodku *zimnego* pokoju.

- Tb było straszne - wzdrygnęła się Hanka. - Nie mogłam zrozumieć, o co mu właściwie chodzi, ale wróciłam do domu skostniała z przerażenia. A Fela powiedziała, że ksiądz Nabielec ma źle w głowie.

- Ja myślę! - mruknął Piotr. - To musi być u nich rodzinne. Chociaż Julia ze swoim sprytem do interesów...

Hanka zatrzymała się nagle.

- Ojej, bo mam sklepy pozamykają!

Ta możliwość istotnie zaczynała nabierać cech prawdopodobieństwa. Zajęli się więc wystawami konfekcji męskiej i po krótkich poszukiwaniach zdecydowali się na popelinowe niebieskie koszule i popielate skarpetki, które miały olśnić czy też „oniemić” Teresę.

- No i cóż dalej? - zagadnął Piotr, gdy skręcili w boczną ulicę kierując się w stronę bursy, gdzie Hanka mieszkała.

- Dalej? Ach, z tym Lolem? - uśmiechnęła się podnosząc oczy i zwracając ku niemu głowę jakby zaciekawiona, czy rzeczywiście go to interesuje. - Wyjechał wreszcie na dobre. Zobaczyłam go dopiero w jakie osiem albo dziewięć lat później w Warszawie, na pierwszym roku medycyny. Tylko że jemu się te studia także prędko znudziły. Ale zanim to nastąpiło, zdążył mnie zidentyfikować i zaczął „chodzić koło mnie”. Przywoływał przy tym na pomoc wspomnienia z Rybna i z Brzezia, które jednak w jego interpretacji bardzo różniły się od moich wspomnień. Powiedziałam mu to i na jakiś czas ochłódł. Zdaje się, że z kolei obdarzył swymi względami naszą koleżankę, Wandę Hornowską; podobno jest z nią zaręczony.

- Ale mu to nie przeszkadza robić do ciebie słodkie oczy i zapraszać cię do swego mieszkania - zauważył Piotr jakby z urazą.

Hanka spłonęła gorącym rumieńcem.

- Cóż ja na to mogę poradzić? Ani wtedy w Brzezin, ani teraz nic go nie upoważniało do takiego... do takiej bezczelności. Zresztą... - zawahała się. - On to powiedział umyślnie pr*zy tobie, Piotrze. Umyślnie przy mnie? Po co?

- Żeby... No, żebyś myślał, że ja... że mnie z nim coś łączy. Zdaje mi się, że nawet mu się to udało.

Piotr zaciął zęby.

Zachowałem się jak cham - pomyślał.

Nie wiedział, jak to naprawić, a przy tym ogarnęło go jakieś niezrozumiałe wzruszenie.

- Kretyn - mruknął pozbywając się całej reszty wściekłości, która już w nim przygasiała pod wpływem owego wzruszenia.

Hanka szła obok niego milcząc. Ujął ją pod ramię.

- Udało mu się tylko o tyle, że mnie wyprowadził z

równowagi i - powiedział. - Ale to nie dotyczy ciebie, rozumiesz?

- Staram się - odrzekła spoglądając na niego z ukosa. - Ale to czasem bywa trudne.

- Hm, może masz rację - zgodził się, tknięty myślą, że sam nie zawsze dokładnie rozumie własne uczucia.

- To już tu - powiedziała Hanka zatrzymując się przed domem akademickim.. - Patrz, Janek!

Janek Flisak zdążył ku nim poprzez jezdnię z przeciwnej strony placu.

- Wiecie, Dobrowolski ma iść na badania do CBLL - zawołał z daleka. - Może mu pozwolą latać!

- To by się ucieszył! - powiedział Piotr. - I ja także - dodał.

- I wszyscy - uzupełnił Janek. - To strasznie porządny chłop. A kupiliście mi koszule? - zaniepokoił się nagle.

- Bo co? - spytał Piotr.

- Bo... no, bo mi będą potrzebne. Jeszcze dzisiaj, zaraz.

- Ojej! - roześmiał się Piotr. - Wszystkie?

- Nie, tylko jedna. Muszę się przebrać i...

- Bardzo słusznie - oświadczył Piotr z powagą. - Wreszcie zaczynasz myśleć także o własnych sprawach, nie wyłącznie o wyścigu pracy. Idziesz na randkę, tak?

- Ona jest w domu - powiedziała Hanka spojrzawszy na któreś z oświetlonych okien bursy.

Piotr powiódł wzrokiem po tych oknach.

- Píše pracę o... o czym to? Aha: o działaniu chlorofilu - przypomniał sobie.

Podał Jankowi paczkę z koszulami.

- W przyszłym tygodniu idziemy na Szekspira; pójdziecie z nami?

- Pójdziemy - odrzekł Janek. - Kiedy to? W czwartek?

- W czwartek. Wracamy rano z Krakowa i dopiero w piątek lecimy, do Szczecina, zdaje się. Tylko mi przypomnij o biletach.

Rozstali się. Piotr wolno szedł na ukos przez plac. Po kilku krokach obejrzał się, ale przed gmachem akademickim nie było już nikogo.

Skręcając z Filtrowej w swoją cichą uliczkę Piotr zauważył, że przed domem Julii stoi półciężarowa taksówka przewozowa. Kierowca i jakiś niemłody człowiek w porządnym, ciemnym ubraniu wnosili do hallu płaskie, prostokątne przedmioty przypominające kształtem obrazy opakowane w szary papier. Julia w swej sztywnej sukni o prostych fałdach, która czyniła ją podobną do zakonnicy, oświetlała im drogę po kamiennych schodkach ręczną latarką elektryczną. Gdy Piotr wszedł przez otwartą furtkę, oślepiła go na chwilę wąską smugą światła, po czym - widocznie uspokojona - cofnęła się do korytarza.

Kierowca i ów drugi człowiek ukazali się w drzwiach. Któryś z nich powiedział do Julii: - To już wszystko - i obaj wyszli na ulicę.

- Cóż to za przeprowadzka? - spytał Piotr znalazłszy się w mrocznym hallu oko w oko z gospodynią, która zdawała się na niego czekać trzymając w ramionach tłustego kota.

Julia spojrzała zezem na drugie z rzędu drzwi po lewej stronie.

- To są rzeczy tych pań - oświadczyła tajemniczo, z taką miną, jakby to miała być jedyna informacja, której mogła udzielić.

Ale natychmiast potem zaczęła mówić prędko, stłumionym głosem: Hrabia był u tych pań z wizytą dziś w

południe. Był bardzo krótko, tak że nawet nie podawała kawy. Wychodząc - jak zwykle obdarzywszy Julię drobnym datkiem (to naprawdę świadczy o jego zacnym sercu i z pewnością zostanie mu wynagrodzone przez Boga, jeśli nie w tym, to w przyszłym, pozagrobowym życiu!) - uprzedził ją, że wieczorem przyśle przez swego służącego parę obrazków i dwie lub trzy skrzynki z różnymi drobiazgami. Zazaczył wyraźnie, że te rzeczy były u niego na przechowaniu; teraz je zwraca.

Julia zastanawiała się, czy „obrazki” są treści religijnej i gdzie te panie je powieszą. Ściany ich pokoju są już niemal wypełnione obrazami, które hrabia zwrócił im dawniej. Na co ludziom tyle obrazów, w dodatku świeckich? Gdybyż jeszcze były nowe! Ale tam nowe (i śliczne) są tylko złocone ramy... Co się tyczy skrzynek - lub raczej ciężkich skrzyń - to zostały umieszczone w dużej szafie ściennej; jak się zdaje, te panie nie mają zamiaru ich rozpakowywać. Julia przypuszcza, że skrzynie zawierają porcelanę (zapewne z lepszych czasów, kiedy te panie prowadziły bardziej światowe życie i duży dom). Może także - rodzinne srebra? Naturalnie, taka biedna dziewczyna, jak ona, nie interesuje się tym wcale. Cóż jej do tego? A co Piotr o tym sądzi?

Piotr sądził, że zacny pan August z jakichś sobie tylko wiadomych powodów (najprawdopodobniej z obawy przed wścibstwem urzędu skarbowego) postanowił pozbyć się z domu nagromadzonych taon dzieł sztuki i cennych przedmiotów, oddając je na przechowanie „tym paniom”. Ale nie podzielił się z Julią swymi domysłami. Jego rzeczywiście nie interesowało to ani trochę. Przyszło mu tylko na myśl, że o ile ukrycie takich rzeczy w pokoju, którego „te panie” prawie nigdy nie opuszczały, mogło zapewnić im względne bezpieczeństwo, to sposób, w jaki je tu sprowadzono, nie

wytrzymawał krytyki pod względem dyskrecji. Jutro, a może nawet dziś, o tych „obrazkach” i skrzyniach będą wiedzieli „pan prezes” i „sekretarz ambasady”, pojutrze - dziesięć lub dwadzieścia kumoszek, sprzedawcy jarzyn, rzeźnik, mleczarz, listonosz i licho wie kto.

Gdybym był Sherlockiem Holmesem - pomyślał - powiedziałbym do doktora Waitsona: „Najdalej za miesiąc nastąpi w tym mieszkaniu włamanie i kradzież”.

Uśmiechnął się nieco ironicznie: w gruncie rzeczy nie przewidywał niczego podobnego. Tylko charakter tego odosobnionego domu, jego ponury wygląd, dwuznaczne postacie właścicielki i lokatorów narzucały wyobraźni sceny jakby z kryminalnego dramatu.

Powiedział Julii, żeby mu przyrzadziła coś do zjedzenia, i poszedł do swego pokoju zostawiając ją u stóp wąskich, krętych schodów, sam na sam z jej nie zaspokojoną ciekawością, kotem i milczącym, gipsowym posągiem Wenus odzianej w zakurzone prześcieradło.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł zapaliwszy światło, był list od Mary: na biurku leżała gruba, szaroniebieska koperta z brytyjskimi znaczkami pocztowymi. Wziął ją do ręki, rozciął brzeg scyzorykiem i usiadł w głębokim fotelu pod stojącą lampą. Robił to bez pośpiechu, ze spokojem, który go samego trochę zdziwił. Serce nie zabiło mu żywiej, a myśl dopiero po chwili i jakby z pewną opieszałością skoncentrowała się na osobie Mary Carol.

Wyjął z koperty arkusz złożony we czworo i szczerlnie zapisany dużym, niedbałym pismem. Zaczął czytać.

Mary donosiła, że już objęła spadek po ciotce Plank. Wymieniała szczegółowo, z czego się to dziedzictwo składa: garbarnia i trzypiętrowy dom w Whitby, mały letni *cottage* [domek wiejski] w miejscowości kąpielowej Torquay nad

Kanałem, jakieś akcje, biżuteria, gotówka w banku...

Piotr był tym trochę zdziwiony; nie przypuszczał, że ów spadek przedstawia większą wartość. Ciotka Plank nie robiła wrażenia osoby aż tak zamożnej.

Czytał dalej.

Mary od spraw materialnych bezpośrednio przeszła do sentymentalnych wspomnień i aluzji dotyczących ich wzajemnego stosunku. Czuła się teraz osamotniona. Brak jej było Piotra - wszak właściwie do niedawna byli' zawsze w pobliżu siebie. Pytała, czy Piotr o niej pamięta, kiedy się zobaczą? Pisała, że za nim tęskni, że jeszcze się nie oswoiła z nowymi warunkami życia, które jednak są o ileż przyjemniejsze niż te, w których żyła dawniej!

„Pamiętasz?...” - to słowo powtarzało się wielokrotnie, a towarzyszące mu obrazy, wywoływane owymi przypomnieniami, przesuwały się na tle szaroniebieskiego papieru przed oczyma Piotra coraz wyraźniej, coraz bardziej wzruszające, rozniecając na nowo żar, który już zdawał się wygasać.

„Pamiętasz?...”

Pamiętał. Wszystko znów wracało, wbrew wszelkim postanowieniom.

„Czekam na ciebie, Piotrze - pisała Mary. - Ufam ci. Wiem, że przyjedziesz”.

Przeszedł się po pokoju i stanął pośrodku dywanu. Otaczał go półmrok o gorących tonach czerwieni zapożyczonych od szkarłatnego abażuru lampy, która stojąc na wysokim niklowanym pręcie za, fotelem stanowiła gorejący ośrodek tego obszernego wnętrza pełnego cieniów.

Znów zaczął chodzić - tam i z powrotem, tam i z powrotem. Pojechać do niej? - myślał. - Zostawić tu wszystko? Spalić za sobą mosty?

Jakby w odpowiedzi na tę myśl zjawily się inne, również znajome - gryzące, pogardliwe, brzemienne oskarżeniami, zwiastujące hańbę.

Wlókł je za sobą nie mogąc się od nich uwolnić, a gdy w końcu rzucił się na fotel, miał wrażenie, że skupiają się koło niego, przytłaczając go i dusząc.

Wejście Julii z dymiącą tacą wyrwało go na chwilę z tego kręgu. Julia postawiła tacę na stoliku i przyjąwszy swą ulubioną pozę, z dłońmi pobożnie złożonymi na żołądku, oznajmiła bez żadnych wstępów, iż „rząd chce wszystkich zrujnować”.

Piotr spojrział na nią półprzytomnie, co natychmiast skłoniło ją do dalszych wynurzeń. Potok jej wymowy wpadał mu w uszy, ale tylko pojedyncze słowa i części zdań docierały do jego świadomości. Chodziło jej o jakieś zarządzenie zabraniające dokonywania prywatnych obrotów obcymi walutami.

- I to panią tak oburza? - spytał niechętnie. - Czy pani ma też kłopoty z dolarami?

Umilkła nagle, jakby przestraszona. W jej wodnistych oczach błysnęła podejrzliwość. Piotr nieświadomie odgadł jej ukrytą troskę.

- To nie dotyczy mnie - powiedziała. - Ja nic nie mam. Jestem biedną dziewczyną i tylko Bóg się mną opiekuje.

W uroczystych, pełnych namaszczenia słowach zaczęła się rozwodzić na temat tej opieki, co ją widocznie do pewnego stopnia uspokoiło.

- i Ale rząd chce odebrać resztki pieniędzy porządnym ludziom - zawyrokowała. - To, co mają odłożone na czarną godzinę!

Piotr wzruszył ramionami. Udawał, że coś je, czekając, aż Julia wyczerpie swe oburzenie. Ona zaś

nawiązując do „cudu”, który miał się rzekomo zdarzyć na jakimś odpuscie przed paru dniami i o którym zdążyła już powiadomić Piotra z samego rana, prorokowała klęski zawisłe nad głowami premiera i ministra finansów. Była tryumfująca i pokorna, pełna nadziei i zgrozy, a przy tym nieubłagana jak Sybilla, [w starożytności: wyrocznia, wróżbiarka], która wstała z trójnoga, aby obwieścić wyroki losu.

- Będzie to nowym tryumfem Kościoła i dobrej sprawy - zakończyła z patosem, wiznosząc w górę dłoń i wskazując palcem sufit. - Przekona się pan.

- Z pewnością - odrzekł Piotr odsuwając talerz. - Niech pani to zabierze. Proszę mi zostawić tylko herbatę.

Julia z góry spojrzała na prawie nie tknięty szpinak z jajami. Z urazą ściągnęła blade wargi. - Pan nic nie jadł! Nie smakuje panu?

- Owszem, bardzo mi smakowało - powiedział Piotr. - Jakoś nie mam apetytu. Dobranoc pani.

Potrząsnęła głową, zabrała tacę i odpłynęła zdając się wcale nie poruszać nogami, jakby stała na niskim wózku, który bezgłośnie wytoczył się za ‘próg.

Piotr siedział nieruchomo, wpatrzony w szaroniebieski arkusz papieru, który spoczywał na jego kolanach. Myśli, rozproszone na chwilę przez bogobojną Julię, zbiegły się znowu i osaczyły go, jak uprzykrzona eskorta, której nie mógł się wymknąć.

Rozdział XVII

Był koniec lipca. Panował nieznośny, lepki upał. Słońce wraz z ostrym, jaskrawym blaskiem lało na ziemię potop płynnego ołowiu. Kabina załogi pomimo przewiewu była nagrzana jak żelazny piec. Gorący zapach lakieru i smarów przenikał do nozdrzy i płuc za każdym oddechem.

Zdawało się, że można go dotknąć. Wcisnął się w pory naskórka, zaklejał je, gryzł w oczy.

Piotr siedząc u steru otarł pot z czoła i poprawił się w fotelu. Przecinali Wisłę między Wyszogrodem a Zakroczymiem. Z daleka widać było Warszawę, a w dole pusta przestrzeń rzeki iskrzyła się pod wysokim słońcem. Upał drzemał na wodzie, płowe brzegi wolno sunęły pod samolotem, który parł naprzód, jakby z wysiłkiem przebijając się przez gorące powietrze.

Elmer zawiadomił Piotra, że przechodzą na Kontrolę i po chwili w słuchawkach rozległ się głos Zdybia, który wydawał zwykłe instrukcje przed lądowaniem.

Zaczęli się zniżać. Cygan strzygł uszami zdradzając niezwykle podniecenie. Ten przelot z Bydgoszczy do Warszawy był ostatnim z przelotów objętych próbą ekonomicznego zużycia paliwa i jakkolwiek wiedzieli już, że próba się powiodła, to jednak ostateczny jej wynik można było stwierdzić dopiero po opróżnieniu zbiorników, co miało nastąpić w obecności komisji zaraz po wylądowaniu. Flisak był nie mniej przejęty. Miał wynotowane wszystkie kombinacje obrotów, skoku śmigieł i szybkości lotu na przebytych trasach, a dzisiejszy etap - owe dwieście pięćdziesiąt kilometrów między Bydgoszczą a Warszawą - dopełniał planu. Zużycie benzyny na tym odcinku powinno wpaść najoszczędniej.

Zdybel podał im pas lądowania, a Cygan opuścił podwozie. Gdy zapaliło się zielone światelko kontrolne, Piotr powiedział:

- Kontrola, SP-ACH na prostej. Wysokość trzysta.
- Możecie lądować - odrzekł Zdybel.

Piotr domknął gaz. Śmigła meły powietrze połyskując odbiciem słonecznego blasku. Prostokąty pól, szosy i drogi

rozpostarte przed maszyną zaczęły się kurczyć i skracać, jakby były zrobione z elastycznej gumy. Natomiast spłaszczone dotąd domy i drzewa wyciągały się wwyż, wyrastały z ziemi, która stawała się coraz bardziej plastyczna. Lotnisko - prawie regularne koło o barwie soczystej zieleni - przybrało kształt owalny, a prosty szary pas betonu wbiegł pomiędzy silniki i rozszerzał się ziwolna, aż jego krawędzie ukazały się poza końcami skrzydeł. W tej samej chwili pneumatyki musnęły gładką powierzchnię bieżni i samolot z charakterystycznym głuchym pomrukiem amortyzatorów potoczył się w długim, nie hamowanym dobiegu ku budynkowi portowemu. Pachloczyk, gruby, rumiany, ociekający potem, cofał się z rozkrzyżowanymi ramionami wskazując Piotrowi, jak ma ustawić maszynę. Janczar stał z boku, mówiąc coś z ożywieniem do dyrektora Modrakowskiego, który spoglądał na niego sennie, wsparty oburącz na grubej lasce. Gdy Piotr wyłączył zapłon, obaj zwrócili głowy w jego stronę; dyrektor wyprostował swą zwalistą postać i z nagłym przyplływem energii rzucił kilka krótkich zdań podkreślając je oszczędnym gestem. Każdy, kto go znał bliżej, mógł wywnioskować, że w owej chwili powziął jakąś decyzję lub ostatecznie rozstrzygnął jakąś sprawę. Janczar uśmiechnął się, widocznie zadowolony, i przesunął dłoń po swej jasnej, kędzierzawej czuprynie. Urzędnik z kierownictwa ruchu pasażerskiego i towarowego wybiegł na podjazd trzymając w ręku kolorowe formularze. Dwaj mechanicy z grupy startowej przytoczyli schodki na kółkach i jeden z nich otworzył drzwi gondoli. Pasażerowie zaczęli wsiadać.

Piotr wyszedł za nimi, przywitał się z Modrakowskim i z Janczarem, a potem, załatwiwszy zwykłe formalności i podpisawszy dziennik nawigacyjny, stanął z daleka od

samolotu, aby zapalić papierosa.

Tymczasem Flisak i Cygan wraz z Pacholczykiem spuścili pozostałą benzynę ze zbiorników i przemierzwszy jej ilość skupili się przy stole warsztatowym w otwartym hangarze, gdzie naczelny dyrektor z Janczarem sprawdzali obliczenia. Mechanicy ze wszystkich brygad tłoczyli się za nimi, a z budynku portowego ściągały inne załogi. Nawet inżynier Angraba, wyświeżony jak zawsze, z doskonale zawiązanym krawatem i gładko wyszczotkowanymi włosami o kruczym połysku, odziany w nieskazitelnie białą marynarkę i świetnie zaprasowane spodnie, ukazał się w drzwiach wejściowych, rozejrzał się dokoła i ruszył w stronę hangaru, lecz zobaczywszy Piotra podszedł wprost do niego.

- Macie już wynik? - spytał z widocznym zainteresowaniem.

Piotr spojrział na niego trochę zdziwiony.

- Wy też się tym zajmujecie?

- Czemu nie? - odrzekł Angraba. - A wy? Nie jesteście nawet ciekawi?

- Oni tam jeszcze liczą - mruknął Piotr wymijająco, ale odrzucił niedopałek papierosa i przydepnąwszy go nogą powiedział: - No cóż, chodźmy.

Weszli do hangaru i stanęli za plecami mechaników. W tej samej chwili dyrektor Modrakowski odwrócił się od stołu i zdawał się kogoś szukać wzrokiem, a dojrawszy Piotra wyrzekł ponad głowami otaczających go ludzi:

- Winszuję!

Piotr patrzył na niego niepewnie i nie ruszał się z miejsca. Dopiero gdy wszystkie spojrzenia zwróciły się w jego stronę i ludzie pomiędzy nim a Modrakowskim zaczęli się rozstępować, podszedł bliżej.

- Winszuję całej waszej załodze - mówił dalej

naczelnny dyrektor wyciągając do niego rękę. - Dwanaście procent oszczędności. To bardzo dużo.

Piotr był zaskoczony. Nie tyle owymi dwunastu procentami, ile tym, że jemu przypadły gratulacje. Podejrzał, że to była sprawka Flisaka i Cygana. Nie dość, że go wciągnęli do swoich prób, jeszcze mu kazali przyjmować nie zasłużone pochwały! Bynajmniej sobie tego nie życzył i postanowił natychmiast sprawę wyjaśnić. Niech im się nie zdaje, że będzie inkasował coś, co mu się nie należy.

Lecz dyrektor już tymczasem ścisnął spracowaną dłoń Pacholczyka, a następnie Flisaka, Cygana i Elmera. Piotr znalazł się znów na uboczu, za plecami innych. Flisaka i Pacholczyka otoczyli inżynierowie i technicy warsztatowi wypytyując ich o szczegóły. Janczar zapowiedział, że urządzi specjalny odczyt na ten temat dla wszystkich zainteresowanych.

Te okoliczności powstrzymały Piotra od natychmiastowego działania; wyglądałoby to tak, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę popisując się udaną skromnością. Niemniej jednak był rozdrażniony i zły na swego drugiego pilota, który mu kazał odegrać tę fałszywą rolę.

Już ja mu natrę uszu - pomyślał wycofując się z hangaru.

Wyminął Angrabę i manewrował tak, żeby go nikt inny nie zaczepił, ale u wyjścia natknął się na Janczara, który jak mu się wydało, czekał tam na niego.

No więc dobrze - zdecydował się. - Powiem to Janczarowi.

- Mam do was taką sprawę - powiedział szef pilotów dotykając jego ramienia. - Chodzi mi głównie o Flisaka...

- Aha, to bardzo dobrze - przerwał mu Piotr. - Wiecie chyba, że te wszystkie próby i obliczenia prowadził Flisak, nie ja. Flisak z Cyganem, a także Pacholczyk. Nie wiem, kto wprowadził w błąd dyrektora Modrakowskiego co do moich zasług racjonalizatorskich. Należałoby to wyjaśnić.

Janczar patrzył mu w oczy swym nieugiętym, ostrym jak grot spojrzeniem.

- Ach, to was ubodło! - powiedział z pewnego rodzaju uznaniem i umilkł, jakby się zawahał.

Odsunął to wahanie szybkim, choć nieznacznym gestem.

- Ale ja w innej sprawie - zaczął i znów urwał. - Chodźmy.

Wyszli na podjazd. Gdy znaleźli się sami, szef pilotów zatrzymał się i znów utkwiał swój przeszywający wzrok w twarzy Piotra.

- Więc chodzi o Flisaka - powiedział. - Wiem, że dużo skorzystał latając z wami. Ale mam wam do zarzucenia to, że od dwóch miesięcy nie odbyliście z nim ani jednego lotu bez widoczności. Chciałem wam o tym przypomnieć.

Piotr zmarszczył brwi. Flisak kilkakrotnie przypominał mu^o tych lotach, a Janczar znów miał rację: to była wina Piotra...

- To wszystko? - spytał przez zęby.

- Wszystko - odrzekł Janczar.

- Dobrze, zaraz dziś to odrobimy.

- Doskonale - szef pilotów skinął głową, jakby zamykając tę kwestię. - A co się tyczy tamtych prób... - dodał. - To jednak był do pewnego stopnia wysiłek całej waszej załogi. Przypuszczani, że naczelny właśnie to miał na myśli.

- Być może - mruknął Piotr, a dostrzegłszy Flisaka,

który szedł w stronę ich samolotu, rzucił chłodne „przepraszam” i ruszył na jego spotkanie.

Piotr przez bite trzydzieści minut „odświeżał” swego drugiego pilota w powietrzu, aby uczynić zadość przepisom i życzeniom Janczara oraz aby wylądować nurtującą go irytację. Był zły na siebie, że znów czegoś zaniedbał, co Janczar natychmiast pośpieszył mu wytknąć, a także na Flisaka, ponieważ przypuszczał, że ten ostatni wygadał się przed szefem pilotów o tym zaniedbaniu. Bo skądżeby inaczej Janczar mógł wiedzieć, że nie odbyli tych ćwiczeń? - myślał. - Chyba że mnie specjalnie obserwuje.

Przyszło mu do głowy, że Hornowski mógł mieć nieco słuszności przepowiadając, iż ten ulubieniec naczelnego dyrektora chce „wygryźć” wszystkich starszych pilotów z linii. Ba, Hornowski utrzymywał przecież, że Flisak jest narzędziem Janczara, że mu w tym pomaga...

Odrzucił tę myśl. Flisak? Nie! Nie wierzył w to. Ale Flisak mógł się wygadać nieświadomie lub nawet świadomie, żeby przynaglić swego kapitana do odbycia owych ślepych lotów, które Piotr ciągle odkładał.

- A więc dobrze. Dam mu taką szkołę, że ją popamięta! Pod koniec tego lotu Flisak zaczął doznawać takiego zawrotu głowy, że tylko z największym wysiłkiem woli wyprowadzał maszynę do normalnego położenia.

Siedział w kabinie szczelnie osłoniętej ciemnymi roletami mając przed sobą tablicę przyrządów silnikowych i pilotażowo-nawigacyjnych, które miały mu zastąpić widok ziemi, nieba i linii horyzontu oraz zorientować go we wszystkich elementach lotu. Z początku wszystko szło jak najlepiej: w słuchawkach raz raz odzywał się głos Piotra nakazując taki czy inny skręt, zmianę kursu lub wysokości, co po systematycznych ćwiczeniach na link-trainerze nie było

ani trudne, ani męczące. Lecz Piotrowi wkrótce się to znudziło. Powiedział: - Puść stery - i nagle blaszana sylwetka na tarczy sztucznego horyzontu wychyliła się w lewo, podeszła w górę, kulka i palec skrzętomierza rozjechały się w dwie różne strony, obroty silnika zmalowały, strzałka szybkościomierza zaczęła się cofać, wariometr podskoczył, zatrzymał się na krótką chwilę i osiadł zwiastując opadanie maszyny, która zdawała się grzęznąć w powietrzu.

- Wyprowadź do poziomego lotu - usłyszał Flisak.

Uczył to w sposób najprostszy: odepchnął ster w przód i wyrównał orczyk. Samolot przeszedł do lotu nurkowego, rozpędził się, strzałki zegarów wróciły na swoje miejsca, minęły je i po wyciągnięciu maszyny do poziomu ustaliły się we właściwych położeniach.

- Straciliśmy trzysta metrów - powiedział Piotr. - Niech ci się teraz zdaje, że mamy jeszcze tylko dwieście do ziemi. Puść stery.

Janek wykonał pasłusznie to polecenie i natychmiast przy zamierającym warkocie silnika strzałki przyrządów rozbiegły się znowu.

- No, cóż teraz? - spytał Piotr.

To było do odcyfrowania. Ze wskazań skrzętomierza, sztucznego horyzontu i wariometru Flisak wywnioskował, co zaszło samolot leżał w ostrym podciągniętym wirażu i ślizgał się w dół na lewe skrzydło.

Lewa noga, ster lekko od siebie, gaz! - pomyślał i wykonał to prawie jednocześnie.

Potem wyrównał i spojrzał na wysokościomierz. - Niecałe sto metrów - odczytał.

- Nieźle. Nabierz wysokości - komenderował Piotr.

Przez parę minut darli się w górę na pełnym gazie. I znów:

- Puść stery!

I znowu oślepią kabina zatacza się jak pusta beczka miotana wściekłą wichurą wśród fal i wirów wezbranej, krętej rzeki, a Flisak doznaje wrażenia, że jakaś potężna siła unosi go z siedzenia, popycha naprzód, wciska w oparcie fotela czyniąc go raz lekkim jak piórko, to znów przytłaczając mu barki ciężkim brzemieniem lub nalewając ołowiem głowę.

Strzałki przyrządów alarmują: Ślizg na zewnątrz skreću! Unik w prawo! Trawers! - i w końcu już nie wiadomo co, a w tej samej chwili głos Piotra:

- Wyprowadź i zaraz potem weź kurs sześćdziesiąt stopni. Tylko pamiętaj: do ziemi jest dwieście metrów!

To zastrzeżenie wyłącza najprostszy manewr: zamknięcie gazu, ustawienie sterów w położeniu neutralnym i zdanie się na „wrodzoną” stateczność samolotu, dzięki której po pewnym czasie nabierze on szybkości i sam wróci do linii lotu. Albowiem „do zie[^] mi jest dwieście metrów”, a na ów powrót do równowagi można stracić trzysta i więcej...

Trzeba więc myśleć, rozpoznać, co wskazują przyrządy, jak bez straty czasu i wysokości osiągnąć to, co można osiągnąć za cenę kilkusetmetrowego nura ku ziemi.

Flisak zaciął zęby, wstrzymywał oddech i przywołując cały swój spokój usiłował zrozumieć, co zaszło - gdzie jest góra, gdzie dół.

Nie zawsze mu się udawało[^] wywnioskować z układu strzałek, cyfr i położenia sylwetki na sztucznym horyzoncie, co się dzieje z samolotem. Chwilami, wbrew zdrowemu rozsądkowi, gotów był przypisać nieomylnym przyrządom świadomą złośliwość, gdy mimo jego wysiłków nie chciały zmienić swych wariackich wskazań. Ale wówczas Piotr mówił: „Lewa lotka!” albo „Maszyna traci szybkość!” - i

nagle wszystko stawało się jasne. Przyrządy miały, słuszość, nie podlegały złudzeniom jak on.

Po kwadransie takiej zabawy Flisak był mokry od potu nie „ś tylko wskutek upału. W rzadkich chwilach przerw, kiedy odzyskiwali utraconą wysokość, doznawał uczuć podobnych do bezradności, jaka go ogarniała przy pierwszych ćwiczebnych lotach z Janczarem, odbywanych w mglistą jesienną pogodę podczas przeszkolenia na Li-2.

Przybył wtedy do Warszawy prosto z aeroklubu, gdzie latał zwykle przy sprzyjających warunkach atmosferycznych znając | zresztą doskonale lotnisko i jego otoczenie. Miał za sobą zawody lotnicze, w których zdobył trochę doświadczenia i dobre miejsce. Zdawało mu się, że już nic go nie zdoła zaskoczyć w powietrzu.

Pędkiem się przekonał, że jest w błędzie: tu, na Okęciu, było zgoła inaczej. Bywały takie dni, że tracił z oczu lotnisko już po pierwszym skręceniu. Leciał dalej wśród wzrastającej niepewności i gęstniejącej mgły nie mogąc sobie wyobrazić, jakim cudem zdoła trafić z powrotem. Wykonywał zwroty, zmieniał kurs według poleceń Janczara, starając się choć w przybliżeniu obliczyć kierunek powrotny i - wszystko na próżno: po upływie dziesięciu minut nie wiedział, gdzie się znajduje, gdzie jest Warszawa, gdzie Wisła, gdzie Okęcie...

Janczar musiał mieć jakiś dodatkowy zmysł czy też instynkt, jaki mają gołębie pocztowe, skoro dostrzegał we mgle i trzy kominy fabryczne w Pruszkowie, i jeziorko pod Tworkami, i maszty radiostacji w Raszynie i - co gorsza - kazał mu według tych punktów orientacyjnych odnaleźć lotnisko.

Janek wytrzeszczał oczy i gdy mu się zdawało, że dostrzeżga coś w rodzaju trzech rozplywających się cieni, które mogły być kominami, czy też, że poprzez mgłę majaczy

niewyraźny kształt jeziora, mówił: „widzę!” i z lekkim sercem naprowadzał samolot na pewny już teraz kurs.

Pewny? Ta pewność trwała zaledwie kilka sekund, bo oto nagle cichł warkot silników, maszyna waliła się w dół, skręcała gwałtownie pod ręką Janczara, a w słuchawkach rozlegał się spokojny głos tego czarodzieja, który widzi przez mgłę Pruszków, Tworki, Raszyn, tory kolejowe, szosy - całą mapę okolic Warszawy - i nieomylnie odnajduje właściwy kierunek wskazując go zdumionemu uczniowi pochyleniem maszyny.

- Orientacja w terenie jeszcze słaba - mówił Janczar po takim locie. - Ale nie trzeba się zrażać: nauczycie się.

Flisak się nie zrażał, ale nie mógł pojąć, dlaczego Janczar tę paskudną mgłę nazywa „terenem”. Zrozumiał to dopiero po wielu podobnych ćwiczeniach, kiedy już sam poznał i zapamiętał każdy komin, każdy most, zakręt toru kolejowego, każde skrzyżowanie dróg i nieomal każdy dom w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od Okęcia, a następnie także od innych portów lotniczych.

Teraz, w locie bez widoczności odbywanym z Piotrem, oczywiście na nic mu to nie było potrzebne. Zapewne gdyby nie usilny trening na link-trainerze, w ogóle straciłby głowę, ale wspomniawszy dawne trudne początki pocieszał się, że i to opanuje.

Gdy Piotr wreszcie uznał, że „na ten raz będzie dosyć”, i zwolnił zaczepy rolet, które zwinęły się z trzaskiem, odsłaniając przed olśnionymi oczyma Janka jasną, skąpaną w słońcu przestrzeń i ziemię płynącą na spotkanie samolotu, Flisak doznał niewysłowionej ulgi.

Piotr wylądował w porozumieniu z Kontrolą i odkołowawszy z drogi startowej spytał:

- No co? Zadowolony jesteś?

Janek nie wyczuł złośliwego akcentu tego pytania.

- Wyhuśtałeś mnie! - odrzekł wesoło. - Ale to dobrze robi. Zmieniamy się. Potrenujesz także?

Ta propozycja trochę zaskoczyła Piotra. Przemknęło mu przez głowę, że Flisak pragnie odplacić mu pięknym za nadobne. Gdyby go nie znał, poczytałby to za bezczelność. Lecz tak czy owak obudziła się w nim ambicja pilota.

- Dobrze - odrzekł krótko.

Zatrzymał maszynę na drodze okrężnej i zamienili miejsca. Ciemne zasłony znów zostały zaciągnięte. Flisak zgłosił się przez radio do Kontrali i zawrócił na start.

Gdy znaleźli się w powietrzu, Piotr powiedział:

- Zostaw mi stery. Polecimy nad Karczew. Tam można spokojnie kręcić nad Wisłą.

Flisak wypuścił z rąk wolant i zdjął nogi z orczyka. Samolot wznosił się okrążając lotnisko, a następnie położył się na kurs do Karczewa, w górę Wisły. Piotr prowadził go z taką swobodą i precyzją, jakby widział ziemię równie dobrze jak Flisak.

- Powinniśmy być teraz nad środkiem Wisły, dokładnie między Karczewem a Jeziorną - powiedział w pewnej chwili. - Tak czy nie?

- Tak - odrzekł Flisak. - Zgadza się.

- No, to możemy zaczynać. Uważaj, żebyśmy zawsze mieli pod sobą co najmniej pięćset metrów. Oddaję stery.

Flisak przejął je natychmiast i podciągnąwszy ostro w górę, położył maszynę na skrzydło.

- Wyprowadź!

Piotr natychmiast zareagował i samolot wyszedł ze skreću bez straty wysokości.

- Puść stery - powiedział Flisak.

Dodał gazu, wyciągnął w górę, kopnął orczyk, tak że

wykonali niemal pół beczki, i zawołał:

- No, teraz!...

Poczuł, że Piotr ujął ster, zanim sam zdążył go puścić. Samolot nawet się nie zawahał: z położenia na plecach poszedł półpętlą w dół i zawróciwszy o sto osiemdziesiąt stopni wypłynął kończąc prawidłowy wywrót. Wysokościomierz ledwie drgnął nie wykazując jednak straty.

Udało mu się - pomyślał Janek i powtórzył manewr w przeciwną stronę.

Ale i tym razem maszyna przewinęła się gładkim łukiem i wyszła do poziomu bez najmniejszego błędu. Więc Flisak postanowił spróbować czegoś innego: skreślił dwie ciasne ósemki, przekładając stery z lewa na prawo i z prawa na lewo, zaczął trzecią i w połowie zawołał:

- Weź stery! Kurs na lotnisko.

Piotr bez wahania zawiązał ósemkę do końca i wyrównał. Busola pod wpływem inercji obróciła się za daleko, cofnęła się, ustaliła swój pogląd na kierunek północny, a strzałka kursowa celowała w podziałkę róży wiatrów tuż przy cyfrach 315.

Wprawilo to Flisaka w taki podziw, że przez chwilę nie mógł wymyślić nic nowego.

- Zawróć o sto osiemdziesiąt stopni - powiedział w końcu.

Potem jeszcze przez kwadrans wysilał się, aby zmylić czujność swego kapitana nieprawidłowymi ewolucjami, lecz bezskutecznie. Piotr panował nad maszyną, jakby był jasnowidzem.

Flisak w ten sposób to ujął, a jego szczerść i prostota były tak rozbrajające, że mogły udobruchać najdrażliwszego człowieka, choćby miał słuszne powody do irytacji.

Piotr chciał jednak wyczerpać tę sprawę do dna.

- Wszystko to bardzo pięknie - powiedział idąc obok Janka w stronę portu. - Ale po jakiego diabła poskarżyłeś się na mnie Janczarowi?

- Ja... skarżyłem się? Janczarowi? Na co?! - wykrztusił Flisak, jakby go te słowa dławily.

- Na mnie. Że przez dwa miesiące byłeś bez treningu w ślepych lotach w powietrzu.

Flisaka zatknęło zupełnie. Mogło się zdawać, że wybuchnie płaczem.

- Ja? Ja bym miał... Co ty mówisz, Piotrze?! - wyrzucił wreszcie przez zaciśnięte zęby. - Ja, na ciebie! Kto ci to podsunął? Jesteśmy przecież w jednej załodze... W twojej załodze!

Wczepił się w ramię Piotra swoją ogromną łapą i potrząsał nim rozpaczliwie.

- Puśćże mnie - roześmiał się Piotr - bo mi rękę urwiesz! No, już dobrze. Myślałem, że to ty. Daj spokój, wierzę ci! Nie bądź dzieckiem. Ostatecznie... Co za człowiek! - opanował wzruszenie. - Ciekawe, co byś zrobił, gdybyś wiedział, że... na przykład, że ja chcę drapnąć za granicę? Nie poszedłbyś z tym do Janczara?

Zaledwie to powiedział, już pożałował wyrzeczonych słów. Co go podkusiło?

Flisak zatrzymał się i patrzył na niego zdumiony.

- To... to przecież zupełnie coś innego! - wykrzyknął, jakby zadowolony, że zdał sobie sprawę z tej różnicy.

Roześmiał się jeszcze trochę niepewnie, ale z ulgą.

- Ty sobie pokpiwasz ze mnie. Za granicę? Uciec? Przecież ty... No przecież jesteśmy jedną załogą - powtórzył, jakby świadomość tego faktu była najskuteczniejszą bronią przeciw wszelkim możliwym wątpliwościom.

Piotr pomyślał, że ten chłopiec bardziej mu ufa, niż on

sam ufał sobie.

- Masz słuszość - powiedział. - Jesteśmy jedną załogą.

Rozdział XVIII

Pani Ludwika Hornowska od godziny na próżno szukała swojej karty rzemieślniczej, która się gdzieś zapodziała. Co prawda, znalezienie czegokolwiek w szufladach i na półkach szaf należących do pani Hornowskiej nie należało do zadań łatwych. Najczęściej takie poszukiwania bywały bezowocne, a jeśli się zdarzało, że wieńczył je pożądaný skutek, to zazwyczaj był on dziełem przypadku i następował dopiero po wielu tygodniach albo nawet miesiącach, gdy już zrezygnowano ze znalezienia poszukiwanego przedmiotu. Miary trudności dopełniała duża ilość komód, szaf, biurków i walizek, w których panował nieopisany nieład. Niemal w każdym z tych schowków spoczywały stłoczone stare swetry, szpule nici, próbki wełny, pojedyncze kalosze, znoszone spódnice, „resztki” materiałów po nie istniejących już sukniach i płaszczach, pióra do kapeluszy, wyłysiałe szczotki, jakieś buteleczki, słoiki i torebki z lekarstwami, przydeptane pantofle, wypłowiałe wstążki, skórzane paski, rolki papieru higienicznego, kłębowiska pończoch, woreczki z pierzem i mnóstwo innych rupieci, które „mogą się przydać”. Wśród tej różnorodnej zbieraniny, wymieszanej jak przysłowiowy groch z kapustą, można było natrafić na elektryczne żelazko do prasowania, paczkę biszkoptów, mosiężnych śrubek albo świec, nie mówiąc już o listach, dokumentach, zapalkach czy też żarówkach.

Mimo to Ludwika Hornowska uważała się za osobę wyjątkowo rozmiłowaną w porządku, „ponieważ to pojęcie w jej mniemaniu dotyczyło tylko wyglądu mieszkania, w

którym istotnie było czysto i jeśli nie ładnie, to przynajmniej schludnie. Pokrowce na wyściełanych meblach co pół roku oddawało się do prania, co tydzień trzepało się dywany i froterowało podłogi. Czynności te spełniała posługaczka, bo pani Hornowska cierpiała na dolegliwości wątroby, których główną przyczyną było jej niepohamowane łakomstwo.

Wyszła za mąż mając lat dwadzieścia pięć. Miała woskową twarz o dość regularnych rysach bez wyrazu, niezgrabną figurę o zbyt długim stanie i krótkich nogach, które stawiała jak rekrut na pierwszej mustrze, oraz maniery podpatrzone w domu pewnej zamożnej rodziny ziemiańskiej. Była tam przez jakiś czas pielęgniarką przy zdziecinniałej staruszce, niezupełnie zdrowej na umyśle, ale to zajęcie niewypowiedzianie ją nudziło, więc z radością powitała konkury Emila.

Była o rok lub może dwa starsza od niego. W owym czasie wszyscy znajomi jej matki mówili, że jest bardzo zakochana. Uwierzyła w to bez trudności, ponieważ nie miała ani jednej własnej myśli pod czaszką, ale za to wiedziała, że każda panna raz w życiu powinna się zakochać, oczywiście w człowieku, który jest odpowiednim kandydatem na męża i zdradza niedwuznaczne skłonności do zawarcia związku małżeńskiego.

Takich odpowiednich kandydatów było niewielu, więc gdy się trafił Emil, „chłopiec z dobrej rodziny”, państwo Kulawikowie oddali mu córkę bez wielkich ceregieli. Któż mógł wtedy przypuszczać, że ten człowiek, zamiast pracować spokojnie u teścia, już w rok po ślubie dobrowolnie wróci do wojska, aby skończyć szkołę lotniczą i zostać pilotem!

Ludwika nie umiała temu zapobiec. Wprawdzie Emil szybko uległ jej wdziękom przed ślubem, ale po ślubie nie okazał się wcale uległym małżonkiem. Robił, co chciał, a

latanie pociągało go wtedy znacznie bardziej niż praca w kantorku fabrycznym teścia lub praktyka w przedsiębiorstwie budowlanym ojca. Dopiero w wiele lat później, gdy przyszła na świat córka, Wanda, a pan Kulawik przykładowie namaszczone świętymi olejami i w ten prosty sposób przygotowany w drogę do raju przeniósł się tam, porzuciwszy padół ziemski i swoją fabryczkę - Emil zajął się interesami, teściową i schedą.

Z tej schedy po wojnie pozostał spory tkacko-dziewiarski warsztat chałupniczy, który Ludwika Hornowska poprowadziła z nieoczekiwanym u niej sprytem. Pracę fizyczną spełniały jej matka i jakaś uboga ciotka; Emil zajął się dostarczaniem wełny; Ludwika, wystarawszy się o kartę rzemieślniczą, reprezentowała „siłę fachową” wobec zarządu spółdzielni pracy, gdzie oddawała gotowe wyroby, znaczną ich część dostarczając na tak zwany rynek prywatny. Ta ostatnia, nie całkiem legalna, strona przedsiębiorstwa, pomimo dużego ryzyka grożącego ustawicznie zamknięciem warsztatu, przynosiła najpoważniejsze zyski, póki nie nastąpiły komplikacje mieszkaniowe w związku z rozbiórką domu, w którym /mieszkali Hornowscy.

Po tych wszystkich perypetiach i po przeniesieniu się do Szczecina nie można było jnawet myśleć o dawnych dochodach: kontrola skupu wełny i produkcji chałupniczej została zaostrzona; prywatny rynek skurczył się, zamierał, a z pracy dla spółdzielni trudno było zaspokoić potrzeby rodziny - zwłaszcza potrzeby Wandy, rozpieszczonej przez Emila. W dodatku Emil po katastrofie Godzi ckiego lekkomyślnie odrzucił propozycję dyrekcji L.L.LOT i przestał zarabiać.

Teraz, pod naciskiem teściowej, żony i córki, a przede wszystkim wobec topniejących oszczędności, zgodził się *złożyć* podanie o przyjęcie go z powrotem do pracy, z tym

zastrzeżeniem, że otrzyma jakieś stanowisko w administracji nie podlegającej szefowi pilotów.

Był przekonany, że przyjmą go natychmiast, z otwartymi ramionami, z wdzięcznością, że chce oddać swe długoletnie doświadczenie na usługi Linii Lotniczych. Ale gdy upłynęło kilka tygodni, a odpowiedź nie nadchodziła, zaczęły go ogarniać wątpliwości i złe przeczucia. Podejrzał, że Janczar intryguje przeciw niemu lub może nawet już utracił jego kandydaturę. Napęłniało go to obawą o przyszłość, którą widział w czarnych kolorach, & obawy te podzielała również jego żona.

Obok tej sprawy źródłem jej wzmożonego niepokoju stało się nowe zarządzenie o przedstawianiu kart rzemieślniczych do weryfikacji. Pani Hornowska obawiała się wszelkich tego rodzaju zarządzeń, ponieważ jej znajomość fachu pozostawiała wiele do życzenia. A nuż tam wymyślą jakiś egzamin?...

Na domiar złego nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ową kartę schowała, a poszukiwania na chybił trafił wydawały się beznadziejne.

Przekopywała właśnie szuflady korzystając z nieobecności męża, aby go nie irytować widokiem niesłychanego chaosu, jaki w nich panował, przygębiona troskami i bólem wątroby po zjedzeniu zbyt obfitego obiadu, gdy u drzwi rozległo się pukanie.

Myśl o niespodzianym wcześniejszym powrocie Emila zaświtała jej w głowie. W popłochu wrzuciła całą górę różnorodnej garderoby z powrotem na opróżnioną półkę, upchała ją o tyle, żeby szafa dała się zamknąć, i pośpieszyła do przedpokoju.

Lecz to nie był Emil, tylko Maresz. Dowiedział się od Lamota o losach Hornowskich, więc przy pierwszej okazji

przyszedł odwiedzić Emila.

Pani Ludwika wśród okrzyków radości, przypominających gęganie gęsi, oznajmiła, że „straszenie” się cieszy i że „szalenie” jej przykro, bo Emil wyjechał akurat tego rana i „wróci z powrotem” dopiero jutro.

- Ale to nic nie szkodzi, niechże pan chwilę posiedzi, zaraz zrobię herbaty i... A może pan woli kawę?

Piotr, wiedząc, że się jej nie wymknie, oświadczył się za herbatą, po czym został wprowadzony do saloniku, w którym w rzadkich chwilach wolnych od pracy przebywała i sypiała pani Kulawikowa. Hornowska zostawiła go tam samego, aby przyrządzić ową herbatę, lecz co chwila ukazywała się w drzwiach, zadając jakieś pytanie, na które nie udało mu się ani razu odpowiedzieć, bo natychmiast zaczynała mówić sama - o Emilu, o Wandzie, o Zbyszku, który już chodzi do szkoły, ale po południu (potworne, prawda? żeby w Szczecinie dziecko musiało po południu...), o „cudownym” znalezieniu mieszkania, o swoich dolegliwościach, o kłopotach...

Piotr słuchał tego potoku wymowy, przerywanego wypadami do kuchni, z takim samym zainteresowaniem jak jednostajnego stukania i trzaskania warsztatu tkackiego, który zapewne znajdował się w przyległym pokoju. Potem pił herbatę, jadł domowy sernik (dzieło niepożytej mamy Kulawik) i znów słuchał od początku epopei nieszczęść, jakie dotknęły Hornowskich. Pani Ludwika rozwijała przed nim ten temat nie szczędząc komentarzy i dygresji oraz szpikując gęsto narrację przesadnymi określeniami, które go zdumiewały zupełnym brakiem logiki. Mówiła na przykład: „szalenie spokojny”, „straszenie łagodny”; mówiła, że się „potwornie” czuje i że Wanda ma „cudowny” wpływ na ojca. Te cztery określenia powtarzały się z nużącą jednostajnością,

być jako przymiotniki, bądź jako przysłówki, jak to zauważył Piotr, uderzony ich bezsensownymi zestawieniami.

Zajęty tą gramatyczno-stylistyczną analizą, przetrwał jakoś powódź słów obijających mu się o uszy i dopuszczony wreszcie do głosu zapytał, co Emil zamierza dalej robić.

- Wraca do LOT-u - odrzekła pani Hornowska. - To znaczy, strasznie by chciał dostać tam jakąś posesję.

Tu uznała za stosowne westchnąć i dodała:

. - Ale cóż z tego, proszę pana! Tam jest przecież Janczar. To on *go* wygryzł stamtąd...

- Nie sądzę - mruknął Piotr. - Zresztą to nie zależy od Janczara.

Uczepiła się tego zdania i natarła na niego z nową energią; tym razem w poszukiwaniu jakiejś protekcji dla Emila.

Piotr czuł się zupełnie bezradny wobec jej niczym nie uzasadnionej pewności, że bądź sam, bądź też przez swoje znajomości może „szalenie” łatwo tego dokonać. Nie podjął nawet próby rozwiania jej złudzeń słusznie przewidując, że pani Ludwika poczytałaby to za niekoleżeńskie wykrety. Obiecał, że zrobi, co będzie mógł, i wreszcie ją pożegnał.

Nazajutrz odlecieli o godzinie siódmej dwadzieścia pięć do Poznania i przez Łódź do Katowic, a stamtąd o trzynastej do Gdańska, gdzie im wypadł następny nocleg. Na trzeci dzień wrócili do Warszawy i tu Piotr zaraz po wylądowaniu został wezwany do szefa pilotów.

Idąc do jego biura, mimo woli robił rachunek sumienia, bo przypuszczał, że Janczar znów „coś wyszukał”. Ale żadne uchybienie nie przychodziło mu na myśl: bywał na wszystkich obowiązkowych zebraniach i wykładach, jego dziennik nawigacyjny mógł służyć za wzór sumienności, nie miał żadnych opóźnień, żadnych nieporozumień z

kierownikami portów, z Kontrolą, z pasażerami, z ładunkiem - nic!

Czego on, u diabła, może chcieć ode mnie? - zadawał sobie pytanie.

Wszedł do pokoju służbowego, który dawniej zajmował Hornowski. Przybyło tam kilka wygodnych foteli, biurko lśniło czystością, na stoliku stały jakieś kwiaty w doniczkach, a pusta i zakurzona dawniej półka wypełniła się książkami.

Janczar wskazał mu wyściełane krzesło naprzeciw biurka i poczęstował go papierosami ze srebrnej kasetki (sam nie palił), lecz Piotr odmówił. Nie przyszedł tu na koleżeńską pogawędkę; był sztywny, czujny i chłodny; oczekiwał ataku, nie mając pojęcia, z której strony ten atak nastąpi.

Ale Janczar zawiadomił go tylko, że naczelny dyrektor życzy sobie z Piotrem rozmawiać, a ponieważ aż i on ma w dyrekcji coś do załatwienia, więc pojedą tam razem. Przyjedzie po nich lada chwila samochód Modrakowskiego.

Powiedział to - wszystko w sposób pozwalający Piotrowi snuć nadal domysły co do istoty tej sprawy.

Piotr w odpowiedzi na tę taktykę udawał zupełną obojętność, ale w rzeczywistości nurtował go lekki niepokój. Opanowanym głosem odpowiedział na zdawkowe pytania Janczara o pogodę w Gdańsku i na trasie, po czym zapalił swego papierosa. Zanim go skończył, przed oknami zatrzymał się służbowy wóz dyrekcji.

- No, możemy jechać - powiedział Janczar.

W dwadzieścia minut później wchodzili do gmachu L. L. LOT na Hożej. W poczekalni przyjęła ich sekretarka.

- Dyrektor chciał najpierw rozmawiać z panem kapitanem - powiedziała do Janczara. - Jest sam; niech pan wejdzie.

Janczar zwrócił się do Piotra:

- To potrwa parę minut. Siadajcie.

W tej chwili w drzwiach swego gabinetu ukazał się Modrakowski.

- A, to wy, Janczar - podał mu rękę i dostrzegłszy Piotra przywitał się z nim także. - Zaraz was przyjmę - powiedział wpuszczając przed sobą szefa pilotów.

Nie domknął drzwi, tak że Piotr mimo woli słyszał głośniejsze wypowiedzane zdania, a wśród nich kilkakrotnie powtarzające się nazwisko Hornowskiego. Wydało mu się, że Janczar przemawia za Emilem. To go tak dalece zdziwiło i zaciekawiło, że zaczął słuchać uważniej.

Modrakowski zrobił jakąś uwagę, po której szef pilotów roześmiał się niezbyt głośno. Był to śmiech o miłym, dobrotliwym brzmieniu, bez najmniejszego akcentu szyderstwa, lecz i bez wesołości. Janczar śmiał się w ten sposób, jakby chciał przekonać dyrektora, że nie czuje do nikogo urazy.

Zaraz potem nastąpiły słowa:

- Rzeczywiście, traktuje mnie albo jak wroga, który chce się nasycić widokiem jego porażki, albo jak skruszonego winowajcę, który zabiega o jego przebaczenie. Raz tak, raz tak... No, ale to nie należy do rzeczy. Moim zdaniem stanowczo powinno się go przyjąć do pracy.

Modrakowski zapytał o coś, czego Piotr nie dosłyszał.

- Nawet kierownikiem portu - odrzekł Janczar.

- No więc dobrze - powiedział dyrektor. - Ale musi przejść trzymiesięczny okres próbny. Zgoda. A co do Maresza...

Piotr drgnął. Ale tym razem Janczar zniżył głos i jego odpowiedź nie przeniknęła przez półotwarte drzwi. Dopiero po chwili Modrakowski powiedział głośniejsze:

- Za dwa, trzy tygodnie. Dobrowolskiego także.

I znów po chwili:

- Proście go do mnie. Do widzenia.

Janczar wszedł z powrotem do poczekalni. Był wyraźnie zadowolony; zatarł ręce i spojrzał na Piotra, który z maską obojętności starannie gasił niedopałek papierosa na popielniczce.

- Dyrektor was prosi - rzekł z lekkim uśmiechem. - Ja zaraz jadę na Okęcie, ale wy... Właściwie nie warto, żebyście wracali. Jutro, zdaje się, macie okresowe badania lekarskie?

- Tak - mruknął Piotr. - A o szesnastej lecimy do Krakowa.

- No to już dziś nie wracajcie. Do widzenia.

- Do widzenia - odrzekł Piotr i wszedł do gabinetu naczelnego dyrektora zamykając drzwi za sobą.

Wyszedł stamtąd po dziesięciu minutach, nadal nie rozumiejąc, po co go właściwie wzywano. Jeśli bowiem dyrektor Modrakowski rzeczywiście nagle zapragnął dowiedzieć się, gdzie i kiedy Maresz ukończył szkołę pilotażu, jakie zajmował stanowiska w lotnictwie wojskowym, na jakich typach samolotów latał i ile godzin przebył dotąd w powietrzu - to wystarczyłoby przejrzeć jego kartę ewidencyjną spoczywającą w wydziale personalnym na tym samym piętrze. Kartę, którą mógł na każde żądanie dyrektora przynieść urzędnik wezwany przez sekretarkę.

Tymczasem Modrakowski rozmawiał z Piotrem o tych właśnie sprawach patrząc swoim zwyczajem na lśniący blat biurka. Trwał przy tym w nieruchomej pozie, która mogłaby nasunąć przypuszczenie, że go ta rozmowa nudzi i że odpowiedzi Piotra są mu całkowicie obojętne, gdyby nie tajemniczy sposób, w jaki umiał przybrać wyraz zrozumienia spoglądając od czasu do czasu wprost na mówiącego,

unosząc lekko brwi lub potakując ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

Gdy Piotr wspomniał, że dowodził skrzydłem bombowym w Anglii, dyrektor zwolna obrócił się ku niemu całym ciałem, a twarz mu spochmurniała, jakby padł na nią głęboki cień.

- Tam zginęło parę tysięcy polskich lotników - powiedział i zapadł znów w swój kamienny bezruch.

- Tak - odrzekł Piotr wyzywająco. - Nie oszczędzaliśmy się.

Coś na kształt drgnienia przebiegło po szerokich barkach Modrakowskiego. Podciągnął ciężkie powieki i rzucił spod nich krótkie, przenikliwe spojrzenie.

- Was nie oszczędzano - poprawił.

Piotr nie zamierzał się o to spierać. Tak przecież było istotnie. Dyrektor też nie podjął tego tematu. Zapytał jeszcze, czy Piotr wykorzystał już tegoroczny urlop i czy nie czuje się przepracowany, a otrzymawszy odpowiedź przeczącą, nagle wstał i krótko go pożegnał.

Było to tak niespodziane, że Piotr poczuł się dotknięty: potraktowano go nieomal jak natręta, którego trudno się pozbyć. Tylko mocny uścisk dużej, mięsistej ręki Modrakowskiego zdawał się przeczyć temu wrażeniu.

Piotr odwzajemnił go zupełnie odruchowo, za co zresztą natychmiast skarcił się w duchu. Był tak zaskoczony tym raptownym zakończeniem rozmowy, że nawet nie zapytał, o co właściwie chodzi. Zanim odzyskał swobodę myśli, był już w sekretariacie. Nie mógł przecież teraz wracać i pytać, skoro tego nie uczynił wcześniej.

Julia Nabelcówna tego dnia w południe była w domu zupełnie sama. „Prezes” wyszedł, jak zwykle, punktualnie o dziewiątej, „te panie” udały się na proszony obiad do swego

arystokratycznego opiekuna i zapowiedziały, że wrócą dopiero przed wieczorem, „sekretarz ambasady” na kilka dni „opuścił stolicę”, a Piotr - jeśli nawet był w Warszawie - nie mógł nadejść wcześniej niż około godziny czwartej.

Ten wyjątkowy zbieg okoliczności bardzo Julii dogadzał. Gdy sprowadzona przez nią taksówka odjechała uwożąc „te panie”, Julia zamknęła drzwi, spuściła zatrask, sprawdziła, czy okna we wszystkich pokojach są pozamykane, i nie kończąc sprzątanía odniosła do kuchni szczotki, śmietniczkę i ścierkę do kurzu, po czym przepłynęła przez hali i krętymi schodami weszła na górę do swego pokoiku na poddaszu.

Tu z bijącym sercem podeszła do łóżka wysoko zaścielonego pierzynami, piernatami i poduszkami (na których zresztą nigdy nie sypiała, zdejmując co wieczór tę piramidę i zadowolając się twardym siennikiem oraz starą watowaną kołdrą), uczyniła znak krzyża i niecierpliwie sięgnęła pod koronkową kapę w głowach. Drżącymi palcami namacała ciężką żelazną szkatułkę i wyciągnęła ją na światło dzienne, a potem, usiadłszy na krześle, opuściła ją sobie na kolana. Z kieszeni fartucha wyjęła pęk kluczy na długim stalowym łańcuszku, którym się opasywała, wybrała mały niklowany kluczyk i wetknęła go w zamek.

Twarz jej ciągle wyrażała niepokój i napięcie, jakkolwiek już nie tak wielkie jak poprzednio: szkatułka była na swoim miejscu, a jedyny klucz nie opuszczał Julii ani na chwilę. A jednak...

- Nie będziesz kusił Pana Boga twego... - wyszeptala i przeżegnała się znowu.

Wreszcie przekręciła klucz i podniósłszy wieko odetchnęła z ulgą, a jej blade wargi drgnęły w uśmiechu: złoto w rulonach i banknoty w paczkach spoczywały tak, jak

je pozostawiła zajrzawszy tu z samego rana.

Wzniosła oczy w górę i westchnęła raiz jeszcze dziękczynnie i pobożnie. Lecz po chwili znów ją ogarnął niepokój: rozejrzała się bacznie, jakby nie dowierzając ciszy i samotności, a zaraz potem przemknęło jej przez głowę, że ten dom jest tak odludny i bezbronny, jakby stał z dala od miasta, w środku lasu. Nie ufała swoim lokatorom i obawiała się obcych ludzi, którzy tu mogli wtargnąć w złych zamiarach podczas nieobecności tamtych.

Te uczucia dręczyły ją od paru dni; od chwili gdy zgodziła się wynająć piwnicę czcigodnemu opiekunowi, „tych pań”. Dotąd bowiem żelazna szkatułka z dolarami i złotem spoczywała bezpiecznie w owej obszernej, suchej piwnicy, zakopana w kącie pod beczką z kiszoną kapustą.

Julia długo się wahała, czy przyjąć propozycję hrabiego. Ten hojny starzec chciał tam umieścić swoje archiwum rodzinne, „stare papierzyska i trochę książek”, jak mówił, za bardzo nęcącą opłatą.

Julia zaproponowała mu dwie inne izby piwniczne, znacznie mniejsze. Ale okazało się po pierwsze, że nie starczy w nich miejsca na osiem wielkich skrzyń okutych blachą, po wtóre, że tylko w dużej piwnicy okna są zaopatrzone w solidne kraty, broniące dostępu ewentualnym niepożądanym amatorom rodzinnych papierów arystokratycznej rodziny.

Cóż było robić? Wyrzeczenie się znacznej sumy, którą hrabia ofiarowywał za przechowanie swego „archiwum”, przechodziło siły bogobojnej Julii. Poza tym zaś niemałą rolę odegrała jej tęsknota za widokiem skarbów, które posiadała. Dotąd widywała je bardzo rzadko - trzy lub cztery razy do roku, wówczas., gdy wkładała do szkatułki nowonabyte sztuki złota. Było to połączone z licznymi ostrożnościami,

obawami i niemałym trudem. Teraz mogłaby zaglądać tam częściej, może nawet codziennie! Trudno przecież oprzeć się takiej pokusie...

Zgodziła się. W nocy wykopała skarb i napatrzywszy się mu do syta ukryła go pod poduszką. Rano przywieziono skrzynie, ustawiono je w piwnicy, zaryglowano drzwi i zamknięto je na potężną kłódkę, od której klucz zabrały „te panie”, aby go wręczyć hrabiemu. Teraz... teraz należało gdzieś schować szkatułkę.

Rozglądała się po ciężkich, dębowych meblach stłoczonych w jej pokoju, lecz każda skrytka wydawała się jej niepewna i szczególnie przyciągająca uwagę złodzieja, który by się tu dostał. Wyobrażała sobie, że ten nieznanym złoczyńca musi być obdarzony niesłychaną przenikliwością. Gdyby na przykład schowała skarb w którejś szufladzie wielkiej komody, odgadłby to natychmiast. No, oczywiście! Złodzieje zawsze najpierw plądrują szuflady!

Szafka nocna i umywalka w ogóle nie mogły wchodzić w rachubę. Duża szafa na suknie i bieliznę? Trzymała tam na najniższej półce za stosem prześcieradeł tekturowe pudełko z pieniędzmi, czasem przechowywała w nim poważne sumy, zanim któryś z trzech jej pośredników - siostrzeniec Lolo, „pan prezes” lub „sekretarz ambasady” - nie dostarczył dolarów, których kupno zlecała im po wielu wahaniach i namysłach. Ale co innego jest ryzykować sumę kilkudziesięciu dolarów, a co innego taki skarb...

Nie mogła przecież także trzymać kasetki pod poduszką. Nie, do tego sposobu zraziła się zupełnie, gdy pewnego dnia przed rukiem, czy coś koło tego, przyłapała Lola Surowca na niezgrabnym poprawianiu owej piramidy poduszek na jej łóżku. Zeszła tylko na chwilę na dół, żeby otworzyć drzwi listonoszowi - to mogło trwać najwyżej

minutę - i gdy wróciła... No, na szczęście nic tam wtedy nie znalazł. Starał się upozorować tę próbę chęcią obejrzenia haftów na powłoczkach. Naiwny wybieg! Ale zdradził się; to była pożyteczna przestroga.

Więc - gdzie?

Wstała i postawiła szkatułkę na krześle. Przeszła się po pokoju. Wyjrzała na platformę schodów i nasłuchiwała przez chwilę. W domu panowała niczym nie zmacona cisza.

Westchnęła, skłopotana i zgnębiona. Zaiste, Opatrzność nie szczędziła jej trosk, którym sama jedna musiała stawiać czoło...

Sama! - uśmiechnęła się, przy czym tylko kąciki jej warg uniosły się lekko w górę. - Mogła przecież wyjść za mąż, i to nie za byle kogo!

W swej naiwności i głupocie rozkoszowała się tytułem, jaki by jej przysługiwał wśród znajomych, gdyby się zgodziła na to małżeństwo: „Pani sekretarzowa ambasady”!

Ale wahała się. Nie ufała temu (jakże przystojnemu i wytwornemu) mężczyźnie, który wprawdzie upijał się czasem do nieprzytomności, ale za to przepięknie grał na skrzypcach i mówił po francusku, a przede wszystkim, przede wszystkim był „sekretarzem ambasady”. Nie zdawała sobie dokładnie sprawy, co to takiego jest ambasada, lecz samo brzmienie tej nazwy nakazywało szacunek i podziw. O ambasadorach czytała nawet w katolickim tygodniku, którego prenumeratorem był czcigodny pan prezes, poświęcający się bezinteresownie nawracaniu aktorek. Ambasadorów przyjmował sam prezydent! Zatem musiał to być urząd bardzo wysoki i zaszczytny, jasne!

Lecz nie ufała sekretarzowi. Nie ufała nawet prezesowi, nawet „tym paniom”, nie mówiąc już o Piotrze. Może zaufałyby tylko bratu, wielebnemu księdzu

Melchiorowi Nabelcowi z Rybna, gdy chodziło o pieniądze, o radę, jak je ukryć. Tylko że ks. Melchior nie wiedział o ich istnieniu i pochodzeniu; nie on był jej spowiednikiem. Kapłan, który rozgrzeszał Julię, miał pewne zastrzeżenia co do sposobu, w jaki te pieniądze przeszły na jej własność. Gdyby Melchior dowiedział się o nich, w dodatku nie pod tajemnicą spowiedzi, mógłby zażądać natychmiastowego przekazania ich na jakieś cele kościelne i wówczas Julia musiałaby się wyrzec doczesnej radości z ich posiadania.

Ten skarb, zabezpieczając jej byt ziemski, miał jej zarazem otworzyć niechybną drogę do zbawienia: zamierzała zapisać go na budowę kościoła i na msze za swoją duszę. Dlatego drżała o jego bezpieczeństwo; dlatego nie zwierzyła się nikomu z jego posiadania. Dlatego sama musiała znaleźć pewną kryjówkę dla ciężkiej stalowej kasetki.

Raz jeszcze spojrzała po meblach i po ścianach. Duży kilim o cukierkowych barwach, zawieszony za umywalką, przyciągał jej wzrok, ale odwróciła głowę z niechęcią. Za tym kilimem kryły się małe zaledwie pół metra szerokie i metr wysokie drzwiczki w drewnianej ścianie oklejonej tapetą. Nie lubiła o tym myśleć I od bardzo dawna tam nie zaglądała. Drzwiczki bowiem prowadziły do ciasnego pomieszczenia, które niegdyś zajmowało dwoje ludzi żyjących pod jej opieką. Dwoje starych ludzi, zdanych na jej łaskę, opłaconą nie tylko domem, który po nich odziedziczyła, ale także skarbem, który zwolna od nich wyludzała w zamian za pożywienie i zachowanie tajemnicy.

Nie zawiodła ich, nie zdradziła - przynajmniej tak długo, jak długo mieli czym płacić. Potem... Nie, nie lubiła o tym myśleć, choć to byli tylko Żydzi, tacy sami jak ci, którzy ukrzyżowali Pana Jezusa, i choć otrzymała rozgrzeszenie odbywszy nakazaną pokutę.

Ale żelazna szkatułka ze złotem i banknotami niegdyś właśnie tam się znajdowała. O tych drzwiczkach, o istnieniu tej komórki za jej pokojem nie wiedział nikt poza urzędnikami gestapo, których - na szczęście - już nie było. Może tylko „sekretarz ambasady” domyślał się, że tych dwoje nieszczęśników spędziło ostatnie chwile życia gdzieś na strychu, a Lolo Surowiec musiał wiedzieć o istnieniu większej sumy pieniędzy w domu ciotki, ponieważ za jego pośrednictwem sprzedawała „odziedziczoną” biżuterię i on czasem kupował dla niej dolary. Ale żaden z nich - ani ewentualny przyszły jej mąż, ani siostrzeniec - nie wiedzieli, gdzie mianowicie znajduje się owa kryjówka i jak się można do niej dostać. Tym bardziej nie mógłby się tego domyślić ktoś zupełnie obcy. Tak, tam pieniądze byłyby dla niej łatwo dostępne, a jednocześnie zupełnie bezpieczne...

Zdecydowała się. Z niemałym wysiłkiem odsunęła nieco umywalkę i wśliznęła się poza kilim. Przykucnęła i otworzyła drzwiczki z zasuwki, potem wróciła po kasetkę i wraz z nią przecisnęła się do komórki.

Piotr opuściwszy gmach dyrekcji szedł wolno do domu. Dzień był słoneczny, ale przykry północny wiatr szalał po ulicach wznosząc tumany kurzu i pyłu wapiennego z ruin i gruzów, które uprzętało i wywożono ciężarowymi samochodami. Na rogu Poznańskiej i Hożej utworzył się zator spowodowany upadkiem konia. Z obu stron stłoczone samochody oczekiwały na przejazd. Kierowcy niecierpliwie naciskali klaksony. Taksówka zbliżająca się od ulicy Emilii Plater stanęła obok Piotra; jej kierowca wyjrzał przez boczne okno, cofnął wóz i ostrożnie zawrócił, aby przedostać się inną drogą. W tej chwili Piotr dostrzegł wewnątrz wozu swoje sąsiadki - „te panie”, jak o nich zawsze mówiła Julia. Złożył im niski ukłon, na co młodsza odpowiedziała nikłym

uśmiechem, a starsza lekkim skinieniem głowy. Trochę go to zdziwiło, że je tu spotkał; bardzo rzadko wydalają się z domu. Ale prawie natychmiast zapomniał o tym przelotnym spotkaniu, zajęty innymi myślami.

Znalazłszy się na Filtrowej, w pobliżu bocznej uliczki, na której mieszkał, zobaczył przed sobą Karola Surowca idącego w tę samą stronę. Pomyślał, że Lolo idzie do ciotki, i zwolnił kroku, aby uniknąć spotkania z nim przy drzwiach. Lecz gdy skręcił ku domowi, natknął się na niego zaraz za rogiem, jakby Surowiec umyślnie tam przystanął.

- Dzień dobry - mruknął w odpowiedzi na jego powitanie i chciał go minąć, ale Lolo przyłączył się do niego i szedł obok.

- Idziesz do domu? - [spytał.

- Tak - odrzekł Piotr patrząc wprost przed siebie.

- Ja też tam idę, do kochanej cioci. Paskudny wiatr, co?

- Aha.

Na tym rozmowa się urwała. Przeszli na drugą stronę, Piotr uchylił furtkę, wszedł po betonowych stopniach, otworzył drzwi własnym kluczem. Lolo wsunął się za nim do hallu.

- Dziękuję - powiedział.:- Ciotka jest pewnie na górze u siebie.

- Możliwe - bąknął Piotr i z kolei otworzył z klucza swój pokój.

- Do widzenia - usłyszał za sobą, ale już nie odpowiedział. Podszedł do biurka, na którym Julia składała jego pocztę, wziął plik gazet, usiadł w fotelu i zaczął je przeglądać.

Tymczasem Lolo minął hali, poklepał gipsową Wenus skromnie okrytą zakurzoną prześcieradłem i zaczął

wchodzić po krętych schodach. Zachowywał się cicho, stapał ostrożnie i nawet starał się oddychać bezgłośnie, aby zaskoczyć Julię swym niespodzianym wtargnięciem. Wyobrażał sobie, że ją nastraszy, co go bardzo bawiło.

Zatrzymał się u szczytu klatki schodowej. Drzwi do pokoju były nie domknięte. Otworzył je nieco szerzej i zajrzał do środka. Nie było tam nikogo. Sam poczuł isię tym zaskoczony. Gdzież w takim razie jest ciotka Julia?

Wtem wzrok jego spoczął na odsuniętej umywalce i na kilimie poza nią. Ten kilim zdawał się lekko falować, jakby pod wpływem przeciągu, a niżej, pod jego dolną krawędzią, w ścianie czerniał prostokątny otwór...

Myśli w głowie Karola Surowca stanęły nagle dęba i zderzyły się z sobą. Wynikiem tego starcia był gwałtowny błysk, jak od spięcia przewodów elektrycznych, a jego następstwem spieszny, lecz cichy, niemal instynktowny odwrót.

Lolo zbiegł z powrotem prawie na sam dół i zatrzymał się. Był olśniony, oślepiiony, zdumiony swoim odkryciem. W uszach miał szum jak od prochu płonącego w fajerwerkowej rakiecie, a przed oczyma tryskały mu snopy iskier. To, nad czym zastanawiał się od kilku lat, czego szukał tak długo, otworzyło się nagle przed nim po prostu i łatwo, jak pa zaklęcie dobrej wróżki. Jakże mógł nie domyślić się tego od razu?!

Przysiadł na stopniu i otarł czoło zroszone potem. Musiał teraz zachować spokój i zimną krew. Musiał opanować drzenie rąk i przyśpieszone bicie serca, aby się nie zdradzić, że już wie.

Po chwili usłyszał szmer przesuwanej umywalki. Odetchnął głęboko, przeczekał jeszcze kilka sekund, chrząknął, zaczął gwizdać jakąś melodię i znów wchodzić

wolno na górę, czyniąc tym razem tyle hałasu, ile się tylko dało.

Skutek tych akustycznych zabiegów nie dał na siebie długo czekać. Sztywna postać Julii ukazała się w drzwiach, a potem jej pergaminowa twarz o okrągłych, ptasich oczach nachyliła się nad czeluścią kręconych schodów.

- Dzień dobry, cioteczko! - zawołał Lolo podnosząc głowę. Julia, nie mogąc złapać tchu, mrugała bezrzęsymi powiekami.

- To ty! - westchnęła wreszcie, nieco uspokojona. - Jak się tu dostałeś?

Lolo udał zdziwienie.

- Normalnie, pieszo przez Filtrową - odrzekł. - Ach, ciocia pewnie ma na myśli drzwi wejściowe? Spotkałem Maresza. Weszliśmy razem. Cioteczka ciągle drży przed włamywaczami? - dodał wesoło. - Nie, nie włamywaliśmy się: Maresz miał klucz.

- Czekaj! - stęknęła. - Zejdę z tobą do kuchni.

- Jak ciocia sobie życzy - odrzekł obrażonym tonem. - Tylko nie wiem, czy takie sprawy nadają się do omawiania w kuchni.

To ją powstrzymało. Zniżyła głos:

- Jakie sprawy?

- No, pieniądze. Mam coś dla cioci.

Julia zawahała się. Może istotnie byłoby lepiej rozmówić się z nim tutaj? W jej pokoju nic już nie mogło zdradzić wejścia do zamaskowanej komórki. Zdążyła nawet zatrzeć sukiennymi szmatami ledwie widoczne rysy na podłodze, zanim usłyszała, że ktoś nadchodzi.

Te niespodziewane kroki w opustoszałym domu bardzo ją przestraszyły. Nie spodziewała się powrotu Maresza o tej porze, a tym bardziej przyjscia Surowca. No,

ale Opatrzność Boska czuwała nad nią widocznie: gdyby Maresz wrócił jeszcze o parę minut wcześniej...

Ochłonawszy ze strachu i po przebytych wzruszeniach, uznała wreszcie słuszność uwagi siostrzeńca.

- Dobrze, chodź - powiedziała cofając się do pokoju.

Lolo wszedł i rozejrzał się swobodnie, wiedząc, że jest pilnie śledzony. Usiadł przy oknie, po czym wyjawiał, co go tu sprowadza: gwałtowny spadek cen złota na czarnej giełdzie przy równoczesnej zwyżce banknotów dolarowych. Tłumaczył cierpliwie, w sposób jak najprzystępniejszy, ile można by zarobić wymieniając pięć lub sześć tysięcy dolarów na monety złote.

Julia słuchała chciwie, ale była ostrożna. Oświadczyła, że w ogóle nie posiada takiej sumy; jest przecież tylko biedną kobietą, a pięć tysięcy to majątek! Mogłaby ostatecznie zaryzykować paręset dolarów, dwieście lub trzysta... Naturalnie nie w tej chwili. Może jutro? I to tylko w takim wypadku, gdyby Lolo najpierw wręczył jej złoto.

Idiotka - pomyślał Surowiec. - Jutro - powiedział głośno - ceny mogą się zmienić. To jest chwilowa koniunktura. I - trzysta dolarów? To nie interes! Możemy zarobić - i ciocia, i ja - w ciągu dwóch godzin większą sumę bez żadnego ryzyka. Ale muszę mieć te pieniądze, powiedzmy, pięć tysięcy, zaraz! Za dwie godziny przyniosę cioci złoto.

Dwie godziny... Nie, tego by nie wytrzymała nerwowo. Ale skądże! Dać temu chłopcu do ręki pięć tysięcy?! Mogłaby go więcej nie zobaczyć; ani jego, ani swoich pieniędzy.

Powiedziała, że musi się nad tym zastanowić. W każdym razie dziś nie będzie miała takiej sumy. Niech Lolo, przyjdzie jutro i niech przyniesie złoto. - Wtedy - zobaczymy.

Surowiec zrezygnował z tej transakcji. Baba była chytra i uparta. Nie da się nabrać w taki naiwny sposób. Zresztą teraz przestało mu na tym zależeć. Ale potrzebował na gwałt pieniędzy. Nie tak wiele i nie koniecznie w obcej walucie, byle zaraz. Poprosił o pożyczkę - na tydzień.

Julia nie lubiła pożyczać. Znaczyło to bądź co bądź rozstawać się z pieniędzmi na jakiś czas. Nie była tego dnia usposobiona przychylnie dla siostrzeńca; nastraszył ją i omal nie odkrył jej tajemnicy. Powiedziała, że nie może mu nic pożyczyć; nie ma w domu gotówki. Zacięła wąskie wargi i przymrużyła powieki, jakby w ten sposób szczelniej zamykając dostęp jego żądaniom.

Lecz w tej sprawie Lolo nie myślał dać za wygraną. Uciekł się najpierw do przypomnienia, że to, co „kochana ciocia” posiada, ten dom i „pewne inne zasoby”, nigdy nie wpadłyby w jej ręce, gdyby nie ojciec Karola. To przecież on namówił Julię na objęcie stanowiska gospodyni u tej zamożnej rodziny żydowskiej. A ile trzeba było perswazji, aby się wreszcie zgodziła! Jeśli zaś chodzi o usługi, jakie sam Karol jej oddał, to czyżby ich nie pamiętała? Czy potrafiłaby sama sprzedać klejnoty o tak dużej wartości i o tak... tak niepewnym pochodzeniu? Albo czy może znalazłaby kogoś innego, kto by jej to załatwił? A wreszcie - te sprawy walutowe... Gdyby się o nich dowiedziały władze...

- Dość - przerwała mu nagle. Nie chcę tego słuchać. Napisz kwit na tę pożyczkę. Bóg widzi, że mi prawie nic nie zostanie do pierwszego.

- Pierwszy jest pojutrze - wtrącił Lolo. - Ma ciocia jakąś kartkę na ten kwit?

- Idź do kuchni, tam na kredensie powinien być zeszyt. Ja zaraz przyjdę.

Uśmiechnął się ironicznie.

- Nie można powiedzieć, żeby ciocia miała do rrinie zaufanie - powiedział wychodząc.

- Nie spodziewaj się tego - odrzekła Julia. - Poczekam, aż zejdziesz na dół.

Rozdział XIX

Piotr leżał na wznak, wyciągnięty na kanapce obitej białą ceratą, i zgodnie z poleceniem Hanki „oddychał swobodnie”, podczas gdy zakładała mu gumowe zaciski kontaktów na obu przedramionach i lewej nodze.

- A te mokre szmatki, po co?

- Te „mokre szmatki” to jest gaza zmoczona w roztworze soli fizjologicznej. Owija się nią płytki odprowadzenia prostego, żeby ułatwić przepływ prądu.

- Ojej, jaka ona mądra! - westchnął.

- Bba! - potrząsnęła głową. - Teraz założymy jeszcze elektrodę w okolicy serca.

- Tylko, bardzo cię proszę, ostrożnie z moim sercem. Uh! Jakie to zimne! - wstrząsnął się pod dotknięciem metalowej płytki. - Zamienisz je w bryłę lodu.

- Nie ma obawy, o ile mi wiadomo.

- Nie przechwalaj się: nic ci o tym nie wiadomo. Chyba że ten elektrokardiogram...

- Naturalnie. Teraz już riic się przede mną nie ukryje - roześmiała się.

- Ładna historia - westchnął. - Do takich badań powinni tu przydzielać starych, brodatych lekarzy, nie młode panny. Ty naprawdę chcesz być specjalistką chorób sercowych?

- I układu krwionośnego. W dodatku - lotniczym lekarzem-specjalistą. A teraz proszę leżeć spokojnie, nie robić uwag i nie zadawać pytań; włączam prąd.

Piotr usłyszał cichy trzask przełącznika.

- Nic nie czuję - oświadczył.
- To bardzo dobrze. Cicho bądź. Zaraz cię uwolnię.
- Ile ty tego dziennie odrabiasz? - spytał Piotr.
- Jak czasem. Dziś miałam już dwa serca. Twoje -
trzecie, a jeszcze ze trzy są do zbadania.

- Bagatela!

Dźwignął się z kanapki i narzucił kurtkę na ramiona.

- Idę dalej. Pięknie dziękuję. Aha, Janek tu już był?

- Nie. Nie był jeszcze nikt z twojej załogi. Bo co?

- No, nic ważnego. Pewnie się tu gdzieś na nich natknę. Ale - na wszelki wypadek - powiedz im, żeby się przygotowali na cztery noclegi poza Warszawą. Pokręcili coś tam w rozkładzie lotów i na nas się to skrupi. Do widzenia, znawczyni serc lotniczych!

Kraków, Łódź, Wrocław i znów Łódź, Poznań, Katowice i Bydgoszcz, znowu Poznań i znów Gdańsk... Załoga Maresza przeleciała szesnaście tysięcy kilometrów na krajowych odcinkach niebieskich dróg LOT-u, zanim - w połowie sierpnia - wypadł jej powtórny nocleg w Szczecinie.

Przybyli tam o siedemnastej piętnaście, zgodnie z rozkładem, i kołując przez lotnisko, już z daleka zobaczyli Hornowskiego, który ich oczekiwał przed budynkiem portowym.

Piotr wysiadł z maszyny i serdecznie uściśnął mu rękę.

- No, cieszę się, że cię tu widzę w pełnym uniformie - powiedział. - Od kiedy pracujesz?

- Od dwóch tygodni - odrzekł Emil. - Przyjęli mnie w parę dni *po* tym, jak byłeś u nas. Pomimo wszystkich intryg tego draba, Janczara.

Piotr spojrział na niego zdziwiony.

- Janczara? Mylisz się. Sam słyszałem, jak Janczar rozmawiał o tobie z Modrakowskim i...

- Daj spokój - przerwał mu Hornowski. - Już ja go znam. Teraz może nawet będzie tolerował moją pracę, bo nie latam. Ale zobaczysz: on was, starszych pilotów, też wygryzie po kolei. W najlepszym razie pozwoli wam wegetować tak jak mnie - na administracyjnych posadkach.

Piotr nie próbował temu przeczyć. Myślał o Emilu jak o maruderze, który przez cały ten czas - przez te cztery miesiące - tęsknił *za* utraconym miejscem w szeregach. Teraz powrócił, lecz jego miejsce było już zajęte. Nic dziwnego, że gorycz przesłaniała mu jasny, krytyczny pogląd na tę sprawę.

Lecąc tego dnia nad jeziorem Medwie Widział, jak młode łabędzie wśród bryzgów wody roztrącanej skrzydłami wzbiły się w powietrze. Umiały już latać! Wkrótce ich tu nie będzie...

Ten widok nasunął mu myśl, że jeśli sam miałby porzucić Polskę, musiałby to uczynić teraz, zanim będzie za późno - póki jeszcze ma jakieś szansę, póki jest kapitanem załogi.

Mary czekała na niego, on zaś miał coraz więcej skrupułów, coraz bardziej oddalał się od tej decyzji, coraz wyraźniej czuł, że nie może się na nią zdobyć.

Pod koniec sierpnia okazało się, że załoga Piotra Maresza zdobyła po raz drugi pierwsze miejsce we współzawodnictwie pracy osiągając stuprocentową regularność i punktualność oraz przelatując największą ilość kilometrów na trasie.

Pio' tr z udaną obojętnością wysłuchał gratulacji i pochwał szefa pilotów, ale nie mógł się oprzeć uczuciu zadowolenia, ponieważ tym razem niewątpliwie osobiście przyczynił się do tego zwycięstwa. Załoga była z niego dumna, co go wzruszało i trochę niecierpliwiło'. Starał się bagatelizować swój sukces: nie taka to znów wielka sztuka.

Lecz gdy spo'tkał go nazajutrz, Henryk Dobrowolski i bez słowa, patrząc prosto w oczy, uścisnął mu rękę, Piotr roześmiał się głośno.

- Traktujesz mnie jak syna marnotrawnego, który się nawrócił na drogę cnoty - powiedział.

- Prawie - odrzekł Dobrowolski. - Gdybyś tego zażądał, zapuściłbym sobie nawet patriarchalną brodę.

- Nie rób tego: byłaby rzadka i siwa. Ale nie będę przed tobą ukrywał; jakoś lepiej mi się teraz pracuje. No, co tam! Chodź na kawę do Kazi.

Poszli do bufetu, gdzie panna Kazia natychmiast zajęła się zaspokojeniem ich życzeń pomimo wczesnej porannej pory. Ale Dobrowolski nie chciał kawy; poprosił o herbatę.

- Cóż to znowu za zwyczaj? - zdziwił się Piotr. - Nie pijasz kawy?!

Henryk uśmiechnął się łagodnie.

- Mam dziś dodatkowe badania lotniczo-lekarskie - wyznał. - Od ich wyniku będzie zależało bardzo wiele. Może mi pozwolą latać.

- Co ty mówisz! - ucieszył się Piotr. - Aha, czekaj no! Tam jest taka specjalistka od elektrokardiogramów, Flisakówna. Siostra twojego pomocnika przy link-trainerze. Pozdrów ją ode mnie i niech się dziewczyna stara, żeby ten twój kardiogram wypadł jak dzwon, bo inaczej będzie miała ze mną do czynienia. Możesz jej to powiedzieć.

- Dobrze - zgodził się Dobrowolski. - Pewnie się ucieszysz, że o niej pamiętasz.

Uśmiechnął się niewinnie, na swój życzliwy sposób. Jego czerwona, starannie wygolona twarz promieniała dobrocią, czyniąc wrażenie, że gotów jest cierpliwie słuchać zwierzeń, pomagać, dodawać otuchy, współczuć z każdym, kto mu zaufa. Piotr wiedział, że ta dobroduszn

powierzchnowość kryje człowieka prawego, wyrozumiałego, o nieustraszonej, spokojnej odwadze, niepożytej wytrwałości i pracowitości. Był zdania, że tę ostatnią cechę charakteru Dobrowolskiego wyzyskiwano już trochę zanadto.

- Orzą tu w ciebie jak w roboczego konia - powiedział.

- Kiedy ty będziesz miał czas latać? Podobno zostałeś ostatnio przewodniczącym naszego Komitetu Obrońców Pokoju na Okęciu?

- To nie taka ciężka praca - odrzekł Dobrowolski. -

Aha - przypomniał sobie. - Anvill znów do m'nie pisał.

- No i co? - zainteresował się Piotr.

- Właśnie że nie wiem. Coś nim musiało potężnie wstrząsnąć. Coś takiego, rozumiesz, co może zmienić do gruntu pogląd na świat, całą praktyczną filozofię życiową; co może obudzić jakąś nową ideę.

Piotr uśmiechnął się sceptycznie.

- Anvill i jakieś idee? Może w dodatku pokojowe? Nie wyobrażam sobie, żeby ten człowiek potrafił żyć w towarzystwie idei.

- Właśnie - podkreślił Henryk. - Wydaje mi się, że mu bardzo trudno żyć teraz. Ten jego list to, jak sądzę, jedyna lub może raczej pierwsza w ciągu całego jego życia oznaka braku równowagi.

- Cóż on takiego napisał? - spytał Piotr.

- Napisał dużo i bardzo chaotycznie. Między innymi na przykład, że dotąd był przekonany, iż „kolorowi” nie mają żadnych zapatrywań, żadnych zasad, żadnej subtelności; że kierują się wyłącznie najprostszymi instynktami. Nie pisze, uważasz, że teraz myśli inaczej, ale w innym miejscu swego listu zachwyca się postawą mężczyzn i kobiet w jakiejś koreańskiej wiosce. Postawą ludzi, których udało mu się uratować przed egzekucją za ich patriotyzm. Zachwyca się -

rozumiesz? Dosłownie! No, a przecież dawniej... Takie uczucia były mu całkowicie obce, choćby dlatego, że zachwyty jest' poniekąd przyznaniem się do niższości, poza tym zaś jest uczuciem zbyt... jakby to określić z jego punktu widzenia... zbyt pospolitym.

- No - mruknął Piotr. - Nie powiem, żeby tu zachwyty był bardzo na miejscu. Każdego uczciwego człowieka przede wszystkim musiałby oburzyć sam zamiar takiego masowego mordu. A on się zachwyca postawą niedoszłych ofiar!

- To prawda - zgodził się Dobrowolski. - Ale nie wiadomo, czy Anvilla ów zamiar jakiegoś tam pomniejszego ludobójcy nie oburzył. Fakt, że o tym nie napisał, wcale tego nie dowodzi. Ale to jeszcze nic. Anvill, Tom Anvill, najświetniejszy dowódca najlepszej jednostki bombowej lotnictwa USA lituje się nad głodującą ludnością i cytuje Boyd Orra [b. dyr. Food and Agriculture Organisation przy ONZ]. Píše, że jeśli istotnie dziesięć procent wydatków, jakie świat ponosi na produkcję coraz potężniejszych bomb, wystarczyłoby na wyżywienie ilości ludzi trzykrotnie większej od liczby wszystkich mieszkańców ziemi, to zjawisko nie zaspokojonego głodu jest hańbą ludzkości.

- To rzeczywiście, jak na Anvilla, rewolucyjne - powiedział Piotr. - Ale ja tam jestem przekonany, że jak chłopak wróci do domu, to mu te wzruszenia miną. Weźmie się do interesów i będzie się spokojnie przyglądał, jak w Ameryce palą pszenicą w parowozach, topią w morzu worki z kawą i fabrykują bomby.

- A ja nie jestem tego taki bardzo pewny - odrzekł Dobrowolski.

- Masz do niego słabość.

- Może.

Głośnik w poczekalni stęknął i przemówił:

- Samolot z Bydgoszczy wylądował według rozkładu o godzinie ósmej trzydzieści i za chwilę wkołuje na podjazd. Powtarzam: samolot z Bydgoszczy...

- No, to ja się zabiorę autobusem z pasażerami - powiedział Dobrowolski.

- A ja pójdę się kształcić - westchnął Piotr. - Janczar ma nas dziś pouczać o... zaraz - aha: o „rewolucji przemysłowej w Polsce”.

- Tak? - bąknął Henryk. - Szkoda, że tego nie usłyszę.

- Nie wiem, czy warto żałować - odrzekł Piotr.

Janczar mówił o nieśmiałych próbach uprzemysłowienia Polski w przeszłości, poczynając od Lubeckiego na początku wieku dziewiętnastego, i o późniejszej eksploatacji polskich bogactw naturalnych przez obcych kapitalistów, aż do obecnych wielkich poczynań narodowych, które nazwał „rewolucją przemysłową”. Mówił dobrze, z pasją i w sposób interesujący, a nawet niekiedy porywający. Opierał się nie tylko na danych historycznych i statystycznych, ale również na własnych wspomnieniach i przeżyciach.

- Dziś nie każdy jeszcze zdaje sobie sprawę z całego ogromu tego, co się dokoła nas odbywa - powiedział na zakończenie. - Aby to pojąć, aby to sobie uświadomić, trzeba spojrzeć na chwilę obecną z perspektywy naszej historii politycznej i gospodarczej, co wcale nie jest łatwe. Ale spróbujcie tego dokonać: spróbujcie wyjść myślą poza sprawy dnia dzisiejszego, poza obecne trudności, braki i błędy, których jeszcze nie można się ustrzec; spróbujcie objąć najszersze horyzonty przyszłości w naszym kraju. Kto się na to zdobędzie, ten zrozumie, że na dzisiejszym trudnym etapie dziejów podniesienie Polski na najwyższy poziom gospodarczy jest sprawą, w której powinna się wylądować

cała nasza pokojowa, uczciwa ambicja narodowa.

To było dobrze powiedziane - pomyślał Piotr. - Ten człowiek umie przemawiać nie tylko do umysłów, ale i do uczuć.

Spotkał jego spojrzenie i odruchowo skinął głową, a Janczar uśmiechnął się dostrzegłszy widocznie wyraz uznania we wzroku i geście Piotra.

Przechodząc obok, zatrzymał się i znów spojrzał mu w oczy.

- Przekonałem was? - spytał.

- Tak - odrzekł Piotr. - A może raczej sformułowaliście bardzo trafnie to, o czym nie myślałem dotąd tak jasno. Mówiliście dobrze. Podobało mi się.

- Dobrowolski dał mi prawie cały materiał statystyczny - powiedział Janczar. - To nieoceniony człowiek i bardzo dobry kolega.

Piotr się roześmiał.

- Żałował, że nie będzie na waszym odczycie; pojechał do „Cebuli”. Ale nie przyznał się, że wam w czymkolwiek pomógł. Czy on będzie latał?

Janczar przesunął dłonią po kędzierzawej czuprynie.

- Dałbym za to bardzo wiele, możecie mi wierzyć! - odrzekł porywczo. - Chodźcie, zatelefonujemy do CBLL. Mieli mu zbadać tylko serce i nerwy; może mają już wynik.

Ujął Piotra pod ramię i pociągnął z sobą.

Przeszli szybko przez korytarz i minęli klatkę schodową. Z poczekalni doszedł ich lekko zniekształcony przez mikrofon głos kierownika ruchu pasażerskiego:

- Samolot ze Szczecina przez Poznań wylądował według rozkładu o godzinie dziesiątej piętnaście i za chwilę...

Janczar otworzył drzwi swego gabinetu i wpuściwszy Piotra wszedł za nim.

- Siadajcie.

Ujął słuchawkę telefonu, ale nim odezwał się sygnał, ktoś zapukał.

- Proszę - powiedział głośno.

Był to jeden z młodych pilotów. Wybierał się na urlop nad morze i chciał polecieć do Gdańska o piętnastej czterdzieści pięć z Ostkiewiczem, zamiast jego drugiego pilota.

- No, a z kim Ostkiewicz wróci? - spytał Janczar.

- Sam - odrzekł tamten. - Zgodził się już i tylko...

- Nie, kolego - przerwał mu szef pilotów. Na to ja się nie mogę zgodzić.

- Ale kiedy Ostkiewicz...

- Ostkiewicz przysłał was do mnie? Tak? No, więc ja się na to nie mogę zgodzić. Znacie przecież przepisy? A przepisy nie są po to, żeby je omijać, tylko po to, żeby się ich trzymać. Przysługuje wam bilet niżkowy na przelot...

- Ale wszystkie bilety na dziś są sprzedane.

- Na to już nic nie poradzę. Jedźcie pociągiem albo kupcie bilet na jutro.

Pilot przez chwilę spoglądał spode łba na Jariczara i jeszcze nie odchodził.

On ma anielską cierpliwość - pomyślał Piotr. - Hornowski alboby się od razu zgodził, albo odprawiłby chłopca, żeby mu nie suszył głowy.

- To może bym mógł polecieć w kabinie załogi? - odezwał się uparty petent.

Janczar popatrzył na niego przenikliwie.

- Nie rozumiemy się, kolego - powiedział nie podnosząc głosu. - Ja was nie rozumiem, wy mnie. W kabinie załogi nie możecie lecieć, bo maszyna, jak sami mówicie, ma pełne obciążenie. Prawdopodobnie uniosłaby was mimo to -

uśmiechnął się lekko. - Prawdopodobnie w czasie tego przelotu nie zaszłoby nic nadzwyczajnego. Ale gdyby wydarzył się jakikolwiek wypadek, to - jak myślicie - kto poniósłby odpowiedzialność za przeciążenie samolotu? Co powiedziałaaby dyrekcja, co pomyśleliby pasażerowie, publiczność, wszyscy ci, którzy korzystają z komunikacji lotniczej, wszyscy ci, którzy mają zaufanie do LOT-u? Powiedzieliby, proszę was, żeśmy tego ich zaufania nadużyli. I co gorsza - mieliby słuszną, bo optymalne warunki bezpieczeństwa, zagwarantowane przepisami, nie zostałyby przez nas zachowane. A teraz powiedzcie, ale tak szczerze, z ręką na sercu: zaryzykowałibyście na cudzy rachunek? Zgodzilibyście się na moim miejscu na dodatkowe obciążenie maszyny albo na jej przelot powrotny bez drugiego pilota?

Młody człowiek westchnął i podniósł wzrok wbity w podłogę.

- Przepadnie wam dzień urlopu? - domyślił się Janczar. - Na to prędzej znajdzie się jakaś rada. Powiedzcie tam w wydziale załogowym, że zgadzam się, żebyście wrócili o dzień później. Z tym, że przepracujecie jeden dzień wolny po powrocie. Dobrze?

- Dobrze. Dziękuję wam bardzo - ucieszył się pilot.

- No to życzę wam przyjemnego wypoczynku nad morzem. Do zobaczenia.

- Do widzenia! Dziękuję - powtórzył chłopak i wyszedł.

- Nie jestem pewien, czyście go tak całkiem przekonali - powiedział Piotr.

Janczar uniósł brwi w górę.

- Cóż chcecie? Jest u nas dopiero od niedawna i ma dwadzieścia lat. Trudno, żeby wszyscy byli od razu takimi jak na przykład Flisak. Ale i tego wychowamy, zobaczycie.

Trzeba im tylko wytłumaczyć, pokazać, o co chodzi. Z czasem zrozumieją.

Zdjął słuchawkę i nakręcił numer, a gdy zgłosiła się centrala, poprosił o połączenie z lekarzem.

- Tu Janczar - powiedział po chwili. - Dzień dobry, doktorze. Tam był dziś u was kapitan Dobrowolski... Tak, właśnie. No i co?... Bardzo proszę. Słucham.

Piotr patrzył na jego szeroką, szczerą twarz o męskim, energicznym wyrazie.

- Mają już wynik - szepnął Janczar spojrzawszy na niego. - Tak, słucham - powiedział głośno.

Zmarszczył brwi.

- Nie jako pilot?... Aha, rozumiem - i po dłuższej chwili: - Naturalnie! Tak, możecie przesłać przez niego. W zalakowanej kopercie? No, jeżeli tak przewidują przepisy... Ja mu o tym powiem. Dziękuję. Do widzenia.

Obrócił się do Piotra wraz z krzesłem.

- Dobrowolski zaraz tu przyjedzie - rzekł. - Został uznany za zdolnego do służby w powietrzu jako nawigator. Możecie go o tym zawiadomić.

Rozdział XX

Julia z początku była wściekła; później niemal śmiertelnie przerażona. Na próżno groziła siostrzeńcowi wieczystym potępieniem i sądem ostatecznym, na próżno zaklinała go na pamięć matki, na próżno miotała klątwy na jego głowę. Oświadczył jej krótko, że nie ma zamiaru zwrócić pożyczonych od niej pieniędzy, następnie zaś stanowczo, a nawet gwałtownie domagał się jakiejś nieprawdopodobnie wysokiej sumy, i to w złocie - w złocie!!! - już nie jako pożyczki, lecz jako ceny swego milczenia.

Mówił głośno, niemal krzyczał, co napędliało ją zgrozą. Dom nie był akustyczny, ale przecież lokatorzy mogli

usłyszeć, że na górze dzieje się coś niezwykłego'. Było już po ósmej wieczór; „te panie” lada chwila mogły poprosić o herbatę; „prezes” był zajęty udzielaniem nauk moralnych jakiejś starzejącej się „aktorce”, która odwiedzała go raz w tygodniu; „sekretarz ambasady” wypoczywał w łóżku po wczorajszej migrenie i wyczerpującej grze na skrzypcach; tylko Piotr wyszedł, zapowiadając, że wróci koło jedenastej.

Julia stała w głębi pokoju, odwrócona tyłem do umywalki, instynktownie zajmując tę pozycję, jakby w obronie swego skarbu ukrytego poza nią. W jej okrągłych oczach migotał strach i zaciekły upór. Raczej dałaby się porąbać na sztuki, niżby pozwoliła bodaj dotknąć tego sprzętu osłaniającego jej tajemnicę.

Lecz Karol nie miał widocznie morderczych zamiarów, a jeśli nawet obudziły się w nim na chwilę, to przecież je porzucił, bo nagle przestał się odgrażać i ruszył ku wyjściu. Odwrócił się w progu, zmierzył ciotkę od stóp do głów szyderczym spojrzeniem i wycedziwszy przez zęby: - Stara kutwa - zbiegł w dół po schodach, jakby go kto gonił.

Julia przez dłuższą chwilę stała jeszcze w miejscu, nieruchoma, jak posąg wykuty w kamieniu. Usłyszała głośnie trzaśnięcie drzwi wejściowych w hallu, po czym już tylko głęboka cisza zadzwoniła jej w uszach.

Zwolna uspokoiła się i myśli rozproszone przerażeniem zaczęły jej się układać w skołatanej głowie. Zwilżyła językiem wargi; zwycięski uśmiech uniósł ich kąciki w górę. Lolo nic jej nie mógł zrobić, a w każdym razie nie mógł donieść władzom o jej transakcjach, bo sam brał w nich udział. Rozumiała to dobrze.

Poszedł sobie. Nie spodziewała się, że odej dzie tak prędko. Poszedł, ponieważ przekonał się, że nic nie wskóra. Tak więc nie domyślał się, nawet nie podejrzewał, gdzie

ukryła złoto.

Zebrawszy siły ruszyła ku drzwiom. Bolał ją żołądek, jak zwykle po gwałtownych wzruszeniach. Musiała zejść na dół do łazienki, i to prędko. Chciała zamknąć swój pokój na klucz, jak to zawsze przezornie czyniła, ale klucza nie było w zamku. Sięgnęła do kieszeni fartucha, wyjęła cały pęk i dokładnie przeszukała kieszeń. Nic tam więcej nie było, a przecież klucz do pokoju trzymała luzem. Usiłowała sobie przypomnieć, czy nie wyjmowała go z zamka wchodząc tu z Lolem. Chyba nie? Więc cóż się z nim stało?

Rozejrzała się po pokoju. Nie, z pewnością był w zamku po zewnętrznej stronie. Przyszło jej na myśl, że mógł wypaść, gdy Lolo wychodząc trzasnął drzwiami. Przekroczyła próg i po omacku zaczęła szukać klucza na podłodze. To się jednak na nic nie zdało. Trzeba było przynieść świecę, a poza tym... poza tym skurcze żołądka i jelit stały się naglące.

I tak nikt teraz tu nie wejdzie - pomyślała.

Zeszła na dół i minawszy hali sprawdziła, czy drzwi wejściowe są zamknięte. Potem zapukała do pokoju „tych pań” i oświadczyła, że za chwilę poda im herbatę. Wreszcie pobiegła do łazienki: nie mogła już dłużej zwlekać.

W tej chwili tonąca w półmroku gipsowa postać Wenus drgnęła. Fałdy zakurzonego prześcieradła okrywające jej bezwstydną nagość rozchyliły się i jakiś cień bezszelestnie pomknął po schodach w górę.

Kot, który dotąd drzemał spokojnie na stole bilardowym pomiędzy doniczkami pelargonii, wstał, przeciągnął się wyginając i prostując grzbiet, po czym przeniósł się na sam brzeg stołu i różowym językiem zaczął wygładzać futerko na piersi. Od czasu do czasu przerywał te zabiegi toaletowe i spoglądał w górę, ku szczytowi klatki

schodowej, powracając po chwili do swego zajęcia.

Nagle czegoś się przestraszył i dał susa na drugą stronę stołu. Stał tam ukryty za doniczkami, przyczajony, gotów do ucieczki. Cięż na schodach ukazał się znowu: ktoś skradał się ostrożnie, schodząc stopniem po stopniu, a potem szybko przebiegł przez hali. Patentowany zatrzask u drzwi wejściowych ustąpił pod naciskiem ostrożnej ręki, ciemna postać minęła próg i drzwi zamknęły się, z lekkim szczękiem.

Wówczas kot zeskoczył ze stołu, obwąchał podłogę idąc po śladach człowieka, który stąd wyszedł, wolno skinął ogonem z lewa na prawo i z prawa na lewo, po czym zdecydowanie zawrócił, siadł przed drzwiami łazienki i miauknął.

Szmer spływającej wody zwrócił jego uwagę. W pozie pełnej oczekiwania spoglądał na zamknięte drzwi i kiedy klamka się poruszyła, miauknął znowu. Julia dostrzegła go w mroku u swoich nóg, wzięła na ręce i poszła do kuchni, aby mu dać mleka.

Podczas gdy je chleptał niespiesznie, wyjęła z szuflady świecę, zapaliła ją - a od jej płomienia palnik gazowy pod czajnikiem - i popłynęła na górę szukać klucza.

Tak jak to przewidziała, leżał na podłodze tuż przy drzwiach. Wydało jej się dziwne, że nie dostrzegła go poprzednio, bo teraz już z daleka zobaczyła go pod samym progiem, ale nie zaprzętała sobie tym głowy. Podniosła klucz, zajrzała do pokoju i uspokojona przekręciła dwukrotnie spust zamka.

Zgasila świecę. Z kluczem w kieszeni zeszła znów na dół i wróciła do kuchni. Kot skończył pić mleko i domagał się, aby go wypuścić do ogrodu. Uczyniła zadość jego życzeniom, potem podała „tym paniom” herbatę i zajęła się „sekretarzem”, który czuł się znacznie lepiej i pragnął coś

zjeść.

Zanim pozmywała naczynia, była godzina dziesiąta. Do wpół do jedenastej robiła rachunki domowe, po czym wpuściła kota i raz jeszcze sprawdziwszy, że drzwi wejściowe są należycie zamknięte, poszła do siebie.

Ścieląc łóżko myślała o swym siostrzeńcu. Lolo od dawna ją szantażował, ale nigdy jeszcze nie posunął się tak daleko. Wiedziała jednak, że kiedyś - prędzej czy później - czeka ją decydująca przeprawa. Była przygotowana, że trzeba będzie poświęcić jakąś sumę, aby go się pozbyć. Nie tak wielką naturalnie, jakiej zażądał, ale dość znaczną. Obawiała się tej chwili, zwłaszcza że nie mogła przewidzieć, kiedy to nastąpi. I oto wszystko odbyło się tego wieczora. Za darmo!

Głupiec! Nie potrafił jej zmusić do ustępstw. Nie dostał ani grosza. Odszedł przekonany, że ona się go nie boi, że jego szantaż się załamał. Teraz jest bezbronny. Przestał być niebezpieczny. Teraz, gdy skarb jest tak dobrze ukryty, nie ma się już czego obawiać. Tryumf nad siostrzeńcem wydał jej się zupełny.

Puchowe poduszki spoczęły na stole, piernaty na kanapie. Poziom łóżka obniżył się o metr i Julia mogła usiąść na skraju, aby się rozebrać. Zdjęła kolejno fartuch, sztywną szarą suknię, sznurowane czarne buciki i bawełniane pończochy. Wciągnęła przez głowę długą, barchanową koszulę nocną nie wsuwając rąk w rękawy i dopiero tak okrywszy swe mało pociągające kształty przed własnymi niebacznymi spojrzeniami, które bądź co bądź mogłyby jej nasunąć jakąś myśl nieskromną, zaczęła rozpinać guziki, zatrzaski i haftki, aby pozbyć się dziennej bielizny.

Dokonawszy tym skomplikowanym sposobem zmiany toalety, zasiadła przed lusterkiem, aby zapleść rzadkie włosy w kilka prostych, cienkich warkoczków, które zwisały ze

wszystkich stron dokoła jej głowy. Gdy i ten rytuał dobiegł końca, wyciągnęła nocne pantofle i włożywszy je na bosc stopy podeszła do drzwi, przełożyła klucz do wewnątrz i przekręciła go dwa razy, a następnie stwierdziwszy, że roleta w oknie jest opuszczona, podreptała do umywalki. Odsunęła ją nieco, odchyliła kilim i odciągnęła zasuwkę ukrytych drzwiczek. Uczyniła znak krzyża, wśliznęła się do komórki, sięgnęła na półkę i... natrafiła na puste miejsce.

Zrobiło jej się gorąco. Zaczęła macać dalej - w lewo, w prawo - ale półka była pusta.

Poczwała serce w gardle. Przecisnęła się spieszenie przez ciasne wejście z powrotem do pokoju, w poszukiwaniu zapalek potrafiła lusterko, które z hałasem spadło na podłogę i rozprysnęło się w kawałki, chwyciła pudełko i zataczając się wróciła za kilim.

Lecz gdy zapalka w jej drżących palcach błysnęła płomieniem, na półce nic nie przybyło: kasetka ze złotem i banknotami znikła.

Piotr spędził wieczór w teatrze, tym razem sam, potem wstąpił do „Picadora”, gdzie spotkał paru znajomych, zjadł z nimi kolację i pieszo wracał do domu. Czuł się trochę zmęczony i senny. Sztuka okazała się nudna, napisana według szablonu, który go drażnił. Co prawda znajomi w restauracji byli miłymi ludźmi, ale ponieważ zanosilo się na dłuższą nocną zabawę, on zaś nazajutrz musiał być na Okęciu od wczesnego rana, wymówił się jakoś od udziału w tej pohulance i wyszedł przed nimi.

Gdy skrecił z Filtrowej w boczną uliczkę, dochodziła jedenasta. Wieczór był ciepły i pogodny. Księżyc w ostatniej kwadrze, ale świecąc jeszcze prawie połową swej tarczy, przesiewał srebrny odbłask przez liście kasztanów, tworząc na chodniku czarno-białą mozaikę cieni. Dom Julii

Nabielcówny, w głębi zaniedbanego ogrodu otoczonego zardzewiałą siatką i porośłego chwastami, wynurzał się spomiędzy starych drzew, zwrócony bokiem do ulicy, tak że mansardowe okno pokoju na górze można było dojrzeć nawet nie wchodząc za ogrodzenie.

Świeciło się tam jeszcze, ale nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie otwarte okno. Piotr wiedział, że Julia za nic w świecie nie położyłaby się spać przy otwartym oknie i że wietrzyło się u niej tylko w dzień. Jej zdaniem, po ciemku przez każde okno mógł zakraść się złoczyńca. W dodatku, w pokoju panował widocznie silny przeciąg, bo zapuszczona roleta raz po raz wzdymała się jak żagiel, a białe framugi połyskiwały w jej wygięciach.

Było w tym coś tajemniczego, co podziało na wyobraźnię Piotra. Urok spoczynku i ciszy, właściwy każdemu zamieszkałemu domowi w nocy, nagle się rozwiął. Otwarte okno z powiewającą roletą przywodziło na myśl jakąś pułapkę.

Piotr mimo woli przystanął i patrzył, jakby oczekiwał, że w tym oknie lada chwila ktoś się ukaże. Ale gdy nic podobnego nie zaszło, a w domu nadal panowała zupełna cisza, uśmiechnął się ironicznie, bez pośpiechu minął furtkę i wszedł po szczyrbatych schodkach na ganek. Wyjął klucz z kieszeni, wsunął go w otwór zamka, przekreślił, otworzył drzwi i stanął jak wryty. Pośrodku hallu, w mdłym świetle żarówki, wsparta jedną ręką o róg stołu bilardowego, stała kobieca postać w bieli, do złudzenia przypominająca ducha. Piotr nigdy żadnego ducha nie widział i oczywiście nie wierzył w ich istnienie. Toteż bynajmniej nie przypisywał temu zjawisku cech nadprzyrodzonych. Proces, jaki odbył się w jego umyśle, można by sformułować w następujący sposób: ponieważ ta biała mara z pewnością nie wyszła z

grobu, przeto zapewne przed chwilą wyskoczyła z łóżka. Ten trzeźwy wniosek przy bliższym zbadaniu zyskał wszelkie cechy prawdopodobieństwa: Julia miała na sobie nocną koszulę, a jej włosy zaplecione w strączki zdawały się świadczyć niezbicie, że przynajmniej zamierzała się położyć.

Patrzyła na Piotra szeroko otwartymi oczyma, jakby oniemiała na jego widok, lecz jej błędny wzrok miał w sobie całą wymowność krzyku.

- Co się stało? - spytał Piotr. - Czy tam u pani ktoś jest na górze? Widziałem otwarte okno...

Zaprzeczyła ruchem głowy, nie mogąc się zdobyć na inną odpowiedź. Siły zdawały się ją opuszczać, jakby krew uciekała jej z żył. To uczucie ogarnęło ją zaraz po stwierdzeniu, że szkatułka ze złotem zniknęła ze skrytki, i trwało dotąd.

Przeszukując komórkę Julia była na pół przytomna ze zgrozy. Wypełzła stamtąd na czworakach i wiedziona instynktem dotarła do okna, aby wołać o pomoc. Ale gdy je otworzyła, jakiś przeblysłk zdrowego rozsądku powstrzymał ją od krzyku. Wróciła raz jeszcze do skrytki, nie mogąc uwierzyć w to, co ją spotkało. Lecz skrytka była pusta.

W owej chwili przyszło jej na myśl, że nie ma nikogo, komu by się mogła zwierzyć, prosić o radę, o pomoc. A przecież musiała coś zrobić, działać, ratować! Ale jak?

W głuchej ciszy usłyszała kroki na ulicy. Ktoś szedł w stronę domu. Zatrzymał się. Bezsensowna myśl zaświtała w jej mózgu, że to wraca ten, kto ukradł jej skarb.

Odepchnęła gwałtownie krzesło, o którego poręcz się wsparła, i poczuła, że idzie. Zaczęła schodzić po schodach. Każdy krok groził jej upadkiem i kosztował ją tyle wysiłku, że wydawał się ostatni. Trzymała się kurczowo poręczy, a gdy wreszcie minęła gipsowy posąg Wenus, bała się zwolnić

chwyt dłoni i podejść do stołu. Dokonała tego jednak; oparła się o marmurowy blat i fala słabości ogarnęła ją znów jak woda.

Klucz szczęknął w zamku. Czekwała, aż drzwi się otworzą, nie mając najmniejszego pojęcia, kogo w nich ujrzy. Wmówiła w siebie, że będzie to ktoś, kto odda jej skarb.

Zobaczywszy Piotra i usłyszawszy jego pytanie zrozumiała, że on nic o tym nie wie. Rzeczywistość stanęła przed nią wyraźna i obojętna jak otaczające ją przedmioty. To, co się stało, było nieodwołalne, nie mogło się zmienić.

- Okradli mnie - powiedziała chrapliwym szeptem. - Ukradli mi wszystko! Wszystko!! - krzyknęła.

Piotr spojrział na aparat telefoniczny.

- Czy pani jest tego pewna? Zatelefonuję po milicję. A może... Co pani ukradziono?

- Wszystko, wszystko - powtarzała z rozpaczą. - Wszystkie pieniądze...

- Może jednak... Gdzie pani miała te pieniądze? - wypytywał Piotr. -: Ile ich było?

- Ach, panie Maresz! - jęknęła. - Mówię panu: wszystkie pieniądze! Dużo!

- No, dobrze - ujął ją za rękę. - Niechże się pani uspokoi. Gdzie pani te pieniądze miała i kiedy się to stało?

- Nie wiem. Nie wychodziłam z domu. Były tam... były na górze i dziś rano je widziałam, a teraz... Nie ma ich! Ukradzione!

Drzwi od pokoiów uchylały się kolejno. „Prezes” w spodniach z opuszczonymi szelkami, „te panie” w szlafrokach i „sekretarz ambasady” w jedwabnej pidżamie otoczyli Julię. Pytania, domysły i okrzyki zdumienia krzyżowały się nad jej głową, podczas gdy opowiadała chaotycznie, co robiła w ciągu dnia. Gdy wspomniała o

wizycie swego siostrzeńca, Malaine cicho gwizdnął i pokiwał głową. Julia dostrzegła to i umilkła na chwilę. Ale przypomniała sobie zaraz, że Lolo wyszedł, zanim ona zeszła na dół. Sama słyszała, jak trzasnął drzwiami.

Raz jeszcze opowiedziała mniej więcej dokładnie, jak się to odbyło. Nie zostawiła go ani na chwilę samego.

Poza nim był jeszcze listonosz, którego przyjęła w hallu, i urzędnik gazowni, z którym poszła do kuchni.

Żaden z nich nie mógł wtargnąć do jej pokoju; miała ich ciągle na oku. A zresztą pokój przez cały czas był zamknięty. Dopiero po wyjściu siostrzeńca przez krótką chwilę zostawiła drzwi na górze otwarte, bo wypadł z nich klucz i musiała pójść do kuchni po świecę, żeby go odszukać. Ale w tym czasie nikt nie wchodził i nie wychodził z domu.

W tej relacji sprawa kradzieży nabrała takiej tajemniczości, że Piotr w ogóle zwątpiłby w jej prawdziwość, gdyby nie wyraz twarzy i zachowanie się Julii, która przecież nie robiłaby fałszywego alarmu.

Chciał zatelefonować po milicję, lecz Malaine go powstrzymał.

- To jest sprawa, którą należy najpierw zbadać samemu - oświadczył z porozumiewawczym spojrzeniem. - *Cette imbecile* ¹⁷. pan rozumie? Tu chodzi o obcą walutę...

Piotr pozostawił mu inicjatywę w przeprowadzeniu śledztwa na własną rękę. Sam poszedł do swego pokoju, zadowolony, że się tego pozbył.

Nie przejął się zbyt i nie był ciekaw rozwikłania zagadki. Przypuszczał, że pieniądze tak czy owak ukradł Lolo Surowiec, i nie zamierzał się wtrącać do tej rodzinnej afery.

Na biurku znalazł swoje gazety i kartkę z życzeniami imienninowymi od Mary. Wzruszyła go jej pamięć o tej dacie, która przypadała nazajutrz, lecz zarazem doznał zawodu: od

kilku tygodni oczekiwał listu od niej. Ta kartka zawierała tylko parę słów; nie była odpowiedzią na wysłany przez niego list, który Mary musiała już dawno otrzymać. Tylko te życzenia i: „Tęsknię. Czekam. Całuję Cię gorąco” - jakby nie chciała w ogóle pisać o tamtych sprawach; jakby uważała, że ostatnie słowo w kwestii jej powrotu zostało już wyrzeczone.

Ta głupia.

Piotr zamyślił się. Sen go odleciał. Dawna rozterka zajęła jego miejsce.

Natomiast „sekretarz ambasady”, wyprawivszy także resztę lokatorów na spoczynek, odbył z Julią długą, wyczerpującą i burzliwą rozmowę, w której wyniku ostatecznie zostało postanowione, że należy zawiadomić prokuratora o tym, co zaszło, zataivszy jednak pewne fakty dotyczące pochodzenia złota i dolarów.

Rozdział XXI

Nazajutrz o godzinie czternastej dwadzieścia pięć załoga Piotra Maresza wystartowała z Warszawy przez Poznań do Szczecina i przybyła tam „zgodnie z rozkładem” o siedemnastej piętnaście.

Lecąc nad jeziorem Medwie Piotr stwierdził, że łabędzie jeszcze nie wyruszyły na południe. Za to inne przelotne ptaki ciągnęły już za bocianami, których ogromne stada spotykał w końcu sierpnia. Teraz pierwsze sznury dzikich gęsi, klucze żurawi i chmury drobnego ptactwa przelatywały nad szczecińskim lotniskiem o zachodzie słońca, a często można było je dostrzec po drodze, za dnia.

Idzie jesień - pomyślał. - To już trzecia od mego powrotu.

Był w nastroju sentymentalnym i jadąc z lotniska do miasta oddawał się wspomnieniom. Lecz gdy po zjedzeniu kolacji w towarzystwie swojej załogi znalazł się w pokoju

hotelowym, zasnął prawie natychmiast i spał do rana kamiennym snem.

Obudził się dopiero tuż przed piątą, o wschodzie słońca, tak że miał tylko dwadzieścia minut na golenie, mycie, ubranie się i zjedzenie śniadania, bo służbowy „tramwaj” odjeżdżał sprzed hotelu o piątej pięć.

Jechali do Dąbia wraz z Hornowskim, który już się tu zadowolił i nawet wydawał się dosyć zadowolony ze swego stanowiska. Odprawił ich przed przybyciem pasażerów o siódmej, a potem, podczas gdy ładowano pocztę i bagaż, stał z Piotrem na uboczu, wypytując go o znajomych i opowiadając o sobie.

Było mu tu „nienajgorzej”, ale tęsknił za Warszawą i za córką, która tam została w gorszych warunkach mieszkaniowych niż dawniej. Zwierzył się Piotrowi, że w dodatku Wandeczka właśnie teraz przeżywa kryzys uczuciowy: zerwała z pewnym eleganckim młodym człowiekiem, który „bywał” od dłuższego czasu i nawet mówiło się o małżeństwie.

Ów chłopiec bardzo mu się podobał. Ludwika też go lubiła. Był siostrzeńcem jej przyjaciółki czy też dobrej znajomej i jedynym jej spadkobiercą. A ta osoba jest podobno bardzo zamożna...

Emil nie wiedział o przyczynach zerwania. Musiało w tym być coś więcej niż zwykłe nieporozumienie pomiędzy młodymi. Przypuszcza tak, bo wie, że ten chłopak miał najuczciwsze zamiary.

- A teraz... Wiem, że jest w Szczecinie i nawet nas nie odwiedził. Zresztą leci dziś z wami - dodał. - Widziałem jego nazwisko na liście pasażerów.

Piotr słuchał tego z roztargnieniem. Dopiero gdy Emil wskazał mu swego niedoszłego zięcia wśród innych

pasażerów, którzy wsiadali do samolotu, spojrzął w ich stronę i dostrzegł Karola Surowca. Jednocześnie przypomniał sobie, że Hanka wspomniała mu o tym jego narzeczeństwie z Wandą Hornowską. Lecz tamte sprawy mniej go interesowały niż obecność Surowca w Szczecinie. Wiązał ten fakt z przedwczorajszą kradzieżą u Julii. Lolo mógł tu przyjechać pociągiem odchodzącym z Warszawy o dwudziestej drugiej trzydzięci tego samego dnia, w którym się owa kradzież zdarzyła. To było zastanawiające.

- On leci do Warszawy? - spytał.

- Nie, do Poznania - odrzekł Hornowski. - Zdaje mi się, że z jakimś swoim kolegą. Nie pamiętam, jak tamten się nazywa, ale... o, idą razem! Przystojny chłopak, prawda?

- Owszem - mruknął Piotr zajęty swymi myślami. Zauważył jednak młodzieńca towarzyszącego Karolowi. Był to człowiek zupełnie mu nie znany. Miał bladą twarz o melancholijnej brzydocie i ciemne okulary. Obaj z Surowcem weszli po schodkach do gondoli trzymając jednakowe, bardzo wypchane teczki ze świńskiej skóry. Żaden z nich nie spojrzął w jego stronę.

Przez chwilę Piotra ogarnęły wątpliwości: czy miał powiedzieć Hornowskiemu o wypadkach, jakie zaszły w domu Julii?

Zdecydował się milczeć. Nie miał żadnych podstaw do rzucania podejrzeń na tego gagatka. Ciekaw był tylko, jaką Lolo będzie miał minę, gdy go zobaczy.

Pożegnał się z Emilem i przeszedłszy przez kabinę pasażerską odwrócił się nagle u drzwi oddzielających ją od pomieszczenia załogi.

Karol Surowiec siedział obok swego melancholijnego towarzysza na pierwszym podwójnym fotelu przy lewej burcie. Ujrawszy Piotra drgnął, ale nie zmieształ się wcale.

Wnet przywołał na usta swój słodko-kwaśny uśmiech i lekko skłonił głowę.

- Dzień dobry, Piotrze. Nie przypuszczałem...

- Dzień dobry - warknął Piotr i wszedł do kabiny załogi. Przecisnął się obok Józka Cygana, siadł na swoim miejscu za sterem po lewej stronie i zajął się zapuszczaniem silników. Potem, po zwykłej obowiązkowej rozmowie z Kontrolą, ruszył na start.

Maszyna była lekka w ogonie; mieli tylko dziewięciu pasażerów. Po krótkim wybiegu wyszła w powietrze i zaczęła się wznosić. Piotr okrążył lotnisko, położył ją na kurs do Poznania, wyrównał fletnerami stateczność i pożegnawszy Kontrolę polecił Elmerowi nawiązanie łączności kluczowej ze stacją prowadzenia.

Cygan uregulował skok śmigieł i obroty, zestroił silniki, po czym usiadł na szerokim pasie zawieszonym w przejściu za fotelami pilotów.

Stery przejął Flisak, a Piotr zapaliwszy papierosa rozparł się wygodniej i patrzył w dół przed siebie na dobrze znany krajobraz.

Dzień był jasny, słoneczny. Lekka mgiełka snuła się nad ziemią, nie przesłaniając jednak widoku. Słońce stało wprost na kursie złocąc powierzchnię podłużnych jezior, między którymi poprzecznie leżała szeroka, zarośnięta po brzegach tafla Medwia.

Wtem, gdy już zaczęli ją mijać, Piotr usłyszał, że Elmer powiedział do kogoś podniesionym głosem:

- Proszę tu nie wchodzić! - i nagle umilkł.

Cygan obejrzał się, chwycił Piotra za rękaw, chciał wstać, lecz nagle usiadł, jakby go coś powstrzymało.

- O co chodzi? - spytał Piotr wychylając głowę. - Co, u diabła...

Nie skończył. Zobaczył w przejściu Lola Surowca z pistoletem w ręku. To go tak zdumiało, że przez chwilę patrzył na niego bez słowa.

- Zwariowałeś? - krzyknął wreszcie. - Czego tu chcesz?!

Lolo był blady jak płótno. Ręka mu drżała, a wraz z nią drżała lufa pistoletu skierowana w głowę Piotra.

- Zawracaj - powiedział chrapliwie. - Leć wprost na północ. Prędko!

Piotr przez sekundę się zawahał.

- Puść stery - powiedział do Flisaka.

Jednocześnie usłyszał za sobą głos Lola:

- Siedzieć na miejscach! Nie ruszać się, bo będę strzelał!

I po chwili:

- Na północ, Maresz! Dokładnie na północ. Widzę stąd busołę. Ostrzegam cię...

Piotr wolno położył maszynę w lewy skręt. Pierścień z podziałką na czarnej kuli zaczął się obracać: sto dwadzieścia stopni, sto, osiemdziesiąt, sześćdziesiąt...

- Dokąd ty chcesz lecieć? - spytał nie odwracając głowy.

- Dowiesz się, jak będziemy nad morzem - odrzekł Lolo. - Nie ruszać się!! - wrzasnął znowu.

Sytuacja wydała się Piotrowi tak nieprawdopodobna, że aż groteskowa. Jak bezsensowny sen o czymś, co tylko podczas snu czyni wrażenie grozy i nie może zdarzyć się na jawie. Lecz to była rzeczywistość.

Strzałka kursowa wskazała zero. Piotr wyrównał. Nawałnica myśli jak wichurka przemknęła mu przez głowę: Surowiec chce uciec - zapewne do Szwecji. Najbliższy ląd szwedzki znajduje się o jakieś dwieście pięćdziesiąt

kilometrów od wybrzeża polskiego, a stąd do morza będzie ze sto kilometrów.

Szwecja... Mógłby nie wrócić! Mógłby stamtąd dostać się do Anglii!

Mary... Oto sposobność!

W wyobraźni ujrzał się na jakimś lotnisku - w Malmö czy w Gothenburgu - i nagle rozpedzone myśli pierzchły; została tylko jedna:

Musiałbym tam oświadczyć, że nie wrócę, a oni - moja załoga - nie mieliby żadnych wątpliwości, że uknułem to z Surowcem.

Wzdrygnął się.

Spojrzał w bok, na Flisaka, i spotkał jego czujny wzrok.. Odwrócił głowę. Czuł, że i on, i Surowiec śledzą każdy jego ruch. W słuchawkach słyszał spieszny oddech Elmera. Wiedział, że Józek Cygan czeka tylko na sygnał, aby rzucić się na Lola.

Miałby ulec? Skapitulować przed tym bezczelnym durniem? Wobec swojej własnej załogi?!

Fala krwi uderzyła mu do głowy. Lecz pohamował gwałtowną chęć, aby chwycić Surowca za gardło. Ten chłystek miał broń i był tchórzem, a tchórz, który trzyma w ręku pistolet, jest równie niebezpieczny lub nawet groźniejszy niż człowiek obdarzony odwagą.

Piotr spróbował ostrożnie się obejrzeć, lecz tamten natychmiast to dostrzegł.

- Nie oglądaj się, Maresz! Nic ci to nie pomoże. Tam jest ktoś, kto pilnuje pasażerów - powiedział. - No i zastanów się. Masz taką okazję, jaka się nie powtórzy. Mary się ucieszy, jak cię zobaczy... Nie oglądaj się, mówię ci! - wrzasnął. - Będę strzelał. Nie mam nic do stracenia!

Piotr usłuchał. Ale osiągnął to, o co mu chodziło:

dostrzegł, że Lolo stoi w przejściu, obok przedziału radiotelegrafisty, i że drzwi do kabiny pasażerskiej są otwarte na oścież.

Nieznacznie włączył kontakt wewnętrznego przewodu telefonicznego. Surowiec nie mógł tego widzieć.

- Uważaj, Włodek - powiedział cicho. - Słyszysz mnie?

- Tak - tchnął Elmer.

- Wywołaj Kontrolę... Albo nie: nadaj kluczem wiadomość o tym, co się tu dzieje. Tylko tak, żeby ten bubek się nie spostrzegł, rozumiesz?

- Dobrze - szepnął radiotelegrafista.

- Niech dadzą znać na lotnisko w Dąbiu i niech nas obserwują. Spróbuję tam wylądować...

Zamilkł. Za nim, w kabinie pasażerskiej, rozległy się jakieś okrzyki. Cygan wykręcił głowę, chcąc tam zajrzeć, lecz Surowiec znów wrzasnął: - Nie ruszać się! - i trącił go lufą w plecy.

- Kto się teraz obejrzy albo poruszy z miejsca, dostanie kulę w łeb - powiedział głośno. - Uprzedzam po raz ostatni!

Głos łamał mu się z emocji. Był widocznie u kresu wytrzymałości nerwowej.

Ten półgłówek gotów nas naprawdę wystrzelać - pomyślał Piotr.

Spojrzał na Flisaka i zobaczył jego pobladłą twarz, ścietą dziwnym grymasem.

Flisak patrzył na niego rozszerzonymi źrenicami, w których malowała się zgroza.

Piotr nagle zrozumiał, co się z nim dzieje. Wskazał mu wzrokiem busołą. Podziałka z literą N dawno minęła strzałkę kursową i wolno obracała się nadal, wskazując już 330°. W

ten sposób nie tylko nie oddalali się od lotniska, ale nawet zbliżyli się nieco; na lewo widać było węzeł kolejowy w Dąbiu.

Flisak doznał olśnienia, oczy mu się zaiskrzyły: Piotr zataczał obszerny łuk, aby za kilka minut znaleźć się nad miejscem startu!

Lecz Surowiec zorientował się również, że nie lecą w nakazanym przez niego kierunku.

- Steruj na północ, Maresz! Na północ, mówię ci! - krzyknął histerycznie. - Na północ, ty diable! Na...

- Trzymać się, chłopcy! - zawołał Piotr.

Maszyna zatoczyła się gwałtownie w lewo i przez skrzydło zwała się niemal pionowo w dół. Jednocześnie huknął strzał, Flisak poczuł, że coś uderzyło go w ramię, Cygan chwycił obu rękami za oparcie foteli pilotów, Elmer za krawędź stołu, Surowiec zaś, który z przerażenia nacisnął spust pistoletu, wyrznął głową o sufit gondoli i przez otwarte drzwi runął w tył do kabiny pasażerskiej, upuściwszy broń. Potoczył się po podłodze aż do ogona samolotu i zderzył się tam ze swym ogłupiałym współnikiem, któremu spadły okulary.

Obaj chcieli zerwać się na nogi, lecz w tej samej chwili Piotr podniósł maszynę z bojowego uniku i potężna siła odśrodkowa przygniotła obu napastników do pokładu, a przerażonych pasażerów do siedzeń i oparc.

- Józek, uważaj na nich - powiedział Piotr prędko. - Gadaj, co robią, żebym wiedział, jak manewrować. Włodek! Halo, Włodek?

- Słucham - odezwał się Elmer.

- Wywołaj teraz Kontrolę. Będziemy lądowali.

- Rozumiem.

266

Piotr ściągnął z uszu słuchawki, żeby lepiej słyszeć, co się dzieje za nim.

- A ty... - zwrócił się do Flisaka, ale nie skończył.

- Podnoszą się! - wołał Cygan. - Nie mają broni... Nie! Ten drugi ma pistolet!

- Trzymać się! - zawołał Piotr. - Powiedźcie pasażerom, niech zapną pasy! Jasiek, idź do nich!

Skreślił wolant, pociągnął ster ku sobie, przymknął gaz. Samolot pochylił się, ziemia najpierw wolno, coraz wolniej sphywała w prawo, a potem nagle śmignęła spod niego, jakby ją wymiół jakiś wściekły podmuch, i w połowie łuku skoczyła wprost przed silniki. Ogon zawinął po niebie przed ognistą twarzą słońca i maszyna zapadła się w otchłań, na której dnie pola, drogi, tory kolejowe, domy i lśniaca wstęga Płony wykręciwszy potężnego młyńca stanęły w miejscu.

- Lecą krzyżem jeden na drugim - meldował Cygan strzygąc uszami.

Elmer powtarzał swoim nosowym, spokojnym głosem tylko trochę spieszniej niż zazwyczaj:

- Kontrola! Kontrola! Kontrola!

Przerwał, dostroił odbiornik i...

- Tak, to my. Zaraz będziemy lądować.

- Wstają! - zawołał Cygan. - Ten ze spluwą lezie tu na czworakach!

Piotr wyrównał, dodał gazu i wyciągnął w górę świecę. Flisak, który w tej chwili usiłował wstać, zachwiał się i wpadł na Cygana. Obaj pobiegli w tył po pochyłym pokładzie między rzędami foteli pasażerskich i zwalili się na Surowca. Jego kompan zdołał im się usunąć z drogi, ale teraz zjeżdżał ku nim na plecach, wierzgając nogami. Mimo to dotąd nie wypuścił pistoletu z ręki.

Pasażerowie trzymali się kurczowo poręczy, żaden z nich nie spadł z fotela. Niektórzy zdołali zapiąć pasy.

Piotr znów wyrównał i zmniejszył obroty, a nie słysząc dalszych meldunków Cygana rzucił za siebie szybkie spojrzenie. Kłęb czterech ciał wił się w głębi kabiny pasażerskiej. Znowu huknął strzał, zapewne chybiony. Nie miał zresztą czasu zastanawiać się, czy tak było istotnie; na lewo, czterysta metrów pod nim, leżało lotnisko.

Elmer wychylił się ze swego przedziału.

- Lotnisko wolne! - zawołał.

Piotr już się nie oglądał; nie mając nikogo do pomocy musiał sam wypuścić podwozie, otworzyć klapy, zmienić skok śmigieł. Poza tym był za blisko, żeby wylądować wprost z tej wysokości: nie starczyłoby mu miejsca. ‘

Położył maszynę w ślizg na prawo, na lewo. Zobaczył, że szosą z Dąbia pędzą dwa samochody: jeden z milicją, drugi z żołnierzami WOP. Ziemia skośnie sunęła pod skrzydło, samolot drgał, na sterach można było wyczuć silną wibrację.

Żeby się tylko to pudło nie rozleciało - pomyślał o maszynie.

Wyrównał nie bez trudu, choć należało wytracić jeszcze trochę wysokości, jeśli chciał wylądować pośrodku. Ale drgania kadłuba i sterów były zbyt gwałtowne. Nie mógł zanadto ryzykować.

Od chwili gdy ścichły silniki, słychać było wyraźniej odgłosy szamotania się, okrzyki i przekleństwa dochodzące z kabiny pasażerskiej. Jeszcze jeden strzał, potem drugi.

Jeszcze chwila - myślał Piotr. - Spokojnie: jeszcze tylko chwila...

Za każdym strzałem robiło mu się gorąco, ale trzymał się w ryzach. Pamiętał, że przy starcie maszyna była lekka w

ogonie, i chciał jeszcze podciągnąć fletnery, ale w porę uprzytomnił sobie, że teraz czterej ludzie zwalili mu się aż do drzwi wyjściowych. Uwziął się, że wyląduje gładko, jak zawsze.

W połowie lotniska pneumatyki kół lekko musnęły betonową powierzchnię pasa startowego. Wolno, płynnym ruchem ściągnął ster ku sobie i trzymał. Samolot niósł się tuż, tuż nad ziemią, zdawało się, bez końca. Wreszcie osiadł.

Hamulec! Nie za mocno, tylko nie za mocno...

Zgiełk w tyle, za plecami, wzmógł się gwałtownie, ucichł.

- Co tam, Elmer? - krzyknął Piotr.

Lecz Elmera nie było.

Dobieg, hamowany coraz mocniej, kończył się u skraju lotniska. Piotr zwolnił prawy hamulec, zawrócił w lewo i zobaczył, że Cygan, za nim Elmer, Flisak i kilku pasażerów, oprzytomniałych już z pierwszego wstrząsu, pędzą w kierunku krzaków olszowych, za którymi ciągnęły się bagienka porośnięte trzciną i łożą.

Kilka strzałów, jeden po drugim, huknęło od strony zarośli, Flisak potknął się, upadł, ale poderwał się i biegł coraz prędzej, wyprzedzając Elmera. Wpadli wszyscy w olszynę i znikli w gąszczu.

Piotr chciał wyłączyć silniki i pośpieszyć im na pomoc, lecz w tej samej chwili ujrzał samochód z milicją pędzący na przełaj przez lotnisko. Kierowca zahamował przy samolocie, dwaj milicjanci zeskoczyli z wozu, jeden z nich wdrapał się do kabiny, przebiegł przez całą jej długość i widząc tylko Piotra za sterem, rozejrzał się zdziwiony, zanim zdołał przemówić.

- Są tam! - Piotr wskazał mu kierunek. - Jest ich dwóch. Mają broń. Kilku pasażerów i trzech nasi z załogi

ścigają ich. Prędko! Spieszcie się!

- Dobra - odsapnął milicjant. - Na te bagna uciekli?

- Tak, tak! Prędeży! - naglił Piotr. - Na co czekacie, u diabła?!

Milicjant pokazał zęby w uśmiechu.

- Są otoczeni przez WOP - odrzekł. - Nie wyłączajcie silników. Zaraz przyjdę.

Pobiegł z powrotem do wyjścia roztrącając przerażonych pasażerów, powiedział coś do swego towarzysza, który zaraz potem zatrzasnął z zewnątrz drzwi gondoli.

- Jedź pan do dworca, panie pilot! - zawołał głośno do Piotra przez całą długość kabiny.

Tymczasem samochód ruszył i podjechał do skraju lotniska, gdzie zaczynały się krzaki. Milicjanci wysypali się z niego i wyciągnięci w tyralierę weszli w gęstwinę.

Piotr wykręcił ku budynkom portu i dodał gazu. Poczul się nieco rozczarowany, nawet jakby zawiedziony. Wygrał wprawdzie tę walkę - nie tylko z Surowcem, lecz także z samym sobą - ale nie doznawał bynajmniej uczucia dumy, jakiego mógł być się spodziewać.

Usłyszawszy rozkaz: „puść stery”, Flisak spełnił go zupełnie odruchowo. W następnej sekundzie obejrzał się i zobaczył Surowca, ale nie od razu go poznał, ponieważ rysy twarzy Lolo wykrzywiał nerwowy skurcz. Dopiero po chwili uświadomił sobie, kto to jest ten szaleniec. Myśl, że Lolo dostał napadu szału, opanowała Flisaka tak dalece, iż z początku nie mógł zrozumieć sensu i celu tego, czego Surowiec zażądał. Po co chciał lecieć nad morze? Zaiste - pomysł wariata...

Lecz nagle błysnęło mu w głowie: w kabinie pasażerów jest drugi! Więc to nie wybryk chorego umysłu,

tylko zorganizowany akt terroru - ucieczka...

Serce skoczyło mu w piersi i zaczęło gwałtownie łomotać. Spojrzał na Piotra, który posłusznie skręcał ku północy. To było niepojęte, jeszcze bardziej niepojęte niż przed chwilą żądanie Surowca: Piotr ulegał - lecieli ku wybrzeżu!

Wtem przypomniał sobie, że kiedyś - wcale nie tak dawno! - Piotr żartem rzucił pytanie: „Ciekawe, co byś zrobił, gdybyś wiedział, że ja chcę drapnąć za granicę?”

Przejął go mróz. Tchu mu zabrakło. Jakiś rozpaczliwy bunt przeciw temu wspomnieniu, przeciw przypuszczeniu, jakie ono dopiero miało nasunąć, podniósł się w nim jak fala.

Patrzył na Piotra, poblady, broniąc się myślom, których nawet nie sformułował wyraźnie. Piotr siedział nieruchomy, ze zmarszczonymi brwiami, posępną twarzą i wzrokiem utkwionym w busolę. O czym myślał? Czy się wahał? Czy rozważał, co ma uczynić?

Nagle jego rysy stężały jeszcze bardziej i na policzki wypłynął gorący rumieniec.

Cóż to miało znaczyć?

Flisak nie spuszczał z niego oczu zerkając tylko raz po raz na pierścień busoli. Gdy Piotr się wychylił, żeby spojrzeć w tył, a potem wobec pogrózek Surowca wrócił do poprzedniej pozycji, busola zaczęła wolno skręcać. Janek natychmiast to zauważył. Był pewien, że Piotr świadomie zbacza z kursu, i otucha zaczęła wstępować w jego serce. Dostrzegł także nieznaczny ruch lewej ręki Piotra przy włączaniu kontaktu, a potem już bez żadnych wątpliwości stwierdził, że kapitan porozumiewa się z Elmerem.

W tej chwili Piotr spojrział na niego i mrugnął porozumiewawczo, a Flisak pojął, o co mu chodzi, i doznał niewypowiedzianej ulgi: Piotr był z nimi; myślał jak oni, nie

zamierzał się poddać, a tym mniej - współdziałać z Surowcem. Podobne przypuszczenia, wysnute z jakiegoś żartu, wydały się teraz Flisakowi po prostu haniebnymi. Zawstydził się; był zły na siebie, że coś takiego przyszło mu do głowy.

Zanim się otrząsnął z tych uczuć, napięcie sytuacji doszło do szczytu. Piotr zawołał: „trzymać się”, Surowiec stracił równowagę i strzelił, Flisak zaś otrzymał silny cios w ramię i po chwili zrozumiał, że jest draśnięty kulą.

Spróbował poruszyć ręką, przekonał się, że ma kości nienaruszone, i przestał się tym przejmować. Ale gdy po uniku wstał chcąc przejść do kabiny pasażerskiej, ból na chwilę osadził go na miejscu, a następnie dawał znać o sobie raz po raz.

Mimo to, znalazłszy się wraz z Cyganem w ogniu maszyny, Flisak natychmiast wydobył się na wierzch i walcząc tylko prawą ręką, zdołał na pewien czas unieruchomić Lola, usiłującego dosięgnąć pistoletu, który potoczył się za nim. Cygan mocował się tymczasem z jego kompanem. Melancholijny towarzysz Surowca okazał się nadspodziewanie zręczny i silny, a pasażerowie - trzy kobiety i czterech mężczyzn - sterroryzowani strzałami i przerażeni gwałtownymi manewrami samolotu, nie kwapili się z pomocą. Dopóki Piotr przerzucał maszynę z jednej ewolucji w drugą, Cygan i Flisak mieli nieznaczną przewagę: mogli przewidzieć z większym prawdopodobieństwem niż ich przeciwnicy zmiany położenia pokładu, kolejne momenty bezwładności i działanie siły ośrodkowej, które tamtych zaskakiwały całkowicie. Lecz gdy samolot został wyrównany i pokład przestał się zataczać, Surowiec wywinął się Flisakowi i usiłując wstać podciął Józkowi nogi. Cygan zachwiał się, jego przeciwnik huknął go pięścią w szczękę i

skoczył ku drzwiom kabiny.

Wtedy właśnie Elmer pośpieszył kolegom z odsieczą, Piotr lekko zaczął hamować dobieg, a drzwi ustąpiły. Dwaj napastnicy jeden po drugim wyskoczyli na ziemię, tylko dzięki temu unikając zderzenia ze statecznikiem ogona, że upadli. Potoczyli się po be[^] tonie, ale żaden z nich nie doznał poważniejszych obrażeń, bo zerwali się i zaczęli biec w stronę bagna. Surowiec w ostatniej chwili zdołał pochwycić swój pistolet; tylko obie ciężkie teczki skórzane pozostały w kabinie.

Pierwszy wyskoczył za nimi Cygan, później Elmer, wreszcie kilku pasażerów. Flisak potknął się, upadł, ból szarpnął go wściekle za ramię. Wstał, dopędził Elmera, wpadł w gąszcz, gdzie - jak mu się wydało - przed sekundą znikł Surowiec.

Usłyszał huk strzału, kula gwizdnęła mu nad uchem, kilka gałązek i trochę liści posypało się tuż obok. Rzucił się naprzód, zobaczył Surowca przyczajonego za kępą łozy, skoczył wprost na niego, zwałił się przez płataninę giętkich witek i poczuł, że trzyma go w garści.

- Do mnie! - zawołał. - Mam jednego!

Lecz jego lewe ramię było niemal bezwładne, rękaw mokry od krwi broczącej coraz obficie.

Surowiec wyswobodził rękę, w której trzymał pistolet, skierował lufę w pierś Flisaka, nacisnął spust. Rozległ się cichy trzask iglicy, a potem przekleństwo. Strzał nie padł: spłonka nie eksplodowała.

- Rzuć to - zgrzytnął Flisak.

Namacał jego gardło, chwycił, ścisnął.

- Rzuć broń! - powtórzył.

Twarz Surowca nabiegła purpurą, oczy wyszły na wierzch, palce rozkurczyły się i pistolet upadł w trawę.

Flisak nieco' zwolnił chwyt i znów zawołał o pomoc. Czuł, że słabnie. Krew z rany płynęła strumieniem, ściekała mu po dłoni, kapała na ziemię, na twarz Surowca, na jego jasne ubranie. Lecz Surowiec osłabł także. Nie miał siły zrzucić go z siebie. Twarda, ogromna dłoń gniotła mu grdykę, gotowa zacisnąć się przy najmniejszym poruszeniu.

- Puść mnie - wycharczał. - Dam ci... dam ci pieniądze. Parę tysięcy dolarów. Mam przy sobie...

- Ty bydlaku - odrzekł Flisak z pogardą.

Surowiec puścił obelgę mimo uszu. Natomiast przez chwilę uważnie wsłuchiwał się w odgłosy kilku dalekich pojedynczych j strzałów, które nagle zostały zagłuszone seriami z broni maszynowej. Wszystko to ucichło po kilku sekundach, ale nikt jakoś nadchodził. Flisak nadal siedział na nim okrakiem, ściskając mi kolanami żebra i trzymając go za gardło.

Lolo zauważył krew kapiącą z jego rękawa. Zaświtała mu iskierka nadziei.

- Jak tu przyjdą - charczał - zabiorą sami. Co ci z tego przyjdzie? Co ci z tego, że mnie wezmą? Słuchaj: pieniądze mam w prawej zewnętrznej kieszeni. Możesz je wyjąć; nie ruszę się.

Flisak zacisnął zęby. Kręciło mu się w głowie, ale słyszał i rozumiał każde słowo. Ścisnął mocniej wątłą szyję Lolo.

- Milcz, ty... bo uduszę!

Wtedy Lolo zdobył się na ostatni wysiłek, na wysiłek rozpaczliwy: podkurczył nogi i gwałtownym rzutem przewinał się na bok. Poczuł, że gardło ma wolne. Na oślep wyciągnął rękę w tym kierunku, gdzie upuścił pistolet, namacał go w trawie, pochwycił zarepetował drugą ręką i w tej samej chwili pięść Flisaka trafiła go między oczy. Stracił

przytomność.

Hornowski zdenerwowany, blady chwycił Piotra za rękę.

- Koniec ze mną - szepnął. - Jak się dowiedzą, że go znam - koniec!

- Dajże spokój - mruknął Piotr. - Przecież nie mogłeś wiedzieć, co on zamierza.

- Niech trupem padnę, jeżeli mi to przyszło do głowy.

Ale...

- No więc uspokój się. Ja nie będę gadał o niepotrzebnych rzeczach - powiedział Piotr.

- Nie będziesz? Na pewno?

- Możesz być spokojny.

Hornowski ucisnął lekko jego ramię. Obejrzał się na drzwi do sąsiedniego pokoju, gdzie lekarz opatrywał rannych i potłuczonych.

- Ale żeś ty się zdecydował lądować... - powiedział z podziwem.

- A cóż miałem zrobić?

- Noo - przeciągnął Emil - pod groźbą pistoletu... i w twojej sytuacji... - spojrzał mu w oczy i odwrócił wzrok. - Bądź co bądź, to była sposobność - dokończył tak cicho, że ledwie go można było zrozumieć.

Piotr poczuł, że się czerwieni.

- Wiem - odrzekł. - Nie skorzystałem. I nie skorzystam - dodał głośnie.

Wezwano go na przesłuchanie. Podał, że zna Surowca, że go zauważył wsiadając do samolotu, i opisał wszystko, co się stało po starcie.

Oficer, który go przesłuchiwał, wskazał mu złote monety i paczki banknotów dolarowych ułożone na stole.

- A o tym możecie coś powiedzieć? - spytał. Piotr

zawahał się przez sekundę.

- Wiem, że przedwczoraj w domu, gdzie mieszkam, popełniono kradzież. Ten dom należy do krewnej Surowca, Julii Nabielec, i to właśnie ją okradziono. Wiem też, że Surowiec był u niej tego dnia wieczorem.

- A tego drugiego osobnika nie znacie? Tego, co leciał z Surowcem?

- Nie.

- Nazywa się Plank. Jerzy Plank. Nie słyszeliście takiego nazwiska?

Piotr zmarszczył brwi.

- Plank... - powtórzył.

Szukał w pamięci - znalazł! Ciotka Plank z Whitby...

- Widzę, że sobie przypominacie - powiedział oficer.

- Tak - odrzekł Piotr. - Znałem osobę, która się tak nazywała. Umarła chyba przed kilku miesiącami. Może przed rokiem - poprawił się. - Nie wiem dokładnie. Umarła w Anglii. Była Angielką.

- Aha - mruknął oficer. - No i co?

- No i nic. To była starsza kobieta. Nic mnie z nią nie łączyło poza przypadkową znajomością.

- Nie wiecie, czy miała krewnych w Polsce?

- Nie wiem, to jest... tak. Była tu jej siostrzenica, która wyszła za mąż za jednego z moich kolegów. Za Ryszarda Godzickiego. Ale on zginął w tej katastrofie pod Poznaniem, w kwietniu. A ona niedawno wróciła do Anglii. To wszystko.

- No, a ten Plank Jerzy?

Piotr wzruszył ramionami.

- Powiedziałem już, że go nie znam.

Oficer powrócił jeszcze do osoby Karola Surowca, zadał kilka pytań dotyczących kradzieży u Julii i dał Piotrowi protokół do jej podpisania. Piotr przeczytał go uważnie, potem

podpisał.

Z kolei przesłuchano Hornowskiego, który oświadczył, że oczywiście niczego nie podejrzewał. Potem - resztę załogi, wreszcie - pasażerów.

Zeznania się zgadzały i uzupełniały nawzajem. Pewne zdziwienie wywołał tylko fakt, że drugi pilot również znał Surowca. Było jednak jasne, że ani kierownik portu lotniczego, ani żaden z członków załogi nie miał nic wspólnego z ucieczką planowaną przez Surowca i Pianka. Przeciwnie - tylko dzięki odwadze i zdecydowaniu załogi, a także szybkiej orientacji Hornowskiego, który zaalarmował milicję i komendę WOP, udało się sparaliżować ów plan i ująć obu zbiegów.

O godzinie jedenastej pasażerowie wsiedli z powrotem do maszyny. Prócz nich dwa miejsca, opróżnione przez Surowca i Pianka, zajęli funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa i oficer WOP, wezwani do Warszawy po rozmowie telefonicznej.

Flisak, z ręką na temblaku, jeszcze trochę blady i osłabiony, ale pełen werwy, przy pomocy Piotra przedostał się na swój fotel. Elmer, którego nic nie mogło wyprowadzić z równowagi, stanął u wejścia do przedziału radio i w oczekiwaniu na zapuszczenie silników flegmatycznie lustrował pasażerów, wysunąwszy na zewnątrz długi nos i podbródek w kształcie kalosza. Cygan strzygł uszami i po raz dziesiąty opowiadał o swoich bohaterskich zmaganiach, po których zostały mu fioletowe sińce na czole, zalepiona plasterem szrama na policzku i zadrapania na rękach obficie ubarwione jodyną.

- Zamknij i zarygluj drzwi - powiedział do niego Piotr.
- No i jeżeli możesz, to gębę także. Każdy z nas to już słyszał. Będziesz opowiadał w Warszawie tym, co jeszcze nie

wiedzą.

Józek rzucił spojrzenie pełne żalu.

- Ja przecież nic nie mówię - odrzekł spełniając pierwsze z tych poleceń. - Tylko jak mnie ten w okularach dosiadł, to powiadam wam...

Warkot silnika zagłuszył dalsze jego słowa.

Rozdział XXII

Samolot ze Szczecina przez Poznań przybył do Warszawy z trzygodzinnym opóźnieniem, oczekiwany na Okęciu przez dyrektora Modrakowskiego, szefa pilotów i niemal cały personel lotniska. Załozde urządzono owację, a naczelny dyrektor powiedział kilka ciepłych słów.

Piotr czuł się tym zakłopotany. Jego zdaniem, nie wszystkie motywy, którymi się kierował, były godne pochwały, a wreszcie - miał chwilę wahania, zanim powziął decyzję, zanim postanowił stawić opór. Poza tym zaś jego udział w tej sprawie wydawał mu się mniej decydujący niż choćby udział Flisaka i postawa całej załogi.

Dlatego z pewnym zniecierpliwieniem przyjmował pochwały i gratulacje, odpowiadając jak najkrócej na pytania o szczegóły. Oświadczył, że właściwie nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, a całe ryzyko ponieśli Flisak, Cygan i Elmer. Oni też najwięcej mogą o tym powiedzieć.

Zostało mu to poczytane za skromność, ale uwolniło go przynajmniej częściowo od konieczności rozwodzenia się nad wypadkami.

Załoga otrzymała trzy dni zwolnienia, z tym jednak, że każdej chwili mogą zostać wezwani do prokuratora jako świadkowie, celem złożenia dodatkowych zeznań.

Wracając tego dnia do domu Piotr doznawał sprzecznych uczuć, jakkolwiek nie wątpił, że postąpił słusznie, przeciwstawiając się zamachowi Surowca. Nie

chwalebnie, odważnie i patriotycznie, jak to określali inni, lecz właśnie słusznie, tak jak mu nakazywały okoliczności, ambicja, poczucie odpowiedzialności. Mniemał, że po prostu nie mógł postąpić inaczej. Był zresztą zadowolony z tej swojej decyzji. Wydawała mu się rozsądna. Najrozsądniejszą, jaką mógł powziąć. Lecz gdy już miał to za sobą, gdy minęło podniecenie i gdy został sam ze swymi myślami, wątpliwości ogarnęły go na nowo. Odczuwał coś w rodzaju żalu - żalu za straconą sposobnością, o której wspomniał Hornowski. Żalu za czymś, co spotkał na swej drodze, co los mu podsunął i czego musiał się wyrzec.

Pomyślał, że gdyby miał do czynienia z innymi przeciwnikami, gdyby trafił na ludzi bardziej zdecydowanych, odważnych, którzy potrafiliby zorganizować swoją ucieczkę przewidująco, nie tak naiwnie jak Lolo i ów Plank, to kto wie... Był zły na Surowca za jego głupotę; za to, że Surowiec zostawił mu zbyt wiele inicjatywy; że zabrał się do tej sprawy tak, jakby miał pewność, iż wystarczy zagrozić pistoletem jemu, Piotrowi, i jego załodze, aby na kilka godzin zmusić ich do zupełnej uległości. - Osioł! - mruknął ze złością.

Tak czy owak pozostawały jednak jeszcze inne względy. Piotr próbował je teraz rozważyć, ocenić. Siedząc za sterem dokonał już tego; czy się nie pomylił poświęcając możliwość połączenia się z Mary za cenę przyjaźni i szacunku Flisaka, Cygana, Elmera, a także i Hanki?

Cóż go od tego powstrzymało? Tchórzostwo! Obawa przed ich pogardą...

Może jeszcze coś więcej? - pomyślał. - Przyrosłem tu już...

To była prawda. Przyrosł. Zakorzenił się. Nie był wolny, jak dawniej, zaraz po przyjeździe do kraju; przestał

być przelotnym ptakiem. I to nie tylko jego załoga i nie tylko Hanka liczyła się w tej sprawie, ale także Dobro wolski, Pacholczyk i Zdybel, i Angraba, i nawet Modrakowski. Ba! A ci młodzi z aeroklubów? A taka Teresa Lorkówna, leśnicy z Puszczy Piskiej, robotnicy dźwigający z gruzów Warszawę, dyszące pracą kopalnie i fabryki w Katowicach, rojowisko ludzi na terenach Nowej Huty pod Krakowem, porty w Gdyni, w Gdańsku, w Szczecinie... I wreszcie to, o czym mówił Janczar w swoim referacie: ta „sprawa, w której powinna się wyładować cała nasza uczciwa, pokojowa ambicja narodowa”.

Tak, to go tu trzymało. To przeniknęło do jego umysłu, do serca. Zaraził się i - co więcej - wcale nie miał ochoty się wyleczyć.

Dlatego powiedział Hornowskiemu, że nie skorzystał z tej sposobności i nie ma zamiaru skorzystać z żadnej innej.

A Mary?... Mijał właśnie boczną uliczkę, na której ją niegdyś spotkał tuż przed mieszkaniem Surowca. Spojrzał w tamtą stronę i nagle stanął tknięty pewną myślą.

Przypomniał sobie rozmowę z Mary w małej kawiarence... Teraz, gdy rozpamiętywał zdarzenia owego dnia, każde słowo, każdy uśmiech i każde spojrzenie wydawały mu się zgoła inne niż wtedy.

Wzrok Mary sondował go; badał, czy jego podejrzenia zostały uśpione, czy obrona przez nią taktyka nie zawodzi. Jej słowa, jej wyznanie, że go kocha, że nikogo tak nie kochała jak jego, brzmiały mu jeszcze w uszach. Wówczas go oszołomiły; teraz wydawały mu się cyniczne.

Za kogo ona mnie miała? - pomyślał.

Czuł do niej urazę, jak za krzywdę, za poniżenie, którego nic już nie zdoła wyrównać.

- Byłem ślepy - powiedział na głos i odrzuciwszy

niedopalek papierosa ruszył do domu.

W hallu spotkał „sekretarza ambasady”, który jak mu się zdawało, właśnie zamierzał wyjść, ale na jego widok zatrzymał się, aby z nim porozmawiać.

Julii nie było. Wezwano ją znów do prokuratora.

- *Paupre femme* [biedna kobieta] - powiedział Malaine bez ironii. - Ma mnóstwo kłopotów z tą sprawą.

„Ta sprawa” pociągnęła za sobą wiele nieprzyjemności, nie tylko dla Julii, ale również dla opiekuna „tych pań”. Wścibscy funkcjonariusze Bezpieczeństwa zrewidowali dom od strychu do piwnic, przy czym wyszło na jaw, że archiwum rodzinne hrabiego zawierało sporo obrazów, gobelinów i innych dzieł sztuki, z których posiadania trudno się było wytłumaczyć. Niektóre z nich, na przykład, należały przed wojną do muzeów państwowych i zostały zrabowane przez hitlerowców. Hrabia je od nich wykupił, „żeby zostały w kraju”, ale dotąd nikogo o tym nie powiadomił...

- Julii nic właściwie nie grozi - ciągnął dalej Malaine. - Testament i dokumenty uprawniające ją do posiadania domu są w porządku. Radził się adwokata, który nas zupełnie uspokoił pod tym względem.

Piotr przyglądał mu się z zaciekawioną miną. Uderzyła go liczba mnoga, to „my”, zarówno jak zmiana tonu „sekretarza”, gdy mówił o Julii. Tamten się spostrzegł.

- Widzę, że pan się czegoś domyśla - powiedział z uśmiechem. - Tak, zapewne się z nią ożenię. Wprawdzie nie jest już taka bogata, bo złoto i dolary przepadły, ale... *Que voulez-vous?* [cóż pan chce] Ten domek, spokój, opieka... I - *accordons* [zgódźmy się] - ona świetnie gotuje!

- Jeżeli to panu wystarcza... - odrzekł Piotr.

- Oh, teraz? Ja już mam życie za sobą. Życie - *drôle*

d'histoire! [śmieszna historia] Zawile kombinacje logiki dla prostego i błahego celu. Czegóż można się spodziewać od życia poza niewielką ilością wiedzy o sobie samym i o swoich bliźnich? W dodatku ta wiedza przychodzi dopiero z wiekiem. Zwykle za późno, aby ją wykorzystać. *Eh bien, je sauve ce que je peux* [więc ratuję, co mogę] - dodał z westchnieniem.

- Mogę panu powiedzieć, że Karol Surowiec został dziś rano aresztowany - oświadczył Piotr. - Znalezione przy nim złoto i dolary.

Młodzieńcza twarz „sekretarza ambasady” lekko poróżowiała.

- Gdzie jest ta *captivante trouvaille* [urzekające znalezisko] - spytał. - Gdzie go zatrzymano?

- W Szczecinie - odrzekł Piotr. - O ile wiem, odstawia go do Warszawy. Podczas wstępnego śledztwa musiałem wspomnieć o tej kradzieży - dodał po chwili wahania.

- Pan musiał wspomnieć? - zdziwił się Malaine.

- Tak się złożyło. Zawila kombinacja logiki dla błahego celu - uśmiechnął się Piotr powtarzając jego słowa.

- *C'est ça, c'est ça* - potwierdził Malaine. - Tylko tym razem cel bynajmniej nie; jest błahy... No, nie będę pana zatrzymywał, *monsieur Maresz. Au revoir. - Au revoir. Bonne chance* [Do widzenia. Życzę powodzenia] - odpowiedział Piotr.

W dwa dni później Piotr został wezwany do prokuratora, który prowadził sprawy Surowca i Pianka. Spotkał tam całą swoją załogę, ale przesłuchiowano każdego z nich oddzielnie. Tym razem prokurator wypytywał Piotra szczegółowo o jego znajomość z Surowcem, a następnie o Julię i jej lokatorów. W końcu - o owego Pianka, co znów poprzez osobę ciotki Plank doprowadziło do jej siostrzenicy i

spadkobierczyni, Mary Carol-Godzickiej.

Między innymi padły pytania, czy Piotr wiedział o owym spadku i czy nie słyszał nigdy o innych ewentualnych spadkobiercach lub krewnych mrs. Plank w Polsce.

Na drugie z tych pytań odpowiedział przecząco. Sam był zaciekawiony tą zbieżnością nazwisk. Wyjaśniono mu, że towarzysz Surowca istotnie pochodził z rodziny angielskiej, osiadłej w Polsce od wielu lat. Podawał się za krewnego Planków z Whitby i miał pretensje do połowy spadku. Karol Surowiec zawarł z nim jakiś układ w tej sprawie i namówił go do wspólnej ucieczki.

Wreszcie prokurator zadał ostatnie pytanie: czy Piotr mógłby z całą pewnością rozpoznać pismo Mary. Pokazano mu kilka listów pisanych na takim samym papierze jak te, które otrzymywał od Mary.

Nie miał żadnych wątpliwości co do jej autorstwa i z trudem zdołał opanować wzburzenie po zapoznaniu się z urywkami, które przebiegł wzrokiem. Były przeznaczone dla Karola Surowca, ale ich treść niewiele różniła się od tego, z czym Mary zwracała się do Piotra.

Zniósł to z pozornym spokojem, choć nurtowała go wściekłość i gorycz. Czymże był dla niej? Jak mógł na to pozwolić, żeby tak długo bawiła się jego kosztem? Co go zaślepiało?

Pomyślał, że stał nad przepaścią i omal w nią nie runął. Miał uczucie, że otarł się o coś wstrętnego. Mdlilo go od tych myśli i wspomnień.

Natychmiast po przesłuchaniu pożegnał spieszenie kolegów i wyszedł. Nie miał żadnych planów na ten dzień, ale chciał być sam.

Znalazł się na ulicy, ale nie wiedział, dokąd iść. Do domu! Nie! Ten dom, wraz z jego właścicielką i lokatorami,

po prostu go mierzył. Nawet własny pokój, w którym poprzednio mieszkał Lolo, wydał mu się w tej chwili odpychający. Postanowił iść nad Wisłę - tak, przejść się, zanim nie ochłonie.

- Dzień dobry, bohaterze! - usłyszał za plecami znajomy, wesoły głos Hanki.

Obejrzał się, zły na nią, że nadeszła akurat w chwili, kiedy szukał samotności, że przemówiła do niego takim właśnie tonem, tak głośno, aż to zwróciło uwagę przechodniów.

- Dzień dobry, - mruknął. - Janek jeszcze tam jest.

Roześmiała się.

- Masz taką minę, Piotrze, jakbyś chciał się mnie pozbyć, zanim jeszcze mnie zobaczyłeś. Co zawiniłam?

- Nic - odrzekł opanowując rozdrażnienie. - Zły jestem. Życie mi dokuczyło, a nikt inny temu nie jest winien, tylko właśnie ja sam. No i dlatego kiepski dziś ze mnie towarzysz. Zwłaszcza dla ciebie. Mogłabyś stracić dla mnie całą sympatię, gdybyś przejrzała, co się we mnie dzieje. Więc...

- Odkąd cię znam, Piotrze, nie powiedziałaś nic równie niemądrego - przerwała mu. - Powinieneś się wstydzić. Jesteś... jesteś dziecinny, słowo daję. Gdybym była większa i silniejsza od ciebie, dałabym ci klapsa i położyłabym cię do łóżka albo raczej... do wózka. I poszłabym z tobą na spacer.

- No to chodźmy pieszo - powiedział Piotr - bo wózka nie ma.

Zamęt w jego myślach i dławiące uczucie upokorzenia rozwiały się. Czuł, że Hance mógłby opowiedzieć o tym wszystkim. Przyniosłoby mu to ulgę. Spostrzegł, że się ucieszyła.

- Naprawdę chcesz się ze mną przejść? - spytała patrząc mu w oczy.

- Niech mnie powiesz, jeżeli nie - odrzekł biorąc ją pod rękę. - Chodźmy nad Wisłę.

Nie powiedział jej wszystkiego, ale dosyć, aby mogła się domyślić reszty. Mówił o tym w swój nieco ironiczny sposób, nie oszczędzając siebie.

- Widzisz - uśmiechnął się z odcieniem gorzkości - taki ze mnie „bohater”.

Hanka milczała przez dłuższą chwilę. Nie patrzyła na niego, lecz wprost przed siebie, z brwiami lekko zmarszczonymi, z podniesioną głową. Zauważył, że nie podjęła lekkiego tonu, jaki starał się nadać tej historii. Wydawało mu się, że nie potrafił przedstawić swojej sprawy tak, jak ją sam widział i odczuwał. A może ona w prostocie swego serca nie mogła dla niego *znaleźć* usprawiedliwienia?

- Trochę się rozczarowałaś - przemówił. - Moja szczerość wydaje ci się gorsząca. Zwłaszcza to zaślepienie, to głupie, uparte uczucie... Pewnie tego nie rozumiesz.

Spojrzała na niego i spuściła oczy jakby zmieszana. Rumieniec z wolna wypłynął na jej policzki.

- Może - powiedziała cicho. - Ale nie bądź tego zanadto pewny.

Teraz Piotr zaczął mówić o Janku, a potem o Józku Cyganie. Chciał jakoś zatrzeć wrażenie, jakie na Hance zrobiła jego własna spowiedź - rozweselić ją, zmienić tok jej myśli.

Udało mu się tego dokazać. Opowieść o chybionej próbie sterroryzowania załogi i nieudanej ucieczce Surowca była istotnie zabawna, a Piotr jeszcze ją upiększył. Wracając ze spaceru śmieli się już oboje i rozstali się w dobrym nastroju. Tak przynajmniej sądzili o sobie nawzajem.

Lecz Piotr, idąc do „Picadora”, gdzie miał się z kimś spotkać, natychmiast po tym rozstaniu popadł w zadumę. Już od pewnego czasu - nie umiał ściślej określić od kiedy - obecność Hanki, jej głos, spojrzenie, śmiech, dotknięcie jej ręki, nawet myśl o tym, że ją zobaczy, budziły w jego sercu jakiś silny, ciepły niepokój. Mówił sobie, że lubi ją po prostu, ale z czasem nabierał przekonania, że ten czasownik niezupełnie trafnie określa jego wzruszenia, grył się z tym przed sobą samym, a jeszcze bardziej przed nią, nie mając pewności, czy mu to nie przejdzie. Ale nie tylko nie przechodziło, lecz przeciwnie, wzmagало się ciągle. A ona zdawała się tego nie dostrzegać...

Wbrew zwykłej logice, która zresztą - jak wiadomo - nie ma w takich wypadkach żadnego zastosowania, trafił się tym jej domniemanym brakiem przenikliwości. Zwłaszcza teraz, gdy zaczął się uważać za zwolnionego od wszelkich zobowiązań wobec Mary.

Po dzisiejszej rozmowie doszedł do wniosku, że jest o krok od świadomego poddania się obudzonemu uczuciu. Zrozumiał wreszcie, co się w nim działo: każda zmiana w wyrazie oczu Hanki, każde drgnienie jej ust i zmarszczenie brwi wywoływało oddźwięk w jego sercu, a każde z nią spotkanie było jak błysk, jak tchnienie zapachu, jak... - zabrakło mu porównań.

Życie, dotychczasowe jego życie bez celu, bez wytkniętej drogi - owa szara, tymczasowa codzienność obciążona oczekiwaniem na jakąś zmianę, która nie nadchodziła - zaczęło teraz nabierać nowego uroku, jak pod wpływem światła rozjaśniającego mroki, pogłębiającego cienie i nadającego nowy blask barwom.

A jej to wszystko nawet przez myśl nie przejdzie! - westchnął.

Mylił się: przechodziło jej, i to nieraz. Tylko z początku Piotr ją trochę onieśmiał: wydawał jej się o wiele bardziej przenikliwy i krytyczny, niż był w istocie; umiał tak swobodnie mówić, był dowcipny, bystry, inteligentny. Obawiała się wtedy, że mu nie sprosta pod tym względem; że powie coś, co ją ośmieszy w jego oczach.

Później się to zmieniło. Raz po raz dostrzegła, że Piotr się nią interesuje, nawet - że ją podziwia.

Nie starała się przed nim popisywać, nie miała nic do ukrywania i nic na pokaz. Lubiła być z nim, patrzeć na niego, słuchać, jak mówił, i mieć przy tym radosną świadomość własnego istnienia, która w jego obecności stawała się pełniejsza, upajająca.

To, co o sobie powiedział, wcale jej nie zaskoczyło. Domyślała się od dawna takiej historii. Nie była rozczarowana, jak mylnie | przypuszczał. I wiedziała, że miłość może być uparta. Sama tego doświadczała.

Piotr spotkał się nazajutrz ze swoją załogą przy pierwszym „tramwaju” odchodzącym na Okęcie z samego rana. Flisak utrzymywał, że drażnione ramię już wcale mu nie dolega, i na dowód tego zdjął temblak, w obawie, żeby mu nie kazano pozostać w Warszawie.

Mieli tego dnia po południu lecieć do Katowic. Lecz na lotnisku czekała ich niespodzianka. Janczar wywołał Piotra z wykładu Angraby i ująwszy go pod ramię (na co Piotr od pewnego czasu zezwalał bez niechęci), powiedział:

- Mam do was prośbę, kolego Maresz. Chciałbym, żebyście | dziś zastąpili mnie i moją załogę na jeden przelot.

- Proszę bardzo - odrzekł Piotr uprzejmie. - O której godzinie i dokąd?

- O dziesiątej. Do Sztokholmu. Piotr spojrział na niego zaskoczony, niepewny, czy się nie przesłyszał.

- Przez Gdańsk - dodał Janczar. - Nocujecie w Sztokholmie i wracacie jutro. To jest moja zupełnie prywatna prośba. Ja polecę za was do Katowic. Zgoda?

Piotr już się opanował. Nie chciał okazać, jak był uradowany,!

- Bardzo chętnie - powiedział z uśmiechem. - Stanowczo wolę nocować w Sztokholmie niż w Katowicach.

- No to się dobrze składa, bo ja - tym razem - w Katowicach. Aha - przypomniał sobie. - Zgodnie z przepisami musicie mieć na pokładzie nawigatora, więc poleci z wami Dobrowolski. I oczywiście weźmiecie „Iła”.

- Dobrze - odrzekł Piotr.

Spojrzał na Janczara i spotkał jego bystry, nieugięty wzrok. Dostrzegł w nim szczerą przychyłność.

- Dziękuję wam - powiedział. - Zrobiliście mi wielką przyjemność.

Janczar uśmiechnął się szeroko.

- No to zabierajcie swoich i lećcie. Dobrowolski ma już dla was pieniądze i opracowany plan lotu. Pomyślnego lądowania!

Uścisnęli sobie ręce i szef pilotów odszedł pozostawiając Piotra u drzwi świetlicy.

Piotr spojrzał na zegarek. Miał jeszcze godzinę do startu, a wykład lada chwila powinien się skończyć. Nie chciał tam przeszkadzać, więc czekał paląc papierosa. Gdy drzwi się otworzyły i Angraba wyszedł pierwszy, a za nim inni, wyłowił spomiędzy nich swoją załogę.

- Dzieci! - powiedział z udaną powagą. - Przed trzema dniami niejaki Surowiec namawiał nas, żebyśmy polecili do Szwecji. Odmówiliśmy. Ale dziś namówił mnie na to Janczar. Muszę się wam przyznać, że uległem. Będziemy nocowali w Sztokholmie. Co wy na to?

Flisak i Cygan wytrzeszczyli oczy. Tylko Elmer natychmiast zrozumiał i podjął jego ton.

- Trudno - westchnął. - Jesteś kapitanem, więc decydujesz. A w Sztokholmie też są łóżka do spania. Nie martwcie się - dorzucił spoglądając na tamtych.

Cygan zastrzygł uszami. Rozjaśniło mu się w głowie.

- Chorrroba! - wykrzyknął. - Janek, byku jeden! Do Sztokholmu posuwamy, kapujesz?

- Kapuję - skrzywił się Flisak - ale jak już musisz kogoś tarmosić, to może lepiej Włodka, bo mnie łapa boli.

- O, przepraszam, kaleko! - uzalił się nad nim Cygan. - Na „Ile” lecimy? - spytał Piotra.

- Na „Ile”.

- No, na ile? - zainteresował się Elmer.

- No, na „Ile”! - odrzekł Cygan. Piotr się uśmiechnął.

- Lecimy dziś o dziesiątej, wracamy jutro po południu. A lecimy na „Ile”. „Ił” - rozumiesz?

- Jak mi kto po ludzku wytłumaczy, to rozumiem - mruknął Elmer.

- O rany! - westchnął Cygan. - Może byśmy od wypadku wzięli łopatę?

- Łopatę? - powtórzył Flisak. - Na co łopatę?

- Żeby nią Włodkowi to i owo po ludzku wkładać do głowy.

Elmer chciał coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił, a może tym razem uznał się za pokonanego.

- To może byśmy tego „Iła” trochę obejrzeli - zaproponował.

- Naturalnie - odrzekł Piotr. - Chodźcie. I od razu zabierzcie swoje rzeczy, a moją walizeczkę też. Ja skoczę do Dobrowolskiego. On leci z nami.

Rozdział XXIII

Do Gdańska mieli komplet pasażerów, spośród których tylko ośmiu leciało dalej. Ale w Gdańsku oczekiwali inni na przelot do Sztokholmu.

- Tam zwykle przybywa kilka osób - powiedział Dobrowolski. - Rzadko kiedy są wolne miejsca.

Siedział obok Piotra, na fotelu Flisaka, ponieważ chciał „powozić”. Flisak, chętnie mu ustąpił i przeniósł się do przedziału nawigacyjnego.

Cygan dzielił swoją uwagę między silniki i wskazania zegarów a Zosię Radoszównę, stewardesse, do której się zalecał z umiarkowanym powodzeniem. Od paru miesięcy uczył się angielskiego na kursach LOT-u jedynie w tym celu, żeby jej dorównać, ale jego angielszczyzna była równie niezrozumiała dla Anglosasów jak sanskryt [literacki język staroindyjski ukształtowany ok. IV w.pne.], a Zosia nadal zadzierała nosa, ponieważ mówiła już płynnie i zupełnie poprawnie. Mimo to pozwalała Józkowi zapraszać się do kina i przyjmowała jego hołdy w sposób, który tyleż go onieśmiała, co zachęcał i w równym stopniu gniewał, co skłaniał do wierności.

Elmer miał jakieś drobne kłopoty z odbiorem i co chwila ukazywał się w przejściu, sprawdzając bezpieczniki aparatury. W końcu - gdy już mijali Tczew - zdołał je doprowadzić do porządku, przyjął kolejny komunikat meteorologiczny i powiadomił Piotra o zmianie kierunku wiatru.

Piotr potwierdził, że rozumie, i powtórzył tę wiadomość Dobrowolskiemu, po czym powrócił do prowadzonej poprzednio rozmowy o Anvillu i o wypadkach na Korei.

- Więc Anvill porzucił służbę... Nadzwyczajne! Cóż go do tego skłoniło?

- Był ranny - odrzekł Henryk. - Ale zdaje się, że to tylko pretekst. Prawdziwy powód jest inny.

- Pewnie wrócił do Ameryki, żeby tam robić grubszą forszę na produkcji broni dla takich „wspaniałych” żołnierzy, jakim był sam, i przeciw takim „kolorowym”, których patriotyzmem się zachwycił - poddał Piotr. - To bardzo rozsądnie: równie patriotycznie, a znacznie bezpieczniej i wygodniej.

- Anvill nigdy nie był tchórzem - zaprotestował Dobrowolski. - O ile wiem, w Stanach Zjednoczonych robi zupełnie co innego. Coś, co tam wymaga szczególnej odwagi.

- Został gangsterem?

- Nie. Prawdopodobnie zostanie delegatem na II Światowy Kongres Pokoju.

Piotr się roześmiał.

- No, wiesz! I to jest takie niebezpieczne?

- Dostyc. Wystarczy, żeby być podejrzanym o działalność antyamerykańską. Policja się z takimi ludźmi nie cacka.

- Ale nie z Tomem Anvillem, nie z wing-komandorem Anvillem, synem zamożnego przemysłowca! Tam na takie sprawy patrzą pobłaźliwie. Co innego, gdyby Anvill był na przykład zwykłym robotnikiem... Ale nie o to mi chodzi. Skąd mu przyszła ta nowa fantazja pokojowa? Nie pisał o tym?

Henryk skinął głową.

- Pisał. Mówiłem ci już kiedyś...

- Aha, o tych ideach, co się w nim obudziły!

- Musiał tam widzieć w Korei takie rzeczy, od których skóra cierpnie - powiedział Dobrowolski. - Przecie wiesz, że byle co go nie roztkliwiało. A w ostatnim liście, już ze Stanów, napisał mi, że dopiero teraz przejrzał, że był dotąd

ślepy. Cóż chcesz? Ludzie się zmieniają. Ja zawsze twierdziłem, że w tym Anvillu coś jest. Teraz się to w nim obudziło.

Piotr już go nie słuchał. Sam doświadczył czegoś podobnego, i to pod różnymi względami. Zmienił się: przejrzał. Gdyby Janczar wysłał go do Sztokholmu cztery miesiące temu, może - przelatując jak w tej chwili nad Wisłą - zastanawiałby się, jaką drogą ze Szwecji najłatwiej mu będzie wyjechać do Anglii, aby już nigdy nie powrócić. Dziś myśl o porzuceniu Polski, o tej dezercji była mu obca jak myśl o pospolitym występku: rabunku, oszustwie czy podpaleniu.

I jakimuż to wstrząsającemu zdarzeniu zawdzięczał ów wewnętrzny przewrót?

Pomyślał nie bez ironii, że cała ta przemiana obracała się dokoła jego miłości; że uczucie dla Mary stygło w nim, aż zgasło ostatecznie, gdy się przekonał, że ta bezmyślna, pusta kobieta obdarza swymi względami Surowca, którego nie cierpiał. To go od niej odstręczyło! To popchnęło go ku Hance!

A jednak nie tylko to. I może nawet nie to przede wszystkim?

Przecież w ciągu tych czterech miesięcy ludzie dokoła niego się nie zmienili ani się nie zmieniła jego praca, ani warunki, w jakich żył, tylko chyba on sam... Gdyby się nie zmienił, gdyby go nie „wzięło” to samo co Flisaka, Lorkównę, Dobro wolskiego czy Janczara, pewnie by teraz zmarniał. Hanka ani by mu była w głowie!

Na wspomnienie tej dziewczyny doznał takiego uczucia, jakby się w nim poruszyły wszystkie wnętrzości. Aż zadrżał. Serce łomotało mu głośno i w tym mocnym jego biciu usłyszał, co mógł stracić. Jakże mógł tak długo myśleć

o innej?

- Przechodzimy na Kontrolę - usłyszał głos Elmera. -
Halo, Piotrze, przechodzimy na Kontrolę!

- Dobrze - powiedział Piotr.

Spojrzał przed siebie i zobaczył olbrzymią stalową tarczę morza, na której leżała złocista kosa Helu poszczerbiona tu i ówdzie ciemnym sosnowym lasem.

Zgodnie z przewidywaniami Dobrowolskiego, z Gdańska do Sztokholmu znów mieli pełne obciążenie. Wystartowali pó półgodzinnym postoju, przecięli zatokę i Hel, weszli nad morze. Powietrze było spokojne, łagodne, ciepłe. W dole przed nimi, na lewo i na prawo leżała gładka, połyskliwa jak atlas powierzchnia Bałtyku, na płyciznach jasnozielona, ciemniejsza na głębiach, to znów stalowoniebieska, a w oddali popielata. Bezchmurne niebo - wspaniały błękitny klosz z kryształu nasycony blaskiem słonecznym - wznosiło się wysoko i tylko na horyzoncie zdawało się nasiąkać delikatną mgiełką.

Dopiero w godzinę po starcie, gdy na wprost ukazały się zarysy wyspy Gotland, śnieżnobiały wał gęstych obłoków wynurzył się na zachodzie i stanął nad szwedzkim brzegiem.

Zielona wyspa, jej wzgórza porośłe lasem, ładne miasteczka z czerwonymi dachami domów, kręte drogi i linie kolejowe, rybackie porty w zatokach - wszystko to, jakby wtopione w ciemną oprawę morza, po którym błędziły białe żagle kutrów, sunęło wolno pod skrzydłami samolotu, aż pozostało w tyle i znikło w ulewie słońca. Natomiast na kursie, od północy i północo-zachodu, coraz wyraźniej ciemniała poszarpana linia stałego lądu, który wybiegał na spotkanie maszyny wąskimi cyplami, gubiąc po drodze skaliste okruchy wysepek. Żłobiły go długie zatoki o stromych brzegach, a w głębi drzemały tafle jezior, wiły się

rzeki i kanały.

- Te Szwedy mają więcej wody niż ziemi - zauważył Cygan. - Gdzie tu lądować?

Flisak, który był raz w Sztokholmie z Janczarem, uspokoił jego obawy.

- Wylądujemy w Brommie. Bardzo ładne lotnisko, nic się nie martw. A wody rzeczywiście nie brakuje; same wyspy. Nawet cały Sztokholm stoi na ośmiu wyspach.

- Fajne miasto? - spytał Józek.

- Bardzo fajne. Patrz, już widać. To wielkie jezioro na lewo nazywa się Malaren, a to na prawo, co się łączy z morzem - Saltsjön. W środku, pomiędzy nimi, jest stare miasto, Staden, a naokoło nowe dzielnice. A tam, widzisz tę długą wyspę? - to jest park, Djurgarden. Mówię ci, warto tam pójść.

Poszli, a raczej pojechali zwiedzić Sztokholm samochodem, którego im uprzejmie użyczyła dyrekcja „ABA” [szw. tow. transp. lotn.]. Nie było to właściwie zwiedzanie; mogli zaledwie zobaczyć to i owo powierzchownie, z zewnątrz: zamek królewski, ratusz, parlament, most łączący Staden z Normalm, pomniki Gustawa Adolfa i Karola XIII i niezbyt ładny kościół św. Katarzyny w Sodermalm. Potem, już o zmierzchu, przeprawili się do Djurgarden, zjedli tam kolację i wrócili na noc do hotelu.

Nazajutrz o ósmej samochód służbowy zabrał ich na lotnisko Bromma. Mieli odlecieć o dziewiątej pięćdziesiąt, lecz na kilka minut przed startem okazało się, że maszyna nie jest gotowa. Elmer zaraz po przyjeździe stwierdził, że radiostacja znów „nawaliła”. Natychmiast się do niej zabrał, ale nie izdołał jej dotąd uruchomić.

Piotr był zły na niego.

- Mogłeś to zrobić wczoraj - mruknął.

Ale Włodek, sam zmartwiony i zdenerwowany, przysięgał się, że wczoraj aż do lądowania wszystko było w porządku.

- Więc jak długo to potrwa? - spytał Piotr.

Miało potrwać „kwadransik”, ale po upływie godziny Elmer rozłożył ręce: uszkodzenie było poważniejsze, niż przypuszczał; nie mógł go usunąć naprędce.

Piotr chciał wiedzieć, o co tam właściwie chodzi.

- Przypuszczam, że coś z oscylatorem - odrzekł Elmer.

- Niska częstotliwość działa, wzmacniacz i lampa głośnikowa chodzi, a odbioru nie ma.

- Ty mnie nie czaruj tym, co chodzi, tylko mów po ludzku, co mogło nawalić - powiedział Piotr.

Elmer odgarnął z czoła kosmyk włosów.

- Ja myślę, że cewki oscylatora są przepalone, a prawdopodobnie padding też przeбитo...

- Aha - mruknął Piotr. - Teraz dopiero nic nie rozumiem. Szkoda, że Józek nie wziął tej łopaty, może byś mi wtedy jaśniej wytłumaczył. Co trzeba zrobić, żeby ten twój pieroński padding i cewki... czego?... oscylatora?... Więc żeby to wszystko naprawić?

- Trzeba rozbebeszyć cały odbiornik, wyjąć oscylator, wymienić go albo dać nowe cewki, polutować je na złączeniach, a potem jeszcze dostroić padding do odpowiedniej częstotliwości - wyrecytował Elmer. - Tam jest taki rdzeń, który się obraca, i tym rdzeniem reguluje się...

- Dobrze już, dobrze. Masz zapasowe części?

- Do oscylatora?! - zdumiał się Elmer. - Skąd! Lampy zapasowe mam i takie tam różne drobiazgi, ale oscylator?!

- No to co będzie?

- Trzeba go wyciągnąć i chyba gdzieś w mieście...

- Słusznie - przerwał mu Piotr. - Wyciągaj i grzej do miasta kupić, co tam trzeba. Tylko, proszę cię, pośpiesz się, żebyśmy dziś mogli odlecieć.

Był rozdrażniony, ale się opanował. Wiedział, że nie wolno mu ryzykować przelotu bez łączności z ziemią, a z drugiej strony nie chciał, żeby Janczar mógł choćby przez chwilę przypuszczać, że się na nim zawiódł.

Wysłał Elmera do miasta i prosił Dobrowolskiego, żeby mu tam dopomógł. Sam poszedł telefonować do delegatury LOT-u w Sztokholmie i do Warszawy.

W niespełną godzinę uzyskał połączenie z dyrekcją i powiedział, o co chodzi, ale jak na złość nie było ani Modrakowskiego, ani jego zastępcy. Poprosił więc, żeby zawiadomiono szefa pilotów, że się spóźnił, i wrócił do maszyny.

Elmer z Dobrowolskim przepadli. Minęła jeszcze godzina, po czym przyjechał urzędnik delegatury, aby zająć się pasażerami. Piotr nie umiał mu powiedzieć, kiedy nastąpi start.

- Chyba najwcześniej koło drugiej po południu. Ale... bo ja wiem...

- Powiedzmy, o trzeciej? - spytał urzędnik.

- Możliwe.

- No, to pasażerowie mogą spokojnie zjeść obiad - ucieszył się tamten. - Iz ambasady zdążą wam dostarczyć pocztę. Tylko już przed trzecią nie odlatujcie. Ja zawiadomię Gdańsk i Warszawę.

- Dobrze - powiedział Piotr uspokojony tym zapewnieniem.

Około drugiej wrócili wreszcie Elmer i Dobrowolski zdobywszy potrzebne części zamienne (nie takie same - podkreślił Włodek - ale powinny się nadać).

Wkrótce potem Piotra wezwano do telefonu. Dzwonił sekretarz ambasady w sprawie owej poczty. Były tam jakieś pilne listy i przesyłki.

- Zależy nam na tym, żeby jeszcze dziś zostały dostarczone do Warszawy. Czy to się da zrobić?

Piotr zapewnił go, że tak. W każdym razie dziś odlecą. Prosił, żeby je natychmiast przysłano.

O czwartej Elmer zaczął z powrotem montować rozbebeszoną stację. Oscylator „chodził”, według jego wyrażenia, ale roboty było jeszcze na godzinę. Natomiast poczta dotąd nie nadeszła.

- Jak nie jedno, to drugie, psiakrew! - irytował się Piotr. Ale było jeszcze i trzecie: wał chmur, który od poprzedniego popołudnia prawie nieruchomo stał nad całym wybrzeżem, ruszył w stronę morza i zaciągnął grubą, szairą kurtynę między ziemią a niebem. Panował niezwykle o tej porze upał. Było duszno, powietrze przesycone wilgocią ani drgnęło, najłżejszy powiew nie poruszał liśćmi drzew. Komunikaty meteorologiczne zapowiadały skłonność do burz od Skagerraku po krańce Zatoki Botnickiej i Fińskiej oraz w całej północno-wschodniej Europie, a główny front burzowy sunął od zachodu, znad Morza Północnego, przeciągnął nad Jutlandią i Sundem, objął Rugię, Zatokę Pomorską i Bornholm, sięgał po Oland i Gotland, toczył się poprzez Niemcy i Polskę.

Dobrowolski po raz trzeci zmienił plan lotu i po naradzie z Piotrem postanowił lecieć ponad chmurami, na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów, gdzie spodziewał się naj znośniej szych warunków.

Wreszcie o samym zachodzie słońca przyjechał samochód ambasady przywożąc pocztę, którą odebrał urzędnik ministerstwa powracający do Warszawy. Elmer był

gotów już od pół godziny i nawet zdążył coś zjeść w bufecie portu.

Pasażerowie zajęli miejsca, Józek Cygan zapuścił silniki i Piotr zapaliwszy światła pozycyjne wykołował na pas startowy według wskazówek kierownika ruchu.

W tej chwili pierwszy słaby podmuch wiatru jak westchnienie przeszedł po lotnisku. Wśród obłoków utworzyła się luka, olbrzymia łuna zachodu wylała się na niebo i zaraz zgasła, jakby zdmuchnięta nowym, silniejszym powiewem. Szybkie, pełzające cienie ścieliły się po ziemi jak czarna, nieuchwytna mgła. Dokoła lotniska błysnęły czerwony różaniec lamp granicznych i czerwone światła przeszkód stanęły na straży u szczytów hangarów i budynków, na masztach goniometru, na wieży jakiegoś kościoła.

Piotr otrzymał zezwolenie na start i wypróbował silniki ruszył. Szeroka, ciemna wstęga betonu z linią małych lampek pośrodku zaczęła sunąć między rozkraczone golenie podwozia. Rząd światełek biegł coraz prędzej, dzielił się jakby na świecące pojedyncze krople, które zdawały się unosić nad bieżnią pędząc wprost pod gondolę. Wtem zwolniły, opadły niżej, rozstały się szerzej: maszyna wyszła w powietrze.

Piotr przełączył się na przedział Elmera.

- Halo, Włodek! Pożegnałem się z Kontrolą. Jak twoja stacja?.

- Chodzi - odrzekł Elmer. - Zaraz nadam meldunek.

- Nadawaj. Pewnie pójdziemy wyżej. Potem do kabiny nawigacyjnej:

- Heniek, wchodzimy nad morze.

I - głos Dobrowolskiego:

- Dobra. Steruj sto siedemdziesiąt stopni, możesz iść przez chmury.

Łomot silników potężnieje. Cygan kładzie dłoń na gałkach dźwigni, zestraja rytm, żeby nie jęczały. Flisak śledzi poruszenia jego palców, spogląda na licznik obrotów, którego strzałka wolno posuwa się w górę: 1 800 - 1 900 - 2 000...

Za oknami kabiny przewiewa ciemny welon - jeden - drugi. Potem bliska, gęsta ciemność jak sadza opada z góry i pędzi w tył. Od dawna nic już nie widać w dole: ani morza, ani wysp i wysepek, ani brzegu na prawo. W jasnej kabinie profil Piotra odbija się w szybie, pulsują manometry, busola przestaje się wahać i 170° staje nad kreską kursową.

Nagle maszyna przysiada i rzuca się w górę, jakby skacząc przez niewidzialny próg. I zaraz nerwowo chybot w lewo, w prawo, znów w lewo - jak potknięcia na wybojach.

Natychmiast reagują przyrządy: sztuczny horyzont, wariometr, szybkościomierz. Wszystko uspokaja się na chwilę i - znów przechył! Znów uskok! Obryw! Unik!

- Tańczy - mówi Flisak.

Piotr rzuca mu krótkie spojrzenie.

- Nawet nie tak bardzo. Sama wraca. Dobrze leży w powietrzu.

Cygan spogląda na wysokościomierz. Wskazówka mija 2100 metrów. Trzeba włączyć ogrzewanie kabiny pasażerskiej, bo chłód wciska się do wnętrza. Józkowi nadarza się sposobność krótkiej rozmowy z panną Zosią. Ale Piotr natychmiast czuje na sterze większe obciążenie ogona.

- Kogo tam nosi po gondoli?

Flisak odwraca się i widzi tych dwoje w tyle, u grodzi przedziału bagażowego.

- To Cygan - mówi do Piotra. - Poszedł uregulować ogrzewanie.

Piotr spogląda w lusterko przed sobą, parska śmiechem.

- To po waszemu nazywa się ogrzewanie?! Zawołaj go, niech je sobie reguluje kiedy indziej, nie teraz, jak lecimy na przyrządy!

Cygan wraca, trochę zmieszany.

- Bo ona sobie nie mogła poradzić z odwietrnikami - tłumaczy się.

Elmer wychyla głowę i wykrzywia pociesznie twarz, która nieodparcie przypomina dziadka do orzechów.

- Swojej babci opowiedz!

- A ty pilnuj swego oscylatora, bo jak ci znów nawali...

- To co?

- To się będziesz czuł jak żaba w pudrze - oświadcza Cygan.

Ta groźna przepowiednia czy też ostrzeżenie, poparte niezwykłym porównaniem, odnosi skutek: Włodek wraca do odbiornika i usiłuje odtworzyć sygnały dochodzące wśród trzasków i nieustannego chrobotania bliższych i dalszych wyładowań w chmurach. Lecz teraz owe zakłócenia odbioru nie są spowodowane niedomaganiem aparatury. Powietrze jest przesycone elektrycznością; wraz z frontem niżowym nadciągająca burza elektryczna.

Oto raz po raz mrugają żarówki, drobne iskierki kłują w palce, gdy ktoś zbliży dłoń do metalowych uchwytów i rękojeści, skaczą pomiędzy zaciskami szyb, przebiegają po krawędziach skrzydeł niewidocznych w mroku, siadają na śmigłach. Busola drga, czasem odchyła się to w lewo, to w prawo, jakby z powątpiewaniem kręciła głowę. Nie można już na nią liczyć z całą pewnością.

Ale gruba warstwa chmur zaczyna tu i ówdzie blednąć. Rozpylona sadza za oknami przybiera odcień popiołu, potem bieleje, robi się matowosrebrzysta i wreszcie

opada w dół, a z lewej strony do kabiny zagląda księżyc w pełni.

Jest jeszcze nisko, jeszcze trochę żółtawy, ale za to gwiazdy świecą jak brylantowe guzy na aksamicie nieba. Pod maszyną, która teraz błyszczy jak wielki szczupak płynący w krystalicznej toni, leżą ławice pereł, wznoszą się rozpostarte skrzydła olbrzymich łabędzi, wyrastają śnieżne, poszarpane grzbiety górskie i kopuły świątyń, ścielą się długie smugi puchu, odwijają się w górę pierzaste grzebienie zwiewnych fal. Na olśniewającej bieli kładą się cienie popielate, szare i czarne. Gdzieś otwiera się przepaść bez dna lub spiętrza się wzdęte, pękate grono kulistych bań.

Wtem cały ten wsłaniały, bajeczny świat, skąpany w chłodnym blasku, zaczyna szarzeć. To inne, wyżej płynące obłoki przyćmiły światło księżyca. Ich długie, gęste kolumny ciągną jak potężna armia z północo-zachodu na południowy wschód. Zagarniają horyzont w tyle za samolotem, jakby zamierzały odciąć mu odwrót. Gaszą księżyc...

Tymczasem maszyną przestaje rzucać i Piotr zmniejsza obroty.

- Postaraj się o fix - mówi do Elmera. - Nasza busola wskazuje równie dobrze godzinę i temperaturę, jak kurs. Nic jej nie wierzę.

Lecz zaburzenia elektryczne trwają. Odbiornik szczeka, kwiczy, kaszle, a stacja prowadzenia zaniemówiła zupełnie.

- Zostawcie to - odzywa się ze swego przedziału Dobrowolski. - Zaraz ci dam namiar, Piter.

Przyczepia do guzika na piersi kieszonkową latarkę, kładzie na stoliku nawigacyjnym sekstans, otwarty notatnik i ołówek, opuszcza szybę i gasi żarówkę w swojej kabinie.

Przez chwilę nic nie widzi, nawet gwiazd. Ale potem

jego źrenice przystosowują się do ciemności. Oto w głębi nieba przegina się kapryśnie szlak Drogi Mlecznej, Wielka Niedźwiedzica zdaje się spoglądać z góry na odwieczny tor Ziemi, wysoko na północy tkwi niezawodnie Polaris, Orion czuwa z przypasowanym mieczem, a na wschodzie podnosi się Wega. Dobrowolski spogląda jeszcze na Jupitera, a potem na południe, gdzie w konstelacji Wielkiego Psa świeci wspaniale Syriusz.

Potrzebne mu są tylko trzy gwiazdy spośród wielu, które mogłyby wskazać pozycję samolotu. Trzy jasne, dobrze widoczne, którymi posługiwał się wielokrotnie nad Atlantykiem: Wega, Syriusz i Polaris, czyli Gwiazda Północna.

- Uwaga, Piotrze! - mówi do mikrofonu. - Prowadź maszynę jak po desce. Zaczynam „sighty” [tu: celować sekstansem].

- Zrobione - odpowiada Piotr.

Silniki grają spokojnym basem. „If” płynie nad skłębioną, ciemną masą chmur niby łódź po stawie.

Dobrowolski składa się, celuje: raz - dwa - trzy - cztery - pięć - sześć szybkich „shootów” [tu: namiarów astronomicznych], błysk latarki, rzut oka na zegarek, zapis czasu i wartości kąta. Syriusz jest załatwiony. Teraz Wega: namiary, błysk latarki, czas, zapis wysokości. Wreszcie Polaris.

Skończone. Pożegnalny gest dłonią dla przewodniczek lotników i marynarzy. Dobrowolski ujmuje mikrofon, zbliża go do ust i mówi:

- Dziękuję, zaraz policzę.

Zamyka okno, zapala żarówkę, siada przy stoliku. Kilka prostych działań, kilkanaście cyfr i - wynik: trzy linie, które przecinają się na rozłożonej mapie, dokładnie w tym

miejscu, gdzie na północo-zachodnim brzegu wyspy Gotland jest małe kółeczko z napisem: Visby.

Dobrowolski stawia tam krzyżyk; to jest ich pozycja.

- Jesteśmy na kursie, Piotrze - mówi do mikrofonu.

Pod nami Gotland. Minęliśmy Visby.

Cygan trąca w bok Flisaka.

- No? - mówi takim tonem, jakby to była wyłącznie jego własna zasługa.

- Wiadomo! - zgadza się Flisak.

Te dwa słowa wyrażają uznanie dla Piotra, który nie zбочzył z kursu w tych trudnych warunkach.

Cygan jeszcze dodaje: - Chorroba! - po czym otwiera krany środkowych zbiorników paliwa i zamyka zewnętrzne.

Tymczasem wśród pustyni obłoków pod samolotem otwiera się głęboki czarny krater. Na jego dnie można dostrzec tlejące iskierki. To zachodni brzeg Gotlandu. Biaława, ledwie widoczna linia piany zdradza gwałtowny przy bój fal. Jakaś latarnia morska trzema poziomymi promieniami omiata przestrzeń.

Dobrowolski zapisuje pozycję w dzienniku nawigacyjnym. Potem pizez telefon pokładowy pyta Elmera:

- Macie łączność z ziemią?

- Od czasu do czasu - mówi Elmer. - Strasznie trzeszczy.

- Spróbujcie nadać, że wchodzimy nad Revsudde. Wysokość dwa tysiące dwieście.

Elmer próbuje i po kwadransie udaje mu się osiągnąć porozumienie z Gdańskiem. Ale jego sygnały trudno tam odebrać. Powtarza je kilkakrotnie, wreszcie: „Zrozumiano”.

Tamtejszy komunikat o stanie pogody przychodzi w formie tak zniekształconej i fragmentarycznej, że można się tylko domyślać jego treści: gwałtowne opady, pułap od zera

do stu metrów, wiatr północo-zachodni... Potem jeszcze coś, czego niesposób zrozumieć.

- Może się poprawi, jak będziemy bliżej - odpowiada Piotr wysłuchawszy tego meldunku.

Luka wśród chmur w dole zamyka się, natomiast księżyc wypłynął wyżej i znów zalewa światłem nierówną powierzchnię obłoków, które zwały się nad morzem. Jest teraz mniejszy, ale za to wypolerowany, lśniący jak srebrna misa.

- Za małą godzinę powinien być Gdańsk - mówi Dobrowolski.

Piotr oddaje Flisakowi stery, sam zapala papierosa. Dotąd wszystko idzie pomyślnie, ale jak będzie w Gdańsku?

Odpowiedź na to pytanie nadchodzi w chwili, gdy Dobrowolski po raz drugi namierza się na trzy wierne towarzyski: Syriusza, Węgę i Gwiazdę Północną. Dwie pierwsze zdążyły tymczasem zmienić położenie w stosunku do trzeciej, która tkwi nieruchomo. Wielki Wóz też się nieco obrócił, a Orion nieznacznie posunął się w swym conocnym marszu.

Dobrowolski chwyta na wizjer „przewodniczki łodzi”, zapisuje, oblicza, kreśli i oznacza pozycję. Nowy czarny krzyżyk zjawia się na mapie: 55°11' szerokości północnej i 18°22' długości wschodniej.

- Jesteśmy na kursie, koło dwudziestu kilometrów na północ od Helu - mówi do mikrofonu.

- Dziękuję - odpowiada Piotr. - Włodek, słyszałeś? Włodek!

- Zaraz - odzywa się Elmer. - Przyjmuję depeszę.

Potem notuje ostatnie cyfry i zespoły liter, tłumaczy je na zwykły, ludzki język i odstukuje kluczem: „Zrozumiano”. Teraz do Piotra:

- Halo, Piotrze!

- Słucham - zgłasza się Piotr.

- Lotnisko we Wrzeszczu nie bardzo może nas przyjąć.

Mają tam chmury do samej ziemi, w przerwach gęstą mgłę, a poza tym radiolatarnię uszkodzoną przez burzę. Mogliby nas sprowadzić do lądowania tylko na ZZ - goniometrem. Pytają, czy nam wystarczy paliwa do Warszawy albo przynajmniej do Bydgoszczy. Czekają na odpowiedź.

- Zaraz - mówi Piotr i zwraca się do Cygana: - Ile mamy benzyny?

Benzyny jest dosyć; starczy nawet do Krakowa. -> Więc słuchaj, Włodek!

- Słucham.

- Odpowiedz im, że lecimy do Warszawy. Niech tam Wrzeszcz zawiadomi Okęcie.

- Tak jest.

Piotr wywołuje Dobrowolskiego.

- Haniu, kurs na Warszawę. Nie lądujemy w Gdańsku.

- Słyszałem. Zaraz będziesz miał kurs.

- Zawiadomić pasażerów? - pyta Cygan.

Piotr kiwa głową.

- Tylko Zosi nie tłumacz za długo, o co chodzi, i nie w samym końcu gondoli.

- Ojej - wzdycha Józek. - Co jej mam tłumaczyć!

Głos Dobrowolskiego odzywa się znowu:

- Kurs na Warszawę sto pięćdziesiąt jeden.

- Sto pięćdziesiąt jeden - powtarza Piotr.

Podczas gdy Dobrowolski porozumiewa się z Elmerem co do treści meldunku, jaki należy zaraz nadać, Flisak lekko naciska lewy pedał orczyka i maszyna powoli zbacza, busola zaś obraca się w prawo: sto siedemdziesiąt - sto sześćdziesiąt - sto pięćdziesiąt - sto czterdzieści siedem...

I z powrotem: sto czterdzieści siedem - sto pięćdziesiąt - sto pięćdziesiąt jeden.

Elmer nadaje kluczem trzyliterową nazwę stacji gdańskiej, potem sygnał wywoławczy samolotu i - słucha. Odbiór poprawił się nieco: mniej trzeszczy.

Jest odpowiedź! Stacja zgłasza się i milknie, a spod czułych palców Elmera zrywają się kreski i kropki depeszy:

SP-ALL ze Sztokholmu. Lecimy do Warszawy, kierunek na Jastarnię z pozycji 55°N 18°30'E. Wysokość 2 200, do chmur pod nami 100-200 metrów. Mamy paliwa na trzy godziny.

Tomasz Zdybel przyjął samolot z Paryża (przez Brukselę i Berlin) o szesnastej, potem z Pragi o siedemnastej dziesięć i czekał na SP-ALL, którego przylot ze Sztokholmu przez Gdańsk uległ opóźnieniu.

Burza z ulewnym deszczem przewaliła się nad lotniskiem między osiemnastą a dziewiętnastą, lecz później wiatr ucichł. Tylko chmury ciężkie i niskie ciągnęły leniwie na wschód, a z wilgotnej ziemi wstawała mgła.

O dziewiętnastej trzydzieści zgłosiła się telefonicznie stacja SLP, żeby zawiadomić kierownika Kontroli, iż samolot „Il-12” ze znakami SP-ALL nie będzie lądował w Gdańsku, tylko leci wprost ze Sztokholmu do Warszawy. Prawdopodobnie za godzinę znajdzie się nad Okęciem.

- Dobrze - powiedział Zdybel. - Dziękuję.

Powtórzył tę wiadomość swemu pomocnikowi Kawce, spojrział przez oszkloną ścianę „wieży” i potarł dłonią łysinę, co było u niego oznaką niepokoju.

Za oknami stała ciemność i mgła. Zdawały się zbliżać do szyb, napierać na nie jak czarny tłum nocnych duchów. Wzrok nie przenikał dalej, bo wewnątrz Kontroli odbijało się w szybach jak w lustrze.

Zdybel wstał od pulpitu z pochyłym blatem, na którym pod płytą mlecznego szkła znajdował się plan świetlny portu, i podszedł do okna, aby je otworzyć.

Blask z „wieży” bił na wszystkie strony, lecz nie docierał do ziemi. W promieniach światła wirowały roje maleńkich kropelek wilgoci, z dachu kapała rosa, powietrze było chłodne, pachniało mokrym popiołem.

Zdybel przetaił okulary, które mu zapotniały, wrócił do pulpitu i włączył światła graniczne. Na mlecznej tafli dokoła wyrysowanych tuszem pasów startowych i budynków zabłysnął rubinowy naszyjnik.

Drugi przełącznik - i pośrodku bieżni numer jeden zjawił się prosty rząd pereł zakończony z jednej strony trzema szmaragdami, z drugiej zaś trzema rubinami. Nieco dalej. - trzy żółte topazy oznaczające wlot. Na przedłużeniu tej linii znajdują się dwie radiolatarnie: pierwsza o trzysta metrów przed skrajem lotniska, druga o trzy kilometry.

Ale kierownik Kontroli nie myślał w tej chwili o radiolaterniach, których zresztą nie było na planie i których nie mógłby dojrzeć z „wieży” nawet za dnia. Chciał się tylko przekonać, czy pilot zdoła dojrzeć granice lotniska, światła wlotowe i pas lądowania.

Znów podszedł do okna.

Po lewej stronie czerwone lampy majaczyły jak przez matowe szkło. Dalej rozplywały się, ginęły. Widać było także tylko początek drogi startowej. Natomiast w żaden sposób nie mógł dojrzeć światła tak zwanego „karawanu”, czyli budki startowej na kołach, która powinna była stać na lewo od żółtych świateł wlotowych.

W „karawanie” pełnił służbę Iwański, młody, bystry chłopiec, któremu można było zaufać. Mimo to i mimo że „karawan” został przyholowany jeszcze za dnia, Zdybel

postanowił się upewnić, czy jest na właściwym miejscu. Obejrzał się na Kawkę.

- Powiedźcie Iwańskiemu, żeby zobaczył, czy na budzie jest czerwone światło.

Kawka włączył mikrofon.

- Halo, karawan!

Iwański natychmiast się zgłosił. Dowiedziawszy się, o co chodzi, wyszedł z wozu, stwierdził, że ostrzegawcza lampa na dachu jest zapalona, i po chwili jego głos odezwał się z głośnika:

- W porządku, szefie. Światło jest. A kiedy oni przylecą?

- Za godzinę. Może za niecałą - odrzekł Kawka. - Wyłączyć, szefie? - zwrócił się do Zdybią.

- Wyłącz - mruknął tamten. - Może z góry widoczność jest lepsza - pomyślał.

Na wprost granica rozłaziła się, gineła w mroku, zlewała się z otaczającym ją terenem. Tylko od czasu do czasu to tu, to tam migotało czerwone światełko jak iskra w popiele, przeciekało przez ciemność i wsiąkało w cuchnącą mgłę. Czarna, ślepa noc pełzła stamtąd ku „wieży” i stawała przed twarzą Zdybią jak ściana. Zdawało mu się, że może jej dotknąć. Wysunął rękę, ale poczuł tylko wielkie krople wody kapiące z dachu.

Za jego plecami zadzwonił telefon.

- Tu Kontrola-Okęcie - zgłosiła się telefonistka Maria.

- Tak, już notuję.

Kawka stanął obok, zaglądał jej przez ramię.

- Co tam? - spytał Zdybel nie odwracając się.

- Komunikat meteo dla lotniska - powiedział radiotelegrafista.

Maria skończyła pisać i na żądanie nadawcy

powtórzyła głośno treść - szereg liczb i skrótów. Zdybel w myśli przekładał je na słowa i zdania; znał kod meteorologiczny na pamięć. Od poprzedniego komunikatu widoczność pogorszyła się, a ciśnienie na poziomie lotniska spadło.

Zamknął okno, przeszedł się po ciasnej kabinie, wyłączył wszystkie światła nawigacyjne i rozkraczywszy krótkie, pałakowate nogi, z rękami założonymi w tył stanął na wprost swego pulpitu.

Maria zapytała, która to załoga leci ze Sztokholmu.

- Maresza - odrzekł Zdybel. - Dobra załoga. I dobry kapitan. A jeszcze mają Dobrowolskiego na dodatek. Ale w taką noc.

Przetarł znów okulary i spojrział na zegar nad pulpitem. Dziewiętnasta czterdzieści pięć.

- Dopiero?!

Tak: czas niekiedy mija wolno, wlecze się, marudzi, zdaje się przystawać i odpoczywać; niekiedy jednak pędzi jak szalony. Teraz krótka czarna wskazówka tkwi nieruchomo w pobliżu cyfry osiem, cokolwiek poniżej, a dłuższa jakby się zastanawiała: minąć zgarbioną dziewiątkę z wielką, nieco pochyloną w dół głową czy nie mijać? Lecz trzecia - czerwona, prosta jak włócznia - zbliża się truchcikiem z dołu, popędza je, wyprzedza, pociąga za sobą, szepcząc sekundami: Raz, dwa, trzy, cztery... Raz, dwa, trzy, cztery!

Wiatr budzi się, przeciąga za oknami długim westchnieniem, strąca kilka ciężkich kropel, które cykają o beton galeryjki, i znów zasypia. W tej samej chwili w rogu pulpitu porusza się strzałka na tarczy wskaźnika, dociera do kreski z literą E i staje. Lecz ani żółty, ani czerwony sygnał się nie zapala; świeci tylko biały: „Cisza”.

Kawka zaszeleścił gazetą. Maria odłożyła książkę,

poprawiła się na skrzypiącym krześle. Już od dłuższej chwili nie mogła czytać: litery skakały jej przed oczyma, ale udawała, że nadal jest zajęta lekturą. Nie chciała, żeby tamci zauważyli.

Załoga Maresza... Tam był radiotelegrafistą Włodek Elmer. Poznała go niedawno. Bardzo się jej podobał. Taki sympatyczny, poważny chłopiec. Dwa czy trzy razy odprowadził ją do domu - zapewne dlatego, że mieszkał w tej samej dzielnicy, ale zawsze... Nie był ani natrętny, ani zuchwały.

W zeszłym tygodniu poprosiła go, żeby jej naprawił budzik, stary grat, którego żaden zegarmistrz nie chciał przyjąć do naprawy. A on to zrobił na poczekaniu!

Potem okazało się, że jest synem zegarmistrza z Lublina. Maria też była z Lublina i zaraz doszukali się wspólnych znajomych.

Więc on leci w tę okropną pogodę ze Sztokholmu... - pomyślała. - Będą tu - spojrzała na zegar - za pół godziny. Żeby im się tylko co nie stało... Obejrzała się na Zdybią.

- Gdzie oni mogą być teraz, szefie?

Spojrzał na nią przychylnie; myślała o tym samym co on. Może niepokoiła się o nich.

- Powinni mijać Lidzbark - powiedział. Podszedł do mapy, Maria wstała i zbliżyła się także.

- Tu - pokazał palcem. - Na połowie drogi z Gdańska.

- A trafią?

- Z Lidzbarka? - uśmiechnął się. - Dlaczego by nie mieli trafić? Jak ze Sztokholmu trafili do Gdańska, to i dalej trafią.

Jedna z kłapek centrali telefonicznej opadła z cichym trzaskiem, zaterkotał sygnał i ukazało się światelko. Maria pośpieszyła na swoje miejsce, włączyła przewód.

- Kontrola-Okęcie. Słucham.
- Tu „Paweł”. Jest tam Zdybel?
- Łączę z kierownikiem - odpowiedziała. Zdybel zdjął słuchawkę aparatu na pulpicie.
- Słucham.
- Tu „Paweł” - usłyszała Maria. - Mówi Gładzik.
- No?
- Zgłosił się SP-ALL. Lecą nad Lidzbarkiem. Będą tu za pół godziny.

- Dobrze. Dziękuję - odrzekł Zdybel.

Spotkał pełne podziwu spojrzenie Marii. Uśmiechnął się zadowolony z wrażenia, jakie wywarła jego trafna ocena pozycji samolotu.

- Nie ma się co o nich martwić. To dobra załoga - powtórzył.

Uspokajał ją i siebie zarazem. Wiedział przecież, co to jest lądowanie w taką noc, w taką mgłę...

Drobny, na pozór nieznaczny błąd czy też omyłka może mieć nieobliczalne następstwa. Choćby takie ciśnienie... Pilot według podanego stanu barometru wprowadzi poprawkę do wskazań wysokościomierza. Jeżeli omyli się o kilka milimetrów ciśnienia, błąd wysokościomierza może wynieść kilkadziesiąt do stu metrów.

To znaczy, że maszyna idąca do lądowania może zostać wyrównana sto metrów nad ziemią lub wyrznąć w ziemię, która jest tuż pod kołami, podczas gdy pilot spodziewa się jej o sto metrów niżej... A przecież może się pomylić nie tylko pilot, lecz ktokolwiek z całego łańcucha ludzi: meteorolog mierzący ciśnienie, telefonistka przyjmująca komunikat lub radiotelegrafista, który go przekazuje załodze samolotu... Dlatego w lotnictwie nie ma

spraw błahych i nieważnych, a każda praca nakłada na wykonawców wielką odpowiedzialność.

Zdybel powtarzał tę prawdę przy każdej sposobności, zarówno swoim podwładnym, jak pracownikom innych działów - na wykładach. Lecz pomyłki zdarzały się czasem i to napełniało go obawą.

Jakiś samochód cicho wjechał przed podjazd, stanął; trzasnęły drzwi. Znajomy głos na dole:

- Tak, będziemy na nich czekać!

Zdyblowi wydało się, że to szef pilotów.

Specjalnie z miasta przyjechał? No, no! Tak zresztą być powinno - pomyślał. - Pewnie tu przyjdzie.

Usiadł przy pulpicie. Zegar nad nim odmierzał nadal cierpliwie, bez pośpiechu sekundy, kwadranse. Cisza dzwoniła w uszach.

Wtem nie rozłączony przez Marię telefon zaterkotał nerwowym, długim sygnałem. Zdybel drgnął, ujął słuchawkę.

- Kierownik Kontroli-Okęcie.

To znów był Gładzik, radiotelegrafista SLP, czyli stacji prowadzenia „Paweł”. Zawiadamiał, że oczekiwany samolot ze Sztokholmu zbliża się do lotniska.

- Zaraz się przełączą na was. Wszystko w porządku. Ostatnia ich pozycja - Zakroczym.

Zaraz potem na pulpicie pod kontaktem głośnika błysnęło czerwone światło. Zgasło, błysnęło znowu, znów zgasło i znów błysnęło. Ktoś wywoływał Kontrolę.

Zdybel włączył obwód. Odezwał się trochę zniekształcony głos Piotra Maresza:

- ...Kontrola, halo Kontrola! Tu SP-ALL, SP-ALL ze Sztokholmu.

- Zrozumiano, SP-ALL. Tu Kontrola-Okęcie. Podaję warunki na lotnisku.

Kawka położył przed nim ostatnią notatkę posterunku meteorologicznego: ciśnienie, podstawa chmur, widoczność, kierunek wiatru.

Zdybel w swój monotony sposób odczytywał dane. Potem powiedział:

- Zejdźcie na trzysta metrów. Włączam światła - i wymieniał je kolejno: - Graniczne i przeszkód. Wlot. Pas startowy numer jeden. Lądowanie na jedyńce - dodał. - Na kierunku radiolatarni, ze wschodu na zachód.

- Dobrze - odezwał się Piotr. - Odchodzę do lądowania na radiokompas. Na razie nie widzę żadnych świateł. Będę próbował.

Zdybel bębnił palcami po mleczej szybie pulpitu, gdzie czerwono, biało, żółto i zielono mienił się plan świateł Okęcia.

Zaczęło się - pomyślał.

Wyobrażał sobie skupioną twarz Maresza i jego oczy wpatrzone w tablicę zegarów. Maszyna wchodzi w chmury, zapada w nie coraz głębiej i głębiej. Nieomylnie, czułe przyrządy wskazują, skręt, malejącą wysokość, szybkość, którą należy utrzymać, kierunek...

Pilot zatacza szeroki łuk z zachodu na wschód w sektorze na północ od Warszawy. Czeka na pierwszy sygnał radiolatarni.

Jeżeli szedł właściwym kursem, jeżeli nie zboczył zanadto w lewo lub w prawo, lada chwila powinien usłyszeć i zobaczyć ten sygnał. Najpierw radiokompas wskaże mu kierunek na zewnętrzną radiolatarnię: strzałka wychyli się o ileś tam stopni, a już jego sprawą będzie tak manewrować samolotem, żeby osiągnąć kurs zerowy. Wtedy w słuchawkach zacznie brzęczeć wysoki, ciągły ton, a na tablicy przyrządów zapali się środkowe białe światło. To

światło, zero na radiokompasie i nieprzerwane, wysokie „cis” w słuchawkach wskazują, że samolot zbliża się wprost na radiolatarnię odległą o trzy kilometry od skraj lotniska. Gdyby zbaczał w lewo, zgaśnie biała żarówka na tablicy zegarów i zapali się czerwona, a w słuchawkach zaczną się świergot szybko po sobie następujących urywanych tonów-kropek. Jeśli zaś zboczy w prawo, pilota ostrzeże natychmiast prawe światło zielone i kropki wydłużą się w kreski.

Sztuka prowadzenia maszyny we właściwym kierunku polega na utrzymaniu jej w łożu białego światła i ciągłego tonu brzęczyka. Nie jest to jednak łatwa sprawa w ślepych locie pośród chmur, mgły i ciemności. Kierując się wskazaniem radiokompasu, sygnałami akustycznymi i optycznymi, które pokrywają się z sobą, pilot musi niemniej uwagi poświęcać przyrządom nawigacyjnym i silnikowym; musi utrzymać szybkość, wysokość, równowagę poprzeczną i podłużną; musi natychmiast reagować sterami i ciągiem silników; wreszcie musi wypatrywać, czy nie błysną gdzieś w mroku ostrzegawcze czerwone światła; na masztach, na kominach, na wieżach i budynkach. Jeśli tego zaniedba, jeśli nie dostrzeże w porę niebezpieczeństwa, jeśli coś ujdzie jego czujności, może nagle zderzyć się z niewidoczną przeszkodą i zwalić się na ziemię.

Dlatego ma do pomocy drugiego pilota i mechanika. Oni dzielą z nim pracę. Ale tylko on sam za wszystkich odpowiada: od jego umiejętności, spokoju, przytomności umysłu wszystko zależy.

Zdybel znał Maresza dobrze. Wiedział, że Piotr jest wytrawnym pilotem, który nieraz lądował w podobnych warunkach, nawet bez radiolatarni. Lecz spoglądając teraz przez otwarte okna w ciemną, moką przestrzeń, zawałoną mgłą i zakorkowaną chmurami, niepokoił się bardziej niż

kiedykolwiek.

Na wschodnim skraju lotniska, na przedłużeniu betonowej bieżni stała niska, żółta luna świateł wlotowych. Ich blask, rozpraszany i pochłaniany przez mgłę, mógł sięgać do wysokości piętnastu, może dwudziestu metrów. Z góry wyglądał zapewne jak plama nieco jaśniejsza od otoczenia. Lamp granicznych nie było widać, a pas startowy ciągnął się jak mleczna smuga rozplywająca się w oddali. Miękka, głucha cisza tuliła się do ziemi przykrywając ją jakby grubą warstwą waty. Żaden szmer, żaden odgłos nie mógł jej przeniknąć.

Nagle wśród tej ciszy zachrypiał głośnik:

- Kontrola, Kontrola. SP-ALL. Wchodzimy na kurs radiolatarni. Wysokość trzysta.

Zdybel odetchnął.

- Zrozumiano, SP-ALL. Zrozumiano - powiedział do mikrofonu.

Obejrzał się na Marię i porozumiewawczo skinął głową, po czym znowu utkwiał wzrok w żółtej lunie wlotu.

Teraz z pewnością Maresz leci po prostej i już nie zboczy. Wysokie „cis” prowadzi go prosto na Okęcie. Mechanik wypuszcza podwozie, sprawdza, czy zostało zablokowane.

Za parę minut maszyna przejdzie nad zewnętrzną radiolatarnią i wtedy strzałka radiokompasu obróci się o sto osiemdziesiąt stopni, a w słuchawkach umilknie „cis” i odezwą się basowe kreski. Pilot będzie miał trzydzieści do czterdziestu sekund na ostateczne poprawki kursu: przełączy radiokompas na fale radiolatarni wewnętrznej, bliższej lotniska, i jeśli strzałka nie wskaże zera, ustawi samolot tak, aby się to stało. Teraz, będąc pośrodku między latarniami, powinien jak najdokładniej lecieć po linii, którą obie

wyznaczają; na przedłużeniu bowiem tej linii jest brama wlotowa i pas startowy, na którym ma wylądować. Jeśli przełączy się na latarnię, którą minął - powinien mieć sto osiemdziesiąt stopni na radiókompasie; jeśli na tę, która jest przed nim - zero.

Po owych trzydziestu lub czterdziestu sekundach zamiast basowych kresek odezwą się w słuchawkach kropki o bardzo wysokim tonie i ten nowy sygnał zawiadomi pilota, że maszyna przelatuje nad radiolatarnią, która jest oddalona od skrajów lotniska tylko o trzysta metrów. Można więc domknąć gaz: na wprost lada chwila ukażą się trzy żółte światła wlotu, za nimi zaś rząd białych lampek bieżni.

Tak powinno się to odbyć, ale... Głośnik chrypi:

- Minęliśmy zewnętrzną radiolatarnię. Wysokość dwieście pięćdziesiąt.

A po chwili:

- Jesteśmy na kursie. Jeszcze nie widzę wlotu.

- Zejdźcie niżej - mówi Zdybel. - Jest bardzo gęsta mgła.

- Schodzimy na sto metrów - odpowiada Piotr. - Nic, psia krew, nie widać!

Zdybel trze łysinę. Sekundy, które teraz uciekają w popłochu, są decydujące. Maria zagryza wargę aż do bólu. Kawka stoi pośrodku, zwrócony w stronę otwartego okna. W ciszy budzi się daleki, zduszony warkot silników, zbliża się, nabiera mocy.

- Uwaga, Iwański. Maszyna schodzi.

- Ja uważam - mówi Iwański bardzo głośno. - Tu jest ze mną szef pilotów.

To dobrze - myśli Zdybel. - To dobrze, że on tam jest: gdyby Maresz podszedł za wysoko albo za nisko, gdyby miał wpaść na hangary, gdyby zaszło coś nieprzewidzianego,

Janczar go ostrzeże.

Maresz melduje:

- Mijam wewnętrzną radiolatarnię. Gdzie ten cholerny wlot? Czy na pewno są światła?

Zdybel spogląda z niepokojem w lewo. Światła oczywiście są: trzy żółte kolumny wsiąkające w mrok. Ale w tej ćmie łatwo można ulec złudzeniu: można je wziąć za oświetlony plac czy też gmach miejski, a bladą smugę drogi startowej - za ulicę.

- Są światła - mówi.

Jednocześnie włącza silny reflektor skierowany na pas startowy. Snop zimnych, błękitnawych promieni uderza we mgłę jak w tiulową zasłonę: nie przenika jej wcale...

- Widzę wlot - mówi Maresz. - Zgaście ten przekłety reflektor! Do chrzaniu mi potrzebny!

Zdybel natychmiast go wyłącza, a Kawka woła:

- Dobrze nalatują! Patrzcie...

Dwie iskry - bliższa zielona, dalsza czerwona - płyną nad mętą ścieżką bieżni. Z głośnika odzywa się wyraźny, pewny głos Janczara:

- Dobrze, Maresz! Doskonale! Tylko trzymajcie kierunek i ostrożnie z hamulcami!

Maria cichutko pochlipuje. Słysząc daleki chrobot amortyzatorów: pneumatyki kół liznęły mokry beton, przywarły do jego powierzchni. Białe tylne światło drga, zwalnia.

- Kontrola, Kontrola. SP-ALL na ziemi. Proszę o dokładny czas.

Zdybel z trudem przełyka ślinę.

- SP-ALL, tu Kontrola. Dokładny czas: godzina dwudziesta minut trzydzieści sześć. Możecie kołować z powrotem jedyką i zaraz na lewo. Maresz powtarza tą

ostatnią instrukcję. Potem pyta:

- Czy to szef pilotów jest w Kontroli?

- Jestem w „karawanie” - mówi Janczar. - Dobry wieczór, Piotrze.

- Dobry wieczór... Stachu - po sekundzie wahania.

A potem jeszcze raz:

- Kontrola! Pas numer jeden wolny! Dziękuję wam, Zdybel. Pewnie mieliście za nas pietra? Taka piorunska pogoda!

- Miałem - przyznaje Zdybel. - Ktoś się za was musi bać, a nas tu było do tego troje.

Silniki warczą raz mocniej, raz słabiej. Płomień bucha z rur wydechowych i znika.

Kazimierz Pacholczyk wyszedł przed podjazd i sygnalizuje ręczną latarką elektryczną. Głośniki w pustej poczekalni i na peronie budzą się nagle:

- Uwaga, uwaga! Spóźniony samolot ze Sztokholmu wylądował o godzinie dwudziestej trzydzieści *sześć* i zatrzymał się na podjeździe.

Rozdział XXIV

Piotr nie widział Hanki od miesiąca. Flisak, którego parę razy o nią zapytywał, odpowiadał, że Hanka ma jakieś egzaminy, że jest zapracowana, że on sam rzadko ją widuje. I ona, i Teresa Lorkówna cały wolny czas poświęcały akcji, jaką podjął Związek Młodzieży Polskiej przed zbliżającym się Kongresem Obrońców Pokoju.

Piotr też był zajęty. Przez dwa tygodnie zastępował Janczar a, który pojechał na urlop, a poza tym latał więcej niż kiedykolwiek: sześć dni z rzędu - Warszawa-Paryż i Paryż-Warszawa; potem dwa razy „ulgowo” do Pragi i z powrotem; cztery razy do Sztokholmu albo do Kopenhagi i znów raz „ulgowo” do Budapesztu, a potem znowu do Berlina,

Brukseli i Paryża.

Uwziął się, że już nigdy nic mu nie „nawali”; żaden oscylator, żadna cewka ani w ogóle cokolwiek. Zapowiedział to swojej załodze: „Jak chcecie być przodownikami, to musimy pracować tak, że mucha nie siada!”

Przyjęli to z zapałem; o to im przecież szło, a teraz Piotr sam ich zachęcał, pracował razem z nimi, poganiał ich, gdy dawniej oni musieli go namawiać na takie współzawodnictwo.

Za to prawie co drugą noc spędzali w Warszawie.

Pewnego wieczoru w końcu października odwiedził Piotra „sekretarz ambasady”. Był nader uroczystry i poprawny. Do tego stopnia, że nawet nie wtrącał francuskich wyrazów i powiedzonek gwarowych. Oświadczył, że się żeni z panną Julią Nabelcówną i że czułby się zaszczycony, gdyby Piotr zechciał być świadkiem na ślubie, który odbędzie się we wtorek, trzydziestego pierwszego, o godzinie jedenastej.

Piotr nie miał na to wielkiej ochoty, ale trudno było odmawiać. Zgodził się.

Malaine natychmiast porzucił ową niezwykłą dystynkcją, rozsiadł się wygodniej i zapaliwszy papierosa mrugnął porozumiewawczo.

- Wie pan, dowiadywałem się, co będzie ze złotem i banknotami, które zwędził ten idiota Surowiec. *Et, imaginez-vous* [niech pan sobie wyobrazi], Julia to wszystko otrzyma z powrotem.

- *Epatant* [zdumiewające] - wtrącił Piotr ironicznie.

- Domyśla się pan chyba, że to przyśpieszyło moją decyzję.

Piotr nie miał w tym względzie żadnych wątpliwości, ale nawet się nie uśmiechnął. Cynizm „sekretarza ambasady”

przestał go bawić. Stał się niesmaczny.

Po co ja się z nim wdaję? - pomyślał. - Tyle on wart co i Surowiec, tylko że sprytniejszy.

Żałował teraz, że zgodził się być świadkiem. Trzeba było wymówić się brakiem czasu. Postanowił, że wycofa się natychmiast po owej uroczystości i nie weźmie udziału w śniadaniu weselnym.

Malaine na szczęście miał coś pilnego do załatwienia i wkrótce go pożegnał. Natomiast Julia uparcie dotrzymywała mu towarzystwa podczas kolacji.

Miała nową suknię z granatowej wełny, trwałą ondulację, trochę uróżowane policzki; z upodobaniem przeglądała się w lustrze, lecz od czasu do czasu ogarniało ją w coś w rodzaju przerażenia czy może tylko zdumienia na tak niezwykły widok.

Usiłowała wyrazić Piotrowi swoją wdzięczność za to, że przyczynił się pośrednio do ujęcia Surowca. Zobowiązywała Opatrzność do wynagrodzenia tego czynu z lichwiarskim procentem.

Piotr nie mógł się jej pozbyć. Wypłoszył ją wreszcie w ten sposób, że zaczął się rozbierać. Pomyślał z rozpaczą, że chyba będzie musiał poszukać sobie innego mieszkania.

Lecz los mu sprzyjał. Dwudziestego dziewiątego października ogłoszono uchwałę rządu o zmianie systemu pieniężnego. Miało to między innymi ten skutek, że ślub Julii z „sekretarzem ambasady” został odłożony.

W parę dni później zostały podane szczegółowe zarządzenia Komisji Dewizowej o przymusowym zgłaszaniu walut zagranicznych i złota. Malaine się urzynał, do północy grał na skrzypcach, a przez następne dwadzieścia cztery godziny leżał w łóżku.

Julia powiesiła w szafie granatową suknię obsypawszy

ją naftaliną, zmyła róż z policzków, uczesała się po dawnemu i głośno wycierając nos krążyła między kuchnią a pokojem narzeczonego w swej sztywnej, zakonnej szacie.

Na trzeci dzień Malaine wyzdrowiał i udał się w podróż, która miała potrwać około dwóch tygodni. O nowym terminie ślubu jakoś nie było mowy...

Dziesiątego listopada o godzinie dziewiątej zero pięć załoga Piotra Maresza odleciała do Paryża przez Berlin i Brukselę. Wylądowali na lotnisku Le Bourget¹ zaraz po zachodzie słońca i w godzinę później przyjechali autobusem na Gare des Invalides [dworzec lotniczy w Paryżu]. Flisak, Elmer i Cygan zaraz poszli do kina; Piotr miał coś do załatwienia w biurze LOT-u na rue Taitbout; Dobrowolski chciał odwiedzić znajomych. Rozstali się więc, z tym, że spotkają się na kolacji.

Piotr, załatwiwszy sprawy służbowe, zamierzał przejrzeć gazety, gdy na ulicach ukazały się nadzwyczajne dodatki wieczornego wydania „l’Humanite”.

- Rząd Attlee przeciw pokojowi świata! - wrzeszczeli chłopcy biegnąc wzdłuż chodników z plikami zadrukowanych różowych arkuszy w rękach.

Piotr, zdobywszy jeden z takich dodatków, wszedł do małej kawiarni i szybko przebiegł wzrokiem treść depesz. Wszystkie dotyczyły Drugiego Światowego Kongresu Obrońców Pokoju w Sheffield, lecz nie zawierały żadnych rewelacji, z wyjątkiem jednej, tłoczonej grubym drukiem: rząd brytyjski w ostatniej chwili odmówił wiz wjazdowych ośmiuset delegatom różnych państw, a między innymi - profesorowi Fryderykowi Joliot-Cu-rie, przewodniczącemu Stałego Komitetu, i Janowi Lafitte, jego sekretarzowi.

Dalej podano szereg nazwisk delegatów i przewodniczących różnych delegacji, którzy wydali się

rządowi Labour Party zbyt niebezpiecznymi zwolennikami pokoju i postępu, aby ich wpuszczać na ziemię brytyjską. Należeli do nich: Piętro Nenni, Pierre Cot, Kuo Mo-żo, Szostakowicz, Fadiejew...

What a shame! [jaki wstyd] - pomyślał Piotr. - Bardzo wiele zmieniło się w starej, liberalnej Anglii...

Dobrowolski, któremu później powtórzył te słowa, uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Zmieniło się, powiadasz? A cóż innego było tam przed stu czy przed osiemdziesięciu laty? Albo przed wojną?

- No, było! - odrzekł Piotr. - Choćby to, że nauka najpierw w Anglii przestała się liczyć z teologią.

- Ale jej twórców omal nie rozszarpali angielscy konserwatyści - przerwał Dobrowolski.

- Tak, ale Marks nazywał Wielką Brytanię „warsztatem świata”. A przed wojną... choćby takie wiece uliczne w Hyde Parku...

- Przeważnie sekciarskie - wtrącił Henryk.

- Ale i polityczne, i społeczne. Każdy mógł mówić, co myślał.

- Mówić - tak. Nawet czynić, do pewnych granic. Dopóki to nie zagrażało poważniejszymi zmianami społecznymi.

- W każdym razie nawet przed samą wojną nie mogłoby się zdarzyć to, co się tam teraz odbywa - powiedział Piotr. - Żaden rząd nie postąpiłby w ten sposób.

Nazajutrz, gdy wrócili do Warszawy, jego oburzenie na brytyjskich mężów stanu jeszcze wzrosło.

Policja w Dover aresztowała Joliota; kilkudziesięciu delegatom nie pozwolono wylądować; zwracano ich z drogi do Shef-field...

Trzynastego stało się wiadome, że Biuro Stałego

Komitetu Obróńców Pokoju przyjął propozycję Polski, aby Kongres odbył się w Warszawie, i to między szesnastym a dwudziestym listopada, za trzy dni!

Przez te trzy dni miasto żyło jak w gorączce. Na gwałt wykańczano i urządzano halę produkcyjną Domu Słowa Polskiego, przeznaczoną na obrady, zwożono stoły i krzesła, instalowano przewody, głośniki i wzmacniacze, organizowano zespoły tłumaczy, zakładano telefony i dalekopisy. Trzeba było wynaleźć i przygotować dwa tysiące czterysta kwater, spisać ich adresy, zaplanować przydziały, zorganizować dla delegatów opiekę i transport z dworca kolejowego i z lotniska. Trzeba było przewidzieć, kiedy i gdzie będą jedli, jak będą spędzali czas wolny, co warto im pokazać, co powinni zwiedzić i z czym się zapoznać. Koleje Państwowe, PKS, Linie Lotnicze LOT, „Orbis” zostały nagle zawałone pilnymi zleceniami, które trzeba było wykonać natychmiast. Stanęli do pracy robotnicy, urzędnicy, młodzież z ZMP i harcerze. Powstało „Biuro Recepcyjne” z całym zastępem informatorów, „pilotów” i gońców. Na dworcach kolejowych, na Okęciu, na placach i wzdłuż ulic wyrósł las masztów z niebieskimi flagami. Transparenty, wstęgi, afisze ze słowem POKOJ-MHP-PAX-PEACE-PAIX ukazały się na murach i w oknach domów, zawisły na słupach i na balkonach.

Czternastego zaczęły przybywać delegacje owacyjnie witane na peronach, dworcach, ulicach. Policja angielska zwolniła aresztowanych. Specjalny pociąg przywiózł stu pięćdziesięciosobową delegację francuską, która zawróciła od niegościnnych brzegów Anglii. Amerykanie i Włosi zamiast na północ wyruszyli z Paryża na wschód. Szwedzi, Duńczycy, Finowie, Czesi, Rumuni, Bułgarzy, Węgrzy, Niemcy, Grecy, przedstawiciele republik Związku

Radzieckiego lecieli samolotami, które lądowały na Okęciu we dnie i w nocy, tworząc pokojowe mosty powietrzne między stolicami i terytoriami państw demokracji ludowej a Polską.

Piotr wraz ze swoją załogą w ciągu trzydziestu sześciu godzin był trzykrotnie w Paryżu, przelatując w sumie ponad osiem tysięcy kilometrów niemal bez odpoczynku. Teoretycznie mieli pila-tować na zmianę z Flisakiem i Dobrowolskim, ale wszyscy byli tak podnieceni, że żaden z nich nawet nie zmrużył oka.

Gdy po raz trzeci lądowali w Warszawie około południa, mając na pokładzie delegację kanadyjską i kilku Anglików, którzy poprzedniego dnia przylecieli do Paryża, warunki atmosferyczne na trasach zachodnich i północnych pogarszały się z godziny na go-dzinę, a na wybrzeżach Bałtyku szalał sztorm.

- No, ale to już, zdaje się, koniec - powiedział Cygan podczas gdy kołowali do podjazdu. - Wywieźli my z tego Lefourzetu kupę narodu, a teraz, proszę obywateli, jak się gruchniem spać, to aż iskry będą szły! Nie golę się, nie myję się, tylko, jak to mówią, uderzam w kimono i nic mnie nie obchodzi.

- Do golenia to ty dużo nie masz - zauważył Elmer. - Ale żeby się po dwóch dniach nie umyć, to już...

- O-odczep się - ziewnął Cygan. - Może jeszcze manikure mam sobie zrobić, co?

- Przydałoby się.

- Aha, jak psu kalosze.

- Nie kłóćcie się - zainterweniował Piotr. - Nie wiadomo, czy jeszcze nas gdzie nie wyślą.

To przypuszczenie okazało się słuszne; w Kopenhadze oczekiwali na samolot Duńczycy i kilku Norwegów, a w

Bukareszcie - cała delegacja turecka. Ktoś musiał po nich zaraz lecieć, a szef pilotów nie miał do dyspozycji innych załóg poza swoją własną i Piotra.

- Wiem, że jesteście bardzo zmęczeni - powiedział witając się z nimi. - Ale liczyłem najwięcej właśnie na was. Chciałem was wysłać do Kopenhagi.

- No to grzejem - wyrwał się Cygan, któremu nagle przeszła senność. Janczar spojrzał na niego z uśmiechem.

- Sam zaraz lecę do Bukaresztu -=- dodał. - A wy... Moglibyście ze dwie godziny odpocząć i wystartować kłó drugiej.

- E, tp lepiej od razu - zaproponował Piotr. - Odświeżymy się trochę, zjemy jakieś śniadanie i jazda. Jak myślicie, dzieci?

„Dzieci” były tego samego zdania. Nawet Cygan postanowił się umyć na tę Kopenhagę, a co się tyczy śniadania, pobił wszystkie swoje dotychczasowe rekordy.

O wpół do pierwszej, gdy byli już gotowi, z Gdańska przyleciał Ostkiewicz. Oprócz zwykłych pasażerów miał na pokładzie część delegacji holenderskiej.

- Parszywa pogoda - powiedział do Piotra. - Na wybrzeżu dmie, że ledwie można ustać na nogach. A rzuca!... Nie zazdroszczę tym, co są teraz na morzu. A wy dokąd?

- Do Kopenhagi - odrzekł Piotr.

- No to i wam nie zazdroszczę. Można się porzygać. Nasz radiotelegrafista całą kabinę przyozdobił.

- Jakoś to będzie - mruknął Piotr.

Miał już odejść do swego „Iła”, gdy spostrzegł, że z autobusu, który zatrzymał się na podjeździe, wysiada Hanka w towarzystwie kilku kolegów z akademii medycznej.

- Przyłapałem cię wreszcie! - zawołał. - Co tu robisz?

- Piotr! - ucieszyła się widocznie. - Tak dawno cię nie

widziałam! Janek też tu jest?

- Jest, ale zaraz go nie będzie. Ani mnie. Lecimy po Duńczyków. A ty...

- Ja przyjechałam po Holendrów.

- Są w poczekalni. Ale słuchaj, dziewczyno, stęskniłem się za tobą, a muszę zaraz lecieć. Wrócimy pewnie koło szóstej, siódmej. Będiesz wtedy wolna?

- Może będę.

- Może - to nie jest odpowiedź.

- Postaram się. Mogłabym tu przyjechać po delegatów.

- O! Świetnie. Po tych Duńczyków, których przywieziemy?

- Tak. No i... po was.

- Przepraszam: nie po nas, tylko po mnie. A na opiekuna delegatów wydelegujesz którego ze swoich kolegów, bo twojej wyłącznej opieki ja sam potrzebuję. Zgoda, kapłanko Eskulapa? [bożek sztuki lekarskiej]

- Zgoda, rycerzu przestworzy!

Uśmiechnęli się do siebie i Piotr odszedł do maszyny. Wchodząc po schodkach obejrzał się jeszcze, ale Hanki już nie zobaczył. Objął wzrokiem chmurne, ponure niebo zorane wiatrem. Na północo-zachodzie ołowiany pułap zwisał aż do ziemi, zaciemniając horyzont. Mogło się zdawać, że dzień gaśnie w nadciągającym mroku. Tylko uśmiech dziewczyny pozostał mu w oczach jak ciepły promyk słońca.

Musieli lecieć na wysokości stu do dwustu metrów, poniżej chmur, ponieważ w grubej ich warstwie groziło oblodzenie, a wyżej przeciwny wiatr wzmagał się dochodząc do szybkości huraganu.

W braku pasażerów załadowano im całą masę poczty i jakieś ciężkie przesyłki dla duńskiej placówki LOT-oi, które czekały na taką okazję. Mieli więc normalne obciążenie.

Lecieli po prawej stronie Wisły, pozostawiając daleko na lewo Płock, Włocławek, Toruń i Bydgoszcz. Maszyna borykała się z wichrem w krótkich, gwałtownych rzutach. Raz po raz ziemię osnuwał deszcz ze śniegiem pędzący poziomo pod samolotem jak szara przędza rozpięta na krosnach.

Przecięli tor kolejowy między Piłą a Chojnicami, potem drugi - pod Szczecinkiem - i na lewo ujrzeli trzeci, na Kołobrzeg, który miał im towarzyszyć niemal aż do wybrzeża.

Byli w powietrzu prawie półtorej godziny; przelecieli połowę drogi.

Łatwiejszą połowę - pomyślał Piotr spoglądając przed siebie. - Teraz dopiero się zacznie...

Na wprost - rzekłbyś z wnętrza ziemi - wyrastała silna, jednolita masa ciemności. Na jej tle gnały postrzępione obłoki rozpadając się po drodze na małe kłaczkę białej pary. Wartki pęd wichury zwiąjał je, szarpał, darł i rozpraszał.

Jakiś potężny nurt podsadził się pod maszynę, dźwignął ją w górę i nagle upuścił w przepaść. Lecz inny chwycił ją z boku, podrzucił raz, drugi, pchnął na barki trzeciego, który z kolei ugiął się jakby pod tym ciężarem, zatoczył się na lewo, na prawo, przepadł.

Ciemność spiętrzoną masą zwała się z góry, a w dole bliska ziemia pędziła na oślep, smagana wiatrem, który giał wysmukłe, bezlistne topole jak trzciny, tarzał się po lasach, włókł skłębione ogony dymów pomiędzy domami nisko przycupniętych wsi i miasteczek.

Piotr sparował dwa czy trzy kolejne ataki na skrzydła, spojrział na kurs, poprawił się na fotelu.

Suchy trzask gromu rozległ się gdzieś blisko jak wystrzał armatni na alarm. Łoskot potoczył się dalej, lecz

wtem ostre światło przebiegło po chmurach jak przeciągłe, badawcze spojrzenie w ślepią twarz burzy. Olśniewający blask migotał długo, jakby się nie mógł napatrzeć ponuremu obliczu, które zsiniało z gniewu. Werbel grzmotu wznosił się i opadał, aż w chwili gdy błyskawica rozjarzyła się najjaskrawiej, wypełniając całą przestrzeń błękitnym, kłującym światłem, rozległ się potężny huk, a ciemność nagle przyskoczyła z powrotem do szyb i przeniknęłaabinę..

Stało się to tak nagle, że tablice przyrządów i cały świat zewnętrzny znikł sprzed oczu Piotra, jakby rozerwany jakimś potwornym wybuchem.

Jednocześnie rozpętała się cała furia nawałnicy. Wściekły, rozbestwiony pęd zatargał sterami, jakieś niewidzialne olbrzymie ręce zdawały się szarpać to lewym, to znów prawym skrzydłem, coś waliło w szyby, cwałowało po gondoli, uderzało taranem o burty. Maszyna miotała się w dół i w górę, przewracana z boku na bok, zalewana ciężkimi falami zbitego powietrza, jak statek, który zarywa dziobem przyjmując na pokład dziesiątki ton morskiej wody.

„H” nurzał się w chmurach, opadał nad ziemię, zdawał się giąć i prostować, nieustannie poniewierany, kopany, bity przez huragan, któremu ośmielił się stawić czoła.

Trwało to już tak długo, że Piotr i Flisak stracili rachubę czasu. Ster w dłoniach Piotra ani na chwilę nie pozostawał nieruchomy: wolant zataczał łuki i półkregi, drążek pochylał się to naprzód, to w tył, pedały orczyka chodziły na lewo i na prawo jak szale rozhuśtanej wagi.

W jakiejś chwili Piotr powiedział do mikrofonu:

- Włodek, wchodzimy nad morze - i Flisak dopiero wtedy ujrzał w dole spienione fale wpadające na brzeg z zajadłą wściekłością.

Ten widok uprzytomnił mu, jak nisko lecą. Brzeg

został w tyle, za skrzydłami, przeciw którym gnały długie, grzywiaste grzbiety wypiętrzając się ostro w górę, jakby chciały dosięgnąć maszyny.

Załamowały się u szczytu, spadały wielkimi kaskadami w głębokie bruzdy i wznosiły się znowu. Morze ryczało, pieniało się, grzmiało, ciskało na wiatr płachcie piany i bryzgi wody, a nad tym zgiełkiem i rozruchem samolot podrywał się i zapadał w powietrznym prądzie pełnym wirów, progów, przepaści, nagłych uskoków i skrętów.

Silniki raz po raz zmieniały ton i rytm; śmigła warczały z wysiłku w gęstych, tęgich podmuchach, to znów poświstywały trafiając w rozrzedzone warstwy powietrza o mniejszym oporze. Maszyna wzbijała się wzwyż, pułap chmur wsysał ją w siebie i rozhukane morze znikало na chwilę pod mleczną zasłoną, a potem otwierała się nagle głęboka otchłań, jak zdradliwe bagno, w którym grzęzły skrzydła, wiotczały stery, spazmowały silniki, a samolot orał brzuchem coraz niżej, opadając nad wrzące czuby fal.

W takich chwilach Flisak doświadczał dręczącej obawy, że lada sekunda zderzą się z wierzchołkiem jednej z gór wodnych, które leciały z dołu na ich spotkanie, łyskając białymi grzebieniami. Za każdym razem, gdy pod skrzydła wpadała lawina białych bryzgów, czuł, że krew zatrzymuje się w jego żyłach, a serce przestaje bić drętwiejąc na moment z trwogi. Coś się w nim załamywało, coś podchodziło do gardła, ścisnęło je gwałtownym chwytem, a przez głowę przewijała się myśl: Zginiemy! Stery nie wytrzymają, silniki nie uciągną, urwą się lotki...

Jakkolwiek był młodym pilotem, przeszedł już przez kilka burz; dotąd zdawało mu się, że mógłby sobie wyobrazić najgorszą, jaka go może spotkać. Lecz to, co się teraz działo, przechodziło wszelkie jego przypuszczenia i przewidywania.

Wydawało mu się niepodobieństwem, aby jakikolwiek samolot to przetrwał.

Wtem maszyna, porwana w górę przez jakiś potworny wał powietrza, który zdawał się wirować dokoła swej osi, skoczyła w chmury jak piłka, rzuciła się w bok, zawichrowała skrzydłami, runęła w dół.

Wszystko znikło wśród kłębow pary, poduszka siedzenia umknęła spod Flisaka, który znalazł się w powietrzu, a po sekundzie równie gwałtownie usiadł wtłoczony z powrotem w oparcie fotela. Przed oknami kabiny śmignął rozchlust wody, coś grzmotnęło o pokład, zadrżały szyby, a silniki jakby się zachłysnęły.

Flisak na mgnienie oka przestał myśleć, lecz instynktownie chwycił obiema rękami wolant.

- Już dobrze - usłyszał głos Piotra. - Dam jej radę! Oprzytomniał. Puścił ster i zdziwił się: więc to nie był koniec?!

Czy „If” wytrzyma? - zadawał sobie pytanie. - Jak długo wytrzyma?

Elmer coś mówił przez telefon pokładowy, czego nie można było zrozumieć. Dobrowolski, uczepiwszy się framugi wejścia, nachylił się nad Cyganem i wołał do Piotra:

- Weź bardziej w lewo! Znosi nas ku północy!

- Dobrze - odrzekł Piotr skręcając o kilka stopni. - Czego chce Włodek?

:- Nie ma łączności z ziemią. Nic nie można zrozumieć: trzeszczy! Ale trzymaj ten kurs. Na północny zachód jest Zelandia!

- Cała Dania jest na północny zachód - zauważył Piotr.

- A także kawał Szwecji, Skagerrak i całe Morze Północne.

- Nic nie szkodzi. Wyjdziemy na Kopenhagę.

Nowa szarża wichury zachybotwała skrzydłami,

zatętniła po gondoli, wybiła maszynę z kursu. Piotr wyrównał, spojrzął na Flisaka.

- Weź no stery - powiedział - bo mnie już ręce boją od tej gestykulacji. Przypasz się, bo cię będzie podnosić.

Flisak zapiął pas i ujął wolant. Sparował jeden i drugi przechył, uprzedził trzeci. Poczul się bardziej związany z maszyną trzymając nogi na pedałach i ręce na kole. Wróciło mu zaufanie do wytrzymałości konstrukcji.

Nie jest tak źle - pomyślał.

W tej samej chwili coś szarpnęło sterem, jakby mu chciało wyrwać go z dłoni. Flisak odruchowo spojrzął na Piotra. Ale Piotr właśnie zapalał papierosa.

Maszyna tonęła, zapadała w głąb coraz niżej. Olbrzymia, wyższa od innych fala sadziła ku niej z daleka. Mogło się zdawać, że dosięgnie skrzydeł. Lecz przeszła o dobre pięćdziesiąt metrów pod samolotem. Trudno było ocenić odległość od tego ukropu piany, który kotłował się w dole.

- Choroba - mruknął Cygan. - Ale nas kształci!

Znów rzuciło w górę i w bok. Nieustanna chwiejba przyprawiała o zawrót głowy i mdłości. Mijały minuty i kwadranse, a cały świat - niebo zawalone chmurami, przestwór objęty mrokiem i morze tratowane wichrem - zwijał się w straszliwych konwulsjach i skurczach jak olbrzymi, ciężko ranny potwór czy też gad skrzydlaty, konający w okropnych przedśmiertnych męczarniach.

Spoza drzwi kabiny pasażerskiej dochodził jakiś łomot, jakby w niej zamknięto szaleńca, który dostał ataku.

- Co się tam dzieje? - spytał Piotr odwracając głowę. - Zobacz no - powiedział do Cygana.

Józek wstał, podniósł składany taboret, na którym siedział, i opierając się o ściany dotarł do drzwi. Z początku

nie mógł ich otworzyć, a gdy nagle ustąpiły, wtoczył się przez próg i omal nie upadł.

Wrócił po kilku minutach z guzem na czole i zadrapanym policzkiem.

- To te cholerne skrzynie - powiedział do Piotra. - Nie przywiązali ich, no to latały po całej kabinie i z tego był taki raban. Ale nic się nie stało, tylko jedna mnie się naraziła jak tamte mocowałem. Taką blachę w łeb mi zasunęła, że całe astronomie zauważyłem.

Opuścił swój taboret, usiadł i zastrzygł uszami.

- Kapitan Dobrowolski mówi, że zaraz będzie Falsterbo - oświadczył. - To podobnie już niedaleko?

- Niecałe czterdzieści kilometrów - odrzekł Piotr. - Ale ja wcale nie widzę brzegu.

Ujął mikrofon i wywoływał nawigatora.

- Gdzie ten twój Falsterbo, Heniu?

- Powinien być przed nami na lewo. Idziemy wprost na cypel. Weź jeszcze trochę w lewo...

Nagły skok maszyny, która wspięła się jakby na jakąś stromą piramidę i zarzuciła w bok, przerwał mu w połowie. Gdy Flisak wyrównał, Dobrowolski powtórzył:

- Weź w lewo, tak z piętnaście stopni. Masz teraz trzysta trzydzieści pięć?

- Trzysta trzydzieści pięć - potwierdził Piotr. - Od czasu do czasu, naturalnie, bo busola dostaje kręćka.

- Więc weź trzysta dwadzieścia. Za jakie pięć minut powinniśmy zobaczyć Maklappen, a na prawo światła nawigacyjne w Falsterbo i w Skanor.

- Dobrze, proroku. Oby się to sprawdziło.

Flisak skrzył w lewo i trzymał się wskazanego kursu. Chmury uniosły się i mogli lecieć wyżej. Na zachodzie jakby zaczynało się przejaśniać.

- Mam Kastrup [lotnisko pod Kopenhagą] - odezwał się Elmer. - Zaraz nam podadzą pozycję.

W tej chwili Piotr dostrzegł wprost na kursie niewielką wyspę, której zachodni brzeg szturmowały fale.

- Słowo daje, jest Maklappen! - zawołał.

- A coś ty myślał! - odrzekł z dumą Dobrowolski. - Musi być!

- To może my jeszcze do Kopenhagi dolecimy?

- Prawdopodobnie. Tylko tak wyląduj, żebyśmy mieli na czym wracać.

Na prawo błyskało światło Falsterbo i widać było przyładek wrzynający się w morze. Elmer otrzymał współrzędne, wpisał je do dziennika, nadał meldunek do Kastrup.

Pałap rósł, w zbitej masie ciemnych chmur otwierały się białawe luki, pojedyncze obłoki rwały poniżej jak przerażone owce odbite od stada.

Potem, gdy już minęli światło latarniowe w Skanor, ukazał się błękitny strzep nieba, dalej drugi i trzeci, a chmury pojaśniały, zaczęły się rozpadać na grupy, nabierać kształtów, rzednąć.

Dobrowolski podał nowy kurs na statek latarniowy zakotwiczony na południe od Dragór, a Elmer wniósł ostatni zapis do dziennika i zawiadomił Piotra, że przechodzą na Kontrolę w Kastrup.

Piotr ujął stery i czekał na zgłoszenie się stacji lotniska.

Na morzu raz po raz błyskał czerwony sygnał statku miotającego się w uwięzi kotwic, a w dali wylaniał się zarys brzegu. Wtem na samym horyzoncie pomiędzy obłoków wyjrzało słońce i ląd stanął w świetle jak jasna zjawia opromieniona aureolą zachodu.

O piętnastej czterdzieści pięć samolot „II” oznaczony literami SP-ALL wylądował na lotnisku Kastrup pod Kopenhagą, a jego załoga stała się natychmiast przedmiotem zainteresowania podróżnych, kierownictwa i obsługi portu. Spoglądano z podziwem na Polaków, którzy potrafili przebić się przez sztorm szalejący od kilkunastu godzin nad Bałtykiem. Przez sztorm, który od rana paraliżował cały ruch lotniczy w Danii.

Dyrektor „Det Danske Luftfartselskab” [DDL - Duńskie Linie Lotnicze], uprzedzony o zbliżaniu się maszyny, zdążył przyjechać z Kopenhagi przed lądowaniem.

- Widziałem, jak pan ją podprowadzał - powiedział do Piotra po angielsku. - To wyglądało na wielkie ryzyko. Ale muszę przyznać, że wylądowaliście po mistrzowsku.

Piotr odrzekł, że to nie było takie niebezpieczne, jakkolwiek cały przelot należał do uciążliwych.

- Lecieliśmy bez pasażerów - dodał. - No i czekają tu na nas, pan wie...

Dyrektor o tym wiedział, naturalnie. Światowy Kongres Pokoju - tak. Należał do jego zwolenników. Stanowisko rządu Wielkiej Brytanii w całej tej sprawie wydawało mu się prowokacyjne. Podziwiał inicjatywę Polski i szybkość, z jaką zdołano zaimprovizować przeniesienie obrad do Warszawy. To było doprawdy imponujące!

Natomiast nie wiedział dotąd, że polska załoga już drugą dobę spędzała w powietrzu. Poinformowany przez Piotra, wyraził zdumienie, w którym można było wyczuć lekką nutę niedowierzania. Ale gdy obecny przy rozmowie kierownik ruchu pokazał mu dziennik pokładowy samolotu, natychmiast zmienił ton i bardzo uprzejmie zaprosił ich na obiad do restauracji dworcowej.

- Niech pan nie próbuje mnie przekonać, że nie

jesteście głodni i zmęczeni, bo w to już naprawdę nie uwierzę - oświadczył jowialnie, gdy Piotr się zawahał, czy przyjąć zaproszenie. - I tak przecież nie możecie zaraz lecieć z powrotem! Teraz będziecie mieli pasażerów.

Była to słuszna uwaga. Sztorm mijał, komunikaty meteorologiczne zapowiadały szybką poprawę warunków atmosferycznych, a zwłaszcza podwyższenie się podstawy chmur na całej trasie, ale wichura jeszcze trwała.

Słońce otulone szkarłatnym płaszczem obłoków zaszło pozostawiając po sobie fioletowe smugi. Kilka gwiazd zabłysło wśród błękitu. Lepiej było wracać nieco później przy dobrej pogodzie niż dopędzić burzę, która oddalała się na wschód.

Zjedli więc obiad, a następnie - korzystając z gościnności dyrekcji - poszli się przespać w hotelu dla załóg.

Obudzono ich o dziewiętnastej, jak tylko start dla duńskich samolotów został otwarty. Dwie godziny snu po czterdziestego-dzinnym wysiłku - to było bardzo mało; mąciło im się w głowach, bolały mięśnie, piekły oczy.

- No, polecimy z wiatrem - pocieszał ich Dobrowolski.
- Przed północą będziecie spali we własnych łózkach.

Flisak i Cygan poszli dopilnować uzupełnienia benzyny i oleju, Piotr przyjął pocztę i bagaż, potem pasażerów, którzy przyjechali z miasta.

Przed dwudziestą byli gotowi. Jakiś samolot startował przed nimi do Gothenburga, a potem przybył spóźniony z Amsterdamu, więc musieli czekać około piętnastu minut. Wreszcie otrzymali pozwolenie wykołowania na pas startowy i „*Good speed!*” [dobrej drogi] od kierownika ruchu.

Motory zagrały potężnym akordem, pociągnęły. Samolot ruszył, światła bieżni zaczęły płynąć naprzeciw - coraz prędzej, coraz prędzej. Wtem zwolniły, opadły niżej,

zdawały się tonąć w ciemności, aż wreszcie cały ich rząd pochylił się, wykręcił jak na osi i nagle znikł pod czarnym skrzydłem.

Piotr skręcał w lewo, biorąc wysokość. Tęgi wiatr wypierał maszynę w górę, znosił ją w wirażu na wschód, ku cieśninie Drog-den. Dobrowolski podał pierwszy kurs: sto pięćdziesiąt stopni.

Ogromna łuna Kopenhagi została z tyłu. Na lewo błyszczały światła boi na szlakach żeglownych, obracały się promienie latarni morskich, świeciły statki, a dalej brzeg szwedzki żarzył się jak stygnąca sztaba żelaza wygięta w kształt litery S.

W dziesięć minut po starcie minęli Falsterbo i położyli się prosto na kurs do Warszawy. Księżyc - cienki nawias ze srebra - stał nisko, schodząc już z nieba, po którym ściagały się obłoki. W dole pienilo się morze, puste i ciemne.

Piotr włączył żyroskop automatu sterującego i przez chwilę obserwował jego działanie. Maszyna niosła się w długich, łagodnych przechyłach, wracając po każdym z nich do poziomu. Automat prowadził ją dokładnie według kursu, przy którym koło rozpędowe osiągnęło pełne obroty. W obecnych warunkach ułatwiało to pracę o tyle, że można było mniej uwagi poświęcać utrzymaniu kierunku. Lecz Piotr wiedział, że nie wolno mu zdawać się wyłącznie na automat.

Dopiero teraz poczuł zmęczenie i obezwładniającą senność. Raz po raz poprawiał się w fotelu prostując plecy, ale zaraz potem zapadał w jakąś mglistą otchłań, w której majaczyły mu przed oczami przyrządy, fosforyzujące skale, cyfry i strzałki. Wtedy uświadamiał sobie ich znaczenie i nagle budził się ze wstrząsem: prowadził samolot! Odpowiadał nie tylko za własne życie...

To otrzeźwiało go na chwilę. Zaciskał szczęki i

postanawiał, że nie ulegnie. Ale po kilku minutach równy warkot silników oplatał mu głowę, powieki zaczynały ciążyć, gwiazdy za szybą kabiny roz - pływały się, a sen spadał na niego z góry i zasypywał go niepostrzeżenie, jak miękki, ciepły puch.

Tylko jakaś ukryta sprężyna woli pozostawała w napięciu pod rosnącą warstwą odrętwienia i nagle wyskakiwała zrywając pajęczynę bezwładu. Piotr otwierał oczy i obejmował szybkim spojrzeniem tablicę przyrządów, by z niejakim zdziwieniem przekonać się, że wszystko jest w porządku. Rzuciwszy okiem na zegarek stwierdzał, że upłynęło zaledwie pół minuty od czasu, gdy po raz ostatni nań spoglądał, ale to bynajmniej go nie uspokajało: lada chwila mógł usnąć na dobre.

Zdecydował się uprzedzić o tym Flisaka. Lecz gdy do niego przemówił, Flisak nie odpowiedział: spał.

Ładna historia - pomyślał Piotr i obejrzał się na Cygana.

Cygan nie spał wprawdzie, ale wyglądał, jakby ocknął się dopiero w tej chwili. Natomiast Elmer i Dobrowolski chyba czuwali, bo obaj natychmiast się zgłosili na pierwsze wezwanie przez telefon.

- Dzieci - powiedział Piotr. - Obawiam się, że całkiem trzeźwy jest tylko nasz pilot automatyczny, a my wszyscy raz po raz uderzamy w kimono, jak mówi Józek.

- Ja nic nie mówię - zaprotestował Cygan. - Ale faktycznie spać mi się chce jak cholera...

- No, właśnie. Ja się też kiwam, a Janek nawet chrapie.

- Nie, naprawdę? - poderwał się Flisak.

- Prawie naprawdę. Więc musimy budzić się nawzajem, bo tu żartów nie ma. Proszę każdego o parę słów towarzyskiej rozmowy, powiedzmy, co pięć minut. Kto się

nie odezwie, płaci złotówkę na Ligę Lotniczą. Za pięć minut zaczyna Janek, potem Józek, potem Włodek, a ty, Heniu, na końcu.

Zgodzili się na tę grę. Po pięciu minutach Flisak zapytał:

- Kto jeszcze nie zasnął?

Odezwali się wszyscy jednocześnie. To samo nastąpiło, gdy przyszła kolej na Cygana.

- Patrzcie, jak poskutkowało! - powiedział Józek. - Każdemu żal złotówki. A ja bym na tę Ligę odpalił zaraz piętnastaka, żeby do samego Okęcia mieć spokój.

Elmer otrzymał namiary goniometryczne i pozycję ze stacji prowadzącej. Zbliżali się ku polskiemu wybrzeżu.

- Zgadza się - potwierdził Dobrowolski. - Mamy przeciętną szybkość prawie czterysta kilometrów na godzinę.

Po chwili czarna masa lądu oddzielona od morza białą linią przyboju weszła pod skrzydła, a w pół godziny później na prawo ukazała się łuna świateł nad Bydgoszczą. Jednocześnie obłoki, które mijali po drodze, zaczęły się skupiać poniżej w coraz większe gromady, a na wprost można było rozróżnić zwartą ławicę chmur.

- Pójdziemy górą? - spytał Dobrowolski. - W Warszawie pułap jest na dwustu metrach, ale temperatura wzrosła znacznie powyżej zera; nie oblodzi nas.

- Górą - odrzekł Piotr.

Księżyc zaszedł i tylko gwiazdy mżyły nikłym światłem. Elmer nadał pożegnalny meldunek do Bydgoszczy, która przekazywała dalsze prowadzenie samolotu „Pawłowi” w Warszawie. Cygan przełączył zbiorniki.

Jeszcze pół godziny - pomyślał Piotr. - Jeszcze tylko pół godziny...

Znów ogarniała go senność. Ból w stawach i w

mięśniach przenikał całe ciało, zdawał się docierać do mózgu. Powieki ciążyły jak ołowiane, myśli mąciły się.

Zapałił papierosa, wychylił się w bok i przez szybę w drzwiach spojrział w głąb gondoli. Pasażerowie drzemali w wygodnych fotelach. Niektórzy rozmawiali, jakaś starsza, siwowłosa kobieta o energicznej twarzy czytała książkę.

Piotr poszukał wzrokiem Zosi Radoszówny, ale przypomniał sobie, że przecież zostawili ją w Warszawie, bo po ostatnim przelocie z Paryża ledwie się trzymała na nogach. Nagle odwrócił się.

Hanka! - omal nie wymówił głośno jej imienia. Ani razu nie pomyślał o niej od chwili startu, z Warszawy. Powiedział jej przed pożegnaniem, że wróci z Kopenhagi między szóstą a siódmą wieczorem...

Machinalnie spojrział na zegar czasowy przed sobą. Dochodziła dziesiąta.

No, nie będzie przecież czekała na mnie po nocy - pomyślał z odcieniem żalu.

Ale wbrew temu przypuszczeniu miał nadzieję, że ją zobaczy. Ktoś przecież musi przyjechać po delegatów.

Senność opuściła go teraz. Wyłączył żyroskop i zapytał Dobrowolskiego o pozycję.

- Minęliśmy Płock - odrzekł Henryk. - Do Okęcia osiem⁻¹ dziesiąt kilometrów. Elmer nadawał: SP-ALL. SP-ALL. Start z Kopenhagi o godzinie 20.00.

Minęliśmy Płock. Wysokość 2 000. Spodziewamy się przybyć na Okęcie o godzinie 22.15. Prosimy o dokładny fix i QDM.

Po chwili przysłała odpowiedź, zgodna z obliczeniami nawigatora. Lecieli wprost na Okęcie. Dobrowolski poszedł uprzedzić pasażerów, że podczas lotu przez chmury będzie trochę rzucać.

- To nic groźnego, ale proszę zapiąć pasy. Będziecie się, państwo, czuli pewniej.

Potem wrócił do swego przedziału, sprawdził czas i porównał go z ostatnim zapisem.

Elmer podał mu nową pozycję.

- Przechodzimy na Kontrolę - powiedział przez telefon do Piotra.

Zdybel mówił spokojnie i wyraźnie:

- Pułap dwieście-trzysta metrów, porywisty wiatr zachodni do dwudziestu metrów na sekundę, widoczność poniżej chmur dobra, ciśnienie na powierzchni lotniska siedemset czterdzieści dwa. Możecie podejść od razu pod wiatr. Lądowanie na jedyńce.. Zapalam światła.

- Zrozumiano - odrzekł Piotr.

Dostroił wysokościomierz i zwracając się do Dobrowolskiego, zagadnął: - No, jak tam, Heniu, schodzimy?

- Zaraz - odrzekł nawigator. - Za chwilę.

Piotr czekał. Upłynęła jeszcze cała minuta. Wreszcie Dobrowolski powiedział:

- Możesz schodzić tym kursem. Powinniśmy wyjść z chmur albo na Wolę, albo między Raszynem a Wilanowem - na lasy pyrowskie, a w najgorszym razie na Jeziorne.

Piotr zamknął gaz. Silniki przycichły, czerwono-niebieski płomień lizał wyloty rur wydechowych. Szum i syk pędu to wzmagał się, to wiotczał, wznosił się i opadał wzdłuż burt jak długa morska fala.

Jakiś wysoki obłok przewiał przed oknami, znikł, na jego miejsce wyrósł inny, wygięty jak siodło, i połknął maszynę. Zaraz potem pierwszy gwałtowny skręt wiatru wyniósł ją na swym grzbiecie i rzucił w dół.

Piotr spoglądał to na wariometr, to na szybkościomierz, to na busolę. Przebijali się przez grubą

warstwę chmur jak przez brudną, szarą watę. Wicher zaczynał dawać się we znaki: szamotał się ze skrzydłami, wywijał się w lewo i w prawo, w dół i w górę, jak wąż.

Wskazówka na tarczy wysokościomierza drgała mijając kreski podziałki: 1 800-1 700-1 600... Ciemność gęstniała, czasem deszcz siekł po szybach i nagle urywał, jak odcięty nożem.

W kabinie panowało milczenie. Tylko Flisak co chwila podawał wysokość:

- Tysiąc dwieście. Tysiąc sto. Tysiąc... - Temperatura!
- mruknął Piotr.

- Osiemdziesiąt - odrzekł Cygan. - Ja uważam. Zmienny, niespokojny nurt wichru cwałował nad niewidzialną ziemią jak tabun dzikich, przerażonych koni. Wspinał się, skręcał w miejscu, pędził w dół i nagle skakał w górę potężnym susem.

- Pięćset metrów. - Czterysta. - Trzysta...

Ciemny, skłębiony woal wymknął się sprzed samolotu, coś błysnęło w dole i znikło. Ale wnet poprzez rozsypującą się zasłonę mętnej pary znów przejrzał blask. Chmury uciekały w popłochu, pędziły w górę po obu stronach kabiny, aż zwały się nad nią w zbitą, gęstą masę, w dole zaś czarna, bezkształtna ziemia rzuciła pod niebo rudą lunę światła. Paciorki latarń, zielone i czerwone punkciki na torach kolejowych, reflektory samochodów, żółte, wolno pełznące lampiony tramwajów, lśniące, wilgotne jezdnie. Dalej na lewo - regularne linie i prostokąty ulic i placów przesycone odbłaskiem okien, wystaw sklepowych, neonów.

Piotr szukał wzrokiem lotniska.

Leżało w obramowaniu czerwonych lamp, jak gdyby głębiej niż miasto, które zdawało się unosić nieco nad ziemią.

- Podwozie - powiedział do Cygana. Dodał gazu,

zgłosił się do Kontroli:

- Odchodzimy z wiatrem!

Uzgodnił kierunek z oświetlonym pasem startowym, minął go po prawej stronie. Z daleka zobaczył Wisłę. Wśród gwałtownych porywów wichru położył maszynę w obszerny skręt.

- Podwozie wyszło - powiedział Flisak.

Wiatr uderzał z boku, powiększając promień wirażu; potem szarpnął w górę, podparł skrzydła, urwał się nagle, przepadł, wywinął się znów, na wprost i pędził zygzakiem - w lewo! w prawo! - spadając na ziemię i odbijając się od niej, jak kamień w płaskim rzucie odbija się od powierzchni wody.

Piotr włączył radiokompas, wszedł na kurs zerowy i usłyszał ciągły, wysoki ton w słuchawkach. Po chwili zobaczył z daleka trzy światła wlotowe.

Obejrzał się na Cygana.

- Klapy!

Różaniec czerwonych lampek zbliżał się chybotliwie. Biała linia świetlna betonowej bieżni balansowała pośrodku jak oszczep trzymany niepewnie w mdlejącej dłoni. Ciągły ton brzęczyka zgasł, zastąpiły go długie niskie pobekiwania: samolot przeszedł nad zewnętrzną radiolatarnią.

Plan świateł Okęcia stał się teraz wyraźny, plastyczny. Lecz wichura wzmogła się jeszcze. Gdy mijali wewnętrzną radiolatarnię, a Piotr usłyszał gęsty, wysoki trzel sygnałów i zamknął gaz, wycie wiatru przeniknęło do kabiny. Samolot drgał nerwowo, wznosił się na garbach prądu, który tryskał jak gejzer, niemal pionowo, to znów spłaszczał się tuż przy ziemi, aby zniecka skoczyć w górę, wyrznąć łbem w skrzydło, zawinać po sterach.

Szeroki pas betonu, lśniący wilgocią w ostrym świetle reflektorów, umykał się podwoziu grożąc jednocześnie

gwałtownym starciem, które nie następowało tylko dlatego, że Piotr w porę ściągnął ster tuż przed uderzeniem kół o ziemię. Rząd małych lampek płynących środkiem bieżni zbliżał się i oddalał, przyśpieszał i zwalniał, aż wreszcie w jakiejś chwili spokoju pneumatyki przylgnęły do gładkiej powierzchni i samolot całym ciężarem osiadł na sprężystych amortyzatorach, tocząc się jeszcze przez kilka sekund w krótkim dobiegu.

Piotra wprost z maszyny wezwano do telefonu. Dzwonił dyrektor Modrakowski. Janczar nie wrócił z Bukaresztu, gdzie miał nocować, zatrzymany fatalną pogodą na trasie. Prawdopodobnie przyleci dopiero jutro koło południa. Modrakowski chciał się upewnić, czy Piotr będzie mógł go zastąpić od rana.

- Naturalnie - odrzekł Piotr. - Pojadę na lotnisko pierwszym transportem.

- Chodzi o to - powiedział Modrakowski - żeby utrzymać normalną komunikację na wszystkich liniach. Ale trzeba dać odpocząć tym załogom, które są najbardziej zmęczone. Musicie to sami jakoś zorganizować, bo ja mam jutro od rana ciężki dzień; wątpię, czy będę w dyrekcji.

Piotr zapewnił go, że da sobie radę. Zaraz się rozejrzy w stanie załóg, jakimi można dysponować.

- Dziękuję wam, Maresz. O to mi właśnie szło, żebyście to zaraz przygotowali. Bardzo na was liczę.

Piotr poszedł do biura szefa pilotów. Wiedział, że Janczar ma wynotowany rozkład lotów dodatkowych w podręcznej teczce. Znalazł ją bez trudności i w kwadrans potem miał cały plan gotowy. Zabrał go z sobą i wyszedł na podjazd, ale nie zastał już tam ani swojej załogi, ani pasażerów. Autobus odjechał do miasta. Zapomnieli o nim widocznie...

Trochę go to zirykowało i rozgoryczyło.

- Ładnie mnie urządzili!

Rozejrzał się na prawo i na lewo. Hanki, oczywiście, także nie było. Nie czekała...

Pewnie była bardzo zmęczona - pomyślał. - Spóźniliśmy się o cztery godziny.

Chciał już zawrócić do biura, żeby się dowiedzieć o jakiś środek lokomocji, gdy w cieniu, na zakręcie dostrzegł stojącą taksówkę.

Kierowca zdawał się drzemać. Piotr podszedł bliżej.

- Pan czeka na kogoś? - spytał.

- Tak. A pan może do miasta? Bo tu właśnie... - obejrzał się za siebie.

- Piotrze! - Hanka uchyliła drzwi od wewnątrz. - Patrz, zdrzemnęłam się!

- Skąd się tu wzięłaś! - zawołał. - Myślałam...

- No widzisz, jaki jesteś! Siadaj - usunęła się robiąc mu miejsce. - Wysłałam twoją załogę razem z pasażerami, boś strasznie marudził. A pan kierowca jedzie do garażu, więc zgodził się nas zabrać.

Ruszyli. Światła latarń przemknęły po ich twarzach. Piotr ujrzał lekko pochyloną głowę Hanki i jej delikatny profil. Odczuła jego spojrzenie i podniosła oczy, on zaś otoczył ją ramieniem. Milczeli oboje, lecz to milczenie było wymowniejsze od słów.

ISKRY Warszawa 1955